

Słowo i miecz

A gdy Ptaszek
wyszepta Słowa,
stać się może
wszystko...

BESTSELLER NEW YORK TIMES A

AMY HARMON

Amy Harmon

Słowo i miecz

Tytuł oryginału: The Bird and The Sword

Tłumaczenie: Marcin Machnik

ISBN: 978-83-283-3781-7

Copyright © 2016 by Amy Harmon

Without limiting the rights under copyright reserved above, no part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise) without the prior written permission of both the copyright owner and the above publisher of this book.

Polish edition copyright © 2018 by Helion SA

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

Spis treści

[Przewodnik po wymowie](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[O autorce](#)

[Inne książki tej autorki:](#)



Przewodnik po wymowie

Jeru — DŻE ru

Meshara — Me SZA ra

Lark — Lark

Tiras — TIR as

Boojohni — Bu DŻA ni

Degn — Dejn

Corvyn — KOR win

Zoltev — ZOL tew

Volgar — WOL gar

Kjell — Kel

Kilmorda — Kil MOR da

Bin Dar — BIN Dar

Drue — Dru

Firi — FIR i

Bilwick — BIL łik

Enoch — I nok

Quondoan — kłan DUN

Janda — JAN da

Jyraeńskie — je RI ańskie

Nivea — NI vi a

*Żywe bowiem jest słowo, skuteczne
i ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny,
przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha,
stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia i myśli serca.*

Prolog



Była taka maleńka. Duże miała jedynie oczy, które wypełniały jej twarz, szare i uroczyste niczym mgła na wrzosowiskach. Po pięciu wiosnach wyglądała jak dziecko o dwie wiosny młodsze, a jej drobna budowa budziła we mnie niepokój. Nie żeby była niezdrowa. Prawdę rzekłszy, nie zdarzyło jej się zachorować. Ani razu. Ale była delikatna, niemal krucha, jak maleńki ptaszek. Drobne kości i rysy twarzy, szpiczasty podbródek i elfie uszy. Grube i miękkie jasnobrązowe włosy, które muskały moją twarz, gdy ją przytulałam, zdawały się przypominać w dotyku pióra i pogłębiały to ptasie porównanie.

Była moim małym skowronkiem. Lark^[1] — to imię pojawiło mi się w głowie w chwili, gdy ją ujrzałam. Zaakceptowałam je i przyjąłam od Ojca wszystkich Słów, ufając, że tak właśnie ma się nazywać.

— Co robisz, Lark? — powiedziałam ostro, bo chciałam zabrzmieć groźnie, ale moja córka w ogóle się nie przestraszyła, nawet w najmniejszym stopniu, mimo że przyłapałam ją w miejscu, w którym nie powinna przebywać. Nie chciałam, żeby wetknęła paluszki w wirujące wrzeciono kołowrotka lub wypadła na dziedziniec przez jedno z wysokich, otwartych okien. To był mój wyjątkowy pokój i uwielbiałam w nim przebywać, zwłaszcza z nią. Ale ona nie słuchała mnie już od samego wejścia.

— Laleczki — odparła. Ochryply głosik komicznie kontrastował z jej drobniutkim ciałem. Ze zdradzającym pełne skupienie wysuniętym końcem języka i ściągniętymi ustami owijała sznurek wokół wypchanego materiału, aby utworzyć nieco niekształtną głowę. Ręce i nogi miała już zrobione, a obok na podłodze leżały gotowe trzy inne laleczki.

— Lark, wiesz, że nie możesz tu przebywać sama. To nie jest bezpieczne miejsce dla małych dziewczynek. I nie wolno ci używać słów pod moją nieobecność — skarciłam ją.

— Ale ciebie tak długo nie było — wyjaśniła, podnosząc na mnie pogrążone w smutku oczy.

— Nie patrz na mnie w ten sposób. Nie ma żadnego wytłumaczenia dla nieposłuszeństwa.

Pochyliła głowę i zwiesiła ramiona.

— Przepraszam, mamó.

— Obiecuj, że zapamiętasz i będziesz grzeczna.

— Obiecuję, że zapamiętam... i będę grzeczna.

Poczekaliśmy chwilę, aż obietnica ugruntuje się między nami, a słowa odcisną się w powietrzu, żeby była przez nie zobowiązana.

— A teraz... opowiedz mi o swoich laleczkach.

— Ta uwielbia tańczyć. — Wskazała niezgrabną postać po lewej stronie. — Ta uwielbia się wspinać...

— Jak pewien znany mi skowronek — przerwałam jej czule.

— Tak. Jak ja. A ta uwielbia skakać. — Uniosła najmniejszą.

— A ta? — Wskazałam na lalkę, którą przed chwilą skończyła.

— To jest księżę.

— Księżę?

— Tak. Księżę Laleczek. Potrafi latać.

— Bez skrzydeł?

— Tak. Nie trzeba mieć skrzydeł, żeby latać — wyszczebiotała, powtarzając coś, co jej kiedyś powiedziałam.

— Czego potrzebujesz, córko? — spytałam.

— Słów — odparła, a jej wielkie, szare oczy rozświectliły się ze świadomością.

— Powiedz je — odrzekłam cicho.

Wzięła najbliższą leżącą laleczkę i przycisnęła usta w miejsce na klatce piersiowej, tam gdzie powinno być serce.

— Tańcz — wyszeptała z wiarą, że tak się stanie, i postawiła laleczkę na podłodze. Szmaciana postać zaczęła wirować i skakać po całym pokoju, unosząc niekształtne ramiona i nogi. Zaśmiałam się cicho, a mała Lark wzięła następną.

— Skacz — poprosiła, wdmuchując słowo w pierś laleczki. Ta wyskoczyła z jej dłoni i bezgłośnie odbijając się od podłogi, ruszyła za tancerką.

Lark powtórzyła to samo z pozostałymi postaciami. Obdarzyła każdą słowem i chwilę później obserwowaliśmy je z zafascynowaniem. Trzecia laleczka zaczęła wdrapywać się na zasłonę, a Księżę Laleczek, który wzbił się w powietrze z ramionami rozpostartymi niczym ułomne skrzydła, fruwał i nurkował jak szczęśliwy ptaszek.

Lark klaskała w małe dłonie, tańcząc i podskakując razem ze swoimi nowymi przyjaciółmi, a ja tańczyłam z nią. Byłyśmy tak zachwycone i pochłonięte tym przeżyciem, że zbyt późno usłyszałam odgłos kroków za drzwiami. To było głupie z mojej strony. Nieostrożne. Zupełnie do mnie niepodobne.

— Lark, cofnij słowa! — wykrzyknęłam, rzucając się w stronę drzwi, żeby je zamknąć.

Lark schwyciła tancerkę i cofnęła jej słowo tak, jak ją nauczyłam — wdychając je z piersi laleczki, ale wspan.

— *Cznąat* — powiedziała, wchłaniając słowo w siebie. Potem podniosła laleczkę, która skakała przy jej stopach, i szepnęła: — *Czaks*.

Usłyszałam łomotanie do drzwi i zdenerwowany głos Boojohniego, mojego służącego:

— Lady Meshara! Król przyjechał. Lord Corvyn każe pani natychmiast przyjść.

Złapałam trzecią laleczkę, która wspinała się po kamiennej ścianie niedaleko ciężkich drzwi. Rzuciłam ją córce, a ona zabrała jej słowo tak jak pozostałym.

— Gdzie ta latająca? — syknęłam, rozglądając się gorączkowo po krokwiach sufitowych i ciemnych szczelinach. Nagle dostrzegłam ją kątem oka. Wyfrunęła przez otwarte okno i unosiła się w powietrzu jak chusteczka do nosa na wietrze. Tyle że nie było wiatru.

— Lady Meshara! — Boojohni najwyraźniej był równie przerażony jak my, chociaż z zupełnie innego powodu.

— Chodź, Lark. Wszystko będzie dobrze. Ona lata zbyt wysoko, żeby ktokolwiek ją zobaczył. Trzymaj się mnie, zrozumiano?

Przytaknęła i widziałam po niej, że ją wystraszyłam. I było się czego bać. Odwiedziny króla nigdy nie wróżyły niczego dobrego. Otworzyłam drzwi i zdawkowo przywitałam Boojohniego, który odwrócił się i ruszył z powrotem, wiedząc, że za nim podążę.

Gdy dotarłam na szeroki dziedziniec z córką trzymającą się mojej sukni, stało na nim dwudziestu jeźdźców, a mój mąż kłaniał się i przyklękał na kolano. Wyjątkowo chętnie chylił czoła jak na kogoś, kto tak gardził królem. Strach z każdego z nas robi słabeusza.

— Lady Meshara! — wykrzyknął król, a mój mąż podniósł się i odwrócił do mnie z ulgą na twarzy.

Dygnęłam nisko zgodnie z wymogiem, a Lark powieliła mój gest, przykuwając uwagę króla.

— Co my tutaj mamy? To twoja córka, Mesharo?

Przytaknęłam, ale nie podałam jej imienia. Imiona mają moc, a ja nie chciałam, żeby nim dysponował. Swego czasu zastanawiałam się nad rywalizowaniem o jego względy — jako wnuczka lorda Enoch byłam szlachetnie urodzona, a przystojny Zoltev z Degn wydawał mi się wtedy pociągający. Do momentu, gdy zobaczyłam, jak odcina dłonie staruszce przyłapanej na przedzeniu ze słomy długich nitek złota. Błagałam ojca, by zamiast tego zaaranżował małżeństwo z lordem Corvyn. Lord Corvyn był słaby, ale nie miał w sobie zła, chociaż zastanawiałam się, czy słabość nie jest równie niebezpieczna, skoro pozwala rozkwitać złu.

— Żadnych synów, lordzie Corvyn? — spytał łagodnie król.

Mój mąż potrząsnął przecząco głową ze wstydem, jakby był to powód do zażenowania, a ja poczułam impuls gniewu.

— Pokazuję synowi jego królestwo. Wszystko to pewnego dnia będzie jego. — Król Zoltev wskazał obejście, góry, a nawet ludzi klęczących w wyrazie hołdu, zupełnie jakby uważał, że niebo nad naszymi głowami i powietrze, którym oddychamy, jest także jego własnością. — Książę Tirasie, pokaż się swojemu ludowi. — Król odwrócił się w siodle i zaprosił syna do przodu.

Gwardia królewska się rozstąpiła i do króla podjechał chłopiec na ogromnym, czarnym ogierze. Chłopiec był szczupły, wręcz patykowaty, z wystającymi łokciami i kolanami oraz szpiczastymi ramionami, typowymi dla wczesnego okresu dorastania. Miał ciemne włosy i oczy — niemal równie czarne jak maść konia, na którym siedział — oraz skórę o ciepłym niczym złoto Prządki odcieniu. Jego matka, nieżyjąca już

królowa, nie pochodziła z Jeru, lecz z południowego kraju, którego mieszkańcy mieli śniadą cerę i słynęli z wprawy w posługiwaniu się mieczem. Bez trudu utrzymywał się w siodle, ale gwardziści otaczali go luźnym kręgiem, jakby go ubezpieczali. Nie nosił na piersi królewskiego herbu, a jego wierzchowiec był udrapowany takim samym zielonym suknem jak wierzchowce gwardzistów, co przypuszczalnie wynikało ze względów bezpieczeństwa. Bycie synem niepopularnego króla — podobnie zresztą jak popularnego — jest równoznaczne z byciem celem wszelakich porywaczy i mścicieli.

Dygnęłam nisko jeszcze raz, a Lark, jak zwykle nieustraszona, wyrwała się do przodu i uniosła dłoń, żeby dotknąć księżęcego konia. Przy olbrzymim zwierzęciu wyglądała jak dziecko wróżki. Książę zsunął się z siodła i wyciągnął do niej rękę, żeby zaznajomić ją z koniem. Lark zachichotała z zachwytem i włożyła swoją rączkę do jego dłoni. Uśmiechnął się, gdy pocałowała go w kostki. Wydawało mi się, że słyszę jej szept, gdy usta dotykały skóry, więc zbliżyłam się, żeby ją zabrać, bo wystraszyłam się, że użyła jednego ze swoich niewinnych darów. Ale nikt nie patrzył ani na nią, ani na księcia.

Zebrani wydali z siebie zbiorowe westchnienie. Odwróciłam się i zauważyłam wirującą w powietrzu białą laleczkę. Na ułamek sekundy zapadła grobowa cisza, bo wszyscy — zarówno ludzie, jak i zwierzęta — zamarli bez ruchu, obserwując śmieszna postać, która wznosiła się i opadała jak nieforemna gołębicą. I jak dziecko lgnące do matki wróciła do swojego stwórcy.

— Ojczy, spojrz! — wykrzyknął książę zafascynowany zabawnym latającym obiektem. — To magia!

— Książę Laleczek do nas wrócił, mamó — szepnęła nieśmiało Lark i wyciągnęła dłoń w stronę postaci ożywionej jednym słowem. *Lec*. Nieszkodliwym. Niewinnym. Zabójczym.

Schwyciłam laleczkę i schowałam ją za plecami, dokąd uciekła także Lark. Czułam, jak rozpaczliwie ściska moją suknię, ale wolałam nie kierować w tej chwili uwagi na nią.

— Magia! — syknęli królewscy gwardziści i nagle urok prysł. Konie zaczęły wierzgać, obnażono miecze. Księżę odwrócił się z przerażeniem, starając się uspokoić wierzchowca, który jeszcze przed chwilą był wzorem łagodności.

— Czarownica — wysapał król. — Czarownica! — wykrzyknął, wyciągając miecz ku niebu, jakby odwoływał się do zupełnie innej potęgi. Oczy mu błyszczały, a jego koń stanął dęba. — Wyznaj swą winę, lady Mesharo — wrzasnął. — Uklęknij i wyznaj swą winę, a zabiję cię szybko.

— Jeśli mnie zabijesz, stracisz duszę i oddasz syna niebu — ostrzegłam i zerknęłam na jego syna, który patrzył mi w oczy, ściskając kurczowo grzywę swojego olbrzymiego konia.

— Klęknij! — powtórzył swój rozkaz Zoltev, płonąc gniewem sprawiedliwości.

— Jesteś potworem i Jeru wkrótce ujrzy twoje prawdziwe oblicze. Nie uklęknę, żeby ułatwić ci mord, i nie będę niczego wyznawać, bo nie jesteś moim Bogiem.

Lark zaskomlała i przycisnęła usta do laleczki w mojej dłoni.

— *Ćel*. — Usłyszałam jej szept. Wiercąca się laleczka zamarła w tej samej chwili, gdy król ciął mieczem, wydając ostateczny wyrok. Ktoś zaczął krzyczeć, a ten krzyk nie ustał, lecz ciągnął się dalej, zupełnie jakby od królewskiego ciosu pękło niebo i spadł na nas deszcz grozy. Z laleczką w dłoni opadłam na ziemię, osłaniając sobą córeczkę.

Nie czułam bólu. Tylko ucisk. Ucisk i smutek. Niewiarygodny smutek. Moja córka zostanie sama ze swoim wyjątkowym darem. Nie będę w stanie jej chronić. Poczulałam swoją krew, która spływała na jej ciało. Przycisnęłam usta do jej ucha i odwołałam się do słów opisujących każdą żyjącą istotę.

— Wchłoń, ma córko, wchłoń, jedyna, słowa, które chcą wypływać. Ukryj je głęboko w duszy, nim dojrzeją, ich nie ruszaj. Zamknij się na moc ci daną. Nim nadejdzie ta godzina, niech nie leczą i nie ranią. Nawet jeśli będzie trzeba, nie kuś piekła ani nieba. Ucz się, aż się nie rozwiniiesz. Zamilcz, córko, a przeżyjesz.

Usłyszałam czyjś krzyk, błaganie o litość, i uświadomiłam sobie, że Boojohni rzucił się przede mnie, próbując osłonić mnie przed kolejnym ciosem. Ale ten nie był już potrzebny.

Lord Corvyn ukląkł przy mnie, jęcząc z przerażeniem, a ja oderwałam usta od ucha Lark i podniosłam głowę, żeby spojrzeć w jego oszołomione i wilgotne ze strachu szare oczy. Musiałam go umocnić i utwierdzić w wierze, chociażby dla jego własnego przetrwania. Skupiłam się na tym, co należało powiedzieć, bo moja moc mówienia rozlewała się po bruku.

— Ukryj jej słowa, lordzie Corvyn. Bo jeśli ona umrze... jeśli spotka ją jakakolwiek krzywda, ten sam los stanie się twym udziałem.

Jego oczy otwały się szerzej, a moje się zamknęły, wszystkie słowa ucichły i świat zniknął.

[1] Lark (z jeruwiańskiego) — skowronek.

1



Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo.

Nie mogę wydobywać słów. Nie mogę wydawać dźwięków. Mam myśli i uczucia. Mam obrazy i barwy. Wszystko to kotłuje się we mnie, bo nie mogę wydobywać słów.

Ale mogę je słyszeć.

Świat jest ożywiany przez słowa. Zwierzęta, drzewa, trawa i ptaki nucą własne słowa.

— Życie — mówią.

— Powietrze — wydychają.

— Ciepło — nucą. Ptaki wołają: — Latać, latać! — A liście zachęcają je do lotu, rozwijając się z szeptem: — Rosnąć, rosnać!

Uwielbiam te słowa. Nie ma w nich podstępny ani dwuznaczności. Są proste. Ptaki czują radość. Drzewa także ją czują. Czują radość z własnego rozwijania. Cieszą się, bo SA. Każda żyjąca istota ma słowo, a ja je wszystkie słyszę.

Ale nie mogę ich wydobywać.

Mama nauczyła mnie słowami, że Bóg stworzył światy. Słowami powołał do życia światło i ciemność, wodę i

powietrze, drzewa i rośliny, ptaki i zwierzęta, a z prochu i pyłu tych światów stworzył dzieci, dwóch synów i dwie córki. Uformował ich na swoje podobieństwo i tchnął życie w ich gliniane ciała.

Na początku dał każdemu dziecku jedno słowo, potężne słowo, które miało określone działanie i było cennym darem w ich podróży przez świat. Jedna z córek otrzymała słowo *prząść*, które pozwalało uprząść złoto z wszelkiej materii. Z trawy, liści, kosmyka włosów. Jeden z synów otrzymał słowo *zmieniać*, które dało mu zdolność do przekształcania się w zwierzęta leśne i stworzenia powietrzne. Drugi syn dostał słowo *uzdrawiać*, dzięki któremu potrafił leczyć choroby i rany swojego rodzeństwa. Druga córka otrzymała słowo *powiadać* i umiała powiedzieć, co się wydarzy w przyszłości. Niektórzy twierdzą, że swoimi słowami potrafiła nawet kształtować przyszłość.

Przędka, Zmieniacz, Uzdrawiciel i Powiadaczka żyli długo i każdy z nich miał liczne potomstwo, ale mimo ich błogosławionych słów i niezwykłych umiejętności życie i tak było niebezpieczne i trudne. Często trawa okazywała się bardziej użyteczna od złota. Człowiek był bardziej potrzebny niż zwierzę, zdanie się na przypadek atrakcyjniejsze niż znajomość przyszłości, a wieczne życie nie miało sensu bez miłości.

Uzdrawiciel umiał wyleczyć rodzeństwo z chorób, ale nie potrafił uchronić ich przed samymi sobą. Mógł tylko patrzeć, jak jego brat — Zmieniacz — spędzał tyle czasu w postaci zwierzęcej i otoczony zwierzętami, że w końcu zupełnie się zmienił. Przędka, która kochała Zmieniacza, popadła w rozpacz i zaczęła prząść bez opamiętania. Przędła i przędła, aż z siebie także uprzędła złoto, przekształcając się w statuę smutku obok studni świata, z której wyszła. Powiadaczka nie mogła się pogodzić ze świadomością, że to wszystko przewidziała, więc przysięgła już nigdy nie przemówić, a

Uzdrowiciela, samotnego bez nich, zabiło złamane serce, którego nie chciał sobie wyleczyć.

Ich dzieci zaludniły ziemię, lata stały się dekadami, a dekady stuleciami. Wśród liczego potomstwa wielu posiadało umiejętność mówienia, zmiany, leczenia lub przędzenia. Ale moc się osłabiła i zmieniła przez mieszanie darów. Pojawiły się nowe, a niektóre zanikły. Niektórzy wykorzystywali swoje dary do krzywdzenia.

Potomek Zmieniacza, król, który potrafił zmienić się w smoka, pustoszył wsie, zalewając kraj ogniem i zabijając sprzeciwiających mu się ludzi. Pojawił się jednak potężny wojownik, który pożądał władzy, i zgładził smoka, czym zdobył wdzięczność przerażonego ludu. Ogłosił, że wszyscy powinni mieć takie same możliwości i że tym, którzy potrafią prząść, mówić, zmieniać się lub leczyć, nie wolno używać swoich darów, żeby nie mieli przewagi nad innymi. W ludziach pojawiły się zazdrość i lęk. Wiele osób zgadzało się z ambitnym wojownikiem, ale niektórzy mieli odmienne zdanie. Kobieta, której syn został uratowany przez Uzdrowiciela, dowodziła, że dary są korzystne dla *wszystkich*. Jej zdanie podzielał mężczyzna, który ocalił swoje plony, bo Powiadaczka przewidziała paskudną burzę i poleciła mu szybciej je zebrać.

Ale głosy strachu i niezadowolenia są zawsze donośniejsze i kolejno wyeliminowano wszystkie Powiadaczki, Uzdrowicieli, Zmieniaczy i Prządki. Powiadaczki palono na stosie. Prządkom obcinano dłonie. Na Zmieniaczy polowano jak na zwierzęta, które przypominali, a Uzdrowicieli kamienowano na wioskowych placach. W końcu doszło do tego, że ludzie bali się przyznawać do swoich darów i ukrywali te talenty przed innymi.

Wojownik został królem, a po nim władzę objął jego syn. I tak tron pozostawał w rękach kolejnych pokoleń wojowników, którzy kierowali się przekonaniem, że równość można osiągnąć tylko wtedy, gdy nikt nie będzie wyjątkowy. W imię

tego dążyli do całkowitego wyeliminowania z populacji ludzi z darami, aby wykorzenić potęgę słowa.

Moja matka potrafiła mówić. Była Powiadaczką, a jej słowa miały w sobie magię. Gdy je wypowiadała, ożywały. Stawały się rzeczywistością. Prawdą. Mój ojciec o tym wiedział i się tego bał. Słowa są kłopotliwe, gdy prawda jest niepożądana.

Moja matka ostrożnie posługiwała się słowami. Do tego stopnia, że w chwili śmierci potrafiła wydobywać je z siebie bezgłośnie. Teraz tłoczą się milcząco wokół mnie, jak cisi obserwatorzy czekający, aż ktoś mówieniem nada im istnienie.

Szłam przez las, który był gęsty od dźwięków.

Noc szeptała do mnie, a jej słowa nakładały się jedno na drugie. Sowa załkała *kto*, ale nie chciała usłyszeć odpowiedzi. Znała ją i przyglądała się bez trwogi. Nade mną unosił się olbrzymi księżyc, pod stopami czułam miękki grunt i rozkoszowałam się przynależnością do świata milczących stworzeń. Byłam taka jak one. Żyliśmy, lecz nikt tak naprawdę nas nie zauważał. Przeciągnęłam palcami po twardej korze i poczułam, jak wita mnie w odpowiedzi, chociaż było to raczej uczucie niż słowo. Świat spał. Las także, ale nie aż tak głęboko. Część leśnego świata była przebudzona. Oparłam się o drzewo, które wydawało mi się przyjazne, i pozwoliłam, by zalał mnie spokój.

Nagle ciszę przerwał przedzierający się przez listowie krzyk, który zakłócił spokój i sprawił, że drzewo zamknęło się w sobie, a krzątający się wokół mnie świat natychmiast ucichł, zostawiając tylko jedno słowo. *Niebezpieczeństwo*. *Niebezpieczeństwo*. Tak przemawiał teraz las, a ja, zamiast uciec, skierowałam się w stronę tego słowa.

Ktoś straszliwie cierpiał.

Nie wiem, dlaczego ruszyłam w stronę tego odgłosu. Ale tak zrobiłam. Biegłam w stronę krzyku, który rozdzierał ciemności i od którego cierpła mi skóra. Ucichł na chwilę, by

wkrótce rozbrzmieć na nowo, jak wołanie śmierci. Wpadłam na polanę i stanęłam jak wryta. W świetle księżyca zobaczyłam największego ptaka, jakiego w życiu widziałam. Leżał bez ruchu, a z jego piersi sterczała strzała. Drżały mu pióra, gdy z trudem oddychał. Podchodziłam do niego ostrożnie, stawiając delikatnie kolejne kroki.

Nie potrafiłam go uspokoić w sposób, w jaki matka uspokaja dziecko, bo ludzkie głosy rzadko przynoszą zwierzętom ukojenie, o ile nie jest to ukochany pieszczoł lub wierny koń. Ten ptak nie był ani jednym, ani drugim. Podniósł błyszczącą białą głowę, wbił swoje czarne oczy w moją twarz i obserwował mnie z ostrożną desperacją. Drgały mu skrzydła, jakby rwał się do lotu, ale ich ruchy były pozbawione siły.

To był orzeł, i to taki, jakiego zwykle obserwuje się z oddali, jeśli już uda się go wypatrzeć. Majestatycznie olbrzymi, z białą głową i okopconymi czarnymi piórami o krwistoczerwonych końcówkach. Nie śmiałam go dotknąć, ale nie z lęku o siebie, a o niego. Mój dotyk, zamiast go ukoić, tylko by go zaniepokoił. Starałby wzbić się w powietrze, co jedynie spotęgowałoby jego cierpienia. Kucnęłam więc w pobliżu i przyglądałam mu się, próbując wymyślić jakiś sposób na złagodzenie jego cierpień.

Wyciągnęłam dłoń i położyłam ją na brzegu leżącego blisko mnie skrzydła. Zamknęłam oczy i wysłałam słowo w jego stronę, milczącą energię zatopioną w myśli. W taki sposób zwierzęta dzieliły się ze mną swoją istotą i w różnym stopniu wydawał się skuteczny, gdy chciałam coś uzyskać.

Bezpieczeństwo, powiedziałam milcząco. *Bezpieczeństwo*.

Skrzydło pod moją dłoń przestało drgać. Otwarłam oczy i spojrzałam na niego z wdzięcznością. *Bezpieczeństwo*, obiecałam ponownie. Przestał się ruszać, ale wbił we mnie swoje oczy, a jego oddechy stały się płytsze.

Umierał.

Strzała tkwiła głęboko w piersi ptaka i wyciągnięcie jej przyspieszyłoby jego śmierć. Najbardziej przejmowałam się jego cierpieniem i zwierzętami, które mogły go znaleźć i zrobić sobie z niego posiłek jeszcze przed jego śmiercią.

No właśnie, strzała. Gdzie był strzelec?

Nasłuchiwałam, nastrajając zmysły na zewnątrz. Słuchałam rozmów drzew, szumu nocnego życia i szelestu wiatru. Nie wyczuwałam żadnego niebezpieczeństwa czy strachu ani też pogoni lub zbliżających się ludzkich myśli. Może orłowi udało się przelecieć spory dystans, nim upadł, i dzięki temu wymknął się łucznikowi.

Światło. Poczułam, jak to słowo napływa od ptaka. *Światło.* Ciekawe, czy odzywała się w nim tęsknota za dniem, jakby miał uchronić go przed jego losem i jakby to noc była odpowiedzialna za jego śmierć. A może dostrzegał blask wieczności, który przyzywał go do odlotu na bezkresne nieba wśród Bogów?

Światło.

Mogłabym tyle z nim zostać. Mogłabym poczekać do świtu, o ile tak długo wytrzyma. Mogłabym odpędzać drapieżniki, gdy on będzie dzielił się ze mną swoimi słowami. Rozluźniłam się obok niego i przesunęłam dłoń na jedwabiste pióra na jego piersi.

Pilnowałam, aby mój dotyk był lekki, a myśli intensywne, wkładając cały swój wysiłek w jego strudzony oddech.

Ulga, mówiłam. Ukojenie. Cisza. Spokój. Słowa były jedynie balsamem, nie lekarstwem. W końcu nie byłam Uzdrowicielem. Przekazywałam mu jednak także zdrowie, chociaż było to tylko życzenie. Był tak olśniewający, że przykro mi było patrzeć, jak umiera.

Boojohni na pewno będzie mnie szukać. Będzie jęczał, marudził i narzekał na swoje zbolące stopy i kościste kolana,

ale przyjdzie, bo mnie kocha, a wkrótce zacznie się martwić, gdy nie wrócę. Ojciec związał mnie z nim, gdy byłam mała. Dosłownie, jak niesfornego psa. Tak bardzo się bał, że coś mi się stanie, że nigdy nie zostawiał mnie bez nadzoru. Zadaniem Boojohniego było pilnowanie, żebym była bezpieczna. Wtedy mieliśmy podobny wzrost, przez co wyglądaliśmy jak para niegrzecznych dzieci, które były ostro dyscyplinowane wszędzie, gdzie się pokazały. Boojohni nienawidził tego jeszcze bardziej niż ja. Ale on był wynagradzany za swój trud i upokorzenie. Moje upokorzenie nigdy nie było brane pod uwagę.

Boojohni był trollem i bardziej przypominał małpę niż dorosłego człowieka. Miał płaski, jakby gumowy nos i imponującą brodę, pasującą do rozwichrzonych włosów, których linia zaczynała się nisko na czole i ciągnęła przez całą głowę aż na plecy. Mimo że był już dorosły, miał tylko cztery stopy wzrostu^[1], ale nosił ubrania, chodził na dwóch nogach i dorównywał mądrością każdemu człowiekowi, chociaż był pierwszym, który wyrzekłby się ludzkiej rasy.

Teraz znacznie przewyższałam go wzrostem, ale wciąż był moim obrońcą, nawet jeśli wyrosłam już z tego, by nie spuszczać ze mnie wzroku. Nie dawałam zamknąć się w klatce, chociaż mój ojciec próbował to zrobić. Gdyby jego troska wynikała z miłości, łatwiej byłoby mi to znosić. Ale on to robił z lęku o siebie, ze strachu, dlatego od śmierci matki czuliśmy do siebie coraz większą urazę.

Westchnęłam cicho, ledwo słyszalnie, ale orzeł podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

Światło. Znowu odebrałam od niego to słowo. Z naciskiem. W pytający sposób.

Wkrótce, odparłam kojąco, głaszcząc go po głowie. Kłamałam. Dla niego nie miało już być światła. Do świtu zostało jeszcze sporo godzin. Ale zamierzałam przy nim zostać

i Boojohni będzie narzekał. Miał nos jak psy myśliwskie ojca. Bez trudu mnie znajdzie, jeśli się uprze.

Przyjęłam wygodniejszą pozycję, otuliłam suknią nogi, żeby ochronić się przed nieznacznym chłodem, i owinęłam się płaszczem. Czas wzrostu zbliżał się wielkimi krokami i na szczęście nie było już śniegu. Drzewa były pokryte zielenią, a pod sobą miałam gruby dywan trawy. Skuliłam się, otaczając sobą ptaka, podłożyłam sobie rękę pod głowę, a drugą dłonią głaskałam go, wysyłając do niego myśli o ozdrowieniu.

Okazałam się marnym opiekunem.

Tak bardzo się skupiałam i z takim zapalem wkładałam całą energię w przekazanie biednemu ptakowi spokoju i ukojenia, że ukołysana własnymi sugestiami mentalnymi, szybko zasnęłam.

[1] Około 120 centymetrów — *przyp. tłum.*

2



Obudziło mnie klepanie małych, grubych dłoni Boojohniego po policzkach, gdy świt przedzierał się od wschodu przez drzewa, łaskocząc w powieki złotymi nitkami światła. Byłam zeszywniała i zziębnięta, lewe ramię mi zdrętwiało, a w prawej dłoni ściskałam długie, czarne pióro z czerwonym wierzchołkiem.

Orzeł zniknął. Zostały po nim plamy krwi, kilka piór i parę innych śladów. Czy on umarł? Zerwałam się na równe nogi, przestraszając Boojohniego, który dobrze wiedział, że nie ma sensu łązić po lesie i mnie wołać. Przecież i tak nie mogłam mu odpowiedzieć. Zamiast tego zdał się na nos i znajomość moich ulubionych miejsc. Wyglądał na zmęczonego, ale i uspokojonego, gdy pociągnął mnie za rękę, żebym zwróciła na niego uwagę.

— Co? — spytał, zauważywszy moje zaniepokojenie.

Wskazałam na krew i pióra. *Orzeł. Zraniony.*

Dodałam do tego niezgrabną gestykulację. Nie wiem, czy wyczuł słowa, które do niego skierowałam, czy zrozumiał moje gesty. Może była to zwykła więź wieloletnich towarzyszy albo wszystkie te trzy elementy w połączeniu, ale rozumieliśmy się z Boojohnim i mimo prymitywności tego języka udawało nam się ze sobą komunikować.

— Zniknął. Wygląda na to, że ktoś go stąd odwłókł — mruknął bez ogródek. Pochyliłam głowę z żalem. Przecież nic nie słyszałam! A powinnam była coś usłyszeć, co do tego nie miałam wątpliwości. Chyba że orzeł wyzionął ducha, a wilk działał bezszelestnie.

Boojohni przykucnął i prześledził ścieżkę połamanych gałązek i zniekształconej fauny, ciągnącą się od krwi i piór.

Wilk?

— Nie — odburknął, jakbym spytała na głos. Często mu się to zdarzało. — Nie wilk. Człowiek. — Wskazał częściowy odcisk pięty na ziemi. — To nie zwierzę.

Strzała.

Odwrócił się w moją stronę. Postukałam w serce i rozciągnęłam ramiona, jakbym napinała łuk. Najwyraźniej łucznik jednak w końcu znalazł swoją ofiarę. Miałam szczęście, że zależało mu tylko na ptaku. Byłam niezwykle łatwym celem.

Boojohni spojrzał na mnie krzywo. Prawdopodobnie pomyślał o tym samym. Porzucił tropienie i stanął przede mną z rękami na biodrach.

— Twe łagodne serce rozmiękcza ci mózg i zmienia go w papkę. Mogłaś spotkać tu śmierć, Ptaszku. Lub coś gorszego.

Pochyliłam głowę, by przyjąć jego słowa. Ale to niczego nie zmieniało. Ani niczego by *nie zmieniło*. I tak bym zrobiła to, co chciałam, a on dobrze o tym wiedział. Przez chwilę stałam bez ruchu, wypatrując ptaka, jego śladów na niebie, ale nic nie dostrzegłam. Zniknął. Westchnęłam z rezygnacją i włożyłam kaptur płaszcza na głowę. Gruby warkocz otaczający moją głowę był ciężki jak korona cierniowa i zapewne tak właśnie wyglądał. Ściągnęłam już z niego liść i trochę puchu z pióra. Nie byłam próżna, lecz nie chciałam zwracać na siebie uwagi po powrocie na zamek.

— Błagam, błagam, na miłość trolli i innych boskich stworzeń, przestań się włóczyć po lesie, jakbyś była wiedźmą, a nie drobną panienką! — Boojohni przymierzał się do poważnego narzekania. Mówił ostro, ale wypływało z niego słowo *miłość*. Nie odbierałam tych wszystkich myśli, które wypływały przez usta, lecz pojedyncze słowa. Dominujące słowa. Podobnie jak odbierałam główne słowa wszystkich istot żywych. Dominującym słowem Boojohniego była zawsze *miłość* i z tą świadomością byłam w stanie przetrwać nawet najgorsze łajanie.

Westchnęłam i ruszyłam w drogę. Pospiesznie mnie wyprzedził i wyciągnął swoje krępe ramiona, żeby mnie zatrzymać. Obeszłam go jednak. Nie chciałam być niemiła, ale nie byłam w stanie z nim dyskutować, a słuchać mogłam, idąc. Boojohni tego nie potrafił. Jego usta i nogi miały problem z jednoczesnym działaniem. Pociągnął mnie za rękę.

— Zaledwie garść mil stąd toczy się wojna! Wojna! Setki agresywnych mężczyzn i bestii, gotowych bez skrupułów zaciągnąć gdzieś kobietę za włosy! Szczególnie taką, która śpi w lesie niczym dar od wróżek!

Przytaknęłam, dając mu do zrozumienia, że pojmuję. To go jednak nie uspokoiło.

— Twój ojciec obciąłby mi brodę, gdyby wiedział, jak często się wymykasz obcować z lasem! Nie życzysz pocziwemu Boojohniemu, żeby znalazł prawdziwą miłość i szczęście? Jaka trollica mnie zechce bez brody? — Zadrżał z przerażeniem. Wyszarpnęłam dłoń z emfazą i ruszyłam dalej.

Sprawiał wrażenie, jakby na chwilę pochłonęły go te straszliwe spekulacje na temat potencjalnej utraty brody, a ja pozwoliłam, by moje myśli podryfowały w stronę wojny w Jeru. Wojny, której ojciec i jego doradcy bacznie się przyglądali. Młody król stacjonował na ziemiach ojca, niedaleko linii frontu i miejsca ostatniej potyczki. Zgodnie z rodzinną tradycją

więcej czasu spędzał na zabijaniu z siodła niż na tronie. Tym razem jednak bestie, z którymi walczył, były straszniejsze nawet od niego.

Plotki o Volgarach były prawdopodobnie przesadzone, ale budziły przerażenie. Mawiano, że zabijają tylko po to, by pić krew i zjadać ciała, bo wierzą, że siła życia jest przechodnia. Ich przywódca, znany jako Liege, miał skrzydła jak sęp i ostre jak brzytwy szpony. Latał nad swoimi armiami i dowodził nimi z góry.

Liege pożądał ziem Jeru, bo uważał, że znajdzie tu moc do przywłaszczenia, mimo że poprzedni król Jeru, ojciec króla Tirasa, oczyścił populację z magii. Liege pragnął ziem Jeru, Dendar, Porta i Willa. Zdobył Porta. Potem Dendar. I niszczył wszystko na swojej drodze.

Teraz pojawił się na granicach Jeru w dolinie Kilmorda, a król Tiras i jego wojownicy stanęli mu naprzeciw. Mój ojciec był rozdarty między nadzieją i lojalnością. Jako lord Jeru chciał, by Liege i jego Volgary zostali pokonani. Chciał też jednak zostać królem. Najlepiej by było, gdyby król Tiras zginął *po* pokonaniu Liege'a i jego oprawców. W ten sposób ojciec po objęciu tronu nie musiałby walczyć z polującymi bestiami.

Matka powiedziała staremu królowi, że straci duszę i odda syna niebu. Nie wszystko się spełniło — król Zoltev zginął, ale losy jego duszy były nieznane, a syn jak najbardziej żył. Ojciec jednak budował swoją przyszłość na wierze w to, że tak się stanie. Był następnym w kolejce do tronu. Chciał być królem, a ja chciałam się od niego uwolnić. Matka powiedziała ojcu, że nie będę więcej mówiła i że jeśli umrę, on podzieli mój los. Nie wątpił w jej słowa, dlatego ostatnie piętnaście lat żyłam jak w klatce. Ojciec nerwowo szukał we mnie oznak dobrego zdrowia i nienawidził mnie za to, że jego los był powiązany z moim.

Gdy na mnie patrzył, niemal zawsze słyszałam to samo słowo. Imię mojej matki. *Meshara*. Spoglądał na mnie i przypominało mu się jej ostrzeżenie. Słyszałam imię matki w jego głosie, a potem się odwracał. Za każdym razem.

Bynajmniej nie chodziło mu o to, że przypominałam mu matkę. Moja matka była piękna. Ja nie. Miałam zwykłe szare oczy. Nie błękitne jak niebo lub zielone jak morze. Szare. Do tego blada cera i jasnobrązowe włosy — popielate, jak mówiła mama. Nie gęste. Nie ciemne. Zwykły cichy brąz, niczym mała brązowa myszka, która przyczała się w kącie i czekała, aż zasnę, żeby dobrać się do okruchów pod moim stołem. Moje barwy były równie nieśmiałe i skromne jak ja. Blade. Nijakie. Tak skryte, że nigdy tak naprawdę się nie zmaterializowały. Byłam nieważnym szarym duchem.

— Nie jesteś tak niewidzialna, jak myślisz, Ptaszku — wysapał Boojohni, jakby usłyszał moje przemyślenia. — Nie ja jeden zauważyłem twoją nieobecność dzisiaj rano. Dziwne rzeczy wiszą w powietrzu. Mertina, jednego ze stajennych, znaleziono tuż po świcie na sianie nagiego jak niemowlę. Zniknął też jeden z koni — ulubiona siwa klacz twojego ojca. Potem Bethe wpadła z piskiem do kuchni, że twój pokój jest pusty, a łóżko wygląda na nietknięte. Kazałem jej przysiąc milczenie w tej kwestii, dopóki cię nie wywęszę, co właśnie zrobiłem.

Potrząsnęłam głową i westchnęłam. Bethe była moją pokojówką. Często wzniewała alarmy bez powodu, ale kradzież siwej to faktycznie poważna sprawa. To była dobra klacz i przykro mi się zrobiło, że ktoś ją uprowadził.

Dotknęłam oczu, zadając pytanie gestem. Boojohni od razu mnie zrozumiał i odpowiedział.

— Nikt niczego nie widział... poza tyłkiem biednego Mertina, gdy wybiegał ze stajni — zachichotał.

Wskazałam swoje ubrania od głowy do stóp. *Wszystko?*

— Tak. Wszystko. Na pewno buty, bryczesy, koszulę i płaszcz. Nie sądzę, żeby Mertin kłopotał się noszeniem bielizny.

Skrzywiłam się na myśl o bieliźnie Mertina. Był potężnym mężczyzną, gburowatym w obojętności i miał na ciele wystarczająco dużo owłosienia, żeby upleść mały dywanik. Ale znał się na koniach i nie dał sobie w kaszę dmuchać. Zastanawiałam się, jak ktoś ukradł mu ubrania, nie budząc go.

— Mertin sądził, że padł ofiarą żartu, dopóki nie zauważył zniknięcia konia. Teraz nie jest mu do śmiechu. Porządnie mu się oberwie za picie na służbie. Twierdzi, że nie pił — a przynajmniej nie tyle, żeby zasnąć. Ma na głowie potężny guz, co każe mi podejrzewać, że ktoś mu przyłożył.

To było bardziej prawdopodobne, więc przytaknęłam.

— Twój ojciec nie był zadowolony. I tak chodzi podminowany całą tą bitwą na granicy. Nie wspomniemy mu o tym, że spałaś w lesie, gdy w pobliżu grasowali złodzieje.

Szliśmy pospiesznie, w milczeniu między drzewami, omijając drogę, chociaż nie była to najkrótsza trasa. Boojohni najwyraźniej rozumiał, że wolałabym uniknąć spojrzeń rannych ptaszków, które były już zajęte swoimi sprawami. Nie miałam powodu włóczyć się o tej porze poczochna i zakapturzona, jakbym spędziła noc na kotłowaniu się w sianie z Mertinem.

Zamek ojca stał na wzniesieniu. Od południa otaczały go półkolem wsie, a od północy rozciągały się pola i las. Jedyna droga do zamku była stroma i wiodła przez urwiste góry okalające głęboką dolinę Corvyn. Była to urodzajna kraina, olśniewająco piękna i dobrze ufortyfikowana przez krajobraz. Ale Volgary miały skrzydła. Klify i urwiska w ogóle by ich nie odstraszyły, gdyby armii na granicy nie udało się ich odeprzeć. Od linii frontu w dolinie Kilmorda dzieliło nas zaledwie dwadzieścia mil, ale mój ojciec, mimo że był pełen obaw i

wciąż konsultował się z doradcami, nie wysłał z Corvyn ani jednego wojownika, żeby pomóc królowi Tirasowi w pokonaniu Volgarów.

Nasza posiadłość była jak niewielkie miasto — dwie kuźnie, rzeźnik, młyn, aptekarz, drukarz, krawiec, piekarze, tkacze, wytwórcy i lekarze — wyłącznie niemagiczni. Wyuczone umiejętności były akceptowalne. Mistyczne dary nie. Każdy starał się jak najszybciej zademonstrować swoją stateczność i użyteczność. Skutkiem tego ja też pragnęłam okazać się użyteczna, gdy dorosnę.

Nie nauczyłam się czytać ani pisać. Ojciec nigdy by się na to nie zgodził. Bał się dawać mi słowa w jakiegokolwiek postaci. Ponieważ jednak nie mówiłam, ludzie często zapominali, że słyszę, i rozmawiali swobodnie w mojej obecności. Sporo się tak nauczyłam, słuchając i obserwując. Spędzałam czas ze starymi kobietami, które nigdy nie były w szkole, lecz zostały wyedukowane na setki innych sposobów. Od nich dowiedziałam się, jak leczyć ziołami i uspokajać dotykiem. To im zawdzięczam mądrość i ostrożność i to one nauczyły mnie akceptacji i cierpliwego, cichego czekania. Nie wiedziałam tak do końca na co, ale w głębi serca zawsze na coś czekałam, jakby któregoś dnia miało się faktycznie spełnić to, o czym mówiła moja matka.

— Myśleliśmy, że zostałeś porwana przez latającą bestię! — wrzasnęła Bethe, gdy razem z Boojohnim weszliśmy do kuchni od tyłu posiadłości, mimo że miałam nałożony kaptur i odwracałam wzrok. Westchnęłam. Miałam nadzieję, że uda nam się niezauważenie dotrzeć do tylnych schodów, ale moja pokojówka i madame Pattersley, nasza gosposia, najwyraźniej na nas czekały.

— Co taki Volgar miałby chcieć od naszej małej Lark, hę? — warknął Boojohni. — Jest taka mizerna. Musiałby porwać też ciebie, Bethe, ale to byłoby dość trudne. — Puścił jej oczko i klepnął ją w bardzo obfity pośladek. Ona też go klepnęła i

zupełnie o mnie zapomniała, a o to właśnie chodziło Boojohniemu. Wiedziałam jednak, że z gosposią nie pójdzie nam tak łatwo. Podeszła do mnie, zerwała mi kaptur i jęknęła na widok moich włosów.

— Milady! Gdzieś ty była?

Na szczęście nie byłam w stanie jej odpowiedzieć. Wzruszyłam ramionami i zaczęłam rozwiązywać włosy, strząsając wplątane w nie gałązki i liście.

— Byłaś z mężczyzną! — pisnęła Bethe. — Spędziłaś noc w lesie z mężczyzną.

— Nic takiego nie miało miejsca — odburknął Boojohni urażony. Poklepałam go z wdzięcznością po głowie.

— Twój ojciec musi się o tym dowiedzieć. Wiesz, jak się o ciebie martwi. Nie mogę tego przed nim ukrywać — oznajmiła stanowczo madame Pattersley, która po śmierci mojej matki od piętnastu lat próbowała zdobyć serce mojego ojca. Byłyśmy pod tym względem podobne, chociaż ja lata temu porzuciłam wszelką nadzieję. Powie mu wszystko. Może w ten sposób wynagrodzi mu to, że ja nie mogę mu nic powiedzieć.

— Czego nie możesz przede mną ukrywać? — W drzwiach pojawił się mój ojciec.

— Lark całą noc była poza murami, milordzie — wyjaśniła madame Pattersley z widocznym zadowoleniem, a jej deklaracja odbiła się echem od wiszących nad nami garnków i rondli.

Odwróciłam się do ojca, bo chciałam, żeby na mnie spojrzął, ale on patrzył na Boojohniego. Widziałam siebie w szarości jego źrenic i szlachetnych rysach twarzy. Był elegancki, ale bez zniewieścienia, wysoki, ale nie nieforemny, szczupły, lecz nie patykowaty. Był też jednak rzeczowy, a nie mądry, dobrze wychowany, a nie uprzejmy oraz ambitny, a nie silny.

— Poniesiesz za to pełną odpowiedzialność — powiedział

cicho. — Ona ma być przez cały czas pilnowana. Wiesz o tym.

Kobiety dygnęły nisko, a Boojohni się skłonił, ale czułam jego zrozumienie. Przenikało dzielącą nas przestrzeń. Tymczasem ojciec odwrócił się i bez słowa wyszedł z kuchni.

3



Trajkoczącym wiewiórkom nie podobała się nasza obecność. Chciały, żebyśmy sobie poszli. W krzakach po lewej czaił się wąż. Czułam, jak obserwuje otoczenie. Jego siła życiowa pulsowała, emitując słowa *wróg* i *czekanie*. Nie miał zamiaru zaatakować, ale był gotów do akcji. Po prawej skrzeknęła ropucha, kompletnie nie przejmując się towarzystwem. Praktycznie nie zwracała na nas uwagi i nie okazywała strachu. Skrzeknęła ponownie, co przypomniało mi zrezygnowanego ojca podczas kolacji. Psy przy jego nogach czekały, aż skończy, gotowe rzucić się do walki o to, co zostawi. Szepty, trzaski, szумы i brzęki pełzały po poszyciu lasu i wdrapywały się po mojej skórze prosto do głowy. Otaczały nas dźwięki, ale mój towarzysz zdawał się ich w ogóle nie zauważać.

Zignorowałam hałasujące stworzenia tak samo jak one mnie i zaczęłam napełniać fartuch słodkimi jagodami, ukrytymi za krzakami jeżyn. Zauważyłam pszczołę z jednym celem w myślach. *Dom. Dom.* I zniknęła. Minęły trzy dni od odkrycia w lesie zranionego orła. Wracałam tu codziennie, jakbym liczyła, że znowu go znajdę lub że on znajdzie mnie. Albo jakbym myślała, że spotkam łucznika, który go postrzelił, i połamie mu strzały jedna po drugiej. Polowanie nie było zakazane i nie miałam nic przeciwko wykarmianiu rodziny darami lasu, ale na myśl o orle czułam bezradną furję. Moje poruszenie chyba

było widoczne.

— Pokłujesz sobie dłonie, milady. — Podniosłam wzrok i spojrzałam na Lohdiego. Boojohni był potrzebny gdzie indziej, więc na opiekuna wyznaczono mi młodego Lohdiego, niezdarnego szesnastolatka, który nie potrafił wytrzymać w milczeniu nawet pięciu sekund. Wolałam własne towarzystwo, ale rzadko miałam taką możliwość, co niesłuchanie mnie wkurzało. Uniosłam ramię, zlekceważywszy jego uwagę.

— Twój ojciec kazał mi pilnować, żebyś nie zrobiła sobie krzywdy.

Zignorowałam go z zaciśniętymi zębami i wróciłam do zbierania. Miałam niemal dwadzieścia jeden wiosen. Większość kobiet w tym wieku wychowywała już kilkoro własnych dzieci. Nie potrzebowałam niańki, szczególnie młodszej i zdecydowanie mniej wprawnej ode mnie.

Lohdi poruszył się nerwowo i spojrzał w niebo, jakby widoczne przez listowie niebieskie plamy miały niedługo zmienić się w burzową szarość.

— Musimy iść. Oni zaraz przyjadą.

Po raz drugi oderwałam wzrok od jagód i rzuciłam mu pytające spojrzenie.

— Ojciec ci nie powiedział? — spytał zaskoczony Lohdi.

Potrząsnęłam głową. Nie. Mój ojciec nic mi nie mówił. Nie rozmawiał ze mną, bo nie potrafiłam mu odpowiedzieć.

— Spodziewa się gości. Ważnych. Może nawet króla.

Zesztywniałam i puściłam suknię, rozsypując zebrane dotychczas jagody. Lohdi trajkotał podekscytowany, lecz ja poczułam bolesne ściskanie w żołądku. Jeśli jechał do nas król, lepiej, żeby nie przyłapał mnie w lesie. Wolałam znaleźć się w bezpiecznej odległości, w starym pokoju matki w wieży, gdzie nie mógł mnie znaleźć. Ani zrobić mi krzywdy.

Bezzwłocznie ruszyłam do domu, a Lohdi podążył za mną, ciesząc się z mojego pośpiechu. Gdy usłyszeliśmy stukot kopyt, rzuciliśmy się do biegu, Lohdi z ekscytacji, a ja z przerażenia. Przemykałam między drzewami ze spódnicą w dłoni i z falującymi włosami. Moja pokojówka narzekała, że mam włosy jak włókna kukurydzy. Nie dało się ich pokręcić i nie chciały się układać w modne u kobiet z Jeru egzotyczne fryzury, porzuciłam więc próby ich okiełznania i tylko je czesałam, a przez większość czasu zostawiałam rozpuszczone.

— Milady! Stój! — Usłyszałam za sobą wołanie Lohdiego, ale to nie moja wina, że był powolny. Miałam wiele przypadłości, ale na pewno nie byłam powolna. Przyspieszyłam, słysząc za sobą burzę kopyt i czując w powietrzu energię koni. Wybiegłam spomiędzy drzew kilka sekund przed tym, jak dwa tuziny jeźdźców z łopoczącymi proporcami i odgłosem trąbek wyłoniły się zza wzniesienia najbliższej położonej wsi. Zieleń i złoto, kolory królestwa, zdobiły każdego konia i każdego jeźdźcę. Praktycznie już do mnie dojeżdżali. Patrzyłam z przerażeniem, jak konie niechętnie zwalniają, opierając się nakazom wodzy, bo falami wypływały z nich słowa: *biec, biec, biec*. Konie emitowały bardzo niewiele słów. *Biec. Jeść. Dom. Strach.*

Teraz jednak to ja odczuwałam strach, bo się spóźniłam.

Cofnęłam się z zamiarem zawrócenia i ukrycia się w cieniu, póki nie przejadą, nawet jeśli nie ujdzie to uwadze mojego ojca, ale w tej samej chwili Lohdi wyskoczył spomiędzy gęstej linii drzew na ubitą drogę i wpadł na moje plecy. Upadłam na rękę prosto przed nadjeżdżającą kawalkadę. Kilka koni zarżało panicznie, drobiąc w miejscu. Ktoś krzyknął. Poczulałam stopę na plecach i padłam brzuchem na twarde podłoże. Uświadomiłam sobie, że Lohdi nie tyle mnie przewrócił, ile stratował.

— Stać! — wrzasnął ktoś. Niezgrabnie się podniosłam, o włos uniknąwszy stojącego dęba, pokrytego potem ogiera z

odsłoniętymi zębami.

Lohdi krzyknął i także próbował wstać. Wyciągnęłam do niego dłoń, żeby mu pomóc, bo nie chciałam, żeby zrobił sobie krzywdę, chociaż w tej chwili miałam ochotę go zabić. Jeden z gwardzistów mnie uprzedził, chwycił Lohdiego za koszulę i poderwał go na nogi. Król zsiadł z konia i stanął przed wierzgającym Lohdim. Znacznie go przewyższał.

— Król Tiras — wysapał Lohdi i padł słuźalczo na kolana, szybko jednak został poderwany z powrotem na nogi.

— Wstań, chłopcze — nakazał król.

— Tak, panie! Przepraszam, Wasza Wysokość — Lohdi dygnął i przykląkł na kolano. Król puścił jego koszulę i odwrócił się do mnie. Wbił we mnie oczy tak ciemne, że zdawały się czarne; jego twarz była raczej intrygująca niż piękna i raczej wymagająca niż zimna. Ciepła skóra powlekała ostre krawędzie i wyraziste rysy. Z pewnością przywykł do ukłonów i hołdów, ale ja nie zaoferowałam mu ani jednego, ani drugiego.

Białe włosy kontrastowały z brązową skórą jak u bardzo posuniętego w latach mężczyzny, chociaż musiał mieć około trzydziestu wiosen. Ostatnio, gdy go widziałam, miał czarne włosy, ale poza tym szczegółem bardzo przypominał chłopca, którego zapamiętałam. On na pewno mnie nie pamiętał. Miałam pięć lat, gdy miecz jego ojca pozbawił życia moją matkę. Był wtedy starszy ode mnie, wątpiłam jednak, by tamten dzień odcisnął się w jego psychice równie mocno jak w mojej.

— Jesteś cała? — spytał. Zastanawiałam się, czy wyglądam na tak potarganą, jak się czułam. Włosy w dzikim nieładzie, rumieńce na policzkach, piekące dłonie, rozdarta suknia. Nawet nie próbowałam poprawiać fryzury i ubioru. Nie obchodziła mnie jego opinia, więc patrzyłam tylko na niego bez słowa.

— Ona nie mówi. Jest niemową — wyjaśnił pospiesznie Lohdi i spojrzał na mnie ze skruchą. — Przepraszam, milady.

— Milady? — spytał król, nie odrywając ode mnie wzroku. Nie byłam mu dłużna i patrzyłam na niego bez żadnej ekspresji.

— Córka lorda Corvyn, Wasza Wysokość — przedstawił mnie Lohdi.

Król Tiras wymienił znaczące spojrzenia z mężczyzną, który także zsiadł z konia i stał teraz po lewej — ciemnowłosym, barczystym wojownikiem z królewskim herbem — i odwrócił się z powrotem do mnie.

— Jeśli więc zapytam, czy twój ojciec mnie oczekuje, nie będziesz w stanie odpowiedzieć? — spytał, chociaż nie brzmiało to jak pytanie.

— Ona nie jest głupia, Wasza Wysokość. Rozumie wszystko. Ona tylko nie mówi — wtrącił się Lohdi. Wolałabym, żeby się zamknął. Nie potrzebowałam tłumacza.

— Rozumiem. — Król przechylił głowę i wciąż przyglądał mi się badawczo. — W takim razie prowadź, milady. Mam sprawę do twojego ojca. — Wskoczył na konia, a ja odwróciłam się, żeby spełnić jego prośbę.

Nie powinnam stawać do niego plecami. To było głupie. Ale król Tiras nie dał mi żadnego ostrzeżenia w kwestii swoich zamiarów. Nagle zostałam porwana z ziemi i usadowiona przed nim na jego olbrzymim wierzchowcu. Zgięłam się w odruchu obronnym i uderzyłam za siebie łokciem, trafiając go w napierśnik. Nic tym nie osiągnęłam poza zadaniem sobie bólu, a on ścisnął mnie mocniej, tak że niemal nie byłam w stanie oddychać.

— Będziesz tu siedzieć w trakcie negocjacji. Jeśli twój ojciec nie chce, by stała ci się krzywda, i jeśli sama nie chcesz, by stała ci się krzywda, to będziecie współpracować. Wolałbym

nie musieć cię związać i ciągnąć za swoim koniem. Ale tak zrobię, więc siedź spokojnie — powiedział ostrym głosem prosto do mojego ucha, a jego włosy łaskotały mnie w twarz. Posłuchałam go. Zastanawiałam się, czy widzi łomotanie pulsu w moim gardle. Lohdi stał bez ruchu, obserwując zaskakujący obrót zdarzeń. Jego twarz przybrała wyraz skrajnego przerażenia, wzrok miał wbity w króla.

— Przekaż swojemu panu, że król nadciąga, chłopcze — rozkazał mężczyzna imieniem Kjell. Lohdi wystrzelił jak z procy i znowu się potknął. Gwardziści odprowadzili go śmiechem, po czym utworzyli formację ochronną wokół króla. Mój ojciec będzie zaniepokojony tym, że zostałam wzięta do niewoli, ale nie z powodu, o którym myślał król.

Ktoś musiał poinformować ojca i mieszkańców naszej posiadłości o tym, że królewski orszak jest już *en route*, bo stał na dziedzińcu wśród rosnącej grupy gapiów. Wyróżniająca się postać w barwach posiadłości — promiennym błękitcie i srebrze. Otaczała go niewielka straż, ale żaden z jej członków nie był na tyle głupi, by dobywać miecza. W końcu mieli do czynienia z królem, a gdy król ma ochotę porwać córkę arystokraty z własnego królestwa, nikt nie ma prawa mu tego zabraniać. Sprawiali wrażenie oszołomionych i zerkali na mnie z dezorientacją. Niespecjalnie nadawałam się na trofeum.

— Lord Corvyn — przywitał się chłodno król Tiras. Pod wpływem jego głosu włosy stanęły mi dęba i ciarki przeszły mi po plecach. Nie lubił mojego ojca. Jego pogarda była jak mrozący wiatr. Skrzywiłam się i zatęskniłam za wolnością. Wyraźnie zmanifestowałam swój niepokój, bo królewski wierzchowiec zarżał i zaczął dreptać w miejscu. *Spokój*, nakazałam mu z dłonią w jego grzywie i chyba zrozumiał.

— Król Tiras. Co to ma oznaczać? — spytał ojciec z zaskakującą stanowczością w głosie. Nie patrzył na mnie.

— Twoja lojalność stanęła pod znakiem zapytania, lordzie Corvyn. W Kilmordzie nie pojawili się twoi ludzie. Lord Bin Daru przysłał trzystu mężczyzn. Lord Gaul dwustu. Lord Jandy także przynajmniej tylu. Każda prowincja i każdy region przysłały mi swoich ludzi. Tysiące mężczyzn z całego królestwa w odpowiedzi na atak na naszą północną granicę. Ale z Corvyn nie dostałem ani jednego człowieka — powiedział król Tiras z zaciekawieniem. Konwersacyjnie. Wzdrygnęłam się, kompletnie nieprzekonana jego przedstawieniem, a on ścisnął mnie mocniej.

— Wysłałem ludzi, Wasza Wysokość. Setki — wyjąkał ojciec. Pod wpływem kłamstwa wokół jego szyi pojawiła się żółta aureola, niczym własnoręcznie zawiązana pętla.

— Uważaj, lordzie Corvyn — ostrzegł łagodnie król Tiras i przycisnął dłoń w rękawicy do mojej klatki piersiowej. — Pod moją pięścią bije serce twojej córki. Ona wie, że kłamiesz. Ja też wiem, że kłamiesz.

— Ona niczego nie wie. Jest... prosta. Jak dziecko. Nie wypowiedziała ani słowa od chwili, gdy na jej oczach zamordowano jej matkę. Twój ojciec zabił mi żonę. Teraz ty zabijesz mi córkę?

Poczułam, jak król sztywnieje za moimi plecami. Pamiętał ją. Wyczułam jej imię w jego umyśle. *Meshara*. Mignęło tylko, jakby natychmiast je odpędził. I zniknęło.

Nagle, odpychając ludzi na boki i przebijając się między nogami i spódnicami, przez tłum przedarł się Boojohni. Serce podeszło mi do gardła, gdy ukląkł na bruku przed królem.

— Jestem służącym panienki, Wasza Wysokość — wykrzyknął bez tchu. — Błagam! Nie krzywdź jej. Weź mnie zamiast niej.

Królewscy gwardziści wybuchli śmiechem, a ja stanowczo potrząsnęłam głową. Boojohni burknął na moją odmowę i powtórzył swoją prośbę.

— Weź mnie zamiast niej!

— Dlaczego? — spytał król, spoglądając na Boojohniego. — Dlaczego miałbym wziąć ciebie?

— Nie mam wobec lorda Corvyn żadnych zobowiązań. Jestem oddany wyłącznie jej. Tylko jej.

— Powinieneś być oddany swojemu królowi, trollu — warknął Kjell, a Boojohni dotknął czołem bruku w geście kompletnej uległości.

— Jestem do dyspozycji Waszej Wysokości — odparł skromnie. Łzy zaczęły mnie palić w oczach. Wyraźnie wyczuwałam jego strach o mnie, ale miłość do niego kazała mi po raz kolejny potrząsnąć głową.

— Lady tego od ciebie nie chce — powiedział król, widząc moją reakcję.

— Lady troszczy się o mnie bardziej niż o siebie — zripostował Boojohni.

— Nie masz dla mnie żadnej wartości, trollu, chociaż podziwiam twoją odwagę — stwierdził król, po czym dodał: — Pamiętam cię. — Znowu poczułam w powietrzu mignięcie imienia mojej matki, szept królewskiego umysłu, który tylko ja potrafiłam usłyszeć. Chciałam go za to nienawidzić, ale zamiast tego dało mi to nadzieję.

Boojohni spojrział mi w oczy z desperackim wyrazem twarzy.

— W takim razie pozwól mi jechać z nią. Weź mnie też — odpowiedział błagalnie.

Król milczał przez chwilę, zastanawiając się.

— Niech będzie — oznajmił nagle i zawołał do tyłu orszaku: — Jerick! Troll pojedzie z tobą.

Wskazany gwardzista podjechał, podniósł Boojohniego i usadowił go przed sobą. Boojohni wyglądał jednocześnie na uspokojonego i zrozpaczonego. Nigdy nie udało mu się

przejechać na koniu bez sensacji żołądkowych. Niezbyt dobrze znosił trudy podróży. Przewidywałam, że wkrótce będzie biegł obok gwardzisty.

— Zwrócę ci córkę, gdy pokonam wroga, lordzie Corvyn. Ale jeśli zginę, ona też zginie.

Niemal parsknęłam. Co za ironia. Byłam pewna, że gdyby król znał klątwę rzuconą przez matkę na ojca, dopilnowałby, żebym zginęła w okrutnych męczarniach.

— To nie jest konieczne, Wasza Wysokość — zaprotestował słabo ojciec. — Daję ci moje słowo. — Zrobił się zielony, jakby wierzył, że jego dni są policzone.

— Przyjmę je oraz twoją córkę — odparł król swobodnie — żeby mieć pewność twojej wierności. — Chwycił wodze, a Kjell podniósł dłoń, dając sygnał do odwrotu. — Zostawiłem armię na granicy w Kilmordzie. Odparliśmy atak Volgarów. Na razie. Oczekuję jednak, że przyślesz mi pięciuset ludzi do pomocy.

— Pięciuset? — wykrztusił ojciec.

— Możesz przysłać więcej, jeśli chcesz. Im szybciej pokonamy Volgary, tym szybciej twoja córka wróci do Corvyn. Wszystko w twoich rękach, milordzie.

4



Jechaliśmy równym tempem w stronę Jeru już trzy godziny. Trzymałam się sztywno i prosto, starając się nie dotykać mężczyzny za moimi plecami. Nie sposób było uniknąć wystającego kręgosłupa wierzchowca, chociaż ten zdawał się nie zauważać mojego ciężaru. Jedynie jego panu wyrywała się czasem myśl, po której wiedziałam, że dla niego także nie była to zbyt wygodna podróż. W pewnej chwili szarpnął mnie bliżej i warknął, że spadnę, jeśli się nie rozluźnię.

Zacisnęłam zęby i nadal trzymałam się sztywno, ignorując uderzenia w biodra i palący ból wzdłuż kręgosłupa. Jeśli moją jedyną bronią mogło być robienie na złość, będę z niej korzystać. Boojohni, tak jak przewidywałam, w pierwszej godzinie jazdy dostał mdłości i błagał o opuszczenie na ziemię. Ale Jerick odmówił. Jechaliśmy zbyt szybko i troll nie dotrzymałby tempa koniom przez wiele mil czekającej nas podróży. Boojohni opróżnił swój żołądek i jęczał żałośnie ze swojego wysokiego miejsca. Został przywiązany do Jericka, żeby nie spadł w trakcie wymiotów, przez co Jerick wyglądał na równie zezłoszczonego jak ja.

Zapadał zmrok, gdy tylna straż ostrzegła przed Volgarami na niebie. W szeregach rozbrzmiały szepty. Król zarządził postój, a Kjell oddzielił się od formacji, żeby naradzić się ze strażą. Wrócił po kilku sekundach.

— Królu Tirasie! Volgary nadciągają od tyłu. Setki Volgarów — wykrzyknął.

Staliśmy na otwartej przestrzeni z polami po prawej i lewej oraz pasem drzew daleko na wprost. To była jedyna osłona i król nakazał wyruszyć w ich stronę. Powiedział mi, że mam się trzymać. Tym razem go posłuchałam. Dla własnego bezpieczeństwa zrezygnowałam z pozycji arystokratki, przerzuciłam lewą nogę na drugą stronę, położyłam się na karku konia i chwyciłam się kurczowo jego grzywy. Poczułam, że król przycisnął się do mnie od tyłu, jego dłonie w rękawicach zacisnęły się na wodzach i całym ciałem zbliżył się do mnie i do konia, ponaglając go. Pędziliśmy przez pole ze wzrokiem wbitym w skupisko drzew. Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć w niebo, bo nie mogłam się oprzeć pokusie tego dreszczu emocji. Chciałam widzieć, co nas czeka.

Najpierw je usłyszałam.

Konie zaczęły rzeć. A mężczyźni krzyczeli, chociaż nigdy się do tego nie przyznają. Ale Volgary wydawały z siebie pisk, który brzmiał jak wzmocniony dziesięciokrotnie wrzask człowieka i mewy. Był tak przeszywający i rozdzierający uszy, że niemal spadłam, bo nie wytrzymałam i próbowałam je zatkać.

W końcu pokonały dzielący nas dystans i zaczęły nurkować, wyrywać ostrymi szponami silnych nóg wojowników z siodła i unosić ich w górę. A potem rzucały ich z wysokości na pewną śmierć.

Król Tiras zsiadł z konia, ściągając mnie ze sobą. Odsunął mnie za siebie i ciął mieczem Volgara o poszarpanych skrzydłach, szpiczastych uszach i skórze barwy wyschniętej trawy. Pchnął mnie w stronę niskich gałęzi wiecznie zielonego krzewu, aż poczułam za sobą pień, i rzucił się do walki z ociekającym już ostrzem miecza. Mogłam tylko patrzeć, jak śmierć opada falami z nieba. Pozbawione jeźdźców konie rżały

i stawały dęba, tratując powalonych jeźdźców, aż wreszcie w środku tego całego zgiełku rzuciły się do panicznej ucieczki.

Przez gałęzie i starcie ludzi z bestiami dostrzegłam biegnącego w moją stronę Boojohniego. Przebierał nogami jak najszybciej, z oczami jak spodki z przerażenia. Nagle zawisł nad nim cień, który zanurkował i wysunął wielkie szpony, żeby go porwać.

Bez namysłu rzuciłam się w pogoń. Chwyciłam w biegu rękojęć olbrzymiego miecza jednego ze stratowanych gwardzistów i ruszyłam za swoim jedynym przyjacielem. Boojohni wrzeszczał, wyginając się w panice i protestując, lecz szpony Volgara wbiły się w jego tunikę i poderwały go w górę. Nie byłam w stanie dotrzeć do niego na czas i patrzyłam, jak się wznosi. Miecz chwiał się w moich dłoniach, zbyt ciężki, by nim cisnąć, i zbyt olbrzymi, by wykonać cios.

Puść go! Wrzasnęłam w myślach, zamrożonym i uwiecznionym w gardle głosem.

PUŚĆ GO!

Volgar zatrzymał się w powietrzu, spojrzał mi prosto w oczy i jak skarcone dziecko rozluźnił szpony, a Boojohni spadł na ziemię niczym wierzgająca kłoda. Natychmiast wstał i rzucił się do biegu z moim imieniem na ustach. Volgar niezręcznie odleciał trochę do tyłu, jakby zapomniał, jak się lata. A potem ze sterczącą z piersi strzałą padł martwy na ziemię.

— Uciekaj! — zaskrzeczał Boojohni, chwytając mnie za rękę. Wciąż ścisnęłam bezużyteczny miecz, nie chciałam się go pozbywać. Blisko mnie wylądował kolejny Volgar i zatopił szpony w Kjellu, ale ten obiema dłońmi ciął mieczem nad głową i trafił skrzydlatą bestię w pierś. Volgar wrzasnął z wściekłości i próbował odlecieć, odrywając Kjella od ziemi na wysokość stopy, ale ten przekreślił ostrze i obaj upadli w deszczu krwi i zielonych piór. Kjell wytoczył się spod umierającej bestii, wyrwał miecz z jej drżącej piersi i

pospiesznie wstał na chwiejne nogi, aby walczyć dalej.

Było ich tak wiele. Zrobiłam krok naprzód, wciąż ciągnąc ze sobą miecz, a Boojohni wrzasnął za mną ostrzegawczo, aż się przestraszyłam. Obróciłam się gwałtownie z mieczem w obu dłoniach i przez przypadek z rozpędu cięłam stojącego za mną Volgara, a z jego tak przypominającej ludzką piersi trysnęła jaskrawozielona krew. Zatoczył się w tył i upadł; drgały mu skrzydła, gdy umierał. Zrobiło mi się niedobrze od widoku otwartej rany, którą mu zadałam, i zaczęłam w myślach błagać straszliwe bestie, by się wycofały. Nienawidziłam ich, ale jeszcze bardziej nienawidziłam tej jatki.

Odlećcie. Zostawcie nas, poprosiłam wciąż nadlatujące Volgary. *Odejdźcie. Już. Zachowajcie życie.*

Kilka wzbiło się w powietrze, jakby posłuchały moich błagań.

— Lark! — ponaglił mnie Boojohni i pociągnął za sobą. — Uciekaj!

Rzuciłam się między gałęzie krzewu, pod którym zostawił mnie król Tiras, i przyglądałam się zastępom Volgarów ze szponiastymi stopami i dłońmi, szpiczastymi rogami i z ostrymi jak brzytwa skrzydłami wyrastającymi z ludzkich korpusów. Król Tiras i Kjell stali plecami do siebie pośrodku tuzina atakujących ich bestii i wymachiwali mieczami. Żaden z nich nie okazywał wahania ani słabości, chociaż ubrania mieli śliskie od krwi, a u ich stóp niczym porzucone laleczki leżeli powaleni gwardziści.

Wszyscy umrzemy.

Odrzuciłam tę myśl. Odepchnęłam ją, obawiając się tej sugestii. Skierowałam swój głos w stronę latającej hordy.

Odlećcie, zanim zginiecie.

Odlećcie, zanim zginiecie.

Odlećcie, zanim zginiecie.

Nie słuchały. Za bardzo się bałam. Strach sprawiał, że wypuszczałam z siebie drżące i łamiące się słowa. Tymczasem kolejny gwardzista runął na ziemię, a król Tiras zatopił miecz w brzuchu Volgara aż po rękkojeść. Nim go wyjął, na miejscu zabitego pojawiły się dwa następne. Jeden z gwardzistów rzucił się przed króla, ale natychmiast został porwany z ziemi. Zamknęłam oczy, żeby odciąć się od tego horroru i pewności klęski.

Odlećcie, zanim zginiecie.

Odlećcie, zanim zginiecie.

Odlećcie, zanim zginiecie.

Starłam się, by słowa zagrzmiały w mojej głowie, wypełniając czarną przestrzeń przed zamkniętymi powiekami. Zaczęłam od tego drzeć i zatkały mi się uszy. Usłyszałam krzyk Boojohniego, ale nie otwierałam oczu. Nie ośmieliłam się.

A potem przestałam słyszeć cokolwiek prócz własnych myśli, które odbijały się echem, jakbym spadała do studni i w końcu odzyskała głos, by krzyczeć o pomoc.

*Odlećcie, zanim zginiecie. Odlećcie, zanim zginiecie.
Odlećcie, zanim zginiecie.*

Zanim zginiecie.

Zginiecie.

Zginiecie.



Na całej twarzy rozkwitał palący i dotkliwy ból. Dźwięczące w czaszce słowa osłabły i pękły, pozostawiwszy po sobie tępe uczucie między oczami i metaliczny smak w ustach. W nos łaskotała mnie broda Boojohniego, a jego kwaśny oddech uderzał w moje powieki. Odwróciłam głowę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i zmusiłam się do otwarcia oczu,

odruchowo dotykając palącego policzka. Ktoś musiał mnie klepnąć. Mocno.

— Ocknęła się. Ocknęła się! — zarechotał Boojohni z wyraźną ulgą. Spojrzałam na niego i uświadomiłam sobie, że zdążył już zapaść zmrok. Oczywiście, że się ocknęłam. Boojohni pomógł mi usiąść i zrobił mi miejsce. Musiał w którymś momencie wyciągnąć mnie z krzaków. Zachwiałam się, ale jakaś dłoń przytrzymała mnie za plecy. Trafiłam wzrokiem w czarne oczy króla Tirasa, który kucał obok mnie. Nawet w świetle pełnego księżyca widać było, że jest cały skąpany w krwi, ale wydawał się wyjść z walki bez uszczerbku. Czego nie dało się powiedzieć o ponad połowie jego ludzi. Pobojuwisko było pełne ciał Volgarów oraz zabitych i umierających gwardzistów.

— One odleciały, Lark! — wyjaśnił mi Boojohni. — Te bestie odleciały. Ni stąd, ni zowąd się wycofały.

Król podniósł się i odwrócił, zostawiając mnie dla ważniejszych spraw. Ci, którzy mogli się poruszać, znosili ciała Volgarów na stosy i zajmowali się rannymi i zabitymi gwardzistami. Każdy oddech był przesycony zapachem krwi i śmierci, ale postanowiłam także wstać, żeby pomóc na miarę swoich możliwości.

— Wyślemy tu ludzi po zabitych — zakomenderował król — ale teraz musimy stąd iść, póki jeszcze możemy. — Spojrzał w niebo, jakby spodziewał się powrotu Volgarów. — Mogły nas wszystkich zabić. Ich odwrót kompletnie nie ma sensu.

— Konie się rozpierzchły — stwierdził Kjell zrezygnowanym tonem. — A my mamy rannych, którzy nie mogą chodzić.

Zrobiłam trzy kroki na chwiejnych nogach i pociągnęłam króla za rękaw. Wskazałam w stronę drzew.

Uniósł czarną brew. Wykonałam dłonią coś na kształt uciekającego konia i spojrzałam na Boojohniego, żeby mi pomógł.

— Lady Corvyn zna się na zwierzętach, Wasza Wysokość — wyjaśnił nieśmiało.

— Nie ma tu żadnych zwierząt, milady — odpowiedział król ze znużeniem. Ukląkł, żeby sprawdzić puls leżącego gwardzisty. Był martwy, widziałam to bez badania. Jego dusza pozostawiła go bez słów i bez życia i uleciała.

Po raz kolejny wskazałam w stronę drzew. Poczułam strach koni i przyzwałam je. Konie łatwo wyczuć. Mają emocje niczym wielkie latarnie przebijające się przez ciemność. Uciekły ze strachu, ale biegały w kółko, zostawiając za sobą głośny, czerwony strumień rozpacz. Nie były zbyt daleko.

— Jeśli lady Corvyn mówi, że konie poszły w tę stronę, to konie poszły w tę stronę — stwierdził po prostu Boojohni. Powąchał powietrze i skrzywił się. — Wyczuję ich zapach, gdy nieco oddalimy się od tego miejsca.

— Nie możemy nigdzie iść. Nie zostawimy tych ludzi, a nie jesteśmy w stanie ich zabrać — argumentował Kjell.

Król przytaknął i spojrzał na mnie.

— Są blisko? — spytał.

Kiwnęłam głową. Musiały być blisko. Czułam, jak ich łomoczące serca powoli się uspokajają, a strach znika. Chciały wrócić do domu. *Dom. Dom. Dom.*

— Pokaż mi — poprosił cicho i chwycił mnie dłonią za ramię. Boojohni potruchtął za nami i król się nie sprzeciwił, chociaż odmówił prośbie Kjella, który także chciał iść z nami.

— Nie możesz iść sam, Tirasie — przekonywał Kjell. Zwróciłam uwagę na łączącą ich zażyłość. W przeciwieństwie do pozostałych gwardzistów Kjell mówił do króla po imieniu i bez obaw wyrażał swoje zdanie.

— Nie odejdę zbyt daleko, Kjellu. I zaraz wrócę. Zostań na straży.

Odeszliśmy w milczeniu i co dziwne, mimo że król trzymał mnie za ramię, żebym była blisko, to pozwalał mi prowadzić. Byłam wdzięczna za jego pomocną dłoń, bo na nogach jak z waty i z takim dzwonieniem w uszach każdy krok mógł się okazać zdradziecki.

Chciałam, żeby ktoś opowiedział mi to, co przegapiłam. Jak długo miałam zamknięte oczy, ilu ludzi zginęło, gdy próbowałam użyć swoich słów. Zastanawiałam się, czy to przeze mnie Volgary się wycofały, ale zrobiło mi się głupio z powodu takich smętnych myśli. Zamknęłam oczy i czegoś sobie życzyłam, podczas gdy inni walczyli. Kiedyś udało mi się sprawić, żeby laleczka wzniosła się w powietrze, ale Volgary? Nie, to niemożliwe.

Potknęłam się i uścisk królewskiej dłoni przybrał na sile.

— Nie mamy czasu, żeby się włóczyć — szepnął. Jego głos nie był ostry, ale czułam w nim niecierpliwość, obawy i wątpliwości. Przez te wątpliwości znowu się potknęłam.

Zatrzymałam się i wyrwałam ramię z uścisku. Jego słowa były zbyt głośne i nie potrafiłam wyczuć przez nie koni. Puścił mnie bez sprzeciwu, a Boojohni podniósł nos w powietrze i powąchał. Potem jeszcze raz i zachichotał uradowany.

— Tędy. — Wskazał na wprost nas. Niczego tam nie widziałam, ale słyszałam je. I czułam.

Dom. Dom. Dom.

Król gwizdnał ostro, a jego wątpliwości znikły z wyraźnym trzaskiem, gdy pękła gałąź, a potem kolejna, przyciągając nasz wzrok w najciemniejsze cienie, które poruszały się i przekształcały, aż w końcu stały się końmi, puszczającymi parę z pysków i przedzierającymi się w naszą stronę.

— Wszystkie — szepnął król, gdy policzył zbliżające się wierzchowce. Trzy tuziny, prowadzone przez czarnego, królewskiego ogiera. Orszak zamykała siwa mojego ojca. Ta,

którą skradziono nam ze stajni.

— Shindoh. — Król przywitał swojego wierzchowca i wyciągnął do niego dłoń, a olbrzymie zwierzę z radością potarło ją pyskiem. *Dom.*

Odeszłam od króla do siwej i także przywitałam ją dłonią. Zarżała i pchnęła mnie lekko aksamitnym nosem, a ja zarzuciłam jej ręce na szyję i potarłam policzkiem jej głowę. Gdy się odwróciłam, zauważyłam, że król mnie obserwuje. Podeszłam do niego z siwą i uderzyłam pięścią w pierś.

Mój.

— Siwa wygląda bardzo podobnie do konia, który został skradziony ze stajni lorda Corvyn, Wasza Wysokość — wyjaśnił Boojohni. Doskonale wiedział, że to nasz koń, ale był na tyle bystry, żeby nie wygłaszać osądów.

— Może należał do jednego z tych rycerzy, których wysłał twój ojciec, hę? — odparł Tiras i wykrzywił usta. — Znaleźliśmy ją dwa dni temu niedaleko doliny Kilmorda.

— Tak musiało być, Wasza Wysokość — pośpiesznie potwierdził Boojohni, a ja tylko potrząsnęłam głową.

— Możesz wrócić na niej do domu, gdy twój ojciec wypełni swoje zobowiązania — wyszeptał i nawet siwa parsknęła szyderczo.

5



Koni starczyło nawet dla zabitych i umierających, ale ja i tak jechałam z królem. Nieżywych przywiązano do siodeł i ruszyliśmy dalej gęstniejącą nocą w bujne i zielone doliny Degn. Jeśli Volgary nie wrócą, o świcie mieliśmy dotrzeć do królewskiej fortecy.

Z całych sił walczyłam z wyczerpaniem, ale trzęsły mi się kończyny, a głowa sama opadała na boki. Król klął, gdy się chwiałam, i przyciągał mnie do swojego splamionego napierśnika, trzymając moje biodra między swoimi potężnymi nogami. Staralam się nie rozluźniać i nie opierać o niego, ale nie byłam w stanie i kiedy po raz kolejny zaklął i mocno pociągnął mnie za włosy, zrezygnowana pochylałam głowę.

— Śpij, uparta kobieto.

Zasnęłam na chwilę i przeklinałam go nawet wtedy, gdy opierałam się policzkiem o jego ramię. Ale kiedy jęki rannych osłabły, a na wschodzie jeruwiańskich wzgórz pojawiło się słońce, otwarłam zaczerwienione oczy, żeby obejrzeć sklepioną fortecę, która miała przez najbliższy, nieokreślony czas być moim domem. Czarne obwarowania i gzymsy na rozciągającej się jak okiem sięgnąć wschodniej ścianie połyskiwały w porannym świetle. Ciemne kamienie były ozdobione żelazem i kosztowną masą perłową, pozyskiwaną z dawnego dna morza na zachodzie. Kobiety z Corvyn nosiły w

uszach i na szyjach wykonane z niej ozdoby, bo opalizująca czerń pozwalała stworzyć przepiękną biżuterię. Najwyraźniej w Jeru tego materiału było tak dużo, że używano go do wznoszenia murów.

— Witaj w Jeru, lady Corvyn — mruknął król, a duma emanowała z porów jego ciała niczym perfumy. Odsunęłam się od niego i starałam się nie wdychać jego zapachu. Czułam się zdezorientowana jego osobą i widokiem tego pięknego miasta. Wątpię, żeby zauważył, że usztywniłam kręgosłup, i uparcie unosiłam podbródek. Nawet jeśli, w ogóle go to nie obchodziło. Ulga wynikająca z powrotu do domu była porównywalna z ulgą odczuwaną przez konie i rezonowała wokół niego, jakbyśmy byli zamknięci w dzwonnicy.

Gdy zbliżyliśmy się do murów, rozbrzmiały trąbki i olbrzymie wrota opuściły się z dobrze naoliwionym przywitaniem. Ledwie wstał świt, lecz miasto już nie spało, a strażnicy zza murów pozdrawiali króla okrzykami.

— Wiwat król!

— Król Tiras wrócił!

— Mamy rannych i zabitych — zawołał król zmęczonym głosem. — Zajmijcie się nimi w pierwszej kolejności. I zawiadomcie ich rodziny.

Gwardziści, którzy mogli się ruszać, zsiadli z koni i pomogli tym, którzy nie mogli sobie poradzić. Kjell i król Tiras ruszyli szeroką ulicą obsadzoną drzewami i obstawioną gwardzistami w stronę zadaszonej posiadłości, którą dostrzegłam za bramą. Przy wejściu król Tiras zsiadł z konia, bezceremonialnie ściągając mnie z sobą. Stałam na nogach jak z wody, które natychmiast rozpląnęły się pode mną. Złapał mnie znowu i ku mojemu rozgoryczeniu przeniósł mnie na rękach przez dziedziniec i przez pałacowe drzwi, które otwierano przed nim z ukłonami i salutami, a potem przez długi hol, prowadzący do największej kuchni, jaką w życiu widziałam.

Bez ogródek posadził mnie na kuchennym stołku i wyszczeakał rozkazy do słuźby, która zbiegała się z kaźdego kąta.

— Nakarmić ją. Wykąpać. Położyć do łóżka.

Kobieta w atramentowo czarnej sukni podeszła bliżej z głębokim ukłonom. Wyglądała na starszą niż chichoczące pokojówki, obserwujące króla z podziwem, i sprawiała wrażenie osoby, która tu rządzi.

— Tak, Wasza Wysokość. Witaj w domu, panie — odparła pewnie, zerkając na mnie, a w jej wzroku pogarda mieszała się z ciekawością. Nie miałam wątpliwości, że wyglądam jak wychudzony szczur.

— I zamknąć ją w północnej wieży — dodał przy wyjściu, nie oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy jego polecenia zostaną wypełnione.



Po zjedzeniu w kuchni posiłku, którym nie miałam sił się cieszyć, zostałam odprowadzona do tak okazałego pokoju w północnej wieży, że bycie w nim więźniem byłoby prawdziwą przyjemnością, gdyby płatki róż w kąpeli i spanie w jedwabnej pościeli miały dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Nie miały. Cieszyłam się, że nie będzie mi zimno, niewygodnie i że nie będę głodna lub naga, ale poza tym tęskniłam za Boojohnim i za wieścią o tym, że także się o niego zatroszczono. Tęskniłam też za lasem w mojej rodzinnej okolicy i pokojem w posiadłości ojca. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek tam wrócę.

Zostałam wykąpana i wysuszona przed buchającym kominkiem, chociaż dzień nie był szczególnie chłodny. Włosy i skórę natarto mi olejkiem lawendowym, jakbym była jakąś królową, a nie zakładniczką z Corvyn. Obsługiwały mnie trzy kobiety, które zadały mi kilka prostych pytań, ale wobec mojego milczenia porzuciły próby konwersacji, spojrzwały tylko

po sobie.

— Słyszysz nas, milady? — spytała jedna z nich oschle. Uznały, że okazuję im milczącą pogardę.

Przytaknęłam.

— Rozumiesz nas?

Znowu przytaknęłam.

— A potrafisz mówić? — warknęła.

Potrząsnęłam głową przecząco.

Miała na tyle taktu, żeby wydawać się nieco rozgoryczoną, dwie pozostałe kobiety syknęły z szoku.

— Nie mówisz po jeruwiańsku czy w ogóle? — spytała z ciekawością najmłodsza z nich.

Potrząsnęłam głową po raz drugi. To były dwa pytania z dwiema możliwymi odpowiedziami, ale chyba mnie zrozumiały, gdy dotknęłam gardła.

Wymruczały jakieś wyrazy żalu. Wiedziałam, że wręcz pałą się do omówienia mojej przypadłości, jeśli nie ze mną, to między sobą. Dwór zapewne będzie o mnie plotkował przez jakiś czas, aż w końcu o mnie zapomni. Tak działałam na ludzi. Milczenie było bardzo bliskim kuzynem niewidzialności.

Gdy w końcu zostawiły mnie samą i zgodnie z otrzymanym poleceniem zamknęły za sobą ciężkie drzwi, wdrapałam się na olbrzymie łóżko ustrojone białą gazą i wsunęłam się pod puchową kołdrę, martwiąc się znowu o Boojohniego. Wątpiłam, żeby ktokolwiek się nim zainteresował, nie wspominając już o ciepłym posiłku i miejscu do odpoczynku. Ale ostatecznie myśli przed zapadnięciem w sen nie dotyczyły mojego wiernego trolla, lecz młodego króla, który władał Jeru. Był zupełnie inny, niż się spodziewałam.



Przez trzy dni widywałam wyłącznie służbę. Byłam karmiona. Kąpana. Ubierana w wyszukane stroje. Nikt ze mną nie rozmawiał, nikt nawet nie nawiązywał kontaktu wzrokowego i nie wypuszczano mnie poza ciężkie drzwi. Większość czasu spędzałam na balkonie, oglądając miasto. Byłam w tak wysokiej wieży, że ludzie wydawali się maleńkimi figurkami, przebłyskami barw, energii i życia, daleko poza moim zasięgiem. Zastanawiałam się nad zejściem po zewnętrznej ścianie, ale na całym obwodzie roilo się od gwardzistów, a poza tym nie sądzę, żeby pałacowe ściany się do tego nadawały, chociaż bardzo skrupulatnie je studiowałam, szukając możliwych tras.

W trzecią noc mojej dziwnej niewoli nagle zdarto ze mnie kołdrę. To zdesperowany Kjell wyciągnął mnie z łóżka. Niczego mi nie wyjaśnił i nie powiedział, dokąd idziemy. Trzymał mnie zbyt mocno i miał napięty wyraz twarzy. Ciągnął mnie z pośpiechem przez opustoszałe korytarze, potem w dół krętymi schodami oświetlonymi przez oślepiające świeczniki. W końcu zatrzymaliśmy się przed potężnymi metalowymi drzwiami, które kojarzyły mi się z mrocznymi lochami i torturami. Podkuliłam palce stóp na zimnej kamiennej podłodze i zaczęłam szcząkać zębami. Zacisnęłam je jednak uparcie i nie skuliłam się, a Kjell wyciągnął olbrzymi pęk kluczy, otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka.

— Pomóż mu — rzucił lakonicznie. — Pomóż mu, a ja pomogę tobie.

Patrzyłam na niego zdezorientowana, ale on bez słowa zniknął za drzwiami i zamknął je na klucz. Pociągnęłam za klamkę, chociaż dobrze wiedziałam, że nie ustąpią, a potem słuchałam jego kroków, które po chwili ucichły. Nie odszedł daleko. Wyraźnie słyszałam jego rozpacz, jakby wykrzykiwał ją w puste korytarze, a one odpowiadały mu echem.

Ale to nie Kjell zawołał z ciemnego kąta, tylko król.

— Mówiłem ci, żebyś sobie poszedł, Kjell. Wynocha!

Podeszłam kilka kroków. W ciemnościach dostrzegałam tylko ciężki, przyśrubowany do podłogi stół z prostym, nietkniętym posiłkiem. Chrząknęłam na widok kielicha z czerwonym winem, bo nagle zaschło mi w gardle. Na ścianach wisiały świeczniki, ale tylko jeden dawał światło, a migoczący płomień tworzył na ścianie tańczące duchy i wywoływał ciarki. Posiłek pasował do króla, ale pokój nie wyglądał na królewską komnatę. W najmniejszym stopniu. Przypominał raczej celę, w której osadza się więźniów i w której sama spodziewałam się znaleźć pod koniec swojej podróży do miasta.

— Kjell? Zostaw mnie, ty pieprzony draniu! — ryknął król. Najwyraźniej wyczuwał moją obecność, ale mnie nie widział. Obeszłam stół, przechodząc obok ścianki z śrubami, kajdanami i ciężkim łańcuchem, które wyglądały na dotknięte piętnem czasu.

Król kuczał oparty o ścianę, jakby był zbyt słaby, by ustać na własnych nogach. Na nadgarstkach i kostkach miał kajdany, ale z na tyle długimi łańcuchami, że pozwalały na niewielki zakres ruchu. Wyglądały, jakby służyły do ograniczenia ruchów, a nie torturowania, chociaż król wyraźnie cierpiał. Miał rozpiętą koszulę, a skóra lśniła od potu, jakby powstrzymywanie się przed walką z kajdanami stanowiło dla niego olbrzymi wysiłek. Oddychał ciężko i drżał. Był potężnym mężczyzną. Bryczesy przywarły do jego nóg, zdradzając pulsowanie mięśni, ale był skulony w sobie, ścisnął kurczowo swoje długie, białe włosy, a szerokie plecy były wygięte w udręce. Jego ciało krzychało *na pomoc*, mimo że żądał, by zostawić go samego.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie przez kurtynę opadających mu na twarz włosów. Nie wydawał się zaskoczony moją obecnością, ale opuścił z rezygnacją ramiona.

— Jesteś Uzdrowicielem? — spytał cicho. Bolesnie.

Poczekalam, az znowu na mnie spojrzy, i potrzasnalam glową. Jeknal slabo i dodal:

— Skoro nie jesteś Uzdrowicielem, to dlaczego tu przyszłaś?

Nie potrafilam odpowiedziec, wiec podeszlam blizej.

— Nie zbliżaj się!

Zawahalam sie, przestraszona.

Jego ciało drzalo, a skóra marszczyła się, jakby mięśnie na plecach zostały złapane w bolesny skurcz.

— Idź! — ryknal głosem nie z tego swiata, jakby lew lub bestia otrzymala dar mowienia. — Wyjdz stąd!

Nie moglam. Nie bylam w stanie nawet krzycec. Nie bylabyam w stanie blagac ani targowac sie o swoje zycie. Podbieglam do cięzkich drzwi i zaczalam w nie lomotac.

— Kjell! — wrzasnal Tiras. — Wypusc ja stąd!

Drzwi sie nie otworzily.

— Kjell! Zabije cie! — dodal.

Ale Kjell najwyrazniej mu nie wierzyl — albo chcial zabic nas oboje. Moze krol Tiras byl smiertelnie chory na jakas zakaźna chorebe, ktora wykończy mnie zaraz po nim. Kompletnie nie rozumialam, dlaczego Kjell sadzil, ze jestem w stanie cos pomoc.

Przez kilka minut stalam plecami do krola i zastanawialam sie, co zrobic. Balam sie do niego podejsc. Przestal krzycec, ale slyszalam, jak dyszy w udrece. Nie chcialam, zeby bylo mi przykro z jego powodu. Nie chcialam mu wspolczuc. Nie zaslugiwal na to. Ale nie potrafilam zniec jego cięzkiego oddechu i wyraznej agonii. Przypominala mi milczace cierpienie orla w lesie.

Skoro wspolczulam orlowi, to z cala pewnoscia moge okazac

choć cień współczucia człowiekowi, nawet temu, którym wolałabym gardzić. Odwróciłam się od drzwi i ostrożnie do niego wróciłam. Skierował na mnie swoje czarne oczy, a jego spojrzenie było bolesne, niemal błagalne. Tym razem nie krzyczał i nie kazał mi odejść. Może nie był w stanie. Trząsał się tak mocno, że łańcuchy grzechotały o podłogę.

Uklękałam obok niego, tak blisko, że bez trudu mógłby mnie skrzywdzić, ale uzmysłowiłam sobie, że już się go nie boję. Nie byłam w stanie spytać, gdzie go boli i co mu dolega. Mogłam tylko wsunąć dłonie pod jego rozpiętą koszulę i przycisnąć je do jego torsu z nadzieją, że przyniosę mu ulgę. W przypadku ptaka się to sprawdziło. Król miał gorącą i śliską skórę, oboje wzdrygnęliśmy się przy pierwszym dotyku. Zamknęłam oczy jak z orłem.

Ulgą.

Zaczął syczeć. Skupiłam się bardziej.

Chłodna ulgą.

— Co ty mi robisz? — szepnął.

Oddychaj. Zdrowiej. Śpij.

Oddychaj. Zdrowiej. Śpij.

Oddychaj. Zdrowiej. Śpij.

Powtarzałam te sugestie bez końca, a on się nie ruszał pod moimi dłońmi. Nie odepchnął mnie i nie kazał odejść. Wypychałam z siebie słowa tak mocno, jak potrafiłam, a im bardziej się starałam, tym bardziej jego oddech się wyrównywał.

— Jesteś Uzdrowicielem? — spytał ponownie słabym głosem i bardzo powoli, jakby wyczerpanie rozciągało każdą sylabę. Mogłam tylko potrząsnąć głową. Nie leczyłam, lecz mówiłam. Sugerowałam. Nakazywałam jego ciało, aby uśmierzyło ból i agonię. Aby się uleczyło. Nie miałam pojęcia, czy to wszystko

działo się wyłącznie w mojej głowie i czy słowa w ogóle wychodziły ze mnie przez ręce, ale nie otwierałam oczu i przyciskałam dłonie do jego łomoczącego serca.

— Jesteś czarownicą — jęknął, ale oparł się na moich dłoniach. Zalała mnie fala tryumfu i jeszcze bardziej się skupiałam. Nie wiem, ile minęło czasu, ale on przestał się trząść, a ja zaczęłam. Poczułam, że moja siła się wyczerpuje. Spróbowałam jeszcze raz i tak jak w lesie, opróżniłam się do zera. Tyle że tym razem poczułam, że spadam.

Z trudem powstrzymywałam się przed tym, by położyć opadającą głowę na jego ramieniu. Spróbowałam otworzyć oczy i oderwać dłonie od jego skóry, ale nic mi nie zostało, nie miałam ani odrobiny energii, żeby się odsunąć. Powieki ważyły tysiąc funtów, a ręce przynajmniej tonę. Zachwiałam się i oparłam o niego, niezdolna do pohamowania się. A potem opadłam na podłogę. Zimne kamienie niemożliwie gładko przywierały do policzka. Dłonie same oderwały się od królewskiego ciała i wchłonęła mnie ciemność, która wypłukała wszelką świadomość.

6



Obudziłam się w południe. Byłam znowu w pokoju w wieży, na swoim łóżku, z poduszką pod głową i przykryta kocem. Słońce wpadało przez okna, a żołądek głośno narzekał. Usiadłam zdezorientowana i zaczęłam się zastanawiać, czy król w kajdanach nie był czasem dziwnym snem. Miałam brudne stopy i przespałam pół dnia. Nie. Potrząsnęłam głową, opierając się pragnieniu, by udawać, że nie zostałam zaciągnięta do celi w odległym zakamarku pałacu i zamknięta w niej niczym ofiara dla okrutnego boga, dziewczica dla zionącego ogniem smoka.

Co prawda król Tiras ryczał jak bestia, ale nie zrobił mi krzywdy. To on cierpiał. Gdzie był teraz? Przeżył noc? Przeżył... mnie? Nazwał mnie czarownicą, ale przyjął mój dotyk. A teraz byłam z powrotem w swoim pokoju, jakby nic się nie wydarzyło. To nie miało sensu.

Wzdrygnęłam się na odgłos przekręcania klucza w drzwiach. Zwlekłam się z łóżka i instynktownie sięgnęłam dłonią do włosów, które opadały na plecy w nieładzie. Spodziewałam się Kjella lub nawet samego króla. Ale do środka weszła pokojówka, która codziennie przynosiła mi posiłki.

— Obudziłaś się! — Głos zabrzmiał lekko sardonicznie, a z jej myśli emanowały słowa *leniwa dziewczyna*.

Przytaknęłam. Miałam tak wiele pytań i żadnego sposobu na

komunikację.

— Przyniosłam śniadanie kilka godzin temu i byłaś tak nieruchoma, że myślałam, iż umarłaś we śnie. Musisz być wyczerpana nicnierobieniem przez cały dzień. Zjedz coś. Wysłałam służbę po wodę na kąpiel, ale w misce masz jej wystarczająco dużo, żeby umyć dłonie i twarz. — Rzadko na mnie spoglądała w trakcie swojej paplaniny, więc klasnęłam w dłonie, żeby zdobyć jej uwagę. Pokazałam gest pisania, lecz ona patrzyła na mnie bez zrozumienia. Powtórzyłam, z przekonaniem, i tym razem jej twarz się rozjaśniła.

— Potrzebujesz papieru... i atramentu?

Przytaknęłam z wdzięcznością.

Zmarszczyła brwi, jakby moja prośba sprawiła jej kłopot.

— Zapytam.

Ku mojej radości wróciła z trzema zeszytami czystego papieru oraz z farbami, atramentem i węglem, mrużąc pod nosem coś o ekscesach i przesadzie.

— Prezent od króla — stwierdziła zjadliwie, jakbym zrobiła coś skandalicznego, żeby na niego zasłużyć. — Król poinformował panią Lorenę, że masz dostać wszystko, czego zażadasz, pod warunkiem że pozostaniesz w tym pokoju.

Umyłam się pospiesznie, bo chciałam jak najszybciej zadać swoje pytania, zanim znowu zostanę sama. W trakcie suszenia i czesania włosów naszkicowałam podobiznę Boojohniego i pokazałam obsługującej mnie ponurej pokojówce. Cesała moje włosy gwałtownymi szarpnięciami, żeby jak najszybciej skończyć, ale zerknęła na mój rysunek z niechętną ciekawością.

— Nie widziałam go, milady — wzruszyła ramionami. — Zabawna z niego postać. W Jeru nie spotyka się już zbyt wielu trolli. Nieboszczyk król uważał, że ukrywają Obdarzonych i sami także mają we krwi trochę magii. Wypędził ich wszystkich. Cóż, krzyżyk na drogę.

Szybko naszkicowałam podobiznę Tirasa z koroną na jasnych włosach. Nigdy nie widziałam go w koronie, ale nie miałam czasu na dokładny portret, a chciałam, żeby mnie zrozumiała.

— Król Tiras? — spytała złośliwie.

Rozłożyłam dłonie z nadzieją, że zrozumie, że pytam o jego miejsce pobytu.

— Król nie składa mi raportów, milady! — odparła szyderczo. — Ale przekażę mu, że pytałaś o niego. — Westchnęła, pozbierała naczynia po moim posiłku i ruszyła w stronę drzwi, mrużąc coś o zarozumiałych pannach.

Zastanawiałam się, czy była niegrzeczna, bo nie mogłam jej skarcić, czy po prostu cieszyła ją świadomość, że ja nie mogę na nią narzekać. Nie żeby ktokolwiek przejmował się tym, co myślę. Na szczęście jedna z wątpliwości została rozwiązana. Król nie był martwy.



Następnego popołudnia król Tiras we własnej osobie otworzył moje drzwi i bez ostrzeżenia wkroczył do środka, dowodząc tym samym, że nie tylko nie jest martwy, lecz wręcz cieszy się dobrym zdrowiem. Oczarowana mnogością możliwości, od rana rysowałam przy stole. Cieszyłam się, że po tylu dniach wymuszonej izolacji w końcu mam jakieś zajęcie i gdy wszedł, zignorowałam go, bo uznałam, że to moja ponura pokojówka przyniosła mi posiłek, na który nie miałam ochoty. Podniosłam wzrok dopiero, kiedy przemówił.

— Widzę, że dotarła do ciebie moja oferta rozejmu — stwierdził kąśliwie, ale łagodnie.

Wstałam na równe nogi i otaksowałam go ze zdumieniem i z niemałym niepokojem. Miał na sobie elegancką białą koszulę, dopasowane bryczesy i wysokie buty. Emanował zdrowiem i witalnością, jakby zupełnie wyleczył się z tego, co mu

dolegało. Zaczęłamby w wąpić w swoje zdrowie psychiczne lub pamięć, gdybym miała ku temu jakiekolwiek powody. Jego grube, białe włosy, zaczesane do tyłu, kontrastowały z brązową twarzą, a on wydawał się jeszcze wyższy i szerszy niż wcześniej. Może to dlatego, że górował nade mną, zupełnie nie przypominając mężczyzny w agonii, zgiętego wpół na piwnicznej podłodze.

— Masz dotyk Uzdrowiciela — powiedział łagodnie. W jego tonie nie było groźby, ale potrząsnęłam głową, by zaprzeczyć jego domysłom. Nie byłam Uzdrowicielem. Nie pozwolę się o to oskarżać.

— Usiądź. — Wskazał dłonią krzesło, z którego właśnie wstałam, i wysunął sobie drugie, najwyraźniej przygotowując się na dalszą dyskusję w tej kwestii. Zrobiłam, co kazał. Siedziałam ze sztywnymi plecami i z dłońmi splecionymi skromnie na udach. Spoglądałam na niego ostrożnie, a on patrzył na mnie ze szczerym zaciekawieniem.

— Jak się nazywasz, lady Corvyn? Jak masz na imię?

Wskazałam z irytacją na gardło. Wiedział, że nie potrafię odpowiedzieć, ale zdawał się o tym zapomnieć.

— Napisz je. — Podsunął mi czysty arkusz papieru.

Potrząsnęłam głową i wzruszyłam ramionami, pokazując mu, że nie potrafię.

— Nie umiesz pisać? — W jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie. — Jak ja się z tobą porozumiem?

Pociągnęłam się za ucho. Mógł do mnie mówić tak jak teraz. Mojemu słuchowi nic nie brakowało.

— Owszem, słyszysz mnie. Ale nie jesteś w stanie odpowiedzieć.

Znowu wzruszyłam ramionami.

— To jak mam cię nazywać? — spytał zirytowany. — Nie

mam zamiaru już na zawsze tytułować cię milady.

Wzięłam węgiel i zaoferowany przez niego papier i zaczęłam szybko szkicować.

— Ptak? — Wydawał się zdezorientowany.

Przytaknęłam, po czym postukałam w kartkę, a potem w swoją pierś.

— Twoje imię to nazwa ptaka?

Przytaknęłam gorliwie i zaczęłam dorysowywać szczegóły, żeby rozpoznał mój rysunek.

— Skowronek?

Przytaknęłam po raz kolejny i przewróciłam oczami.

— Lark^[2]?

Przytaknęłam z uśmiechem.

— Przecież to nie jest imię — stwierdził łagodnie, niemal jakby poczuł się obrażony w moim imieniu.

Podniosłam na niego wzrok, bo to *było* imię. To było moje imię.

Chyba zauważył, że poczułam się dotknięta, i rozbawiło go to, bo jego usta drgnęły w najnieznaczniejszym uśmiechu.

— Dlaczego nie umiesz pisać? Jesteś córką arystokraty. Powinnaś umieć pisać i czytać. Dlaczego nikt cię tego nie nauczył?

Narysowałam portret ojca, szkicowo, ale tak, że dało się rozpoznać. Miałam wprawę w rysowaniu jego twarzy i teraz to wykorzystałam. Tiras patrzył na ten rysunek z zamyśleniem.

— Ojciec ci nie pozwolił?

Przytaknęłam. Opuściłam wzrok na kartkę i naszkicowałam siebie w łańcuchach. Odłożyłam węgiel.

— Byłaś więźniem? — zgađł z wahanie.

To była najwłaściwsza odpowiedź, jakiej byłam w stanie udzielić, a on doskonale to rozumiał. *Wciąż* byłam więźniem. Przytaknęłam, uniosłam pogardliwie brew i rozłożyłam dłonie, wskazując swoje otoczenie.

— Wciąż jesteś więźniem — mruknął, jakby wyciągnął te słowa z mojej głowy.

Wytrzymałam jego spojrzenie i pochyliłam głowę, przekazując mu, że to prawda.

— Ale teraz jesteś *moim* więźniem. A nie swojego ojca. Ja chcę, żebyś umiała czytać. I pisać. — Ściągnął usta w zamyśleniu.

Przyciągnęłam arkusz do siebie i zaczęłam kreślić litery, których nauczyłam się dawno temu. A, B, C, D i L jak Lark. Tej ostatniej nauczyła mnie staruszka z wioski. Powiedziała mi też, że na tę literę zaczyna się moje imię. Gdy ojciec zorientował się, że mnie uczyła, kazał jej wymierzyć dwadzieścia batów na głównym placu w wiosce. I potem już nikt nigdy nie próbował mnie edukować.

— Te już znasz? — spytał, przyglądając się moim krzywym literom.

Przytaknęłam.

Wyjął mi węgiel z dłoni i narysował pionową kreskę i leżącą na jej szczycie poziomą kreskę.

— To jest T. Jak Tiras. — Narysował jeszcze kilka innych liter i postukał w nie. — Tiras. — Potem napisał L, A oraz litery, których jeszcze nie znałam. — Lark. Tak się pisze Lark.

Nie mogłam oderwać wzroku od swojego imienia. Moje imię! Z namaszczaniem wodziłam palcem po kształtach liter.

— Poćwicz swoje imię. I moje. Wrócę jutro i nauczę cię więcej.

Pospiesznie stanęłam przed nim, żeby go zatrzymać. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Wzięłam go obiema dłońmi za lewą rękę i posadziłam z powrotem przy stole. Miał pokaźną, ciepłą i twardą dłoń, która kojarzyła mi się z korą drzew niedaleko mojego domu, ale odepchnęłam tę myśl i postukałam w papier.

— Nie mogę cię teraz nauczyć wszystkiego — zaprotestował zaskoczony.

Postukałam w litery, które sama napisałam. A, B, C, D. Wzięłam kredę i postukałam w miejsce za literą D. Co było dalej? Chciałam wszystkich liter. Wszystkich kształtów. Chciałam je pisać i wyćwiczyć, żeby umieć je rozpoznawać, gdy on znowu do mnie przyjdzie.

— Chcesz wiedzieć, co jest dalej?

Przytaknęłam ochoczo.

Wziął do ręki gęsie pióro i starannie zamoczył je w atramencie. Potem na świeżym arkuszu zaczął od litery A i pisał przez kilka minut, kreśląc linie, zawijasy i zaokrąglone krawędzie, które były tyleż znajome, co zakazane. Uradowana klasnęłam w dłonie, a on spojrzał na mnie z zaskoczeniem, uśmiechając się nieznacznie. Odłożył pióro, ale ja je wzięłam i zaczęłam z powrotem wpychać mu w dłoń.

— Wszystkie?

Przytaknęłam tak energicznie, że zaboląła mnie szczęka.

Tym razem roześmiał się na głos, przez co przy oczach pojawiły mu się maleńkie zmarszczki, a usta uniosły się w sposób, który był jednocześnie strasznie pociągający i niemożliwie irytujący. Patrzyłam na niego i uporczywie stukałam w papier. To nie było śmieszne — *ja* nie byłam śmieszna. On dostał każde słowo, którego potrzebował, a mnie je odebrano. Chciałam je odzyskać. Wszystkie.

Niemal potulnie wziął ode mnie pióro, chociaż w oczach przebłyskiwała mu wesołość pomieszana z zaskoczeniem.

Potem pisał przez kilka minut, starannie formując każdą literę. Miałam nadzieję, że nie zwodzi mnie, kreśląc nic nieznaczące symbole, żeby mieć ze mnie ubaw, kiedy wróci.

Gdy skończył, odłożył pióro i posypał arkusz piaskiem z małej zakorkowanej fiolki, żeby osuszyć atrament. Potem spojrzał na mnie.

— To są wszystkie litery alfabetu. Każde słowo w naszym języku się z nich składa.

Prawie zapało mi dech w piersi. Przycisnęłam dłonie do piersi, żeby uspokoić serce, i patrzyłam na stworzone przez niego piękno. W końcu podniosłam wzrok i uśmiechnęłam się. Nie potrafiłam się powstrzymać. Chociaż próbowałam. Nie chciałam zdradzać mu swojego zadowolenia i przenikającej mnie ekscytacji. Ale nie mogłam się powstrzymać. Uśmiechnęłam się więc do niego i skupiłam się na tym, żeby z radości się nie rozpłakać.

Powoli wstał, niemal oszołomiony moją radością. Przechylił głowę, jakby nie potrafił mnie rozszyfrować, odwrócił się i bez słowa wyszedł z pokoju.

[2] Lark (z jeruwiańskiego) — skowronek.

7



Po wyjściu króla uświadomiłam sobie, że nie spytałam o Boojohniego. Wstyd mi było i niecierpliwie wyczekiwałam ponownej, obiecanej przez niego wizyty, żeby za pomocą rysunków zażądać odpowiedzi. Ale on nie przyszedł. Ani nazajutrz, ani dzień później.

Palce mi szerniały od starannego kopiowania i ćwiczenia napisanych przez niego znaków. Odnalazłam litery z wyrazów Lark i Tiras, ale nie wiedziałam, jak się je wymawia. Były tylko kształtami. Kreskami. Kompletnie pozbawionymi znaczenia symbolami. Ale miałam plan. Gdy Tiras wróci, każę mu napisać na osobnych kartkach słowa oznaczające każdy przedmiot w moim pokoju. Krzesło. Stół. Podłoga. Łóżko. Świeca. Każdą kartkę położę we właściwym miejscu, żeby nauczyć się słów i rozszyfrować brzmienie każdej litery i każdej kombinacji liter.

Ale Tiras nie wrócił.

Próbowałam przekonać pokojówki, żeby napisały mi słowa, które znają. Pokazałam im też rysunek Boojohniego, ale wzruszały tylko ramionami i potrząsały głowami. Nie wiedziały zbyt wiele, a ja nie ufałam tej, która z każdym dniem zdawała się darzyć mnie coraz większą niechęcią. Inne nazywały ją Greta i miałam wrażenie, że pisze nie lepiej ode mnie, chociaż na pewno by się do tego nie przyznała. Chodziła

zagniewana dookoła i odtrącała każdą moją próbę nawiązania kontaktu. Był jeszcze Kjell.

Cztery dni po tym, jak Tiras nauczył mnie pisać moje imię, Kjell pojawił się w środku nocy i znowu wyciągnął mnie z łóżka. Poszłam z nim ochoczo, chociaż jego obietnica pomocy okazała się kłamstwem. Nie robiłam tego dla niego. Nie robiłam tego dla króla, który także mnie okłamał. Zrobiłam to dla słów, których obiecał mnie nauczyć.

Kjell tym razem nie zaprowadził mnie do zamkowych lochów. Poszliśmy do innej wieży, znajdującej się bezpośrednio obok mojej. Nie mogłam się nadziwić, że przez cały ten czas król był tak blisko. Zastanawiałam się, czy mnie widzi, gdy stoję na balkonie i czekam na jego powrót. Kiedy jednak Kjell pchnął mnie do komnaty i zamknął za mną drzwi na klucz, zorientowałam się, że jestem w niej sama.

Królewska pościel była w nieładzie, ubrania porzucone na podłodze, lecz samego Tirasa nie było i chociaż łomotałam pięściami w drzwi, Kjell nie wrócił, żeby wyjaśnić mi, co tutaj robię i czego ode mnie oczekuje. Wyszłam na balkon i odkryłam, że jest niewiarygodnie jasna noc. Księżyc był niemal w pełni, zupełnie jak wtedy, gdy znalazłam w lesie orła. Ale w Jeru nie było żadnych ptaków do ocalenia. Ani królów, jeśli już o tym mowa. Byłam bardziej samotna niż kiedykolwiek, a to samo w sobie było nie lada wyczynem. Owinęłam się szczelniej szlafrokiem i wróciłam do bogato wystrojonej komnaty.

Na półkach stały książki, a kilka otwartych leżało na podobnym stole, jaki znajdował się w moim pokoju. Ojciec zawsze trzymał książki pod kluczem w swoim gabinecie. Nigdy nie widziałam ich z tak bliska. Zaczęłam je kartkować, przyglądałam się słowom i próbowałam je zrozumieć, wodząc po literach palcami tak jak po swoim imieniu. Wydedukowałam, że S na końcu słowa Tiras wygląda i brzmi jak wąż. Przejrzałam całą stronę i odszukałam wszystkie słowa z literą S. Porównałam też litery R w naszych imionach i

ustaliłam ich brzmienie. Oczywiście T na początku imienia Tiras przypominało pukanie. T-T-T-T. Spodobało mi się koncentrowanie na tym dźwięku, który rozbrzmiewał w głowie niczym stukanie dzięcioła. Wezmę sobie jedną z tych książek. Gdy król wróci i znajdzie mnie w swoim pokoju, wezmę tyle książek, ile udźwignę, i nie pozwolę ich sobie odebrać.

Pilnowałam, by świece nie zgasły, i ślęczałam nad kolejnymi stronami, aż w końcu wszystko zaczęło mi się rozmazywać. Głowa opadała mi ze zmęczenia. Skuliłam się w rogu królewskiego łóżka, starając się nie zwracać uwagi na to, że pościel pachniała świeżym powietrzem i cedrem. Wreszcie zasnęłam twardo i śniłam o wrzeszczących Volgarach i słowach tańczących na stronach królewskich książek. Litery zmieniały się i przekształcały, szepcząc mi swoje nazwy głosem mojej matki. Usłyszałam krzyk, ostry i głośniejszy niż wrzask Volgarów, a potem łopotanie, jak tuzin targanych wiatrem sztandarów. Było to tak bliskie i tak realne, że niechętnie porzuciłam sen i otworzyłam zaczerwienione oczy.

Świtało i przez otwarty balkon do królewskiej komnaty wdzierało się słońce. Drzwi balkonowe były otwarte, gdy Kjell wepchnął mnie do pokoju, ale nie zamknął ich, jakby było to niepotrzebne lub wręcz zbędne. Zupełnie jakby król we własnej osobie mógł wyłonić się z mroku nocy i wejść przez balkon. Tymczasem wrócił poranek, lecz król nie. Mrugałam zmęczonymi powiekami, przyłapaną w tym dziwnym stanie, w którym jawa miesza się ze snem.

Na poręczy balkonowej siedział orzeł z lasu, lecz bez śladu strzały w piersi. Patrzyłam na niego przez zaszklone oczy i na wpół przymknięte powieki bez cienia strachu, bo nie wierzyłam, że to nie jest sen. Widział mnie, tego byłam pewna. Przechylił głowę i krzyknął, jakby chciał mnie ostrzec przed podejściem.

Drzwi do królewskiej komnaty otwarły się z hukiem i do środka wpadł Kjell. Zerwałam się na równe nogi, otrząsając

się z resztek snu. Orzeł zniknął.

— Gdzie on jest? — wrzasnął Kjell, jakbym uprzedła ze śpiącego króla złoty posąg. Potrząsnęłam głową bezradnie i rozłożyłam ramiona, wskazując pustą komnatę. Rozglądał się z rękami na biodrach, emanując frustracją. Wokół niego unosiło się słowo *bezradność*. Tym razem nie tyle usłyszałam słowo, ile je zobaczyłam. Rozpoznałam literę S — kulącego się węża, który syczał przez chwilę, lecz zniknął, gdy Kjell się poruszył.

Chwycił mnie za ramię. Wyrwałam mu się i rzuciłam się w stronę stołu z królewskimi książkami. Wzięłam pierwszą, której dotknęłam, i przycisnęłam ją do piersi.

— Odlóż ją — krzyknął.

Wyminęłam go szybko, wybiegłam przez drzwi, które zostawił otwarte, i pomknęłam szerokim korytarzem. Z chęcią wrócę do swojego pokoju, ale z książką.

Biegłam, a Kjell dyszał wściekle za moimi plecami. Bez trudu znalazłam drogę w krętych korytarzach. Gdy w końcu stanęłam przed drzwiami do mojego pokoju w wieży, zatrzymał się gwałtownie, łapiąc chciwie oddech, i spojrzał na mnie, jakbym kompletnie zgłupiała.

Uderzyłam z mocą w książkę, którą przyciskałam do piersi, żeby zrozumiał powód mojego biegu. Następnie stuknęłam w drzwi pokoju, w którym byłam przetrzymywana przez dwa długie tygodnie. Potrząsnął głową i zaklął z irytacją, po czym odepchnął mnie na bok i otworzył drzwi. Po raz kolejny zostałam wepchnięta do środka — cóż za denerwujący zwyczaj — bez wyjaśnienia, czego ode mnie oczekiwał, i bez słowa na temat miejsca pobytu króla. Ale nie zabrał mi książki.



Kjell wrócił po niespełna godzinie. Byłam wykąpana i ubrana, ale miałam bose stopy, włosy opadały mi mokrymi strąkami na plecy i nie zdążyłam jeszcze naruszyć swojego postu. Wpadł do środka, a ja musiałam wykrzesać całą siłę woli, by nie rzucić w niego kielichem. Gdy jak zwykle ostro i mocno szarpnął mnie za ramię, odepchnęłam go najsilniej jak potrafiłam. Był równie krzepki jak król, ale zachwiał się tylko dlatego, że go zaskoczyłam. Pogroziłam mu palcem i uniosłam podbródek. Potem odwróciłam się i ruszyłam w stronę drzwi, demonstrując mu, że pójdę tam, gdzie chce mnie zaprowadzić, ale nie pozwolę sobą pomiatać. Próbował znowu mnie chwycić, ale klepnęłam go w dłoń i kopnęłam w nogę.

— Dobrze. Nie będę cię dotykał. Król cię wezwał. Chodź za mną.

Ruszyłam za nim grzecznie, lecz z uniesionym podbródkiem i ze splecionymi dłońmi. Gdy jednak przymierzył się, by wepchnąć mnie do królewskiej komnaty, rzuciłam mu tak wrogie spojrzenie, że znowu opuścił ręce i skłonił się nieznacznie, jakby ze skruchą.

— Prosił o ciebie. Dlatego tu jesteś. *Tylko* dlatego tu jesteś — wyjaśnił niechętnie i odstąpił o krok, by zrobić mi przejście. Tym razem nie odszedł, lecz wkroczył za mną do środka i zamknął drzwi na klucz.

Król nie był spętany łańcuchami, jak za pierwszym razem, gdy zostałam wezwana, leżał jednak w łóżku, cały drżał i miał rozpaloną skórę. Pościel, która nie była owinięta wokół niego, leżała bezładnie na podłodze. Gdy się zbliżyłam, otwarł oczy i spróbował się podnieść. Miał na sobie tylko luźne bryczesy z miękkiego materiału. Pomyślałam, że założono mu je ze względu na mnie, i w myślach podziękowałam za to Bogom. Gdzie on się podziewał przez całą noc?

Gdybym była w posiadłości ojca, mogłabym przyrzędzić mu eliksir lub mieszankę ziołową, bo miałam tam swoje zapasy w

starannie uporządkowanych butelkach i fiolkach. Tutaj nie miałam niczego, co mogłoby uśmierzyć jego ból lub obniżyć gorączkę. Nie byłam nawet w stanie powiedzieć Kjellowi, czego potrzebuję, ani wysłać kogoś z zapotrzebowaniem do kuchni. Myślałam o słowach, które mu przekazywałam, gdy był przypięty do ściany. Przyniosły mu pociechę i ulgę. Nie śmiałam go jednak dotykać w taki sposób w obecności Kjella. Nie przeżyłabym najbliższej nocy.

Nieufność zatruwała powietrze, przestałam więc zwracać uwagę na Kjella i skupiłam się na pilniejszej kwestii, czyli na tajemniczym królu, emanującym siłą i energią, lecz zmagającym się z dolegliwością, którą najwyraźniej ukrywał przed służbą i poddanymi.

Nalałam wody z dzbana do stojącej na stoliku misy, przyniosłam ją do łóżka, a potem zamaczałam w niej szmatkę, wykręcałam ją i ocierałam mu ramiona i klatkę piersiową. Powtarzałam to tak długo, aż woda w misie zrobiła się ciepła, a ja byłam cała przemoczona. Nie pomagało mu to zbyt, lecz nie narzekał, obserwując mnie wyczerpanymi oczami. Jego agonia pulsowała jak bęben. Łomotanie stawało się coraz bardziej ogłuszające. Zastanawiałam się, dlaczego tylko ja to słyszę. Zawsze tak było. *Ja* zawsze taka byłam — słyszałam słowa, których nikt nie wypowiadał.

Zamknęłam oczy z rezygnacją.

— Kjell. — Głos króla był zaskakująco mocny.

— Tak, Tirasie? — Kjell natychmiast podszedł do łóżka z dłonią na rękojeści miecza, jakby dręczącą króla chorobę można było pokonać w walce.

— Zostaw nas samych.

Kjell zmierzył mnie wzrokiem, niebezpiecznie przymrużył powieki, ale bez dyskusji spełnił polecenie.

— Będę tuż za drzwiami, Tirasie. — Spojrzał na mnie

ostrzegawczo, przekazując mi, że będzie w pobliżu na wypadek, gdybym planowała zabójstwo. Roześmiałabym się, gdyby król nie był tak chory.

Drzwi zamknęły się cicho, a ja spojrzałam Tirasowi w oczy. Wyglądał na równie zmartwionego jak ja. Nie wił się w potwornych cierpieniach jak tamtej nocy, gdy był zakuty w kajdany. Wydawał się raczej chory niż nękany bólem. Zastanawiałam się, co mu w ogóle jest.

— Połóż na mnie swoje dłonie — polecił łagodnym głosem. — Tak jak zrobiłaś przedtem.

Potrząsnęłam głową, żeby zyskać trochę czasu i lepiej to zrozumieć. Wskazałam na jego brzuch i przechyliłam pytająco głowę. Pokręcił głową. Położyłam palce na jego gardle i uniosłam brew. Znowu pokręcił głową. Dotknęłam jego skroni, uszu, ramion i nóg. W końcu się odezwał, odpowiadając na moje pytanie.

— Boli mnie wszędzie — wyjaśnił cicho. — Jakbym miał ogień pod skórą.

Nagle ja też poczułam ogień pod skórą oraz ciepło wypływające na policzki i buzujące w klatce piersiowej. Ostatnio był prawie nieprzytomny. Tym razem patrzył mi prosto w twarz i ten akt stał się strasznie intymny. Siedząc obok niego na łóżku, przycisnęłam dłonie do jego serca i zamknęłam oczy. Ręce mi drżały. Poczułam, że przykrywa je swoimi.

— Boisz się — mruknął. Przytaknęłam, nie otwierając oczu.

— Boisz się mnie?

Znowu przytaknęłam. Tak, bałam się go. Bałam się, że nie będę w stanie mu pomóc lub, co gorsza, że będę w stanie, przez co zostanę uznana za Uzdrowiciela. I skazana na śmierć.

Zabrakło mu tchu, wygiął się na łóżku w agonii i zupełnie

zapomniał o swoim pytaniu. Przycisnęłam go z powrotem do łóżka, wyrównałam dłonie i spróbowałam się skupić.

Bólu przemiń, odejdź precz, ochłoń, skóro, lecz się, lecz,
instruowałam go, wpychając palcami słowa w jego skórę.

Ogniu, przemiń,

Odejdź precz,

Zaśnij teraz,

Lecz się, lecz.

Słowa były jak zaklęcie unoszące się w powietrzu. Podobał mi się ich rytm i rym. Łatwiej mi się było na nich skupić i wypuszczać je w powietrze. Nagle przyszło mi do głowy, że może dlatego czarownice tworzą rymujące się zaklęcia. Słowa są wtedy potężniejsze. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłam. Moje słowa były zawsze pojedyncze. Proste. Czulałam jednak, że skóra Tirasa robi się coraz chłodniejsza i wilgotna pod wpływem mojej milczącej intonacji, zachęcającej jego ciało do powrotu do zdrowia i zapadnięcia w sen.

I tak jak wcześniej, pozbyłam się całej energii i, skulona przy boku Tirasa, zasnęłam jak zabita. Musiało minąć sporo czasu, bo gdy się zbudziłam, znowu zapadał zmrok. Ktoś zapalił na świeczniku ściennym świecę, które rozświetlały ciemną komnatę mizernym brązowym światłem. Usiadłam zdezorientowana i zszokowana wpływem tak wielu godzin. Król spał obok mnie. Niepewnie dotknęłam jego skóry — była chłodna i sucha. Położyłam głowę na jego piersi. Słuchając jego serca i równego oddechu, niemal znowu zasnęłam, tak głęboką czulałam ulgę. Nagle się odezwał. Wzdrygnęłam się i syknęłam, gdy jego głos zadudnił w ciemnościach. Tylko taki odgłos potrafiłam z siebie wydobyć.

— Spałaś w moim łóżku — zauważył łagodnie, jakbym właśnie doświadczyła ogromnego przywileju. Spojrzałam na jego uśmiechniętą twarz. Nasze oczy powoli przyzwyczajały

się do słabego oświetlenia. Odsunęłam się od niego i wstałam z taką godnością, na jaką potrafiłam się zdobyć; spałam jak zabita i czułam się jak trup. Drżąca, słaba i zdecydowanie zbyt wyczerpana, by wdawać się w polemikę z aroganckim królem.

— Lark.

Zatrzymałam się w drodze do drzwi i z uginającymi się kolanami czekałam na to, co powie. Usłyszałam, że także wstał. Sprawiał wrażenie, jakby czuł się na nogach znacznie pewniej niż ja. Odwróciłam się i obserwowałam, jak podchodzi do stołu, na którym stały karafka z winem, dzban z wodą i prosta kolacja. Zastanawiałam się, kto widział mnie w łóżku z królem, i modliłam się, żeby to był tylko Kjell, który znał powód mojej obecności w tej komnacie. Tiras nalał sobie wody, wypił ją i ponownie napełnił kielich. Wypił drugi, jego gardło chciwie chłonęło płyn. Gdy skończył, nalał sobie wina. W moją stronę także wyciągnął kielich z winem. Wzięłam go i pociągnęłam łyk z wdzięcznością, bo potrzebowałam tego kojącego ciepła w brzuchu.

— Pomogłaś mi — stwierdził cicho. — To teraz... co mogę ci dać w zamian?

Nie wyjaśnił, co mu było, na co cierpiał ani co mu dolegało, ale po raz kolejny wydawał się całkowicie wyleczony.

— Narysuj mi obrazek, pokaż mi, czego pragniesz — naciskał.

Zastanawiałam się, czy gdybym naszkicowała dom, to pozwoliliby mi wrócić. Nie miało to znaczenia, bo i tak bym o to nie poprosiła. Nie chciałam wracać do Corvyn. Chciałam czytać.

Podeszłam do regałów uginających się od książek i nabożnie przeciągnęłam dłonią po ich grzbietach, żadnej jednak nie wyciągnęłam. Było coś, czego pragnęłam bardziej niż książek. Odwróciłam się z powrotem do króla i padłam na kolana, a

potem zaczęłam dłońmi naśladować ruch głaskania niewidzialnej brody. Chciałam się zobaczyć z Boojohnim.

Król skrzywił się zdezorientowany na widok mojej pantomimy, ale chwilę później jego twarz się rozjaśniła i zaśmiał się w głos, przez co podskoczyłam, a serce stanęło mi na chwilę w piersi. Był taki zagadkowy.

— Troll? — spytał, nie przestając się śmiać. — Chcesz się zobaczyć z trollem?

Przytaknęłam gorliwie i wstałam.

— Zrobione. Co jeszcze?

Był skłonny dać mi coś jeszcze? Przygryzłam wargę, żeby okiełznać swoje uradowanie, i odwróciłam się w stronę regałów. Wyciągnęłam najgrubszy tom, jaki znalazłam, i przytuliłam go jak przyjaciela.

— Mogłem się domyślić. — Podeszedł do mnie i wyciągnął książkę z moich objęć. — *Sztuka wojny*? — spytał. — Tę książkę sobie życzysz?

Nie obchodziło mnie, o czym jest książka, chciałam oglądać słowa. Odebrałam mu ją zdecydowanym gestem. Miał nagi tors, a bryczesy wisiały mu nisko na biodrach, przez co wyglądał chyba bardziej nieprzyzwoicie, niż gdyby nie miał na sobie nic. Nie przywykłam do oglądania mężczyzn w takim odzieniu, ale on chyba czuł się zupełnie swobodnie. Odwróciłam twarz na bok i skupiłam wzrok na drzwiach.

Obserwował mnie w milczeniu. Czułam jego spojrzenie na swojej twarzy i pytanie w jego myślach.

— Chcesz, żebym ci ją poczytał?

Natychmiast wróciłam wzrokiem do jego oczu. Bardzo tego chciałam, dobrze o tym wiedział.

Podeszłam do jego łóżka, podniosłam porzucony na boku granatowy szlafrok i podałam mu go. Wyciągnęłam dłoń w jego

stronę i odwróciłam oczy. Wziął go ode mnie, a ja, nie czekając, aż mną pokieruje, usiadłam na półokrągłej sofie naprzeciw olbrzymiego paleniska, odstawiłam wino i otwarałam książkę na kolanach. Usiadł obok mnie. Czytał niskim i ciepłym głosem, wygładzając dłonią kartkę.

— Fundamentem trwałej cywilizacji jest krew jej obywateli. Wszędzie, gdzie jest życie, są też konflikty.

Przerwałam mu i wskazałam litery Ż, które pojawiły się kilkakrotnie, ale miały inny dźwięk. Tiras powoli powtarzał wskazane słowa, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

— Życie?

Przytaknęłam i wskazałam na tę samą literę w innym słowie.

— Też?

Wskazałam ponownie pierwsze słowo, a on je powtórzył. Wyciągnęłam dwa palce i wskazałam na litery Ż w obu słowach.

— Inaczej się je czyta? — zgadywał.

Przytaknęłam.

— Wiele liter czyta się na więcej niż jeden sposób.

Patrzyłam na przeczytane przez niego słowa, starając się nie rozpląkać z dezorientacji. Nigdy nie nauczę się czytać.

— Możemy kontynuować? — spytał łagodnie, jakby wyczuwał moje rozterki. Przytaknęłam ze wzrokiem wbitym w stronę. — Ale wojna w każdej formie i przejawie jest sztuką, którą prawdziwy przywódca musi opanować i wykorzystywać. — Westchnął. — Może przejdziemy dalej do rozdziału o patroszeniu? To jest trochę nudne.

Położyłam dłoń na stronie i postukałam niecierpliwie w słowa, a on znowu westchnął. Zaczęłam wodzić palcem pod każdym czytany słowem, żeby dopasować brzmienie liter do ich kształtów, ale niemal od razu się zgubiłam. Chyba

zrozumiał, o co mi chodziło, bo położył dłoń na mojej i przesunął ją w trakcie lektury, żebym wiedziała, gdzie jesteśmy. Czytał powoli i wyraźnie, odszyfrowując słowa o życiu i śmierci, zwycięskich armiach i bezlitosnych królach, o krwi, wojnie i poddaniu. Mimo tych szokujących treści starałam się jak najwięcej nauczyć.

8



Król wrócił do mojej komnaty z Boojohnim już następnego ranka. Nie mogłam się powstrzymać i przywarłam do swojego przyjaciela z desperacją samotnego dziecka, a on głaskał mnie po włosach. W końcu wytarłam wilgotne oczy w jego brodę, odsunęłam się i zaczęłam wodzić dłońmi wzdłuż jego krótkich ramion i krępych nóg, na swój sposób pytając go, czy nic mu nie jest.

Zaśmiał się i delikatnie trzepnął mnie po palcach.

— Mam się dobrze, Ptaszku.

Chciałam, żeby szczegółowo opowiedział mi o swoim zakwaterowaniu i utrzymaniu oraz o tym, co robił przez ten cały czas od przybycia do Jeru, ale on rozglądał się bacznie po moich pomieszczeniach, jakby też chciał się upewnić, że o mnie dbano. Król stał z tyłu, pozwalając nam nacieszyć się chwilą. Czułam się niezręcznie w jego obecności, ale on nie wyglądał, jakby był skłonny zostawić nas samych.

Pokazałam Boojohniemu książkę i napisane przez króla litery, a potem starannie napisałam własne imię na czystym arkuszu, żeby mu je pokazać. Pełna ekscytacji wskazałam słowo, a potem siebie.

— Lark? Tak się pisze Lark? — spytał Boojohni z uśmiechem.

Przytaknęłam z emfazą. Wziął mi pióro, napisał B — jedną z

niewielu liter, jakie znałam już wcześniej — i poklepał się po torsie. Wiedziałam, że w jego imieniu musi być więcej liter niż tylko B, więc stukając w nią, niecierpliwie skinęłam na króla.

— Ona chce, żebyś napisał moje imię, Wasza Wysokość — wyjaśnił Boojohni, chociaż król zdawał się doskonale rozumieć moją potrzebę.

— Masz imię od nazwy jeziora w lesie Drue, na granicy Firi?

Boojohni wyprężył się z dumą.

— Tak. W lesie Drue mieszka wiele stworzeń. — Nagle na jego twarzy pojawił się niepokój, jakby przestraszył się, że król wyśle gwardzistów, żeby podpalił las i wycięli owe stworzenia w pień, ale król Tiras tylko przytaknął i zaczął pisać. Obserwowałam z fascynacją, jak dodaje kolejne litery — drugą, czwartą, wreszcie ósmą. Boojohni miał imponujące imię.

Starannie obejrzałam każdą literę, przyporządkowując jej odpowiednie brzmienie, ale nie byłam pewna, czy zrobiłam to poprawnie. Zamknęłam oczy i pod moimi powiekami zaczęło drgać to słowo, uwolnione imię Boojohniego.

— Co? — spytał Boojohni, a ja otwierałam gwałtownie oczy, przez co słowo pękło jak bańka mydlana.

Boojohni patrzył na mnie dziwnie. Potem spojrzał za mnie, w stronę drzwi do mojego pokoju. Wyglądał, jakby nasłuchiwał. W końcu skłonił się królowi.

— Sądzę, że jestem tam potrzebny, Wasza Wysokość. — Spojrzał na mnie. — Wrócę, Ptaszku. Obiecuję. Będę przychodził każdego dnia. — Rzucił królowi niemal agresywne spojrzenie, jakby chciał przekazać, że nie popuści w tej kwestii.

— Możesz wrócić jutro — odparł król lekkim tonem. — Ale w towarzystwie gwardzisty, trollu. Nie chcę, żeby nasz mały skowronek odfrunął.

Poczułam na skórze płomień gniewu, lecz Boojohni pochylił się nieznacznie, przystając na ten warunek. A potem pospiesznie wyszedł. Patrzyłam za nim, próbując zwalczyć rozpacz. Dopiero co się pojawił, a już znowu znikł.

— Czego chciałabyś się dzisiaj nauczyć? — spytał król łagodnie. Przełknęłam kotłujące się w piersi emocje, skłoniłam łzy, żeby spłynęły gardłem, i stłumiłam płonący w trzewiach ogień wściekłości.

Odwróciłam się do niego z determinacją i dotknęłam ust. Zmarszczył brwi, które wyglądały jak czarne błyskawice nad przymrużonymi powiekami. Przestrzeń między nami wypełniła fala dezorientacji i czegoś jeszcze, czego nie potrafiłam nazwać.

Ponownie dotknęłam ust zdecydowanym gestem i wskazałam litery. Jego czoło nieznacznie się wygładziło.

— Chcesz wiedzieć, jak się je czyta?

Kiwnęłam głową i przytknęłam dłoń do uszu, jakbym nasłuchiwała.

— Brzmienie? Chcesz poznać brzmienie każdej z liter?

Wypuściłam powietrze z płuc, a moja frustracja znacznie osłabła. Ponownie kiwnęłam głową.

Przez najbliższą godzinę Tiras powtarzał mi nazwy liter i ich wymowę. Miał ściągnięte usta i melodyjny głos. Bacznie obserwowałam kształt jego warg i wsłuchiwałam się w teksturę wydobywanych przez niego tonów. Mogłam je powtarzać jedynie w myślach, ale potakiwałam i poruszałam ustami razem z nim oraz zapisywałam kształt litery, którą nazywał. Był cierpliwy, wyjątkowo, zważywszy na jego mrukliwą naturę. Ciekawe, czy byłby równie cierpliwy, gdybym zadała te wszystkie pytania, które chodziły mi po głowie. Nie byłam w stanie tego zrobić, a on przebiegał z pośpiechem przez nazwy i wymowę, zatrzymując się tylko

wtedy, gdy się krzywiłam lub uporczywie stukałam w jakąś literę, próbując skłonić go do wolniejszej powtórki. W końcu zaczął chodzić po pokoju jak uwięziony lew, więc porzuciłam stół i staranne kreślenie poszczególnych kształtów i ciągnąc go i z uporem wskazując mu różne rzeczy, skłaniałam go do napisania mi nazw wszystkich przedmiotów w pokoju. A on zrezygnował z papieru i zaczął pisać słowa węglem lub farbą na wszystkich powierzchniach.

— Łatwo to zmyć lub zamalować — stwierdził z beztroskim wzruszeniem ramion człowieka, który nigdy nie musiał po sobie sprzątać. Zaśmiałam się cicho, obserwując, jak wypełnia mój pokój słowami, malując po meblach i ścianach jak niegrzeczny chłopczyk. Kreślił też proste rysunki, żeby napisać mi nazwy rzeczy, których nie było w pokoju — zwierzęta, drzewa, krzewy i rośliny. Zaczęłam rysować razem z nim, bo byłam w tym znacznie lepsza od niego, a on podpisywał moje szkice i wypowiadał słowa na głos, zdradzając mi ich brzmienie, żebym mogła je rozpoznać.

Pokojówka jęknęła, gdy przyniosła mi kolację, ale król spojrział na nią z wyniosłym lekceważeniem, więc skłoniła się, wyjąkała coś i natychmiast wyszła z pokoju. Musiała powiedzieć o tym reszcie służby, bo nikt już później mnie nie ganił ani nie próbował zmywać słów.

Król spędził dzień ze mną, a gdy wyszedł, chodziłam od słowa do słowa, dotykałam ich i wypowiadałam w myślach ich nazwy. Nie mogłam powstrzymać łez, które wzbierały w moich oczach i spływały po policzkach w trakcie tego procesu. To był najszcześniejszy dzień mojego życia.

Tej nocy, tak jak poprzedniej, śniły mi się słowa kotłujące się w powietrzu nade mną. We śnie potrafiłam mówić, mój język nie był związany, a głos nie był uwięziony w gardle. Miałam kontrolę nad słowami i chodziłam po zamku króla Tirasa, otwierając drzwi i przesuwając meble, aż wreszcie wróciłam na swój balkon i poczułam pragnienie latania.

Wzięłam słowo *latać* ze swoich ust i przycisnęłam je sobie do piersi, nakazując swojemu ciału, by wzniosło się jak laleczka z mojego najstraszliwszego wspomnienia, a kiedy znalazłam się na niebie, pojawił się tam Książę Laleczek, ten sam, który spowodował śmierć mojej matki, i zaczął mnie do siebie przyzywać. Lecieliśmy razem, a on zmienił się w olbrzymiego orła z białą głową i potężnymi czarnymi skrzydłami. Nie mogłam dotrzymać mu tempa, więc położyłam się na jego grzbiecie. Trzymałam go mocno za szyję i czułam pod sobą jego miękkie pióra. Lataliśmy tak, aż nad jeruwiańskimi wzgórzami pojawiły się przebłyski świtu. Wtedy orzeł znikł, a ja spadałam, młóćąc rękami w powietrzu, bo nie potrafiłam sobie przypomnieć słowa, które by mnie ocaliło.



Następnego dnia Greta przyniosła mi stos książek — znacznie cieńszych i prostszych niż *Sztuka wojny* — i stwierdziła z przekąsem, że to od króla. Zaczęłam pochłaniać słowa, odszyfrowywać je, odkrywać, zupełnie tracąc poczucie czasu w tych poszukiwaniach języka. Chciałam umieć mówić, chociażby tylko na papierze, więc byłam nienasycona. W przeciwieństwie do typowego ucznia byłam zdeterminowana i pragnęłam wiedzy.

W końcu nadeszła noc. Zapaliłam tuzin świec, by kontynuować naukę. Co chwilę zasypiałam w tym stosie książek, a gdy się budziłam, zaczynałam od nowa. Słowa, których nie potrafiłam odczytać, zamieszczałam na szybko rosnącej liście dla króla, żeby mi je odczytał i wyjaśnił podczas kolejnych odwiedzin.

Zdarzały się kombinacje liter, które nie miały większego sensu, i słowa przeczące temu, co dotychczas przyswoiłam, ale zapamiętywałam wszystkie i po kilku tygodniach myśli zaczęły pojawiać się pod powiekami w postaci zapisanych zdań, w pełni uformowanych i kompletnych. Były to proste

zdania, niepozbawione luk i błędów literowych, ale zdania. Którejś nocy, gdy morzył mnie już sen i bolały mnie oczy, poprosiłam świecę, by się przysunęła. *Chodź tu, świeco.* Zdanie drgało w powietrzu jak tekst na stronie.

I świeca posłuchała.

Przerażona jęknęłam i zerwałam się z krzesła, przez co świeca przewróciła się prosto na otwartą książkę. Płomień liznął kartkę jak kot rozlane mleko i niemal natychmiast buchnął z pełną siłą.

Ogień błyskawicznie przeskakiwał z jednego zakurzonego tomu na kolejny i kolejny, i wkrótce, rozprzestrzeniając się z głośnym świstem, ogarnął cały stół. Pobiełam po misę z wodą i odwróciłam ją do góry dnem nad płomieniami, ale to nie wystarczyło. Ogień przeskoczył na krzesła. Próbowałam go stłumić leżącym na podłodze ciężkim plecionym dywanem. Okazał się nieskuteczny, może przez mój strach, bo wycofałam się, gdy płomień urosły ponad moją głowę. Wokół mnie kłębił się dym. Pobiełam w stronę drzwi i zaczęłam w nie rozpaczliwie łomotać. Wiatr z otwartych drzwi balkonowych pociągnął płomień w stronę zasłon, które momentalnie się zajęły, odcinając mi jedyną drogę ucieczki z pokoju. Próbowałam znaleźć słowa na okiełznanie ognia, ale byłam przerażona, co nie sprzyjało formowaniu składnych zdań.

Osunęłam się na zimną kamienną posadzkę i starając się oddychać, desperacko główkowałam.

Wyjdź, ogniu. Wyjdź.

Zobaczyłam unoszące się słowa, a ogień z mojego pokoju wyleciał przez drzwi balkonowe, nie gasnąc. Nie do końca o to mi chodziło. Pobiełam na balkon za stworzoną przez siebie płomienną zjawą. Wyszła z mojego pokoju i wspinała się po murach jak żywa istota. Ogień po prostu wyszedł na zewnątrz. Ktoś musiał go zauważyć, bo usłyszałam krzyk.

Jak się pisze „zniknij”? Przeszukiwałam pamięć, krztusząc

się dymem, który wypełniał mój pokój.

Zniknij, ogniu, zupełnie, niech tu ciebie nie będzie, nakazałam wściekle. Słowa były tłuste i niebieskie, zimne i wyraźne. Patrzyłam, jak opadają na ogień, który natychmiast zaskwierczał.

Powtórzyłam rymowanekę, tym razem z większym przekonaniem. Słowa wystrzeliły z mojego umysłu, a ogień zupełnie zniknął. Z poczerniałej ściany uniosła się biała wstążka dymu, a po pożarze został tylko ślad z sadzy.

Próbowałam zmusić sadzę, by także zniknęła, ale ta uparcie trzymała się ściany, co oznaczało, że mogę wywołać pożar, ale nie uchronię się przed naturalnymi konsekwencjami swoich błędów.

Drzwi do mojego pokoju otwały się z trzaskiem i do środka wpadł wściekły Tiras, machając dłońmi, by rozgonić dym, po czym chwycił mnie w ramiona.

— Próbujesz się zabić? Czy odwrócić uwagę, żeby uciec? To wysoka wieża, nawet dla skowronka.

Nagle w środku zaroilo się od służby. Ja — potargana i przerażona — zostałam wyprowadzona z zadymionego pomieszczenia. Król porzucił mnie w innej komnacie, tuż obok jego kwater, i warknął, że spłónięcie żywcem to paskudny pomysł na śmierć.

Chwyciłam kurczowo obitych jedwabiem podłokietników fotela, na który zostałam rzucona, wściekając się na takie pomiatanie.

Co za cienias! Słowa *cienias* i *Tiras* niemal zlały się w moich myślach w jedno.

— Uważasz, że jestem cieniasem? — spytał głosem ochrypłym z gniewu.

Podniosłam wzrok i trafiłam na jego spojrzenie.

Wyglądasz jak bóg, a zachowujesz się jak ogr.

— Ogr? — Jego głos był na wskroś przesiąknięty niedowierzaniem. — Bóg?

Zerwałam się na równe nogi, aż fotel szurnął po podłodze. Najpierw świeca. Teraz król.

Przestań to robić.

Zrobił równie wielkie oczy jak moje i powoli do mnie podszedł.

— Co robić? — szepnął z wzrokiem wbitym w moje wargi, jakby czekał, aż się poruszą.

Niemożliwe.

Przytaknął. A potem pokręcił głową, jakby chciał się z tego otrząsnąć.

— Zrób to znowu — nakazał szorstko.

Tym razem to ja pokręciłam głową.

— Zrób — powtórzył. Usiadłam z powrotem na fotelu, a raczej na niego opadłam, bo nagle nogi tak mi zmiękły, że nie byłam w stanie się na nich utrzymać.

— Lark — zażądał, z niecierpliwością obserwując moje usta.

Nie byłam pewna, co właściwie robię. Ale wysłałam mu słowo tak, jak często robiłam z Boojohnim. Przypadkowe słowo, pierwsze, które przyszło mi do głowy. Najwyraźniej miałam słabość do słów z literą S na końcu.

Całus.

— Całus? — syknął.

Poczułam nagłą falę gorąca na twarzy i przyłożyłam dłonie do policzków.

Przestań patrzeć na moje usta.

— Patrzę na twoje usta, bo cię słyszę. Ale ty nie mówisz — szepnął ze zdumieniem. Nachylił się nade mną, zamykając mi możliwość wstania ze zdobionego fotela i podniósł mi palcami podbródek, żebym musiała spojrzeć mu w oczy.

— Jeszcze raz — nakazał.

Tiras.

— Tiras — powtórzył.

Lark.

— Lark. — Jego głos był pełen podziwu.

Klatka.

— Klatka.

Strach.

— Strach? — Jego czarne oczy nagle wściekle zapłonęły. Nie mogłam znieść tego, że jego twarz znajduje się zaledwie kilka cali od mojej.

Zamknęłam oczy w poszukiwaniu prywatności, którą niespodziewanie straciłam. Chciałam, żeby wyszedł. Chciałam, żeby zostawił mnie samą.

Wyjdź.

— Dlaczego? — spytał łagodnie.

To bolesne.

— Bolesne? — Jego oddech łaskotał mnie w twarz. Nie mogłam jeszcze bardziej zatopić się w fotelu, a on był wszędzie. W mojej głowie i w mojej przestrzeni, unosząc się nade mną jak anioł zemsty. Walczyłam z paniką, która coraz bardziej we mnie wzbierała.

Przycisnęłam dłonie do klatki piersiowej. Nagle poczułam taki ból, że z trudem łapałam oddech. Serce łomotało mi jak szalone, a oddychając, miałam wrażenie, że wciągam w płuca

odłamki szkła.

— Odpowiedz — nakazał.

Potrząsnęłam głową. *Nie. Nie. Nie.* Nie potrafiłam wyjaśnić, jakie to uczucie rozmawiać z drugim człowiekiem. Naprawdę *rozmawiać*. Przez większość życia nie potrafiłam podzielić się z nikim swoimi myślami. Mogłam tylko rzucać przedmiotami, gdy byłam wściekła. Albo płakać, gdy się smuciłam. Byłam ograniczona do dygnięć i przytaknięć, a ludzie odwracali głowy lub frustrowali się, gdy nie umieli odczytać, co próbuję im przekazać.

Przez tak długi czas byłam samotna z tysiącami słów, których nie potrafiłam wyrazić. A teraz ten mężczyzna, ten irytujący i piękny mężczyzna, syn króla mordercy, słyszał mnie tak, jakbym mówiła na głos. Byłam kobietą, a nie ptakiem w klatce. Istotą ludzką, a nie milczącą obecnością w cieniu.

I nie wiedziałam, jak się z tym czuć.

Idź, Tirasie. Proszę.

Nie otwierałam oczu i starałam się mieć niejasne myśli, żeby nie wymknęło mi się żadne inne słowo. Poczułam, że się prostuje, i jego ciepło zniknęło. Usłyszałam kroki, a potem otwieranie i zamykanie drzwi oraz przekręcany klucz w zamku.

9



Z balkonu swojego nowego pokoju widziałam, jak gwardziści królewscy ćwiczą manewry i pojedynkują się ze sobą. Czasem dołączał do nich Tiras, a Kjell był wśród nich prawie zawsze. Sprawiali wrażenie, jakby czerpali niezwykłą przyjemność z wzajemnego powalania się i utaczania sobie krwi.

Ale królewskie obowiązki wykraczały poza walkę i ćwiczenia z tymi mężczyznami. Raz w tygodniu ludzie ustawiali się w długiej kolejce dookoła zamku, żeby przedłożyć królowi swoje problemy, bolączki i oskarżenia. Greta wyjaśniła, że od świtu do zmierzchu król przyjmował każdego po kolei. Żałowałam, że nie mogę tego posłuchać. Z mojego balkonu mogłam jedynie obserwować sznur ludzi i snuć spekulacje na temat powodu ich wizyty u króla. To musiało być wyczerpujące — konieczność podejmowania jednej decyzji za drugą, gdy wszyscy oczekują od niego sprawiedliwości i rozsądku.

Z balkonu miałam też dość dobry widok na plac miejski, gdzie ludzie gromadzili się w celach towarzyskich i by napełnić swoje wiadra. Co ciekawe, większość nie przychodziła tu po wodę. Nachylali się tylko nad studnię pojedynczo i sprawiali wrażenie, jakby chcieli zajrzeć w głąbię i jakby coś lub kogoś wzywali. Dziwne to było. Do spojrzenia w studnię także tworzyła się kolejka i była niemal równie długa, jak ta do króla w dzień przesłuchań.

Na placu miejskim wykonywano też kary publiczne wynikające z królewskiego prawa. Widziałam człowieka wleczonego przez konie i kobietę zakutą w dyby. Jednej kobiecie odcięto dłoń, a innej język. Nie znałam ich wykroczeń, ale snułam domysły. Czy to Powiadaczka straciła język? Czy to Prządce odcięto dłoń? Gdy uświadomiłam sobie, co się dzieje, skuliłam się w swoim pokoju, zamknąwszy drzwi balkonowe, żeby nie słyszeć tłumów i nie widzieć tych straszliwych publicznych demonstracji prawa.

Zastanawiałam się nad karą za wzniecenie pożaru w zamku, za wkładanie słów do głowy króla, za mówienie bez głosu, za przesuwanie przedmiotów umysłem i straciłam przekonanie o swojej niewinności. Uświadomiłam sobie szkody, jakie mogę wyrządzić, i wpadłam w lęk. Nie powstrzymał mnie on jednak przed formowaniem słów, składaniem liter, tworzeniem wyrazów i gorączką myśli.

W olbrzymiej garderobie wisiały nowe ubiory, pasujące bardziej do księżniczki niż do więźnia, który nigdy nie wychodzi z pokoju. Służba królewska umyła ściany i wymieniła ciężkie kotary w drzwiach balkonowych mojej starej komnaty. Obrazki i słowa zostały zmyte lub zamalowane, ale w zapachu farby i mydła wciąż wyczuwałam ślady dymu, przypominającego o tym, do czego może doprowadzić nieostrożne słowo. Książki także zniknęły. Zastanawiałam się, czy Tiras dostarczy mi nowe. Może go przeraziłam tak samo, jak przeraziłam samą siebie.

Strach nie powstrzymał mnie też przed eksperymentowaniem, gdy byłam sama. Próbowałam zmusić swój głos do zadziałania, ale pozostawał zamrożony w moim gardle, nie zważając na moje żądania. Słowa nie działały, gdy odnosiłam je do siebie. Nie mogłam latać ani mówić, ani malować, szyć lub tańczyć lepiej, niż umiałam sama z siebie. Nie potrafiłam zmienić w sobie niczego. Odkryłam jednak, że gdy wydawałam jakieś polecenie, wizualizując sobie słowa w

umyśle, a potem wysyłając je w świat, miały dużą skuteczność. Ograniczały mnie tylko moja ignorancja, strach i własne wyobrażenie o tym, co dobre i złe.

Sprawiłam, że suknie tańczyły po mojej komnacie jak bezgłowe duchy na królewskim balu. Meble unosiły się i stawały na suficie. Zamek w drzwiach także posłusznie się otworzył, a ja stanęłam w korytarzu przed swoim pokojem i zastanawiałam się, co zrobić i dokąd pójść, skoro bez trudu mogłam uciec.

Byłam wolna. Potężna. I przerażona.

Wróciłam do pokoju, zamknęłam drzwi na klucz za pomocą prostego zaklęcia i skuliłam się w mroku garderoby. Wcale nie cieszyła mnie ta nowo odkryta moc. Czułam niepokój i wstręt. I byłam pełna wątpliwości. Jaki miałam cel? Jaka była cena za ten nowy dar?

Tiras nie zostawił mnie samej na długo. Wrócił tydzień po pożarze i wyszedł ze mną przez zamkowe korytarze na słońce. Minęliśmy wartowników i służbę i poszliśmy na zatłoczony plac miejski, zupełnie jakby król był zwykłym mieszkańcem. Trochę zaskoczyły mnie jego swoboda ruchu i brak obaw, ale gdy rozejrzałam się uważniej, zauważyłam przebłyski zieleni, łuczników na obwałowaniach, śledzących nas gwardzistów oraz strażę w co drugiej wnęce. Ludzie kłaniali się i dygali, ale większość odrywała się od swoich obowiązków tylko na nieznaczące skinienie głową. Najwyraźniej obecność króla w tym miejscu nie była niczym nowym.

Szliśmy w milczeniu obok siebie w identycznych pozycjach, z dłońmi splecionymi za plecami, patrząc na ścieżkę przed sobą. Staralam się mieć luźne i bezkształtne myśli, żeby nie uformować słowa, które mógłby usłyszeć. Gdy zbliżaliśmy się do widocznej z mojego balkonu studni, zatrzymałam się, chwyciłam go za rękaw i wskazałam długą kolejkę osób

czekających na możliwość spojrzenia w jej otchłań.

Nie chciałam formować słów, ale on i tak zrozumiał moje pytanie.

— To Studnia Słów. A przynajmniej tak niektórzy wierzą. Dzieci Boga Słów wspinają się po niej z mniejszego świata. Ludzie gromadzą się wokół niej przez cały dzień i kolejno w nią krzyczą. Swoje marzenia, swoje pragnienia. Bogactwa, zdrowia, miłości, wiecznego życia.

Przechyliłam głowę i wyteżyłam słuch, próbując wyłapać wykrzykiwane prośby.

— Nikt tak naprawdę nie wie, kiedy i czy w ogóle życzenie zostanie spełnione. Ale czasem tak się dzieje, dlatego ludzie wciąż tu przychodzą.

Chciałam spojrzeć w dół, w ciemność, i napisać jedno ze swoich słów na pokrytej parą ścianie. Poprosiłabym studnię o swój głos. Ale kolejka była długa, a ja nie wiedziałam, jak powiedzieć o tym Tirasowi, żeby nie wyjść na kompletną idiotkę. Wziął mnie za ramię i zawróciliśmy w stronę zamku, znowu spacerując w milczeniu. Gdy znaleźliśmy się w obrębie murów, przeszliśmy przez dziedziniec do niewielkiego ogrodu obok sali tronowej, w której Tiras wysłuchiwał biadolenia swoich poddanych. Gdybym spojrzała w górę, zobaczyłabym balkon swojego pokoju.

— Słyszę tylko słowa, które mi przekazujesz. To twoja moc. Nie moja — stwierdził nieoczekiwanie łagodnym tonem z wzrokiem wbitym w drzewa. Zastanawiałam się przez kilka minut, po czym zdecydowałam się na ostrożny krok i zadałam próżne pytanie, którego sformułowanie nie stanowiło dla mnie problemu.

Jak mój głos brzmi w twoim umyśle?

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się szeroko, jakbym zaoferowała mu coś niezwykle wartościowego. Zareagował

natychmiast, co dowodziło, że nie był to przypadek lub złudzenie. Naprawdę mogliśmy rozmawiać.

— Masz niski głos. Ciepły. Kobięcy. Ale nie przesadnie. I mówisz wolno, jakbyś szukała właściwych słów.

Faktycznie szukałam. Literowałam. Tiras nagle poczuł się niekomfortowo i zaczął się drapać po karku, jakby za dużo powiedział. Wzięłam głęboki oddech i zadałam znacznie trudniejsze pytanie.

Zamierzasz mnie zabić?

Odsunął głowę do tyłu, jakbym go zszokowała. Zatrzymał się i chwycił mnie za ramię, żebym stanęła twarzą do niego.

— Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Widziałam, co spotyka tych, którzy mają Dary. Jestem dziwna. Mam... moc. Wykorzystałam jego określenie dla większego efektu. Moc była czymś, czego należy się obawiać i wyrzec. Dobrze o tym wiedział. Nie powinnam musieć mu tego tłumaczyć. Przymrużył powieki, po czym poznałam, że mnie zrozumiał. W końcu się odezwał, starannie dobierając słowa.

— To *jest* dziwne. Ale czym się różni od mówienia? Ty mówisz głową. Ja mówię ustami. — Wzruszył ramionami, jakby to był drobiazg. Miałam ochotę go palnąć za to celowe udawanie głupiego.

Znasz kogoś jeszcze, kto potrafi mówić myślami?

— Nie.

Patrzyłam na niego złowrogo, bo to dowodziło mojej racji.

— Znasz kogoś, kto potrafi równie dobrze posługiwać się mieczem obiema dłońmi?

Uniosłam brew z pogardą. Nie znałam. Ale nie robiło to na mnie większego wrażenia. Był wprawnym zabójcą. Brawo.

A ty?

— Owszem, znam. — Uśmiechnął się szelmowsko, aż zaparło mi dech. Był piękny i przerażający, i miał tego świadomość. Odwróciłam wzrok z obawy, że te słowa wymkną się z mojej głowy. Ale on chyba mnie nie słyszał. Może mówił prawdę. Może słyszał tylko te słowa, które mu przekazywałam. — Potrafię władać mieczem obiema dłońmi. Nie znam nikogo innego, kto potrafiłby robić to równie dobrze lub w ogóle.

Mimo to nikt cię nie prześladowa za ten dar.

Ściągnął usta i odsunął się o krok, by rozważyć moje słowa.

— To nie dar. To umiejętność — odparł cicho i może trochę defensywnie. — I wiele osób próbowało mnie za to zabić. Nie daj się zwieść pozorom.

A rozmawianie z tobą za pomocą umysłu jest także umiejętnością? Nie darem? To była semantyka, nie mógł o tym nie wiedzieć.

Przez kilka długich chwil patrzył w dal. Nie odpowiedział, a ja niemal słyszałam kotłowanie jego myśli.

Nagle odwrócił się i kazał mi zostać w ogrodzie. Posłuchałam, chociaż chciałam wznieść się w niebo. Dlaczego potrafiłam zmusić suknie do tańca, lecz nie byłam w stanie sprawić, bym zaczęła latać? Chwilę później Tiras wrócił z pokojówką, młodą dziewczyną, która przynosiła mi posiłki i czasem układała mi włosy. Zaraz za nimi przyszedł Kjell, spocony i bez tchu, jakby został wyciągnięty z dziedzińca treningowego.

— Usiądź — nakazał Tiras dziewczynie. Usiadła na pobliskiej kamiennej ławeczce, patrząc z obawą to na króla, to na mnie, to na spoconego wojownika za nami.

— Zadaż Lark pytanie o coś, czego nie wiesz i na co mogłaby odpowiedzieć w kilku słowach.

— Kim jest Lark? — pisnęła.

Coś błysnęło w oczach Tirasa, a w powietrze wzniosło się słowo, które wypełniło mój umysł. *Wstyd*. Czuł wstyd. Nie wiedziałam dlaczego.

Spojrzał na mnie z namaszczaniem, a dziewczyna podążyła za jego wzrokiem.

— To jest Lark — oznajmił, patrząc na mnie, dziwnie skruszonym głosem.

Jak jej na imię? Skupiłam się, by go spytać.

— Oj. Jak masz na imię? — spytał dziewczynę, która dygotała na ławce. Zastanawiałam się, czy kogokolwiek ze służby znał po imieniu.

— Pia — odparła dziewczyna z tak szeroko otwartymi oczami, że bałam się, że jej pękną.

— O co chodzi z tą schadzką z paniami w ogrodzie? — rzucił niecierpliwie Kjell. — Co tu się, do licha, dzieje, Tirasie?

Tiras obrócił się na pięcie i zmierzył przyjaciela wzrokiem.

— Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Usiądź. — Wskazał ławkę. Kjell usiadł, powietrze wypełniła woń potu, koni i kurzu, a Tiras powtórzył swoją prośbę. — Zadaj Lark pytanie, Pia. To nie żaden test. Nie zostaniesz ukarana ani skrzywdzona. Zapytaj ją o coś.

— Ehm... jak się czujesz, lady Lark? — wyszczebiotała nerwowo.

Kjell jęknął jak na torturach.

— Ona jest *niemową*. A nie żadną lady. Co my tu, do jasnej cholery, robimy?

— Cisza! — zagrzemiał Tiras, aż wszyscy podskoczyli. I znowu poczułam od niego to słowo. *Wstyd*. — Nie, Pia. Spytaj o coś konkretnego. Na przykład o imię jej matki. Albo o ulubiony

kolor. — Kjell zaklął pod nosem, a Tiras rzucił mu wściekły uśmiech.

— Jak ma na imię twoja matka, lady Lark? — powtórzyła posłusznie Pia.

Zerknęłam na Tirasa. Przechylił głowę, czekając, aż odpowiem w jedyny sposób, w jaki potrafię.

Pomyślałam o imieniu matki, literach, sylabach. *Meshara*. Potem skupiłam się na zmarszczonym czole zdeorientowanej pokojówki i wysłałam słowo w jej stronę. Przez chwilę patrzyła na mnie pustym wzrokiem, po czym spojrzała na króla.

— Słyszysz ją? — spytał Tiras.

— Ccc... co? — wyjąkała, a jej oczy znowu się powiększyły. — Przecież ona nic nie mówi, Wasza Wysokość.

Tiras spojrzał na mnie, jakbym zbyt słabo się koncentrowała, ale ja oddałam mu spojrzenie.

— Odejdź — polecił dziewczynie, która wstała i natychmiast uciekła z ogrodu. Skrzywiłam się. Byłam pewna, że teraz cały zamek dowie się o „lady Lark” i prośbie króla.

— O co chodzi, Tirasie? — spytał Kjell nieco bardziej opanowanym głosem.

Podniósł się z ławki i stanął obok króla ze splecionymi podejrzliwie rękami. Wciąż mnie nie lubił. Czułam, jak pogarda wypływa z niego falami. Nie musiał nic mówić.

— Zadaż Lark pytanie, Kjell. O coś, czego nie wiesz. O coś, co tylko ona może ci powiedzieć.

Miałam poważne obawy co do tego eksperymentu. Ulżyło mi, gdy Pia mnie nie usłyszała. Spojrzałam na Tirasa i potrząsnęłam głową błagalnie.

Jeśli on może mnie usłyszeć, moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

— Jest godzin zaufania — stwierdził Tiras ze splecionymi ramionami, jakby to nie podlegało dyskusji.

Ty tak twierdzisz. A Pia jest godna zaufania? W tej chwili opowiada twojej gosposi, że padło ci na głowę.

Tiras zrobił wielkie oczy na tę obrazę.

— Jest godzin zaufania — powtórzył uparcie.

— Tirasie! — syknął Kjell. Brwi niebezpiecznie marszczyły się nad jego niebieskimi oczami, dłoń trzymał na rękojeści miecza, jakby chciał go dobyć. Tiras patrzył na mnie, mówił do mnie, a ja wyglądałam, jakbym nie reagowała.

— Słyszę ją, Kjellu — wyjaśnił Tiras, odwróciwszy się do przyjaciela. — Nie potrafi mówić na głos. Ale słyszę ją w swojej głowie.

— Co?! — wrzasnął Kjell. Prawdopodobnie nie wyglądałby na bardziej zdumionego, gdyby Tiras powiedział mu, że naprawdę jestem skowronkiem i znoszę jajka.

— Zadał jej pytanie — zażądał Tiras.

Poczułam się jak dziwaczka na jarmarku, nieznaną wybryk natury, ale spojrzałam śmiało na Kjella, który patrzył na mnie, jakbym pomieszała królowi zmysły.

Powoli wysunął miecz, a Tiras westchnął.

— Kjell — rzucił ostrzegawczo.

— W takim razie zadam naszemu skowronkowi pytanie — wysyczał. — Może takie? Jeśli zrzucę cię ze skarpy, to pofruniesz przed siebie czy spadniesz na ziemię? Bo taki szykujesz sobie los.

Zacisnęłam zęby tak mocno, że coś przeskoczyło mi w szczęce. Moje słowa były ostre jak szkło i rozbrzmiewały w mojej głowie tak głośno, że mogłyby przebić się przez żywopłot.

Nie jestem ani ptakiem, ani bestią, więc bym spadła. Ale sądząc po twoim zapachu i zachowaniu, gdybym wrzuciła cię między świnię, poczułbyś się jak w domu.

Na ułamek sekundy zapadła ogłuszająca cisza. A potem Tiras wybuchnął śmiechem. Aż trzęsły mu się ramiona z rozbawienia na widok wściekłego wyrazu twarzy Kjella.

— Domyślam się, że to usłyszałeś, świniarzu — wykrztusił przez śmiech.

Kjell wyciągnął miecz w stronę mojego gardła.

— Czy ty masz Dar? — syknął.

— Kjell! — Tiras natychmiast spowaźniał. Usłyszałam, że także dobył miecza, chociaż nie odważyłam się oderwać wzroku od stojącego przede mną wściekłego gwardzisty. Jego skóra emanowała słowem *zniszczyć*.

Zniszczyć.

— Jesteś jak twoja matka ladacznicą? — szepnął Kjell, nie odrywając ode mnie wzroku.

Moja matka była Powiadaczką. A nie ladacznicą.

— Powiadaczką — szepnął, potwierdzając, że faktycznie mnie słyszy, głośno i wyraźnie. Przysunął ostrze miecza pod moją brodę. Stłumiłam jęk, gdy poczułam ostre nacięcie, a w głowie usłyszałam słowa wyszeptane przez matkę do moich maleńkich uszu na chwilę przed tym, gdy zamknęła oczy po raz ostatni.

Wchłoń ma, córko, wchłoń, jedyna, słowa, które chcą wypływać. Ukryj je głęboko w duszy, nim dojrzeją, ich nie ruszaj. Zamknij się na moc ci daną, niech nie lecą i nie ranią. Nawet jeśli będzie trzeba, nie kuś piekła ani nieba. Ucz się, aż się nie rozwinięsz. Zamilcz, córko, a przeżyjesz.

Najwyraźniej nie ukryłam słów wystarczająco dobrze. Nie zachowałam milczenia. I teraz czekała mnie śmierć.

10



Po mojej szyi, między piersi spłynęła kropla krwi. A potem druga.

— Mnie też zabijesz, Kjell? — spytał Tiras pełnym napięcia szeptem. Nie rozumiałam tego pytania. Przecież królewskie życie w ogóle nie było w tej chwili zagrożone.

Kjell spojrział na króla, przełknął ślinę, a na jego twarzy malowało się przerażenie i niezdecydowanie. Bał się mnie i bał się o Tirasa.

— Oddałbym za ciebie swoje życie — powiedział Kjell i między nimi uniosło się słowo *prawda*. Nie wątpiałam w to. Zrobiliby wszystko, by ocalić króla, włącznie z poświęceniem mnie.

— Nie możesz jej zabić, Kjell. Schowaj miecz — ostrzegł Tiras.

— Ale prawo... — zaprotestował Kjell.

— Byłeś gotów je złamać, gdy sądziłeś, że ona może mnie uleczyć — przerwał mu Tiras.

— Ale powiedziałaś, że nie może — polemizował Kjell podniesionym głosem.

— Bo nie może. Nie w taki sposób, na jaki liczyliśmy.

Krwawiłam, oni rozmawiali o mnie, ale nie rozumiałam, o co

im chodzi.

— Schowaj miecz, Kjell — nakazał Tiras ponownie głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Kjell opornie opuścił broń, ale nie schował jej. Krew wciąż płynęła kroplami i zbierała się między piersiami, ale nie wycierałam jej i nie opuszczałam wzroku.

Dlaczego miałby cię zabić? Po tym, jak spytałam króla, Kjell rzucił mi szyderczy uśmiech.

— Pytanie brzmi: do czego jesteś nam potrzebna? Tracimy króla, tak jak przepowiedziała twoja matka. A ty nie jesteś w stanie go wyleczyć.

— Kjell! — syknął ostrzegawczo król.

Zapomniałam o klątwie matki. Nagle usłyszałam jej głos, odbijający się echem na dziedzińcu posiadłości ojca, gdy ostrzegała króla, który kazał jej przed sobą uklęknąć.

Stracisz duszę i oddasz syna niebu, powiedziała wtedy.

Tiras był tym synem.

I działo się tu coś bardzo złego.

Przerwały nam stukot butów i krzyki. Do ogrodu wpadło kilku gwardzistów, przyklękli na jedno kolano, a jeden z nich przemówił. Król zręcznym ruchem stanął przede mną, żeby mnie przed nimi zasłonić.

— Wasza Wysokość. Członkowie delegacji zaczęli przybywać. Lord Corvyn i ambasadorka Firi wraz z przedstawicielami kilku innych prowincji i ich świtami. Mamy ich wprowadzić?

Mój ojciec był w Jeru.

— Ilu ludzi? — spytał Kjell.

— Dwie dwudziestki i dziesięciu, sir — odpowiedział ktoś.

— Pozwolić im wejść — oznajmił spokojnie Tiras. — Wprowadzić tu oraz zapewnić pokoje i jadło. Dopilnować, żeby każdy członek delegacji miał przydzielonego gwardzistę, tak jak ustaliliśmy.

— Tak jest, Wasza Wysokość — odparli mężczyźni i wybiegli z ogrodu równie szybko, jak się w nim pojawili.

— Idź do swojego pokoju. Przyślę do ciebie Boojohniego — rzucił do mnie Tiras przez ramię, odchodząc razem z Kjellem. Nie wykonałam jego polecenia, lecz usiadłam na ławce. Nie byłam w stanie ustać na nogach. Trzęsłam się po tej konfrontacji z mieczem na gardle i z napięcia związanego z odkryciami, zarówno dotyczącymi mnie, jak i króla. Nie byłam bezpieczna, król był przeklęty, a świat był przewrócony do góry nogami. Chciałabym móc go naprawić swoimi słowami, ale nie potrafiłam. Tyle wiedziałam na pewno.

A teraz w Jeru pojawił się ojciec. Nie wątpiłam, że przybył, by żądać mojego powrotu. Bolał mnie brzuch z nerwów i drżały mi ręce. Otarłam krew, która nie chciała skrzepnąć. Splamiła mi górę sukni i zbrudziła dłonie.

Miałam trzy możliwości: wrócić do domu, zostać tutaj lub uciec. Daleko, daleko. Na przykład do lasu Drue. Boojohni mówił, że mieszkało w nim sporo stworzeń. Dziwnych, nietypowych, obdarzonych. Może teraz, gdy potrafiłam mówić, mogłabym ułożyć sobie życie wśród innych wyrzutków. Ta myśl mnie zmroziła. Nie potrafiłam mówić! Umiałam jedynie wkładać ludziom słowa w głowy. Nie byłam żadnym stworzeniem, lecz czymś zupełnie innym.

Zabiliby mnie.

Ojciec był jedyną osobą, która miała powód, by utrzymać mnie przy życiu. Powinnam wrócić do Corvyn. Powinnam wrócić do domu, ukryć się w twierdzy ojca i udawać, że słowa nadal są we mnie martwe. Mogłabym udawać, że wszystko jest tak jak dawniej, i może dzięki temu ocalałabym siebie. Ale

udawanie nie ocaliłoby Tirasa.

Usłyszałam węszenie i powłóczenie stopami. Zza rogu wyłonił się Boojohni z powitalnym uśmiechem przebijającym się przez potarganą brodę.

— Król powiedział, że jesteś w swojej komnacie, ale wyczułem cię tutaj. — Zauważył szyję i przymrużył podejrzliwie powieki, a uśmiech z jego twarzy znikł. — Co się stało, Ptaszku?

Przycisnęłam dłoń do gardła i potrząsnęłam głową.

— Chodź ze mną. Zajmę się tobą. — Chwycił mnie za ramię, ale wyrwałam mu się. Nie chciałam, by się mną zajmowano. Chciałam uciec od tych wszystkich mężczyzn, którzy uważali, że mają nade mną władzę i mogą mną dysponować, więzić mnie, wykorzystywać i ranić. Wściekłym ruchem otarłam krew z szyi i łyzy z policzków. Nawet nie wiedziałam, że popłynęły.

Słyszysz mnie, Boojohni?

Syknął, zrobił krok w tył i spojrzał na mnie z przerażeniem.

Pochyliłam głowę z rezygnacją, poczułam przejmujący smutek, a w oczach znowu wezbrały łzy. Boojohni mnie słyszał i się wystraszył. Czułam, jak powietrze wokół niego pulsuje odrazą i niepokojem. Zaczął gwałtownie oddychać. Spróbowałam ponownie. Tym razem nawet ja słyszałam, że mój głos jest złamany i przesiąknięty bólem.

Boisz się mnie, przyjacielu?

Poczułam jego dotyk na włosach, czułe muśnięcia palców, ale nie podniosłam wzroku.

— Ptaszku? — szepnął, jakby wciąż nie był pewien pochodzenia tego głosu w swojej głowie. — Ptaszku, czy to ty?

Tak, to ja. Przytaknęłam wraz z tymi słowami, a on znowu jęknął z niedowierzaniem. Wyciągnął dłoń w stronę moich ust, ta jednak opadła, jakby w ostatniej sekundzie się rozmyślił.

Zrobił kilka kroków w tył. Wstałam i ruszyłam za nim na chwiejnych nogach. Chciałam go błagać i przekonać do rzeczy, których sama nie byłam jeszcze pewna.

Odnalazłam swój głos, próbowałam mu wyjaśnić. A przynajmniej... jego namiastkę.

Kiwnął powoli głową. Jego oczy wciąż były niemożliwie wielkie, ale przerażenie powoli mijało.

Teraz mnie słyszysz. Mogę do ciebie mówić.

— Zawsze cię słyszałem, Lark. Ale wcześniej to było odczucie. Instynkt. A teraz słyszę głos... *twój* głos. Muszę się do tego przyzwyczaić.

Rozumiem. Ja też się boję. Tak bardzo się boję, Boojohni.

Zaczęły mu drżeć wargi, a w powietrzu zrobiło się gęsto od jego współczucia, które było jak balsam dla mojej duszy. Otarł oczy i wskazał ranę na szyi.

— Czy to sprawka króla?

Potrząsnęłam głową. *Nie.*

— To dobrze. Nie chcę go nienawidzić. Jest inny, niż się spodziewałem. Inny niż jego ojciec.

Ja też nie chcę go nienawidzić, wyznałam, a Boojohni spojrział na mnie przenikliwie. Nie wiem, co zobaczył, ale pozwoliłam, by wziął mnie za rękę, wyszedł ze mną z ogrodu, a potem szerokimi i krętymi schodami zaprowadził do mojego pokoju w wieży.

— Musisz się przygotować, Lark. Twój ojciec tu jest, a w mieście roi się od plotek — szeptał, rozglądając się na prawo i lewo, jakby ściany mogły mieć uszy.

Jakich?

— Król jest młody. Członkowie Rady Lordów uważają, że zbyt szybko pobiła Obdarzonym.

Spojrzałam na niego, a on wziął mnie za dłoń, żeby mnie uspokoić. Nie powiedział nic więcej, dopóki nie znaleźliśmy się sami w mojej komnacie.

Gdy opatrywał mi ranę, wznowił opowieść ledwie słyszalnym szeptem.

— Obwiniają go o powstanie Volgarów. Mówią, że zachęca do rewolucji, bo dał Volgarom do zrozumienia, że jest słaby i łagodny.

Przed oczami stanął mi obraz walki króla i Kjella z przerażającymi, spadającymi z nieba Volgarami i zaczęłam się zastanawiać nad definicją łagodności według Rady.

Volgary nie są... Obdarzonymi. To potwory.

— Rada uważa, że to jedno i to samo — odparł.

Skrzywiłam się, a Boojohni znowu poklepał mnie po dłoni. To król Zoltev, ojciec Tirasa, żywił takie przekonanie. Ale moja matka nie była potworem. Ja też nie byłam potworem.

Kontynuowaliśmy rozmowę. Układałam zdania powoli z prostych słów, a Boojohni słuchał ze zdumieniem odpowiedzi na swoje niepewne pytania. W którymś momencie otarł oczy i uśmiechnął się przez łzy.

— Brzmisz jak słowik, Ptaszku. Masz śliczny głos. Słodki. Mógłbym go słuchać cały dzień.

Wkrótce Greta i Pia, której imię niedawno poznałam, przyniosły wiadra parującej wody i wyciągnęły suknię z mojej garderoby. Boojohni poinformował nas wszystkie, że będzie czekał na zewnątrz, żeby zaprowadzić mnie do sali tronowej, gdy będę gotowa.

Rzucił mi zmieszane spojrzenie, gdy wychodził. Szybko wysłałam do niego pytanie, ale starannie je zignorował. Nie powiedział mi wszystkiego, co usłyszał od króla.

Pia zrobiła wielkie oczy na widok krwi na mojej sukni, a

Greta była mniej szorstka niż zwykle w trakcie kąpieli i układania włosów. Ubrały mnie w posrebrzaną jedwabną suknię, w której czułam się jak kropla deszczu — szara, mała, ale absolutnie nie niewidzialna. Pia zawiesiła mi na szyi diamentowy naszyjnik, żeby zakryć cienkie nacięcie zrobione na moim gardle przez Kjella. Nie pytały o ranę. Zastanawiałam się, czy to dlatego, że nie umiałam mówić, czy dlatego, że regularnie widywały wśród osób z otoczenia króla rzeczy, o których nie wolno im było wspominać. Pia poinformowała mnie, że naszyjnik należał do matki króla, Aurelii, i że mi pasuje. Wcale nie pasował. Ale był piękny, a jego waga dodawała mi odwagi.

Pia wtarła w moje ciężkie włosy odrobinę lawendy, żeby dodać im blasku. Potem wsunęła w nie pasującą do naszyjnika cienką opaskę z plecionego srebra wysadzanego diamentami, żeby włosy nie opadały mi na twarz. Zapach lawendy mnie uspokajał, starałam się więc na nim skupić, żeby nie myśleć o czekającym mnie wieczorze, gdy Greta zrobiła mi antymonitem kreski wokół oczu, przyciemniła rzęsy i pomalowała usta i policzki różową farbą do twarzy.

Miałam niejasne przeczucie, że jestem przygotowywana na coś, na co wcale nie byłam gotowa, i kiedy Boojohni zastukał w drzwi i kazał nam się pospieszyć, pokojówki odstąpiły ode mnie i podziwiałały swoje dzieło, jakbym stanowiła niesłychane wyzwanie, któremu udało im się podołać.

Gdy Boojohni mnie zobaczył, wyglądał na dumnego i zadowolonego, a ja zadałam mu pytanie, które dusiłam w sobie przez całą sesję piękności.

Co się dzieje w sali?

Boojohni skrzywił się i zakrył uszy, jakby w ten sposób dało się mnie odciąć.

— Do licha, Ptaszku! — jęknął. — Pohamuj się. Nie musisz krzyczeć.

Opadła mi szczęka i zatrzymałam się z zaskoczenia. Nie wiedziałam, że mogę kontrolować głośność. Ale było to logiczne. Ludzie potrafią panować nad głosem, więc ja też mogłam „mówić” cicho, szeptem, żeby słyszała mnie tylko osoba obok. To oznaczało, że mogłam także podnieść głos w tłumie, aby mój przekaz trafił do większej liczby osób.

Powtórzyłam ostrożnie, a Boojohni kiwnął głową, dając mi do zrozumienia, że teraz jest dobrze.

— Odbywa się tam biesiada dla dostojników. Wybierasz się na nią, by pokazać ojcu, że masz się dobrze. Masz kiwać głową, uśmiechać się i siedzieć przy królu. I zachować swoje słowa dla siebie.

Nie miałam zamiaru ujawniać swojego daru, ale ostatecznie zdanie Boojohniego mnie zaniepokoiło.

To teraz jesteś posłańcem króla?

— Nic mnie nie wiąże z twoim ojcem, Lark. Nigdy nie wiązało. Byłem oddany twojej matce, a teraz tobie. I uważam, że lepiej, jeśli pozostaniesz w Jeru.

11



Przez cały tydzień przygotowywano się na przybycie lordów. Żyrandole były pełne świec, a w wiszących kryształkach tańczyły płomienie, które rzucały tęczowe błyski na ściany i sklepienie sali. Wcześniej widziałam ją tylko z ogrodu, ale światło dzienne nie oddawało pełni jej uroku.

Olbrzymie stoły z obrusami w królewskim błękicie uginały się od piezzonego drobiu i całych prosiąt, nadal obracanych na rożnach. Sery i jagody, melony i gruszki oraz smakołyki z każdej prowincji ułożono w olbrzymie, chwiejące się wieże. Na stołach porozkładano też plecione pieczywo w każdym odcieniu, delikatnie muśnięte słodkim masłem i upstrzone ziołami i przyprawami, od których pachniało jak na bazarze. Mój żołądek zaczął się odzywać.

Zaczepiałam ostrożnie zaproszonych gości, żeby sprawdzić ograniczenia swojego głosu.

Może wina, madame? Skierowałam pytanie do ślicznej ambasadorki z lewej — odmówiła, nie podnosząc wzroku.

— Mam wszystko, czego mi trzeba, dziękuję — odpowiedziała swobodnie. Przygryzłam wargę i zignorowałam Tirasa, który także usłyszał moje pytanie.

Jeszcze wina, sir? Tym razem zwróciłam się do siedzącego obok niej mężczyzny, na którego popatrzyłam tylko wtedy, gdy

zadawałam pytanie. On także nie podniósł głowy, ale nie zareagował. Powtórzyłam pytanie, zwiększając mentalną głośność.

Mężczyzna obok niego rozejrzał się z dezorientacją, unosząc swój pełny kielich.

Tiras warknął.

Zignorowałam go i sprawdziłam swoje możliwości na trzech osobach po lewej od Kjella, po przeciwnej stronie stołu. Prócz Kjella nikt nie zareagował i nie podniósł wzroku. Kjell się skrzywił i rzucił królowi ostrzegawcze spojrzenie.

— Przestań — szepnął Tiras.

Jak myślisz, dlaczego niektórzy mnie słyszą, a niektórzy nie?

— Wyglądasz pięknie tego wieczoru, lady Lark. Mówiłem ci już, jak dobrze mi z twoim milczeniem? — szepnął, zbywając moje pytanie.

Mówiłam ci już, jaki z ciebie dupek? Nie sądziłam, żeby *dupek* był odpowiednim określeniem króla, ale łatwo było to wymówić. Zacięłam się nieznacznie przy tej ripostie, a król prychnął, pokazując, że mnie usłyszał. Przestałam do niego mówić — byliśmy otoczeni ciekawskimi oczami i uszami — i oddałam się cichej obserwacji ludzi przy długim stole. Król siedział po mojej prawej, u szczytu stołu, a Kjell bezpośrednio naprzeciw mnie, ale stół miał szerokość co najmniej sześciu stóp, co zapewniało mi nieco tak potrzebnego dystansu.

Ambasadorka Firi jako jedyna była równie młoda jak król i dorównywała mu urodą. Miała ciemną karnację — ciemniejszą niż Tiras — a włosy ufryzowane w dziką burzę loków, ozdobioną drobnymi, błyszczącymi klejnotami, połyskującymi, gdy poruszała głową. Miała lekko szpiczaste uszy, jakby pochodziła od elfów. Była wysoka, zmysłowa i wąska w talii, miała pełne piersi i długie nogi z drobnymi stopami, wsuniętymi w srebrne pantofelki. Kjell obserwował ją z

nieufnością i fascynacją. Ciekawe, czy kiedykolwiek się rozluźniał. Był najbardziej drażliwym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam, a sama jego obecność sprawiała, że miałam ochotę wybiec z sali. Ambasadorka Firi mierzyła go wzrokiem ze ściągniętymi ustami i z rozbawionym spojrzeniem, jakby wiedziała, że go zaintrygowała. W pewnym momencie Tiras nawiązał z nią przyjacielską pogawędkę i w czasie rozmowy nie odrywał od niej zadowolonego spojrzenia, a ja poczułam w piersi ukłucie czegoś niepożądanego i niemiłego. Nie chciałam, żeby ją lubił.

Kjell ma ochotę zaciągnąć piękną ambasadorkę do łóżka i gardzi sobą z tego powodu.

Moja milcząca obserwacja dotarła do króla, który zakrztusił się i sięgnął po swój pusty kielich. Poczułam, że się czerwienię, i nie spojrzałam mu w oczy. Nie mogłam uwierzyć, że podzieliłam się czymś takim, i wątpiłam, że udało mi się to poprawnie wyrazić, ale zdobyłam jego uwagę. Skrzywił się, odstawił pusty kielich i uszczypnął mnie pod stołem. Mocno.

Mój ojciec przez cały czas mojej nieobecności jeszcze bardziej wychudł i posiwiał. Sześć tygodni to za mało, żeby się naprawdę postarzeć, ale jego to spotkało i poczułam ukłucie współczucia, które zniknęło, gdy spojrzał w moje oczy. Natychmiast odwróciłam wzrok. Dlaczego on mnie tak nie lubił?

— Już od roku w Jeru nie było żadnej egzekucji ani wygnania Obdarzonego — odezwał się lord Gaul z odległego końca długiego stołu i rozmowy natychmiast ucichły.

— Dlaczego, lordzie Gaul, tak tęsknisz za tego rodzaju rzeczami? — odparł swobodnie Tiras.

— Tu nie chodzi o to, za czym ja tęsknię, Wasza Wysokość, lecz o to, czego oczekuję. Musimy trzymać się prawa. Sprawiedliwości. Równości. Obdarzeni są zagrożeniem dla nas wszystkich. Jeśli pozwolimy im się rozpleniać, zrobią z nas

swoich niewolników. Dokładnie do tego dążą Volgary. Ich populacja znacznie wzrosła w ciągu ostatnich trzydziestu lat i nie wystarcza im już własny kraj. Chcą też naszego.

— Zasądzamy wygnania. Egzekucje. Nawet karę więzienia, lordzie Gaul. W wielu przypadkach. Mógłbym wręcz powiedzieć, że męczy mnie cotygodniowe wymierzanie kar. Ale nie ma tygodnia, żeby jakiś Jeruwiańczyk nie próbował czegoś ukraść lub zrobić komuś krzywdę. Jak dotąd żaden z tych drabów nie był Obdarzony, chociaż wielu z nich mogło popisać się niezłą wprawą. Znacznie bardziej martwią mnie ludzie, którzy faktycznie dokonują złych czynów, niż kwestia wykorzenia Obdarzonych mieczem i oskarżeniami oraz karania ich za to, co zrobią. Kiedyś. Być może.

— A skąd możesz wiedzieć, co już robią? Może przędą złoto i sprzedają je na ulicach pod twoim nosem. Może lecą ludzi i twierdzą, że to wyuczony fach, a nie magia. Może zmieniają się w wilki i atakują owce innych ludzi. Albo zmieniają los za pomocą zwykłego słowa!

— Zwierzęta, które atakują inne zwierzęta, są zabijane. Gdyby więc jakiś Zmieniacz robił coś takiego, otrzymałby sprawiedliwą karę. Jak dotąd nie zabiliśmy żadnego zwierzęcia, które okazałoby się zakamuflowanym Zmieniaczem.

— Z tego, co widzę, wynika, że bardzo niechętnie egzekwujesz prawa uchwalone przez twojego ojca i radę.

Tiras rozejrzał się po sali. Twarz miał bez wyrazu, lecz oczy mu błyszczały.

— Powiedzcie, dlaczego tu jesteście. Jeszcze nie nadszedł czas na copółroczne zgromadzenie. A ja was nie zapraszałem... chociaż z przyjemnością was goszczę. — Ton jego głosu był tak oschły, że cała delegacja zaczęła chrząkać i zapijać winem nagłą suchość w gardle. Nikt nie odpowiedział na pytanie króla.

Po kilku sekundach ostrego popijania lord Gaul znowu się odezwał, ale Tiras przerwał mu od razu machnięciem dłoni.

— Poznałem już twoją opinię, lordzie Gaul.

Lord Bilwick, ambasador prowincji na zachód od Corvyn, powiernik mojego ojca i człowiek, którego znałam od początku swojego życia, wyglądał, jakby bardzo zależało mu na zmianie tematu. Był jowialny i korpulentny, lecz pod maską radosnych oczu ukrywał się bardzo wybuchowy temperament. Widziałam, jak bił żonę, gdy przegrał w karty. Jego córki chowały się po kątach — w sumie podobnie jak ja — a najstarszy syn poszedł w ślady ojca. Mój ojciec liczył na skojarzenie nas. Na szczęście syn lorda Bilwick zareagował śmiechem na tę propozycję. Uważał mnie za ułomną, a ja byłam wdzięczna losowi za każdą moją niedoskonałość, która odpychała go ode mnie.

— Jak sobie radzimy w walce z Volgarami, Wasza Wysokość? — spytał lord Bilwick. Odbiło mu się przy tym i uśmiechnął się potulnie. — To po to tutaj jestem. I po to, żeby przedstawić żądanie zwrócenia lordowi Corvyn córki. — Odgryzł potężny kęs wybranego przez siebie jabłka i wyglądał przy tym tak łądząco podobnie do stojącego przed nim pieczonego prosięcia, że niemal umknęło mi to, co powiedział. Ojciec odezwał się zaraz po nim, podejmując rozpoczęty temat.

— Wysłałem ludzi na granicę zgodnie z twoim żądaniem, Wasza Wysokość. Chciałbym zabrać córkę do domu.

Tiras spojrzał mojemu ojcu w oczy z malującym się na twarzy zamyśleniem. Czułam, że coś rozważa, czułam jego pytania i nieufność wobec mojego ojca. Ojciec nie wytrzymał i odwrócił wzrok, a po moich plecach ześlizgnęło się coś zimnego, co owinęło mnie swoimi mackami w pasie. Potem się zacisnęło, a ja poczułam dziwne mdłości. Nie umiałam złapać tchu. Mój ojciec emanował słowem, które mnie przerażało i które było silniejsze niż dawniej. *Śmierć*. On emanował śmiercią.

— Chcę, żeby została — odparł nieoczekiwanie Tiras.

Zapadła niespodziewana cisza, a macki zacisnęły się jeszcze silniej, bo nagle każdy próbował ukradkiem na mnie spojrzeć. Oddychałam płytko, walcząc o powietrze, i tłumiłam każdą emocję, każdą ekspresję. Byłam z lodu. Nikt nie widział tego, co naprawdę działo się w moim wnętrzu.

Ojciec uniósł brew i się zaczerwienił, a lord Gaul zmierzył mnie wzrokiem ze zmarszczonym czołem. Lord Bilwick zaśmiał się głośno.

Nakazałam jabłku w jego dłoni, żeby uderzyło go w tę rozdziawioną gębę. Zrobiło to z impetem, a tłusty lord wszczął rozpaczliwe próby usunięcia lśniącego, czerwonego globu spomiędzy swoich końskich zębów. Jego żona wydała z siebie „och” i zaczęła tłuc go po plecach. W końcu jabłko wypadło ze sporą dozą śliny, a lordowie i panie w jego otoczeniu odwrócili się z pogardą.

Król spojrział na mnie podejrzliwie, tymczasem ojciec wstał po tym królewskim afroncie.

— Wykonałem polecenia Waszej Wysokości. Wysłałem wszystkich zdolnych do walki mężczyzn na granicę i teraz zbiory dojrzewają na polach na oczach kobiet i dzieci. Oczekuję, że dotrzymasz danego słowa.

— Jeśli pamiętasz, powiedziałem, że córka wróci do ciebie, gdy zniszczę Volgary. Nie wcześniej. Poza tym twoja córka to jeruwiańska lady szlchetnego pochodzenia. Jest dojrzała. Mogłaby być królową.

Kjell zaklął, a jego niskie syknięcie uderzyło mnie w uszy i wgryzło się w lodową ścianę, jaką się otoczyłam. Nie ośmieliłam się na niego spojrzeć. Nie ośmieliłam się spojrzeć na ojca. Nie ośmieliłam się wyściubić nosa spoza swojej lodowej fortecy, chociaż cała w środku drżałam, a serce waliło jak oszalałe, pompując gorącą krew, której potoki groziły roztopieniem mojej arktycznej osłony.

— Ale... ona jest... niema! — wyjąkał ojciec, najwyraźniej równie oszołomiony jak ja.

— Owszem, jest — przyznał król kąśliwie, lecz z rozbawieniem. — To wspaniała cecha u kobiety. Dotrzyma wszystkich moich sekretów.

Zgromadzeni lordowie i panie zaśmiali się niezręcznie i znowu zaczęło się osuszanie kielichów. Król także sięgnął po napełniony już na nowo kielich, ale nie napił się.

Nie chcę być królową.

Odwrócił głowę, zmierzył mnie przelotnie swoimi czarnymi oczami i odparł, niemal nie poruszając ustami.

— Kłamiesz.

Chcę wrócić do domu.

— Kolejne kłamstwo.

Nie możesz mnie tu uwięzić na zawsze.

Spojrzał mi prosto w oczy i nie odrywając wzroku, wyszeptał:

— W więzieniu twojego ojca nie ma książek. Ani słów. Ani rozmów.

Nie miałam na to riposty, więc patrzyłam na niego bezradnie, żałując, że nie potrafię odczytać jego myśli tak, jak nauczyłam się czytać jego książki. Mogłabym wtedy dokładnie sprawdzić słowa, których nie wypowiada, i poukładać je tak, aby nabrały sensu. Czułam jednak tylko jego niezdecydowanie, puste pytanie ukryte za jego oczami.

Nie rozumiem cię.

— Ja ciebie też — odparł i sięgnął po kielich. Chyba nie spodobało mu się własne wino, więc sięgnął po mój. Spróbował ostrożnie, po czym wypił wszystko do dna, jakby palił mu się przętyk. Drżącą dłonią odstawił kielich i chwycił

się brzegu stołu, żeby mieć punkt oparcia. Serce zaczęło łomotać w moich uszach.

Źle się czujesz?

— Chcę, żebyś wróciła do swojego pokoju. Teraz — nakazał szorstko i wstał, zakańczając rozmowę ze mną. — Wybaczcie mi na chwilę. Cieszcie się dalej posiłkiem — oznajmił zgromadzonym z pełnym panowaniem nad sobą.

Spojrzałam na Kjella, który znowu gapił się na piękną ambasadorkę.

Kjell! Poderwał głowę i spojrzał na mnie z wściekłością, jakby mój głos naruszał jego prywatność. *Król źle się czuje.*

Tiras zdążył się już odwrócić od stołu. Kjell natychmiast znalazł się przy nim, wziął go pod rękę i zaczął szeptać mu coś do ucha, zupełnie jakby stało się coś najwyższej wagi i król był natychmiast potrzebny gdzieś indziej. Tiras odszedł pospiesznie wyprostowany, ale głowa przechylała mu się w stronę Kjella. Zgromadzeni obserwowali ich przez chwilę, po czym zapomnieli o nich i wrócili do rozmów i picia.

Król przewrócił się w drzwiach.

Kjell odciągnął go z widoku, ale nikt nawet na moment nie oderwał wzroku od uczty. Przestałam być niewidzialna i nagle zatęskniłam za tą szczątkową uwagą, jaką zazwyczaj mnie obdarzano. Wstałam, odsunęłam się od stołu i ruszyłam powoli w stronę drzwi, w których zniknął król. Nagle jednak pojawił się przede mną ojciec i zablokował mi dalszą drogę. Chwytał mnie za łokieć i pociągnął w przeciwnym kierunku.

— Lark. Chodź ze mną, córko.

Na moment spanikowałam i zaparłam się nogami, żeby z nim nie iść. Ojciec zmizerniał ostatnimi czasy, ale był ode mnie wyższy i miał na twarzy wypisany strach, a w jego uścisku czuć było desperację. Uzyskałam tylko tyle, że potykałam się, gdy mnie za sobą ciągnął.

Puść mnie, ojcze.

Pchnęłam słowa w jego głowę, starannie je formułując. Wierzyłam, że jego instynkt samozachowawczy zmusi go do chronienia moich zdolności, ale on w ogóle nie zareagował. Nie rozejrzał się z dezorientacją, żeby sprawdzić, kto mówi. Po prostu szedł, ciągnąc mnie za sobą.

Puść mnie, ojcze. Słowa wyły w moich myślach, ale tylko ja jedna się krzywiłam. Nie słyszał mnie. Był na mnie zupełnie niewrażliwy, jak Pia.

Kierował się w stronę drzwi na drugim końcu sali, a ja wlekłam się za nim, wysyłając wściekłe słowa, które rozbijały się bez skutku o betonową ścianę jego umysłu. Po raz kolejny stałam się niema.

Dwóch lokajów z Corvyn stało u podnóża szerokich schodów, prowadzących do gościnnych kwater w przeciwległej części zamku. Wyprostowali się i pozdrowili ojca, gdy się do nich zbliżył.

— Zamknąć moją córkę w moim pokoju. Przygotować się do wyjazdu, tak jak planowaliśmy. Do godziny nas tu nie będzie. Doszły mnie słuchy o manewrach Volgarów. Jesteśmy potrzebni w domu. Za długo już nas nie było — poinstruował ich pewnym głosem.

Szarpnęłam ramieniem, żeby mu się wyrwać, ale jak zwykle zostałam kompletnie zignorowana, kompletnie odrzucona, i nie mogłam zrobić nic, żeby uwolnić się od tych, którzy dominowali nade mną siłą.

Na razie.

Ta myśl mnie uspokoiła. Już bez oporu ruszyłam z dwoma lokajami. Skromnie splotłam dłonie na piersiach i patrzyłam w dal, snując plan.

Gdy drzwi do pokoju ojca zamknęły się za mną, poczekałam na odgłosy przekręcania klucza i kroków oddalających się

lokajów. Niestety, nie odeszli. Rozmawiali cicho, pilnując drzwi. Chodziłam tam i z powrotem, a niepokój ścisnął mi serce. Mówiłam sobie, że Tiras niewiele dla mnie znaczy i że jego cierpienie nie jest moim problemem. A jednak był dla mnie swego rodzaju zbawcą i otwierał mi umysł, mimo że trzymał mnie pod kluczem. Stał się moim przyjacielem, chociaż na pewno mu tego nie powiem. Nikomu tego nie powiem. Ale bałam się, a w głowie dźwięczały mi słowa mojej matki. Kjell mnie obwinił. *Sama* czułam się winna. Matka została zaszlachtowana przez ojca Tirasa. Ale zginęła przede mną. Nie chciałam być przyczyną śmierci Tirasa. Zniecierpliwiona podbiegłam do okna i nakazałam mu się otworzyć, desperacko wyrzucając z siebie słowa.

Okno roztrzaskało się i wyrzuciło we wszystkie strony fontannę odłamków.

Zakryłam twarz i padłam na ziemię. Drzwi otwarły się za mną i do środka wpadli lokaje, krzycząc, że ktoś nas atakuje. Podbiegli do stłuczonego okna i ostrożnie obejrzel niebo, starając się nie zranić odłamkami. Nie dostrzegli niczego, co uzasadniałoby wszczynanie alarmu, więc pomogli mi wstać. Byłam pokryta odłamkami szkła, ale nic poważnego mi się nie stało. Otrząsnęłam się ostrożnie, by wytrześć odpryski z włosów i sukni, i obejrzałam skutki mojej nieudolnej próby ucieczki. Wznieciłam pożar i rozbiłam okno. Muszę jeszcze sporo poćwiczyć, żeby nie zrobić sobie krzywdy.

Lokaje wyszli, rozmawiając półgłosem między sobą o tym, co mogło spowodować rozbicie okna w taki sposób. Zamknęli drzwi. Tym razem nie zostali za nimi, lecz ruszyli korytarzem, słyszałam bowiem, jak zanikają szeptane słowa. Westchnęłam z ulgą, po czym starannie i spokojnie poprosiłam zamek, żeby się otworzył.

Zrobił to z wyraźnym szczęciem, a ja podziękowałam w myślach Bogu Słów.

12



Wychyliłam głowę przez drzwi i rozejrzałam się po korytarzu. Było już ciemno i na każdym piętrze paliły się świece. Musiałam unikać służby i gwardzistów, którzy wiedzieli, że nie wolno mi się samotnie włóczyć po pałacu. Nigdy nie byłam w tym skrzydle i nigdy nie chodziłam tymi korytarzami. Nie miałam pojęcia, jak trafić do króla, żeby nikt mnie nie zobaczył. Ojciec też miał zaraz wrócić, a ja nie miałam zamiaru testować kolejnego polecenia, które mogłoby przynieść odwrotne od zamierzonych skutki.

Dwadzieścia dwie minuty później wykończona i bez tchu weszłam do kwater króla i opadłam ciężko na drzwi. W środku było ciemno, ubrania Tirasa tworzyły bezładną stertę obok przewróconych butów. Miecz i pochwa także leżały porzucone, nawet korona — którą rzadko nosił — spoczywała na tunice, jakby roztopił się na dębowej podłodze i zostawił po sobie tylko ubrania. Pokój emanował pustką, a te wzbudzające melancholię skłębione elementy porzuconej garderoby kazały mi go wezwać, jakbym była dzięki nim w stanie nawiązać kontakt z jego myślami.

Tirasię, gdzie jesteś?

Wezwałam go ponownie, wysyłając słowa na zewnątrz, w mrok nocy, krzycząc w jedyny sposób, w jaki potrafiłam. Ale bez skutku. Zawahałam się na moment. Bałam się wychodzić z

pokoju, bo nie wiedziałam, gdzie się ukryć i co zrobić. Podeszłam do balkonu i rozglądałam się wśród stojących w półmroku gwardzistów za Kjellem, Boojohnim lub kimkolwiek pomocnym.

Kjell? Wysłałam w noc to imię i rozbrzmiało jak gong w mojej głowie. Stojący pode mną gwardzista nie podniósł głowy. Opadłam na poręcz, zmęczona i niepewna przycisnęłam twarz do zimnego metalu. Widziałam po drugiej stronie swoje komnaty. Mój pokój był zalany światłem, co było dziwne. Zupełnie jakbym nie została odprowadzona korytarzami zamkowymi na ucztę. Wątpiłam, żeby pokojówki tam na mnie czekały. Przez otwarte drzwi balkonowe dostrzegałam tylko majaczący cień wysokiej postaci. Ktoś był w moim pokoju. Przypomniało mi się, że Tiras kazał mi tam pójść. Dlaczego nie poszłam tam najpierw?

Znowu żałowałam, że nie umiem latać, bo przeleciałabym między balkonami. Nie potrafiłam zmienić się w ptaka, w małego skowronka, żeby wznieść się w niebo — ale to w sumie nie wykluczało latania.

Wróciłam do komnaty króla i ściągnęłam z jego łóżka jedwabne prześcieradło. Objęłam je mocno, przycisnęłam do piersi i z zamkniętymi oczami skupiłam się na słowach, które mogłyby wznieść materię w powietrze. Jako dziecko przekazywałam nieożywionym obiektom słowa ustami i dźwiękiem. To było zdecydowanie trudniejsze.

W górę, w górę, hen, do nieba,

Wznieść mi dzisiaj się potrzeba.

Nic się nie wydarzyło. Uświadomiłam sobie, że muszę być konkretna. Muszę jakoś nazwać prześcieradło i zwracać się do niego za pomocą tej nazwy. Świecę przywołałam za pomocą jej nazwy. Z ogniem było tak samo. Gdy pękło szkło, okno sumiennie wykonało moje polecenie. Tak sumiennie, że otwarło się w jedyny sposób, w jaki potrafiło, przez rozbicie.

Kapa. To była kapa. Końcem palca napisałam to słowo na jedwabiu, skupiając się na literach. Potem z niemałym strachem ścisnęłam ją w dłoniach i zażądałam, by się uniosła.

Unieś się, kapo, z podłogi,

Zanieś mnie przez okno w me progi.

Kapa się wydeła, uniosła i pociągnęła mnie w stronę balkonu, jakby wsysała ją niewidzialna trąba powietrzna. Pofrunęłaby, ale niestety byłam zbyt ciężka, żeby polecieć z nią, więc jedynie łopotała na wietrze, blokowana moim uściskiem. Przywarłam do niej niezdecydowana i nie usłyszałam otwierania drzwi za moimi plecami.

— Co ty robisz?

Podskoczyłam i niemal wypuściłam z dłoni kapę, która w dalszym ciągu łopotała.

W progu stał Tiras, ubrany, jakby ostatnią godzinę spędził w stajni, a nie na mękach, jak mi się wydawało. Za nim stał Kjell. Miał szeroko otwarte oczy i rozdziawione usta. Jęknęłam i natychmiast skupiłam się na najpilniejszym zadaniu.

Kapo, przestań się unosić,

Nie daj się za długo prosić.

To był pierwszy rym, jaki przyszedł mi do głowy, ale łopotanie ustało i kapa zwiędła w moich dłoniach, opadając kompletnie bezwładnie.

— Czarownica — wysapał Kjell. — Jesteś cholerną czarownicą.

— Kjell! — warknął Tiras. — Zostaw nas.

Kjell zignorował jego słowa.

— Powiedz mi, Powiadaczko, zatrzymałaś królewskie wino? Zrobiłaś to na prośbę ojca? Nasz mały skowronek chce zostać księżniczką Jeru? — Podszedł do mnie i wyrwał mi kapę z

dłoni. Odsunęłam się w tył i stałam z opuszczonymi dłońmi, nie odrywając od niego wzroku. Kjell się mnie bał. Jego strach wydymał się i łopotał jak kapa kilka chwil wcześniej, zarażając mnie także lękiem.

Potrząsnęłam głową.

Nie. Przyszłam tu, żeby pomóc.

Skrzywił się, jakby mój głos w jego głowie sprawiał mu ból. Spojrzałam na Tirasa, który został tam, gdzie stał, zamknąwszy jedynie za sobą drzwi.

— Kjellu, idź. Nic mi nie jest. Wróć na korytarze i sprawdź, czy wszystko jest w porządku.

— Tiras, na Boga! Ona jest niebezpieczna!

— Owszem — przytaknął Tiras, patrząc na mnie. — Taka właśnie jest. A teraz idź, Kjellu. I upewnij się, że lord Corvyn nam się nie wymknie. Sądzę, że trucizna jest bardziej w jego stylu. Ale na pewno miał jakichś pomocników. Domyślam się, że niektórzy członkowie rady oczekują wieści o moim zejściu. I owszem, wkrótce do nich zejdę, ale żeby im pokazać, że ich plan się nie powiodł.

Kjell wystękał przekleństwo, od którego ja się zarumieniłam, a król westchnął, ale wykonał polecenie. Z dłonią na mieczu wyszedł i z hukiem zamknął za sobą drzwi.

— Pokaż mi. — Tiras wskazał podbródkiem kapę w moich dłoniach.

Nie poruszyłam się. Nie chciałam się pogrążyć jeszcze bardziej, więc przekazałam mu milcząco: *To nic takiego.*

— Pokaż mi, Lark — zażądał. Pozbierałam kapę w dłonie i odwróciłam się, żeby odnieść ją na łóżko. Tiras podszedł do mnie powoli. — Dlaczego jesteś w mojej komnacie? — spytał i przez chwilę uwierzyłam, że nie będzie naciskał na demonstrację.

Myślałam, że jesteś chory.

— I przyszłaś, żeby mnie wykończyć? — W jego głosie było słycać rozbawienie. Rzuciłam mu ostre spojrzenie. — Drzwi były zamknięte. Jak się dostałaś do środka? — spytał, podchodząc coraz bliżej.

Zwiesiłam głowę, bo zapomniałam o tym drobnym szczególe.

Nie były zamknięte.

— Były.

Zastanawiałam się, czy wyczuwa moje kłamstwo, tak jak ja wyczuwałam fałszywość, gdy inni kłamali.

— Jesteś Powiadaczką. Powiedziałaś drzwiom, żeby się otwały? — Był tak blisko, że czułam jego oddech na włosach. — Kazałaś jabłku uderzyć lorda Bilwick w tę jego tłustą gębę? — spytał ze śmiechem, a ja rozluźniłam się odrobinę.

Tak.

— Pokaż mi to. — Podeszedł do ciężkich drzwi i zarygłował je. Wahałam się przez chwilę, ale patrzył na mnie wyczekująco, a ja wiedziałam, że nie ukryję się z tym przed nim.

Otwórzcie się zamki, otwórzcie się drzwi, chcę wyjść na zewnątrz na raz, dwa, trzy.

Rygiel natychmiast się odsunął. Król parsknął, a w jego śmiechu pobrzmiwało zdumienie.

— Mogłaś odejść... w każdej chwili. Ale zostałaś w moim zamku za zamkniętymi drzwiami i udawałaś więźnia. Dlaczego?

Potrząsnęłam przecząco głową.

Nie w każdej chwili. Musiałam nauczyć się słów. Ty mi je dałeś.

— Ja ci je dałem? — powtórzył zdezorientowany.

Ty nauczyłeś mnie czytać. Ty nauczyłeś mnie pisać.

— Ta moc jest dla ciebie nowa? — spytał z zaskoczeniem.

Moc nie jest nowa. Słowa są nowe. Matka zabrała mi je w dniu swojej śmierci. Zabrała mi głos, żebym nie zrobiła krzywdy nikomu innemu.

— Może zabrała ci je, żeby nikt nie zrobił krzywdy tobie — zaryzykował opinię, a jego głos złagodniał. — To nie twoja matka sprawiła, że laleczka latała, prawda?

Smutek przygniółł mnie olbrzymią falą i opuściłam głowę tak rozpaczliwie nisko, że uderzyła w klatkę piersiową.

Nie.

— Czy twój ojciec wie, do czego jesteś zdolna?

Nie.

Nie miałam ochoty podnosić ociężałej głowy. Poczułam, że Tiras znowu do mnie podszedł i stanął przede mną. Wbijałam wzrok w jego buty, dopóki nie dotknął mojego podbródka długim palcem i nie uniósł mojej twarzy. Patrzył na mnie ze współczuciem i nagle poczułam chęć powiedzenia mu wszystkiego.

Ojciec mnie nienawidzi.

— Jak to możliwe? Wydaje się desperacko pragnąć twojego powrotu do Corvyn.

Boi się, że mnie skrzywdzisz. Boi się, że zginę. A jeśli ja zginę, jego też spotka śmierć. Kolejny prezent od matki. Dopilnowała, by jego przeżycie było uzależnione od zadbania o moje.

— A, rozumiem. Cóż za sprytna Powiadaczka. Twoja matka była naprawdę mądra.

Przytaknęłam.

— Wszystkich nas złapała w swoje sidła. Twojego ojca.

Ciebie. Mnie. Nawet mój ojciec miał na jej punkcie obsesję. Meshara — szepnął Tiras.

Zrobiłam wielkie oczy, a serce przyspieszyło swój rytm. Tiras podniósł obie dłonie, czule ujął moją twarz i głaskał mnie palcami po policzkach i ostrej krawędzi szczęki, aż do szpiczastego podbródka. Z trudem łapałam oddech, ale nie wiedziałam, czy to przez jego delikatny dotyk, czy wibrujące w powietrzu imię matki. Albo i jedno, i drugie.

— Po tym dniu nikt nie był taki sam. Ojciec mnie stracił, dokładnie tak, jak przepowiedziała twoja matka. I umarł z tą świadomością. — Jego dłonie nagle opadły, jakby uświadomił sobie, co robi, i przywołał się w myślach do porządku. Odsunął się o krok, ale nie odrywał ode mnie wzroku. Zastanawiałam się, co w nich widział. Czy dostrzegał w nich moją matkę sprzed wielu lat, tak jak ja widziałam w nim jego ojca? Nienawidziłam go za to, co zrobił jego ojciec. Czy on też mnie nienawidził z tego samego powodu? Otrząsnęłam się z tych myśli i zadałam ryzykowne pytanie.

Stracił cię?

— Był potworem, a tego dnia to do mnie dotarło. Odwróciłem się od niego, zmieniłem się. Jestem zupełnie innym królem, niż mógłbym być.

Kjell mówi, że umierasz.

— Nie umieram.

Ale coś jest nie w porządku.

— Wiele rzeczy. — Uśmiechnął się, ale było to tylko smutne wykrzywienie ust. — Jest sporo nieprawidłowości do naprawienia. — Podeszedł do balkonu i otworzył drzwi szerzej, by wpuścić do środka wieczorne powietrze. Po chwili odwrócił się z powrotem do mnie.

Ale... nie jesteś chory?

Potrząsnął powoli głową.

— Nie. Nie jestem chory. Ani umierający. Ale przegrywam wojnę.

Z Volgarami?

— Z wszystkimi wrogami Jeru. — Zamilknął na chwilę i zamyślił się. Kąciki ust i czarnych oczu były naznaczone zmęczeniem. — Pomożesz mi, Lark?

Jak?

— Pokaż mi, co potrafisz.

Pomyślałam o wybitym oknie i przypadkowym pożarze. Nie chciałam zrobić nikomu krzywdy. Może jeśli będę bardzo ostrożna i ścisła, nic się nie stanie. Poza tym chciałam mu — komukolwiek — pokazać, co potrafię. Uwaga, jaką otrzymywałam, była jak kompletnie nieznanymi mi narkotyki.

Pomyślałam prosty rym, żeby podnieść kapę z podłogi. Poprosiłam, żeby dryfowała w powietrzu jak mała łódka. Uniosła się i posłusznie zawisała. Zerknęłam z lękiem na Tirasa, ale on wyglądał na zaintrygowanego.

— Coś innego.

Poprosiłam kapę, żeby opadła z powrotem na podłogę, i kazałam krzesłom tańczyć, a one zaczęły się kiwać do przodu i do tyłu w nierównym rytmie. Tiras się zaśmiał. Wzruszyłam ramionami. Tańczące krzesła i unoszące się kapy nie naprawią żadnych nieprawidłowości.

— A potrafisz mnie do czegoś zmusić? — spytał cicho. Moje serce przyspieszyło. — Potrafisz sprawić, żebym tańczył jak krzesło lub uniół się w powietrze? — dodał. Przygryzłam wargę i wypowiedziałam niebezpieczne słowa.

Tańcz, Tirasie, tańcz wesolo, niech twe ciało pląsa wkoło.

Spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami i nieznacznym uśmiechem.

Nie tańczysz.

— Nie. Nie tańczę. I nie czuję się do tego zmuszony.

Wzruszyłam bezradnie ramionami.

To chyba nie działa na ludzi. Masz wolną wolę. Moje słowa to tylko sugestia z nieznacznym naciskiem na jej spełnienie. Czujesz w ogóle jakąkolwiek chęć tańczenia? Chociaż najmniejszą?

— Nie, nie czuję. — Parsknął i ja także się uśmiechnęłam. — Jak w takim razie mnie leczysz, skoro twoja moc nie działa na ludzi? — spytał.

Nie lecę cię. Nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Każę tylko twemu ciału, żeby samo się uleczyło. Chce być zdrowe, więc słucha. Tak sądzę.

— Tak sądzisz?

Znowu wzruszyłam ramionami.

Codziennie dowiaduję się czegoś więcej.

— A Volgary? Kazałaś im odlecieć. Na polanie, po tym, gdy zabrałam cię z Corvyn. Wszyscy byśmy wtedy zginęli, lecz one nagle odleciały, a ja czułem, że coś je odstrasza. Wyczuwałem to.

Volgary są bliższe zwierzętom niż ludziom, wpłynięcie na nich wymaga znacznie większej energii niż wpłynięcie na przedmioty. Tak samo jak wpłynięcie na ciebie, nawet jeśli oddziałuję tylko na twoje ciało.

— To dlatego tak głęboko zasypiasz, gdy starasz się mnie uleczyć?

Tak. To... wyczerpujące... wymuszanie mojej woli na innych.

— Ale nie na przedmiotach?

Przedmioty nie stawiają oporu.

Kiwnął głową, jakby było to najzupełniej logiczne. Rozluźniłam się jeszcze bardziej, ciesząc się sobą.

— Chcę, żebyś spróbowała jeszcze raz, ale nie mogę tego słyszeć. Chcę się przekonać, do czego jesteś zdolna — stwierdził, a moja radość znowu zmieniła się w niechęć.

Pozwalałam mu słyszeć moje rymowanki, te drobne zaklęcia wysyłane w przestrzeń. Gdybym kazała mu coś zrobić i nie zdradziła mu tego, czy byłabym w stanie jakoś na niego wpłynąć? *Czy mogłabym sprawić, żeby mnie pokochał?* Nieskrępowane serce podsunęło tę myśl umysłowi, a ja odwróciłam się zażenowana i raczej zaskoczona. Przecież w ogóle tego nie chcę.

— Spróbuj jeszcze raz — zażądał, jakby słyszał mój wewnętrzny monolog.

Potrząsnęłam głową, a serce łomotało jak oszalałe. Zmuszanie do czegoś człowieka budziło we mnie odrazę.

Nie chcę takiej mocy. Nie chcę skłaniać ludzi do wypełniania mojej woli.

— Daję ci pozwolenie — mruknął. — Nie chcesz się dowiedzieć, do czego jesteś zdolna?

Nie wiedzieć jest łatwiej. I bezpieczniej.

— Skup się — nakazał, ignorując moje obawy. Przez chwilę zastanawiałam się, czy jego siła oddziaływania nie jest czasem większa niż moja. Z jakiegoś powodu zawsze mu się podporządkowywałam.

— Czego chcesz, Lark? Co chciałabyś, żebym zrobił? — dopytywał, czekając w napięciu, jakby spodziewał się, że każę mu wpaść na ścianę. Jakbym *mogła* to zrobić.

Zamknęłam oczy, żeby nabrać nieco dystansu, i pilnując, by uczucia ogniskowały się raczej w brzuchu niż w głowie, wysłałam w jego stronę polecenie. Nie skupiałam się na

niczym konkretnym. Tak bardzo starałam się ukryć przed nim swoje słowa, że moje polecenie było raczej zwykłym pragnieniem niż zgrabnie sformułowaniem zaklęciem. Nie miałam pojęcia, co robię, lecz nagle poczułam, że Tiras jest blisko mnie i przyciska usta do moich ust. Zamarłam i otworzyłam oczy.

Muśnięcie jego podbródka było nieco szorstkie, a jego usta natarczywe, niemal gniewne, jakby dążył do podboju, a nie do przekonania mnie. Trzymał moją twarz tak jak wcześniej, z palcami w moich włosach. Gdy nie zareagowałam, natychmiast się odsunął, ale tylko odrobinę. Oczy mu błyszczały, dłonie nadal zatapiał w moich włosach.

— Dlaczego prosisz o coś, czego nie chcesz? — szepnął, a jego słowa łaskotały mnie w usta.

Nie prosiłam. Nigdy w życiu i za żadne skarby świata nie poprosiłabym o coś takiego.

Przymrużył powieki jeszcze bardziej i opuścił dłonie, zostawiając mnie równie nagle, jak mnie pocałował.

Nie prosiłam... ale czy na pewno? Nigdy o nic nie prosiłam, niezależnie od tego, jak bardzo czegoś pragnęłam. Lub kogoś. Pomyślałam o miłości. I tyle. A on mnie pocałował. Nie umiem się całować i zareagowałam z namiętnością godną skalnej ściany.

Nie prosiłam, powtórzyłam.

Tiras przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego, a potem się zamyślił. Splótł ręce na klatce piersiowej. Miałam wrażenie, że bardzo intensywnie nasłuchuje, jakby próbował przebić się przez moje protesty i odkryć to wszystko, czego nie mówię.

— Pocałuję cię jeszcze raz — wyszeptał w końcu. — Chyba że każesz mi tego nie robić.

Mój umysł był wielką, białą ścianą. Bez protestów. Bez myśli.

Bez jakichkolwiek słów.

— Oddychaj — szepnął, a ja posłusznie zaczerpnęłam powietrza. — Podejdź tu. — Znowu. Natychmiastowa uległość.

Nie chwycił mnie i nie przyciągnął do siebie ani nie przycisnął do swojej piersi. Po prostu uniósł mój podbródek i zbliżył twarz do mojej.

A potem skłonił mnie do współpracy łagodnym przekonywaniem.

Z jego świadomości emanowało słowo *słodko*, w którym pobrzmiwało zadziwienie.

Negocjował wejście, wciągając moją górną wargę między swoje, poszarpując ją i smakując, po czym wsunął się pod nią, żeby odnaleźć mój onieśmielony język. Rozpracowywał mnie i bawił się mną, aż w końcu zaczęłam dorównywać mu w zapalczywości i eksplorować ciepło jego ust gorliwymi ruchami z gwałtowną zadumą.

Wychwyciłam jego postanowienie zakończenia pocałunku, jeszcze zanim się ode mnie oderwał i zostawił z płytkim oddechem i wilgotnymi ustami. Oniemiała i zażenowana, nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy, ale czułam, że się nade mną zastanawia, a potem dochodzi do jakiegoś wniosku. W końcu się odezwał i przyciągnął moje spojrzenie.

— Kjell ma rację. *Jesteś* niebezpiecznym ptaszkiem. Ale chyba cię zatrzymam.

13



Król odprowadził mnie do mojej komnaty i postawił przy drzwiach czterech strażników.

— Dla twojej i mojej ochrony — wyjaśnił. Nie odpowiedziałam i nadal nie potrafiłam na niego spojrzeć. Coś dziwnego kołatało się w moim sercu i drżały mi dłonie, ukryte w szerokich, dzwonowatych rękawach sukni. Wciąż miałam na wargach jego smak, odurzający i mocny, lecz chociaż bardzo chciałam je oblizać, żeby wskrzesić tę chwilę, to czułam się zawłaszczona przez kogoś, kto mnie nie pragnie. Dobrze znałam to uczucie. Wzbudzało we mnie tęsknotę za Boojohnim, jedyną istotą na ziemi, która mnie kochała.

Czekałam w napięciu. Próbowалам czytać. Jeszcze usilniej próbowałam nasłuchiwać, ale w zamku panowała cisza i gdy Pia i Greta przyszły do mnie ściągnąć mi suknię i uczesać włosy, były zmęczone i zirytowane, ale nie wyczuwałam niczego dziwnego. Zwyczajnie rozmawiały o wydarzeniach wieczoru i pracy, którą jeszcze muszą wykonać. Nie miałam pojęcia, czy ojcu udało się wymknąć, uciec do Corvyn beze mnie, czy — jak pozostali członkowie delegacji — wrócił do swojej kwatery, żeby dalej spiskować.

Zamek był pełen sekretów i spisków, pełen ludzi głodnych władzy i obawiających się magii. I, podobnie jak ja, nie potrafił mówić. Nasłuchiwałam ścian i wychwytywałam pojedyncze

słowa aż do świtu, gdy miasto zaczęło się budzić.

Wieczorem jakby nigdy nic znowu zostałam wystrojona, ozdobiona, zaprowadzona do sali i posadzona obok króla. Członkowie delegacji sprawiali wrażenie już mniej zmęczonych podróżą, rozglądali się przenikliwie i prowadzili sztuczne rozmowy. Ojciec nie wyjechał do Corvyn. Miał nadal zmizerniałą twarz i rozbiegane spojrzenie, ale unosząca się wczoraj nad nim śmierć zniknęła.

Król nie jadł ani nie pił, ale angażował się w błahe pogawędki i rozmowy o mało istotnych zdarzeniach w królestwie. Po godzinie, gdy wszyscy skończyli już jeść, lord Gaul wstał, rozejrzał się wśród zgromadzonych i przemówił do króla z fałszywym namaszczeniem.

— Mamy dziesięć prowincji: Kilmordę, Corvyn, Bilwick, Bin Dar, Enoch, Quondoona, Jandę, Gaul, Firi i, rzecz jasna, Degn. — Pochylił głowę w stronę króla, gdy wspomniał o Degn, otaczającej stolicę rodzinnej prowincji Tirasa, prowincji królów. — Dzisiaj przybyło tu pięciu reprezentantów: z Firi, Corvyn, Bilwick, Bin Daru i Gaul — dodał, odliczając na palcach, po czym znowu skłonił głowę. — Sześć, jeśli policzymy Degn. Jeśli policzymy Waszą Wysokość.

Król milczał.

— Przedstawiciele prowincji Janda, Quondoona i Enoch, leżących na południu, nie czują się aż tak zagrożeni, jak ci z północy. Dlatego byli mniej zainteresowani... udziałem... w tym szczycie.

— Byli mniej zainteresowani zamachem stanu? — spytał król łagodnym głosem, który aż ociekał od udawanego spokoju. — A pozostali? — Tiras rozejrzał się po zgromadzonych. Na każdym członku rady zatrzymywał na chwilę wzrok, żądając odpowiedzi.

— Jeśli to jest zamach stanu, to ja także nie jestem nim zainteresowana. — Wtrąciła się urocza ambasadorka Firi,

wstając ze swojego miejsca. — Przybyłam tu, by wesprzeć króla Tirasa w walce z Volgarami. Przybyłam tu, żeby pokazać, że moja prowincja jest gotowa bronić Jeru. Całego Jeru.

Król wstał i ukłonił się nieznacznie młodej ambasadorce. Kjell poderwał się razem z nim, z dłonią na mieczu i ze wzrokiem utkwionym w kobiecie. Gdy król odezwał się ponownie, Kjell odwrócił się do niego. Ja też miałam ochotę wstać. To byłoby śmieszne. Byłam nikim. Ale i tak chciałam wstać. Jeśli trzeba tu było stanąć po jakiejś stronie, nie chciałam być przypisana ludziom w rodzaju lordów Bilwick i Gaul czy zadowolonego z siebie władcy Bin Daru, który buntował się na odległym końcu długiego stołu. Nie chciałam być po jednej stronie z ludźmi, którzy uważali, że prawdziwymi wrogami są takie osoby jak moja matka i ja.

— Prowincja Kilmorda jest zrujnowana — mówił Tiras, taksując zgromadzenie czarnym spojrzeniem. — Lord Kilmordy i jego rodzina nie żyją. Volgary udało się odeprzeć, ale pozostawiły po sobie zgliszcza. Większość ludności tej prowincji uciekła do Firi, część do Degn i Corvyn, chociaż ta ostatnia ma utrudniony dostęp ze względu na górzysty teren. Nad doliną unosi się swąd rozkładających się ciał, a wody są zatrute śmiercią. Jeśli nie chcecie, żeby całe Jeru spotkał ten sam los, odłóżcie swoje polityczne machinacje na inny moment.

— Ależ Wasza Wysokość, właśnie dlatego tu jesteśmy — upierał się lord Gaul z przesadną uprzejmością. — Wydaje mi się, że łagodność względem Obdarzonych przyczyniła się do tych ataków, i sądzę, że to zdanie podzielają lord Corvyn, lord Bilwick i lord Bin Daru. Obdarzeni zbiegli na północ, splodzili potomstwo z potworami, dając życie bestiom, które teraz atakują Jeru.

— Można by powiedzieć, że gdybym naprawdę był łagodny względem Obdarzonych, nie mieliby powodu do ucieczki. Czy

jeśli jestem tak im przychylny, nie woleliby zostać tutaj? — odparował Tiras.

— Trzeba ich zniszczyć, Wasza Wysokość. A ty temu nie podołałeś. I teraz powstali przeciw nam z Volgarami. — Lord Bin Daru także wstał. Powoli, jeden po drugim, podnosili się inni lordowie, łącznie z moim ojcem. Ci, którzy nie mieli żadnych wpływów lub tytułów, pozostali na miejscach. Po raz kolejny zwalczyłam chęć wstania.

— Skąd to wiesz, lordzie Bin Daru? — Król nachylił się i oparł ręce po obu stronach talerza z jedzeniem, którego praktycznie nie tknął. — Byłem w Kilmordzie i walczyłem ze skrzydlatymi bestiami, zabiłem ich setki, ale nie widziałem niczego, co potwierdzałoby twoje insynuacje.

— Przesłuchaliśmy Obdarzonych, Wasza Wysokość — wykrzyknął lord Bilwick z szyderczym uśmiechem.

— Jakich Obdarzonych? — Głos króla obniżył się niemal do poziomu szeptu.

— Tych, których schwytaliśmy, rzecz jasna. Obdarzonych z naszych prowincji. Przed egzekucją zostali poddani przesłuchaniom. Szczegółowym. Wszyscy powiedzieli nam to samo. Są w zмовie z Volgarami — wyjaśnił płynnie lord Gaul.

Lordowie z Gaul, Bin Daru i Bilwick zaczęli promieniować satysfakcją, która biła z nich niczym woń tanich perfum sprzedawanych na cotygodniowych bazarach. Linia ataku została bardzo starannie zaplanowana. Mój ojciec emanował chciwością, która intensywnością smrodu dorównywała zapachowi intrygi jego arystokratycznych kumpli.

— Schwytaliście i torturowaliście własnych obywateli, aż wyznali to, czego od nich oczekiwaliście — odgryzł się król.

Dziwnie ukształtowane brwi lorda Bin Daru uniosły się i zniknęły pod burzą czarnych włosów. Była to atramentowa czerń o niebieskim odcieniu, uzyskana dzięki tonikom i

barwnikom, przez którą jego blada twarz wyglądała na starszą i bardziej pomarszczoną.

— Twój ojciec, król Zoltev, zabił żonę lorda Corvyn bez procesu... z powodu zwykłej chustki unoszącej się w powietrzu! — Wykonał dłonią gest naśladujący powiewanie, zniewieściale poruszając palcami, i westchnął, jakby to wspomnienie było dla niego bolesne. — My przynajmniej zapewniliśmy Obdarzonym proces przed skazaniem ich na śmierć.

Podstęp. Obwinianie. Władza. Zniszczenie.

Te cztery słowa stworzyły w powietrzu gęstą zupę. Nie byłam pewna, które z nich przynależy do kogo. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Wspomnienie matki, jej krew na bruku, ciało przyciśnięte do mojego, gdy szeptała mi w ucho swoje ostrzeżenie. Zamknęłam oczy i pochyliłam głowę. Głos lorda Bin Daru docierał do mnie dziwnie zniekształcony, jakbym była zanurzona w wodzie.

— Ludzie tracą do ciebie zaufanie, Tirasie. Rada traci do ciebie zaufanie. Jeśli nie ochronisz Jeru przed Obdarzonymi, to będziemy musieli ochronić Jeru przed tobą.

Król przymrużył oczy, a przez jego twarz przemknęło coś mrocznego. Jego twarz była jak wykuta z granitu, a dłońmi tak mocno ścisnął brzeg stołu, że aż zbieleły mu palce.

— Rozumiem. Ale kto ochroni was wszystkich przede *mną*? — wysyczał z płomiennym spojrzeniem. Lord Bin Daru zbladł, a przy stole rozległo się zbiorowe westchnienie.

— My się tylko martwimy! — wysapał lord Gaul. — To nasza odpowiedzialność, nasz obowiązek jako Rady Lordów, aby pilnować, żeby Jeru nie wpadło w ręce wrogów.

— A moim obowiązkiem jako króla jest pokonać wrogów Jeru. Kimkolwiek będą.

— Zbierzemy się ponownie za miesiąc. Jeśli Volgary nie

zostaną zniszczone, lordowie z każdej prowincji poproszą cię o ustąpienie z tronu. Lord Corvyn jest następny w sukcesji, więc zostanie królem. A ty zostaniesz lordem Degn, członkiem Rady Lordów, ale nie będziesz królem — wykrzyczał lord Bin Daru. Rozległy się protesty i sprzeciwy oraz wiwaty i głosy poparcia.

— Lord Corvyn może objąć tron po mojej śmierci, i tylko po mojej śmierci. Sugerujesz zabicie mnie? Jak dotąd wasze próby — wszystkie wasze próby — spaliły na panewce. Wiem, że próbowaliście odebrać mi życie.

— Ty odebrałeś mi córkę! — wrzasnął ojciec, odważając się na to w ogólnym zgiefku.

— I zamierzam ją zatrzymać, lordzie Corvyn — zagrzemiał Tiras, a mój ojciec widocznie zadrżał, podobnie jak moje wnętrze. — Będzie blisko mnie przez cały czas. Będzie piła z mojego kielicha i jadła z mojego talerza, żeby ochronić mnie przed waszymi truciznami. Będzie spała pode mną i nade mną i nigdy nie opuści mojego boku. Za trzy dni wyruszam w dolinę Kilmorda i zabieram ją ze sobą. Będzie jechała przede mną, na moim koniu, przywierając do mnie w czasie bitwy jak ludzka tarcza, chroniąca mnie przed tymi, których wyślecie przeciwko mnie.

Poczułam falę gorąca na policzkach i płomienie w piersiach. Przeliterowałam słowo LÓD, skupiając się na śliskim, zimnym kształcie liter, żeby stworzyć zamarznąłą ścianę między moim sercem a wrzącym kotłem w klatce piersiowej. Staralam się nawet nie mrugnąć i nie przejmować się tym, że jestem pionkiem w bardzo niebezpiecznej grze.

— Jeśli ja umrę, ona umrze — rzekł Tiras, powtarzając to, co powiedział, gdy zabierał mnie z posiadłości ojca. Tak łatwo mu wszystko wyśpiewałam. Zdradziłam mu swój sekret, sekret ojca, a on bez skrpułów to wykorzystał. Hamowałam się przed wyrzuceniem słów, które się we mnie kotłowały. Nie

dam królowi swoich słów. Był taki sam jak mój ojciec. Obaj mnie nie kochali i obaj wykorzystywali mnie do swoich celów. Nagle z osłepiającą wściekłością znienawidziłam ich obu. Nie musiałam nawet zamykać oczu, żeby się od nich odciąć.

Król wziął mnie za ramię i wstał od stołu, a ja bez oporu podniosłam się razem z nim, ale miałam twarz bez wyrazu i puste spojrzenie, gdy zegnał się ze zgromadzeniem i z lordami, którzy wycofali się posłusznie. Ich słowa były rozmyte, a myśli zagmatwane. Lord Bin Daru i lord Gaul już coś knuli — czułam ich lodowatą pogardę i chęć zdrady nawet wtedy, gdy kłaniali się w wyrazie hołdu. Ojciec bez oglądania się za siebie wyszedł razem z nimi. Drżał ze strachu i zwątpienia, a jego emocje odbijały się od mojej lodowej fasady.

Tiras zabrał mnie do swojej komnaty i zostawił z Pią, która pomogła mi ściągnąć suknię i rozpuścić włosy. Zaniemówiła z wrażenia i cała promieniała, gdy wkładała mi luźną, białą sukienkę, zupełnie jakby spanie w królewskiej komnacie było dla mnie nie lada nobilitacją. Nie wiedziała, że byłam tylko bronią. Narzędziem. Pod drzwiami znowu pojawili się strażnicy; czułam ich zmęczone myśli.

Ale ja nie miałam zamiaru uciekać. Nie miałam gdzie się udać.

Położyłam się w gigantycznym łóżku Tirasa, w którym kiedyś ochłodziłam jego rozpaloną skórę i spałam przy jego boku, ale on nie wrócił. Usłyszałam jego sprzeczkę z Kjellem w korytarzu, ale nie wszedł do środka. Z całą pewnością byli przekonani, że ich nie słyszę, ale słowa znalazły sposób, żeby do mnie dotrzeć, niezależnie od tego, czy chciałam je słyszeć, czy nie.

Kjell był przeciwny zabieraniu mnie do doliny, tak samo jak mojej obecności w zamku i bliskości z królem.

— Powinieneś ją wygnać. Jest niebezpieczna i nie można jej ufać — przekonywał.

— Ona nam pomoże. Gdy walczyliśmy z Volgarami, nie wiedziałem, że to ona, ale wyraźnie czułem w sobie jej wpływ. Kazała im odlecieć i posłuchały jej — odparł Tiras, a w jego głosie pobrzmiwała nutka podziwu. — Też to widziałeś. To była jej sprawka, Kjell.

— Jest Powiadaczką! — wypluł z siebie Kjell, jakby to słowo było żółcią.

— Jest Powiadaczką — potwierdził król. — I to niesłuchanie potężną. Jeśli każe im umrzeć, spaść z nieba lub rzucić się w Morze Jyraeńskie, posłuchają jej.

— A co, jeśli zwróci swoją moc przeciw tobie, Wasza Wysokość? Staniesz się jej marionetką? Razem ze mną?

— To jest ryzyko, z którym musimy się pogodzić, Kjell. Na razie nie użyła na tobie swojej mocy. Jak widać — powiedział Tiras beznamiętnym tonem, w którym pobrzmiwało rozbawienie.

— Traktujesz ją jakoś inaczej. Jesteś niemal... delikatny. — Ostatnie słowo Kjell wypowiedział z cichą pogardą. — To... to dziwne, Tirasie!

— Nie mogę nie być dla niej delikatny, bo ona też jest dla mnie delikatna. — Tiras sprawiał wrażenie zażenowanego, a lód w moim sercu zaczął się podtapiać, mimo że Kjell nie krył szyderstwa.

— Ona nie jest nawet ładna, Tirasie! Nie jest wysoka ani silna. Noszenie twoich synów prawdopodobnie ją zabije.

— Jest silna pod innym względem. A twoja definicja piękna nie pokrywa się z moją — kontrargumentował Tiras. Nie mogłam uwierzyć w to, czego słuchałam. Usiadłam w łóżku z łomoczącym sercem.

— Nie lubisz dużych piersi i pełnych bioder? Nie lubisz brązowej skóry i grubych, ciemnych włosów? Od kiedy, Wasza Wysokość? Ona jest tylko bladym cieniem kobiety.

Skrzywiłam się.

— Jest dla mnie przydatna, Kjellu. Jaka inna kobieta może się tym poszczycić? Nie znam żadnej, która byłaby dla mnie jakkolwiek przydatna.

Kjell nie odpowiedział, a moje serce zwolniło do smutnego stukotu. Przeklinałam się w myślach za nasłuchiwanie. Dobrze mi tak. Przypomniła mi się Studnia Słów i naiwni ludzie, którzy wykrzykiwali swoje słowa w jej mętną otchłań z nadzieją, że Bóg Słów ich usłyszy i będzie akurat miał taki kaprys, by spełnić ich pragnienia. Ja też byłam naiwna. Oddałam swoje słowa mężczyźnie, którzy może mnie wykorzystają. I tak właśnie zrobił. I będzie robił. Aż przestanę być dla niego przydatna. *Zamilcz, córko, a przeżyjesz.*

W sumie to powinnam się cieszyć, że znam prawdę. Położyłam się z powrotem na wielkim, pustym łożu, blisko krawędzi, jak posąg uformowany przez szalejące wiatry i nieustanne deszcze, nieprzenikniony i twardy. Nie formowałam żadnych słów, nie zabawiałam się myślami i zupełnie wyłączyłam uczucia, aż w końcu błogosławiony sen zabrał mnie na swych puchowych skrzydłach.

14



Przez trzy dni w obrębie murów zamku rozbrzmiewały przygotowania, a miasto pod moim balkonem szykowało się do kolejnej bitwy. Przestrzeń wypełniały hałasy z kuźni, szcęk broni i odgłosy ostrzenia mieczy. Podkuwano i doposażano konie, gromadzono zapasy, wypełniano wózki i wozy. Rycerze flirtowali, żony się modliły, a kolejka do studni życzeń dwukrotnie się wydłużyła.

W powietrzu iskrzyło od zbliżającej się burzy. Czułam ją, mimo że zamknięta w królewskiej komnacie starałam się ignorować cały ten zgiełk i hałas. Nie musiałam niczego przygotowywać i nie miałam żadnych obowiązków, więc czytałam i pisałam, wmawiając sobie, że jestem panem swojego losu, a nie zwykłym więźniem wojennym. Od tamtego wieczoru nie widziałam się z królem ani razu, mimo że zostałam praktycznie na stałe przeniesiona do jego pokoju. Część moich strojów oraz wszystkie książki, farby i narzędzia do pisania poukładano schludnie w pustym buduarze.

Dzień przed wyruszeniem na dziedzińcu została wydana uczta z rzędami stołów uginających się od pieczonych mięs, fig, owoców, pieczywa i słodkości. Wciąż donoszono żywność, bo każda rodzina w mieście Jeru dokładała się do fety i wszyscy brali w niej udział. Ludzie przez cały dzień jedli, śpiewali i tańczyli, jakby jutra miało nie być. Obserwowałam tę imprezę z góry i od czasu do czasu formułowałam jakieś

zaklęcie, ot tak, żeby wiedzieć, że jeszcze potrafię. Raz koń stanął dęba i wierzgał kopytami w powietrzu, więc przesłałam mu polecenie uspokojenia się, zanim wpadł na wózek z jabłkami. Innym razem na dziecko rzucił się warczący pies, a ja zakazałam mu wchodzić na plac zamkowy. Wycofał się posłusznie z podkulonym ogonem.

W pewnym momencie sukienka pięknej dziewczyny zahaczyła o ostry róg i rozdarła się na końcu. Dziewczę usłyszało odgłos i obejrzało się z przerażeniem, ale odetchnęło z ulgą, gdy przekonało się, że suknia była nienaruszona. Wystarczyło słowo, by ją naprawić, i już mogłam się uśmiechać na widok swojego dzieła.

Przedmioty nie stanowiły dla mnie problemu, zwierzęta praktycznie też, ale ludzie nie tak łatwo pozwalali na siebie wpłynąć. Próbowалам więc swoich sił w prostych sprawach i kwestiach, które uznawałam za „akty pomocy”. Pewien facet w jedwabiach kroczył dumnie wśród uginających się od jedzenia stołów i tylko brał, nie dając nic w zamian. Zjadł trzy słodkie bułeczki u jednej z kobiet sprzedających pieczywo, ale stwierdził, że były niemal niejadalne, i odmówił jej zapłaty. Pieniądze przy jego pasie dzwoniły, gdy odchodził, a kobieta patrzyła za nim z bezradną wściekłością.

Rozedrzyj się, zapłać za niego.

Nagle trasę odchodzącego mężczyzny zaczęły znaczyć monety, które wysypywały się z rozdarłej kiesy i bezgłośnie spadały na ubity grunt. Kobieta ruszyła za nim i pozbierała z ziemi sumę, jaką był jej dłużny, a resztę monet zostawiła do znalezienia dla innych. Ukłuło mnie nieznaczące poczucie winy, że tak definitywnie go osądziłam, więc zreperowałam mu kiesę, zanim stracił wszystko.

Widziałam Kjella na placu. I Boojohniego. Zawołałam go w myślach i spojrzał na mnie w górę, pomachał i wykonał mały taniec, wywołując mój uśmiech. Wydawał się zadowolony i

wolny. Cieszyłam się jego szczęściem, mimo że miałam ochotę mu towarzyszyć i obejrzeć całą imprezę z bliska. Nigdzie nie widziałam króla. Wyglądało to tak, jakby Kjell przejął obowiązki zarządzania przygotowaniem do rychłej wyprawy. Zastanawiałam się, czy Tiras zamknął się gdzieś, żeby rozwiązywać sprawy królestwa i obmyślać sposób pokonania Volgarów i Rady Lordów. A może był chory, ale zrezygnował z mojej umiejętności przywracania go do zdrowia? Może zupełnie o mnie zapomniał, chociaż pod drzwiami przez cały czas stały strażę, a ja miałam zapewnione posiłki i kąpiele.

Po zachodzie słońca impreza przeniosła się z dziedzińca do domów mieszkańców, a w mieście zapadła przenikliwa cisza, która kryła w sobie zapowiedź jutrzejszego wymarszu o poranku i długiej podróży. Siedziałam na balkonie komnaty królewskiej i próbowałam wychwycić słuchem cokolwiek lub kogokolwiek, kto mógłby dotrzymać mi towarzystwa. Desperacko pragnęłam uciec, chociaż na chwilę. Przed przybyciem do Jeru dysponowałam pewną dozą wolności, ale wykradałam jej tyle, ile się dało. I byłam gotowa zrobić to znowu, skoro trzeba. Rozejrzałam się wokoło w poszukiwaniu czegoś, co rozwiązałoby mój problem i przy drodze do stajni dostrzegłam wypełniony słomą wóz. Był zbyt daleko, żeby użyć go jako miękkie lądowisko, ale potrafiłam temu zaradzić.

Wozie ze słomą, stojący przy ścianie, rusz się pode mnie, złagodź mój upadek.

Wóz powoli ruszył, jakby został puszczony z niewielkiego wzgórza i toczył się w dół. Chwiejąc się, stanął pod balkonem — triumfalna złocista sterta czterdzieści stóp pode mną. Zaczęłam się śmiać, aż trzęsły mi się ramiona i przykrywałam dłonią usta. Niemal zakręciło mi się w głowie od tej stworzonej przez siebie sposobności.

Tyle że byłam wysoko. A co, jeśli ktoś zobaczy mój skok?

Wychyliłam się z balkonu i zaczęłam się zastanawiać. Do

wózka ze słomą było naprawdę daleko. Musiałam w jakiś sposób dostać się bliżej. Nigdy nie odważyłabym się na taki skok. Kamienne ściany zamku były gładkie i niespecjalnie nadawały się do wspinaczki... chyba że zrobię sobie podnóżki.

Ten plan także nie był do końca mądry, ale wspierałam się na krawędź balkonu i balansowałam na niej z dłońmi na ścianie zamku. Dotknęłam kamienia niedaleko głowy i zażądałam, by się wysunął.

Gładki kamieniu pod moją ręką,

Wysuń się i zostaw po sobie wnękę.

Kamień natychmiast się poluzował i spadł, zostawiwszy idealne wgłębienie na moje palce. Dotknęłam ściany palcem stopy i ponowiłam zaklęcie, by dla niej też zrobić wnękę. Kamień posłuchał, a ja rozpoczęłam ryzykowne zejście. Tworzyłam sobie występy i podpórki tak długo, aż w końcu znalazłam się zaledwie kilka stóp od wozu. Wtedy się puściłam.



Całe szczęście, że nie mogłam krzyknąć, bo zdradziłabym swoją obecność. Wóz się kiwał i zaczął się przechylać, a gdy przetoczyłam się na bok i zeskoczyłam z niego z płaczącą się między nogami suknią, zachwiał się i zaskrzypiał. Dobrze, że nie zeskoczyłam z wysokości czterdziestu stóp, bo wóz byłby w kawałkach. *Ja* byłabym w kawałkach. Otrzepałam się i z nerwami w strzępach i łomoczącym sercem uśmiechnęłam się do siebie. Zwycięstwo było obrzydliwie przyjemne, a akt buntu wywołał falę pewności siebie, która popchnęła mnie w miasto. Włóczyłam się po placu miejskim i między uśpionymi domami, nie wiedząc za bardzo, dokąd się skierować. Liczyło się tylko to, że mogę iść gdzie chcę.

Przez jakiś czas szedł za mną pies bez ogona i ze zranionym

uchem, ale w końcu kazałam mu zostać. Usiadł na potarganej sierści i patrzył za mną. Czułam jego pragnienie, a w jego skomleniu słyszałam słowo *samotność*.

Rozumiem, pomyślałam uspokajająco. *Przykro mi*. Ale nie miałam domu, do którego mogłabym go zabrać, więc dałam mu tylko swoje współczucie i poszłam dalej. Przemierzałam jedną ciemną ulicę za drugą, próbując cieszyć się chwilową wolnością i ciemnościami, które mi ją dały, ale radość powoli wyparowywała przez skórę i w końcu zatrzymałam się przed pomarańczowym gajem. Było mi głupio i czułam się zagubiona.

Nad moją głową przeleciał ptak, który zaskrzeczał smutno. Jego głos przeszył mi serce, bo dotychczas znałam go tylko z oddali.

Też czuję się samotna, piękny ptaku.

Z wdziękiem krążył nade mną coraz niżej i niżej, aż w końcu przysiadł na gałęzi tak blisko, że niemal mogłam go pogłaskać. Uśmiechnęłam się, gdy go rozpoznałam.

No proszę! Skąd ty się tutaj wzięłaś?

Zbliżyłam się do niego i znowu się zatrzymałam. Przechyliłam głowę, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wyglądał dokładnie tak samo jak ptak w lesie niedaleko twierdzy mojego ojca w Corvyn i jak ptak siedzący na poręczy balkonu, ten, którego uznałam za wytwór wyobraźni.

Dom.

Słowo wypłynęło z niego niczym ciepłe doznanie, a mnie z empatii zaczęły drzeć usta. Niełatwo było doprowadzić mnie do płaczu. To była kwestia honoru i wytrzymałości. Byłam cieniem dziewczyny, kobietą, która miała niewiele do zaoferowania i nic do powiedzenia, ale miałam godność, a łzy były niegodne.

Dom, powtórzył ptak ze smutną natarczywością, jakby stracił swój dom i chciał mi o tym powiedzieć.

Ja też nie mam domu, powiedziałam do niego i zamknęłam oczy, żeby nie wypuścić wilgoci, która chciała rozlać się po policzkach.

Poczułam, że jego udręka dorównuje mojej; była jak alarmujący krzyk, w którym słowo *dom* wydało mi się ostrzeżeniem i zawodem. Potem nieoczekiwanie machnął skrzydłami, poderwał się z gałęzi i miękko osiadł na moim ramieniu. Zamarłam z zaskoczenia, otworzyłam gwałtownie oczy i oparłam się dłonią o drzewo, przy którym stałam, żeby się nie chwiać.

Bałam się poruszyć, żeby nie odleciał, bo nie chciałam go stracić. Był taki duży, że gdybym odwróciła głowę, musnęłabym policzkiem jego pierś. Skrzydła miał złożone z tyłu. Spływały po moim prawym ramieniu, a ich końce muskały mnie w rękę.

Dom.

Nie mogę cię zabrać do domu, przyjacielu. Ale zostanę z tobą przez chwilę.

Nie wiem, czy mnie zrozumiał, ale szturchnął mnie lekko jedwabistą głową i poderwał się równie niespodziewanie, jak wylądował. Przeleciał kawałek, osiadł na innym drzewie i czekał, aż za nim pójde. Przechyliłam pytająco głowę, a on powtórzył mój gest.

Dom.

W ten sposób posuwaliśmy się do przodu. Orzeł podrywał się do lotu i lądował nieco dalej, na dachu, bramie lub gałęzi drzewa, ale tak, żebym nie straciła go z oczu. Czekał na mnie, patrząc, jak podchodzę do niego, po czym znowu odlatywał. Szłam za nim jak zaczarowana. Nie miałam pojęcia, dokąd idę. Włóczyliśmy się tak ciemnymi ścieżkami i zadrzewionymi obrzeżami miasta Jeru, jakby świat należał do nas. W końcu doszliśmy do zachodniej ściany, co najmniej dwie mile od królewskiego zamku. Gdy usłyszałam wołanie straży nocnej,

zawahałam się i zawróciłam w nagłym poczuciu niepewności i zagubienia.

Nie oddaliliśmy się zbyt od drogi, ale coraz rzadziej zdarzały się domy. Praktycznie ich nie było. Gdyby nie wołanie straży nocnej i wyrastające w oddali mury, nie miałabym pojęcia, gdzie się znalazłam. Poczułam się mała i naiwna, więc ruszyłam z powrotem w stronę zamku z nadzieją, że uda mi się jakoś trafić.

Orzeł przesybował tak nisko nad moją głową, że poczułam podmuch powietrza i muśnięcie jego skrzydeł. Znowu przykuł mój wzrok i zmusił mnie do zwrócenia na niego uwagi. Poleciał w stronę niewielkiej chaty między drzewami, niedaleko murów, chaty o grubej strzesze i solidnych murach, która niemal stapiała się z otoczeniem. Miała okna z prawdziwego szkła i ciemne drzwi, których koloru nie dało się rozpoznać w panującym mroku.

Orzeł wylądował na najwyższym punkcie spadzistego dachu i czekał, aż się zbliżę. Chata była zbyt schludna jak na opuszczoną i zbyt cicha jak na zamieszkaną. Nie wyczuwałam przez ściany żadnego życia, żadnych pogmatwanych myśli ani spokojnych snów. Jeśli ktoś w niej mieszkał, nie było go w domu.

Dom.

Znowu poczułam to słowo, a ptak zanurkował gwałtownie, po czym rozpostarł gigantyczne skrzydła i odleciał. Wznosił się w górę i w górę, jak szeroka, czarna plama znikająca w ciemnościach, zostawiwszy mnie przed wejściem do małej chaty między drzewami.

Sprawdziłam bezczelnie drzwi, ośmielona wrażeniem, że ptak sprowadził mnie tu nie bez powodu. Otwarły się z subtelnym jękiem i przywitalnym szumem. Zostawiłam je uchylone i weszłam do środka. Było tam wielkie palenisko z garnkiem do gotowania potraw, stały mały, drewniany stół i

łóżko z nieco zmierzwioną pościelą, jakby ktoś się podniósł na nim, żeby włożyć buty. Wnętrze wyglądało na wygodne i schludne, a jednocześnie na zamieszkane i niezamieszkane. Nie było w nim rodzinnych odpadków ani pozostałości po częstym korzystaniu. Wyglądało jak kryjówka lub miejsce schadzek. Przytknęłam dłonie do policzków, zawstydzona tokiem swojego rozumowania.

Na środku stołu stała latarnia z długim knotem, ale nie miałam niczego, czym mogłabym ją zapalić. Nie miało to znaczenia. Byłam zmęczona. Sterana i pogrążona w żalu. Usiadłam ostrożnie na łóżku i wpatrywałam się w ciemne kąty. Zostanę tu na kilka godzin. Poczekam na wschód słońca i zdecyduję, co dalej. Może wrócę do zamku. A może nie. Może Tiras i mój ojciec znajdą sobie nowego pionka, a Tiras wyruszy w dolinę Kilmorda beze mnie. Nagle zupełnie przestałam się przejmować przyszłością.

Zostawiłam drzwi otwarte. Nie bałam się zwierząt ani owadów, a jedynej osoby, jaka mogła się tu w ciągu najbliższych paru godzin pojawić — właściciela — nie zatrzymają zamknięte drzwi. Stresowałoby mnie spanie w jednoizbowej chatce, gdybym nie mogła zobaczyć, kto lub co się zbliża, nawet jeśli dostrzegłabym to w ostatniej chwili. Poza tym wystarczająco długo przebywałam za zamkniętymi drzwiami.

Skuliłam się na łóżku i wpatrywałam się przez otwarte drzwi w las. Między liśćmi migotało kilka odważnych gwiazd, a ja wysłałam w przestrzeń przekaz, czy raczej swego rodzaju modlitwę lub zaklęcie, będące bardziej prośbą niż czymkolwiek innym.

Widzę was, gwiazdy. Dostrzegacie mnie przez te aksamitne liście? Chrońcie mnie od myszy i mężczyzn, sprawcie, żebym była niewidzialna dla wszystkich prócz przyjaciół.

Jak dotąd moje zaklęcia okazywały się kompletnie

bezużyteczne, gdy próbowałam odnieść je do siebie. Mimo to poczułam się bezpiecznie, jakby coś nade mną czuwało, i zasnęłam na tym pożyczonym łóżku. Śniłam o swoich dwóch przyjaciółach — Boojohnim i czarnoskrzydłym ptaku, który usiadł mi na ramieniu i błagał, bym wróciła do domu.

15



Drzwi wychodziły na wschód i kiedy słońce zaczęło przeciskać się nitkami światła przez wierzchołki drzew, obudziłam się przy wtórze szeptów drzew oraz krakania i ćwierkania rannych ptaszków. Orzeł wrócił — siedział na werandzie tuż za uchylonymi drzwiami. Uśmiechnęłam się sennie i przywitałam go myślami. Zadrżały mu skrzydła i ruszył do przodu. Wszedł do chaty, jakby należała do niego.

Był ptakiem.

A potem przestał nim być.

Olbrzymie skrzydła zmieniły się w szerokie ramiona i długie ręce zakończone ludzkimi dłońmi ze zginającymi się palcami. Pióra przekształciły się w tors, a pierś ptaka rozrosła się i wydłużyła, przechodząc w męską klatkę piersiową i brzuch. Kuczał, a po chwili nogi po prostu się pod nim rozwinęły, podnosząc go. W końcu stanął z odchylną głową i wygiętym ciałem, jakby właśnie przebudził się z głębokiego snu. Miał rozpostarte ramiona z dłońmi skierowanymi w górę, jak człowiek, który składa hołd słońcu otulającemu go swoim światłem. A może to słońce składało hołd jemu. Każdy cal jego ciała miał złoty i ciepły odcień — nawet białe włosy były skąpane w aureoli porannego blasku.

Był kompletnie nagi i absolutnie piękny. Przez chwilę patrzyłam na niego jak zaczarowana, zapomniawszy o tym, że

gdy tylko nieznacznie skreści głowę, dostrzeże mnie, leżącą na łóżku i gapiącą się na niego. W tym samym momencie gwałtownie odwrócił do mnie głowę, jakby usłyszał moje wołanie. Opuścił ramiona, a blade ptasie oczy rozszerzyły się i zmieniły w podejrzliwe i mroczne spojrzenie króla Tirasa.

Wpatrywałam się w niego bez tchu, walcząc z niedowierzaniem. Na jego twarzy ścierało się kilka emocji — zwątpienie, wstyd, lęk — które w końcu przegrały z jego absolutną pewnością siebie. Uniósł podbródek i spojrzał na mnie, jak zwykle królewski i nieustraszony.

— Uciekłaś. — To osobliwe powitanie wypowiedział z takim potępieniem, że potarłam oczy z niedowierzaniem i postanowiłam zostać w ciemnościach stworzonych przez moje dłonie, przekonana, że śnię.

Jeśli nie jesteś snem, mógłbyś się ubrać?

— A jeśli *jestem* snem, chciałabyś, żebym pozostał tak, jak jestem? — odparował kąśliwie, ale usłyszałam odgłosy poruszania się i ubierania.

Przytaknęłam, potem potrząsnęłam głową i znowu przytaknęłam, a dłonie zsunęły się kolejno na płonące policzki, potargane włosy i ścianę, o którą się oparłam, żeby wstać. Przez cały ten czas nie patrzyłam na niego. Oddychałam głęboko — raz, dwa, trzy razy — po czym spróbowałam przemknąć obok niego do drzwi. Potrzebowałam przestrzeni i powietrza, ale on zastąpił mi drogę i wyciągnął dłoń, jakby uspokajał swojego konia. Zamknął nogą drzwi, a jego głos zmienił się w ciche błaganie.

— Nie uciekaj ode mnie, Lark.

Całe szczęście miał już na sobie bryczesy. Jedną dłoń nadal wyciągał do mnie, a w drugiej trzymał zwiniętą tunikę i gdy doszedł do wniosku, że nie mam zamiaru zwiać, włożył ją przez głowę i wsunął w spodnie. Potem naciągnął wełniane skarpety na nagie stopy i założył buty, których nie zauważyłam

w ciemnościach. Mogłabym przysiąc, że gdzieś już je widziałam.

Jesteś ptakiem.

— Czasami.

Jesteś Zmieniaczem.

— Tak.

Jesteś Obdarzonym.

— Tak.

Jak ja.

— Jak ty. — Zawahał się. — Teraz już wiesz? Rozumiesz?

Patrzyłam na niego pustym wzrokiem, zagubiona w labiryncie niepowiązanych ze sobą myśli. Nic z tego nie rozumiałam... ale wiedziałam jedno.

Byłeś orłem w lesie... w Corvyn.

— Tak.

Byłeś ranny. Miałeś... strzałę... sterczącą z klatki piersiowej.

— Światło ułatwia mi zmianę, a zmiana mnie leczy. Musiałem tylko wytrwać do świtu. Gdy zmieniłem się z powrotem w człowieka, wciąż przy mnie leżałaś.

Kilka elementów układanki wskoczyło we właściwe miejsce. Tiras zdawał się podążać za moim tokiem rozumowania.

— Ukradłem ubrania stajennemu, a twojemu ojcu konia i wróciłem do obozu mojej armii ze świadomością, że otarłem się o śmierć. Gdyby nie ty, już bym nie żył. Postanowiłem cię odnaleźć, przekonany, że możesz mnie wyleczyć. Gdy uświadomiłem sobie, kim jesteś i że nie potrafisz mówić, zareagowałem odruchowo i upiekłem dwie pieczenie na jednym ogniu, jak się mówi. Twój ojciec nastawał na moje życie, od kiedy się urodziłem. Cóż za ironiczna

sprawiedliwość, że jego córka może mnie ocalić.

Tyle że nie mogę.

— To prawda. Nie wyleczysz mnie z tego. Przynosisz mi ukojenie. Łagodzisz męczarnie, ale nie możesz mnie wyleczyć.

Nie mogę wyleczyć tego, co nie jest zepsute.

Jego oczy się powiększyły, zbliżył się o krok. Nie wiedziałam, skąd wzięły mi się te słowa, ale najwyraźniej nim wstrząsnęły.

— *Czuję się zepsuty* — wyznał smętnie. Po czym otrząsnął się i wyprostował, poprawiając swój płaszcz wyniosłości. — Kiedyś potrafiłem kontrolować zmiany. Czułem, że się zbliżają, i potrafiłem im zapobiec samą siłą woli. Ale zeszłego roku zaczęło mi to sprawiać ból, opieranie się zmianom, więc poddawałem się im częściej. W dziennym świetle nie czuję aż takiej presji, chociaż mogę to zrobić, jeżeli jest taka potrzeba. Na przykład gdy zostaję otruty przez spiskujących lordów.

Przypomniałam sobie, jak przewrócił się w korytarzu.

A gdy się nie opierasz... czy to boli?

— Trochę tak, ale przelotnie, jak przy rozciąganiu zdrętwiałych kończyn lub napinaniu obolałych mięśni. Za drugim razem, gdy przyszedł mi pomóc, nie potrafiłem się opanować i zmieniłem się jeszcze przed twoim przybyciem. Myślałem, że mnie zobaczysz, gdy nastanie świt, i zmienię się z powrotem w człowieka. Ale Kjell usłyszał moje wezwanie i zainterweniował.

Ale byłeś chory... po tym zdarzeniu.

Tiras przytaknął.

— Musiałem siłą zmusić się do powrotu do ludzkiej postaci. Po raz pierwszy w życiu wstało słońce, a ja nie stałem się człowiekiem. Gdy mi się to w końcu udało, zaniemogłem.

Zawsze umiałeś się zmieniać? Nie znałam nikogo innego o takiej zdolności. Albo wszyscy po prostu udawali normalnych.

— W noc po śmierci twojej matki zmieniłem się po raz pierwszy. Było tak, jakby zobaczyła to we mnie. Ona wiedziała.

Oddasz syna niebu.

Przepowiednia nagle nabrała zupełnie nowego znaczenia, a Tiras przytaknął, jakby usłyszał te słowa, odbijające się echem w mojej pamięci.

— Przez kilka lat zdarzało mi się to rzadko i stopniowo się do tego przyzwyczajałem. Niemal przekonałem się, że to sen, chociaż po jakimś czasie to wyjaśnienie straciło rację bytu. Ale zmiany przytrafiały mi się tak sporadycznie, że uwierzyłem, że jestem w stanie je ukryć... przed wszystkimi.

A ja nie mogłam uwierzyć, że nie ukrywa tego przede mną. Mówił dalej, nie zatrzymując się.

— Kjell pierwszy się zorientował. Potem mój ojciec. Ukrywałem się tu, w tej chacie, przez miesiąc, z lęku przed tym, co robi. Widziałem na własne oczy, jak traktował Obdarzonych. Myślałem, że mnie zabije. Ale on zamiast tego niedługo potem sam zginął. A ja zostałem królem.

Dlaczego mi o tym mówisz?

Mój głos brzmiał mi ostro w głowie, jazgocząc między uszami, i nie ja jedna się skrzywiłam.

— Chcę, żebyś zrozumiała i żebyś nie czuła się samotna — wyznał mrukliwym tonem, jakby bycie miłym było dla niego nieprzyjemne.

I chcesz, żebym pojechała z tobą w dolinę Kilmorda. Chcesz, żebym ci pomogła. Pomyślałam o podsłuchanej przeze mnie jego rozmowie z Kjellem.

Miał na tyle honoru — lub arogancji — żeby nie zaprzeczać.

— Jesteś zdolna do czegoś więcej niż przesuwanie siana i dziurawienie murów.

Spojrzałam mu prosto w oczy, a on wykrzywił usta.

— Widziałem cię. Bycie ptakiem ma swoje zalety.

Ta myśl mnie zasmuciła. Poczułam się, jakbym została zdradzona przez przyjaciela.

— Jeśli uciekniesz, Lark, sprowadzę cię z powrotem. Potrzebuję cię — powiedział wprost. — Jeru cię potrzebuje.

Potrzebuję cię. Te słowa były takie uwodzicielskie. Kuszące. Potrzebuję cię. Jeszcze nikt mnie dotąd nie potrzebował. Dlaczego więc czułam się taka zawiedziona, że król po prostu mnie potrzebuje i tyle?

Zawsze chciałam być do czegoś potrzebna, przyznałam. Milczał, wyczuwając słowa, których nie przekazywałam. W końcu, skoro ich nie wyraziłam, skinął głową, by oddalić unoszące się w powietrzu pytania.

— W takim razie pojedziesz ze mną — oznajmił głosem nieznoszącym sprzeciwu. Westchnęłam, a on natychmiast się spał. Ale przytaknęłam z rezygnacją.

Pojadę z tobą.



Zgodnie ze swoimi słowami Tiras jeszcze tego samego dnia wyruszył z armią w dolinę Kilmorda, a ja, zgodnie ze swoimi, pojechałam z nim. Lordowie razem ze świtami także opuścili Jeru i ruszyli w stronę swoich prowincji, żeby czekać na wieści o królewskim sukcesie lub porażce. Lady Ariel z Firi — której ojciec był zbyt schorowany i wysłał ją w swoim imieniu — jechała z nami przez cały dzień i szczebiotała radośnie do Kjella, jakbyśmy jechali na imprezę, a nie na wojnę. Obserwowała mnie z zaciekawieniem i wyczuwałam jej pytania, ale nie chciałam zdradzać się z umiejętnością odpowiadania na nie. Firi leżało na zachód od doliny Kilmorda

i najdotkliwiej odczuło napływ imigrantów ze zmasakrowanej prowincji. Lady Firi i jej straż rozstali się z nami na rozwidleniu, ale przez całą drogę wyglądała na zadowoloną z ochrony zapewnianej przez armię i uwagi, jaką obdarzali ją Kjell i król.

Czy ona chce być królową? Spytałam Tirasa, przerywając towarzyską ciszę między nami.

Chrząknął w odpowiedzi, ale z intonacją wznoszącą, jakby nie do końca wiedział, o kogo pytam.

Lady Firi. Czy ona chce być królową?

— Jakżeby inaczej — odparł.

Niemal parsknęłam na taką zarozumiałość, ale podzielałam jego zdanie.

Kjell się w niej kocha.

— Wątpię, czy to miłość. Ale ma do niej słabość — przyznał.
— Więc nigdy nie będzie królową.

Nie jest dla ciebie przydatna?

— Nie jest dla mnie przydatna — powtórzył zwyczajnie. — A Kjell jest moim jedynym przyjacielem.

Jechaliśmy przez cztery dni, opóźniani przez ciągnące się na końcu wozy z zapasami. Wszystko mnie bolało i błagałam o pozwolenie na marsz, bo moje wrażliwe ciało nie przywykło do spędzania całych godzin w siodle. Tiras zgodził się na to, ale tylko ze względu na moje cierpienie. Każdego dnia mogłam przez kilka godzin iść piechotą, a on co chwilę pojawiał się na tyłach, żeby sprawdzić, czy nie umknęłam.

Nie mam dokąd iść, zapewniałam go.

— Nie masz powodu, żeby zostać — ripostował.

Boojohni przewracał na to oczami i wydawał z siebie uszczypliwe gwizdy, a Tiras popędzał Shindoha i wracał na

czoło. W nocy spałam pod gołym niebem, między gwardzistami. Zgodnie z planem obóz z namiotami miał zostać założony dopiero po przybyciu do doliny. Rozbijanie go co noc wymagałoby zbyt wiele czasu i nakładu pracy, a celem było dotarcie do celu najszybciej, jak to możliwe. Kiedy leżałam na prowizorycznym sienniku z Boojohnim u boku, uświadomiłam sobie, że lubię przestrzeń.

W pierwszą noc Tiras spał niedaleko mnie na podobnym prowizorycznym sienniku. W następną noc zniknął od razu po zapadnięciu zmroku i nie widziałam go potem przez cały trzeci dzień. Gdy ktoś o niego pytał, Kjell za każdym razem wyjaśniał, że akurat go nie ma. „Jest z przodu”, „jest z tyłu”, „jest na czele” lub „jest tam”, mówił. Tamtego dnia jednak jechałam na Shindohu sama, z Boojohnim truchtającym przy moim boku, w pewnej odległości za armią. Czwartego dnia Tiras spał o świcie na swoim sienniku, a gdy się obudził, miał cienie pod oczami. Kiedy podniósł mnie na Shindoha i usadowił się za mną, żeby rozpocząć ostatni etap wyprawy, zapytałam go o samopoczucie.

Czy ty kiedykolwiek odpoczywasz?

Przez chwilę milczał, po czym zbliżył usta do mojego ucha, jakby bał się, że ktoś go usłyszy.

— Orły nie są zwierzętami nocnymi. Mogę spać, jeśli znajdę bezpieczne miejsce. A ponieważ zbliżamy się do doliny Kilmorda, poleciałem do przodu obejrzeć teren. Wojska z prowincji wycofały się na grzbiet nad doliną i nie pozwalają Volgarom się przedrzeć, ale one osiadły w dolinie, w opuszczonej wiosce. Jest ich więcej.

Ile?

— Tysiące.

Tysiące?

— Wyssały krew z żywego inwentarza i wyczyściły lasy ze

zwierzyny. Są głodne i zaczynają poszerzać atakowany teren.

Skąd się wzięły? Nie pamiętam, żeby istniały takie stworzenia, gdy byłem dzieckiem.

— Nikt tego nie wie. Pierwszy raz widziałem Volgara trzy lata temu. Od tego czasu stały się największym zagrożeniem Jeru. Słyszałem pogląd, że pochodzą z wyspy na Morzu Jyraeńskim. Wiem tylko tyle, że jest ich coraz więcej i że przegrywamy wojnę.

A co z armią na obrzeżach doliny?

— Jej ludzie są eliminowani, jeden po drugim.

16



Czwartego dnia, koło południa, dotarliśmy do granic doliny, ale nie rozbiliśmy namiotów. Tiras zarządził, że wszyscy mają się posilić i odpocząć, po czym z Kjellem i dowódcami stacjonujących armii wymknął się, żeby ustalić plan bitwy. Wyczuwałam Volgary w taki sam sposób, jak zawsze wyczuwałam duże zgromadzenia, co wprawiło mnie w roztrzęsienie i odebrało mi apetyt.

Podobnie jak u większości stworzeń, słowa Volgarów były proste. *Latać, jeść, spółkować*. Volgary nie miały obaw i lęków. Nie przejmowały się nami i z całą pewnością nie ustalały planu bitwy. One po prostu żyły zgodnie z instynktami. *Jeść, latać, spółkować. Zabić*.

Różnica między nimi a dowolnym innym dużym stadem była taka, że one cieszyły się zabijaniem. Wręcz żyły dla zabijania. Miały proste instynkty... lecz także nikczemne. To, że były prostymi stworzeniami, nie znaczyło, że są poczciwe. Były drapieżnikami na szczycie łańcucha pokarmowego, a ich liczebność stała się problemem.

Zazwyczaj spały w dzień, a w nocy widziały znacznie lepiej niż człowiek. Tiras stwierdził, że jeśli zwabimy je o zmierzchu, tuż po ich przebudzeniu, gdy będzie jeszcze trochę światła, to może uda się ich sporo wyeliminować.

Odpoczywaliśmy przez cały dzień, dając koniom szansę na

odzyskanie sił po długiej podróży, ale ten czas wydawał się zmarnowany z powodu zbiorowego niepokoju, jakim panował w obozie. Noc była przerywana wrzaskami Volgarów i krzykami mężczyzn, których porywały w ciemnościach w taki sam sposób, w jaki przetrzebiały armię na granicy. W końcu nastał chłodny i szary świt, który odzwierciedlał nastrój każdego gwardzisty. Nikt nie chciał już dłużej czekać.

Pogoda nam sprzyjała. Ciemne niebo i mizerne światło znacznie zwiększały szanse na zwabienie Volgarów na dzienne polowanie. Tiras powiedział, że muszą się do nas zbliżyć, i na tym polegała moja rola. Późnym popołudniem cała armia — poza Boojohnim, rannymi i kucharzami — zebrała się w zagajniku na zachodniej granicy doliny Kilmorda.

— Milę stąd lotem orła — stwierdził Tiras, a Kjell rzucił mu ostre spojrzenie.

Ciemne chmury kłębiły się i przesunęły w pośpiechu, by umknąć błyskawicom, które przecinały niebo nad klifami i skałami, wyrastającymi z ziemi niczym zamek Tirasa w mieście Jeru. Król trzymał mnie przed sobą, ciasno obejmując opancerzoną dłoń, gdy galopowaliśmy wzdłuż tłumu wojowników. Wykrzykiwał polecenia i słowa zachęty, mimo że niosący nas koń drżał z przerażenia. Próbowałam przekazać wierzchowcowi spokój i poczułam, że jego czerwony strach zaczyna osłabiać moją własną samokontrolę.

— Oszczędzaj energię — nakazał mi Tiras, zbliżywszy usta do mojego ucha. — Potrzebuję cię całą. Shindoh przywykł do bitwy. Nie zawiedzie mnie.

Posłuchałam go, ale wsunęłam dłoń w krótką grzywę czarnego wierzchowca, czego Tiras już nie skomentował. Narzucił mi kolczugę na zieloną tunikę i bryczesy, które kazał mi włożyć, odmówiłam jednak nałożenia hełmu i szczękającej zbroi, wbrew jego usilnym namowom. Stałabym się tak ciężka, że nie byłabym w stanie się poruszać, a Shindoh nie potrafiłby

tak szybko manewrować z naszą dwójką na grzbiecie.

Tiras miał na sobie hełm, ale wyjaśnił, że nosi go raczej dla ukrycia swojej tożsamości niż z jakichkolwiek innych powodów. Każdy chciałby zabić jasnowłosego króla. Moje włosy sięgały mi długą falą za pas. Obawiałam się, że moja obecność skieruje na nas uwagę, bo będę jedyną kobietą na polu bitwy.

— Przywołaj je, Lark. Nakłoń je, żeby się zbliżyły.

Wyciągnęłam dłonie, poczułam westchnienie chmur i zbliżający się deszcz oraz unoszący się z ziemi szum życia, po czym skierowałam uwagę w głąb skąpego światła.

Były tam.

Słyszałam je i wyczuwałam pulsujące od nich pragnienie krwi. Żyły dla zabijania. Nie dla nienawiści lub władzy. Dla zabijania. Zabijały, bo śmierć oznaczała jedzenie. Śmierć oznaczała życie. Śmierć oznaczała, że ich krew stanie się gorętsza, a ciała będą mężniejsze i potężniejsze. Były prostymi bestiami, ale bestiami.

I były głodne.

Ich głód był kłujący, jakby miały ograniczoną dietę. Odwołałam się do tego głodu, każąc im podejść, żeby się pożywiły.

Wzniescie się, dość marudzenia,

W pobliżu jest mnóstwo jedzenia.

Poczułam zamieszanie i drżenie. Chciały posłuchać, ale pod zbiorowym pulsowaniem niewinnych instynktów — jakkolwiek krwiożerczych — płynął prąd woli, która była bardziej ludzka niż zwierzęca oraz niezależna od nich.

Coś kontrolowało ich działanie i ta prowadząca je inteligencja była inna niż one. Miała wilgotny, gardłowy głos, który przywierał do umysłu każdej bestii, manipulując nią i

kierując.

Ta inteligencja miała świadomość.

Cofnęłam się z jękiem i uderzyłam głową w uzbrojony tors Tirasa.

— Lark?

Przywódca Volgarów, Liege, jest człowiekiem czy Volgarem?

Shindoh zarżał, jakby zrozumiał, ale ja wiedziałam, o co mu chodzi. Wyczuwał mój strach.

— Jednym i drugim.

Jest Obdarzony?

— Chodzą słuchy, że jest Zmieniaczem... jak ja. Człowiekiem i ptakiem.

A co, jeśli lord Bin Daru miał rację? Co, jeśli to Obdarzeni stoją za atakami Volgarów?

— A co to za różnica? Wolałbym zabić złego człowieka niż niewinną bestię. Volgary niszczą, więc trzeba je zniszczyć, ale Liege pragnie zdobywać i brać. Nie ma to dla mnie znaczenia, czy jest Obdarzony. Chce zdobyć Jeru. Ale nie zdobędzie.

— Tirasio! Ludzie są niespokojni. Jeśli nie wyruszymy teraz, nie dotrzemy do Volgarów przed zmrokiem — przerwał nam Kjell, podjeżdżając truchtem na koniu ze słabo skrywaną frustracją. Miał twarz jak niebo: zachmurzoną, mroczną i gotową do rozpętania burzy.

— Czekaj, Kjellu. Nie spieszmy się. Pozwólmy im się zbliżyć, tak jak mówiłem.

Kjell przytaknął, ale jego niebieskie oczy na moment spoczęły na mojej twarzy i widziałam, że ma inne zdanie. Opuścił osłonę hełmu i odjechał, ale niezbyt daleko. Jego koń kroczył jak pantera. Tiras zbliżył usta do mojego ucha.

— Nakłoń je, żeby się zbliżyły, Lark — powtórzył, a ja

poczułam ciarki na policzku od jego mrukliwego szeptu. — Już czas.

Wypuściłam słowa na wiatr jak wezwanie syren, nakłaniając Volgary do zrobienia tego, czego pragnęły. *Latać, zabijać, jeść.* Przyciągałam je kuszącym głosem z obawą, że mogą mnie posłuchać, i jeszcze większą obawą, że mnie nie posłuchają. Chciały Jeru. Chciały Tirasa. A ja odkryłam, że zależy mi zarówno na pierwszym, jak i na drugim.

W mojej czaszce zabrzmiało ogłuszające krakanie, niczym głos niezaspokojonej bestii. Skrzywiłam się z bólu i poczułam, jak wyczuwany przeze mnie w Volgarach prąd woli nieoczekiwanie słabnie. Usłyszałam łopot tysięcy skrzydeł w powietrzu, który zagłuszył słowa nawołujące do powściągliwości. Jego słowa.

Nadciągają, ostrzegłam.

Tiras wrzasnął niczym echo głosu bestii w mojej głowie, a Shindoh ruszył z kopyta wzdłuż linii jeruwiańskich łuczników z napiętymi łukami, pragnących rozpętać piekło nad skrzydlatym wrogiem. Niebo nad nami zaczęło się wiercić i łopotać, aż światło dnia zostało przesłonięte wielkim czarnym kocem.

— Każ im wylądować, Lark — nakazał Tiras. Posłuchałam niemal bez wahania, atakując swoim darem z całą zapalczywością przeklętych i zdesperowanych.

Nie umiecie latać,

Więc spadniecie z nieba,

Znaleźć się na ziemi —

Tego wam potrzeba.

Zobaczyłam, jak to proste zaklęcie przeszywa powietrze nad nami. Słowa były jak ogniste kule w gnieździe wijących się węży. Volgary spadały z wrzaskiem. Niektóre uderzały w

ziemię z takim impetem, że ginęły na miejscu, część jednak sprawiała wrażenie bardziej odpornych na moje sugestie i chociaż oszołomione upadały ciężko z trzepotem skrzydeł, to wychodziły z tego bez szwanku.

— Do ataku! — wrzasnął Kjell, a wojownicy, którzy ukrywali się w długich trawach na prawo od łuczników, wyskoczyli zza drzew i biegli na polanę, wymachując mieczami i ciskając włócznie. Spadli na ogłupiałe Volgary, nim te zdążyły obnażyć szpony i wznieść ostre jak brzytwa dzioby.

Tiras popędził Shindoha i przeszył lancą jednego Volgara, jednocześnie ostrzegł któregoś wojownika przed atakiem z góry.

— Utrzymuj ich na ziemi, Lark! — wykrzyknął do mnie. — Nie możemy z nimi walczyć w powietrzu.

Nie umiecie latać.

Macie zgięte skrzydła.

Wznoszenie w powietrze

Już wam się nie przyda.

Kolejna grupa Volgarów spadła z nieba, mimo że te na ziemi wrzeszczały i walczyły zaciekle. Niewiele poderwało się z powrotem do lotu. Uwierzyły, że mają zgięte skrzydła.

Było ich tak dużo. Dziesięć na jednego — albo dwadzieścia — i wciąż napływały. Tiras kazał otoczyć wściekłą horde, wykrzykiwał rozkazy i używał każdej broni, jaką miał pod ręką. Raz po raz odzywał się do mnie — kierował mną i dzierżył mnie jak miecz, a ja przywarłam do Shindoha i wykonywałam polecenia króla, obserwując szerzącą się wokół śmierć. Wojownicy z Jeru z otwartymi ranami i pustymi spojrzeniami leżeli między Volgarami. Mimo usilnych starań nie byłam w stanie ich wszystkich ocalić. Wyrzucałam z siebie słowa i zaklęcia, aż rozbolały mnie oczy, a umysł zaczął mnie zawodzić.

Miałam posokę we włosach i piasek w zębach, lecz za moimi plecami niezmordowany Tiras wykrzykiwał komendy i dowodził swoimi ludźmi. Łomotanie w skroniach rozbrzmiewało w czaszce jak gong. Byłam sterana i roztrzęsiona, zbyt słaba, by utrzymać się w pionowej pozycji. Opadłam do przodu na kark Shindoha, nie przejmując się tym, że jego grzywa jest śliska od potu i krwi. Poczułam, że się zsuwam. Nie byłam w stanie dłużej się utrzymać.

Zsunęłam się tak nisko, że widziałam taniec kopyt Shindoha między rannymi i zmarłymi, gdy nagle Tiras złapał mnie za warkocz, owinał go sobie wokół dłoni i pociągnął mnie z powrotem. Osunęłam się na niego, a on musnął ustami moje ucho, okazując mi delikatność, mimo że miał dla mnie kolejne żądanie.

— Każ im odlecieć, Lark. Zakończ to.

Mocne szarpnięcie jego ręki i ulotny ból skóry głowy otrzeźwił mnie na tyle, żeby wykrzesać z siebie ostatnie błaganie.

Uciekajcie,

Lećcie już,

Niech zostanie po was kurz.

— Potężniejsze niż miecz — szepnął w zadumie Tiras, a ja zatopiłam się w poczuciu ulgi, które emanowało z jego głosu. Postrzępione skrzydła oderwały się od ziemi. Oddychałam płytko, oczy same mi się zamykały, gdy patrzyłam wraz z wojownikami Jeru, jak pozostałe przy życiu Volgary uciekają w górę. Walczyłam z pokusą poddania się nieświadomości, chociaż miałam ręce jak z ołowiu i gęste myśli. Nagle znowu zaczęłam się zsuwać z Shindoha, uwalniając się od dźwięków i ciężaru swojego daru.

Wydawało mi się, że słyszę okrzyk zwycięstwa Kjella. Wkoło panowała atmosfera wdzięcznego triumfowania, która

muskała mnie w policzki niczym pióra.

— Czy ona jest ranna? — ktoś spytał, a ja poczułam zaciskające się wokół mojego ciała stalowe opaski. Byłam przenoszona między żołnierzami.

— Udało się, Wasza Wysokość! — Ktoś klepnął króla w plecy, a moja twarz odbiła się na chwilę od jego napierśnika. To Tiras mnie niósł, a te stalowe opaski to jego ramiona.

Pójdę sama.

— Rozluźnij się.

Pójdę sama.

— Uparta kobieta — mruknął. — Śpij.

Zasnęłam.

17



Obudziłam się na trawie wśród jęków, przekleństw, odoru krwi i rozszarpanych ciał. Shindoh rżał obok mnie, więc wyciągnęłam dłoń, żeby uspokoić i jego, i siebie. Przy głowie miałam bukłak z wodą. Napiałam się i oblałam sobie ręce i twarz. W ciemnościach dostrzegałam przemierzających się ludzi, którzy opatrywali rannych i znosili ciała na stosy.

Część wojowników spała pod drzewami, a część obserwowała niebo i doglądała rannych. Ruszyłam między nich w poszukiwaniu prywatności i być może miejsca, w którym mogłabym się umyć. Włosy lepiły mi się do twarzy, a kolczuga, owszem, zapewniała mi ciepło, ale ocierała mnie pod rękami.

Najwyraźniej bitwa wcale się nie skończyła, lecz została wstrzymana. Drżałam na myśl o tym, co przyniesie następny dzień. W powietrzu nie dało się wyczuć żadnych słów. Leśne stworzenia zagrzebały się w ziemi lub zbiegły. Odgłosy nocy były przytłumione, a drzewa milczały. Nawet liście przemawiały szeptem lub nie odzywały się w ogóle. Śmierć zmusiła żywe istoty do ukrycia. Ukradkiem weszłam w zarośla, żeby załatwić najpilniejszą potrzebę, i modliłam się, żeby nikt mnie nie nakrył. Wydawało mi się, że wyczuwam zapach wody, więc powęszyłam w powietrzu jak Boojohni i zaczęłam nasłuchiwać. Wyłapałam coś na kształt wilgotnej ziemi i omszałego torfowiska. To był strumień, który niedaleko

obozu nieco się pogłębiał i poszerzał.

Podążyłam za zapachem i cichym spadaniem wody na skały. Woda przyciągała życie, tak jak mnie, więc zbliżałam się ostrożnie, wyglądając zza nadbrzeżnych zarośli. Strumień błyszczał w ciemnościach, a w płytszej i nieruchomej wodzie przy brzegach odbijały się gwiazdy. Przyklęłam na kamienistym podłożu. Bryczesy zaczęły nasiąkać, a gdy nachyliłam się nad taflą, by obmyć twarz, przez księżyc przemknął jakiś cień.

Poderwałam głowę i spojrzałam w niebo, na którym bezszelestnie szybowały Volgary. Były nisko, na poziomie koron drzew. Położyłam się na ziemi, w zaroślach, bałam się poruszyć i oddychać. To nie ja je zwabiłam. Zostały na nas nasłane, a my nie byliśmy przygotowani.

Tiras! Tiras! Volgary tu są. Volgary tu są! Wyrzuciłam z siebie przerażony komunikat, nie bacząc na to, kto może go usłyszeć.

Volgary jakby usłyszały moje ostrzeżenie, bo nagle ciszę rozdarły wrzaski i krzyki. Wyskoczyłam z krzaków i rzuciłam się do biegu z obawy, że odetną mi powrót do obozu wojowników z Jeru.

Biegłam na oślep, niezdolna do formułowania zaklęć ani tworzenia słów. W głowie miałam tylko jedną myśl — *Volgary*.

A one lądowały wokół mnie, wypełniając przestrzeń ciężkim łopotem potężnych skrzydeł. Potknęłam się i upadłam, o włos mijając ostre szpony nurkującej bestii. Zaskrzeczała ze złością i wzniosła się, ale zaraz za nią zanurkował następny napastnik. Rzuciłam się do przodu, na wpół biegnąc, na wpół się czołgając, a szpony odbiły się od kolczugi i wplątały w moje włosy.

Pociągnęłam za swój warkocz, by się uwolnić. Przerażenie wypłukało z mojej głowy wszelkie myśli. Volgar załopotał potężnymi skrzydłami i wznosił się z powrotem w powietrze,

zabrawszy mnie ze sobą, wiszącą za włosy. Uderzyłam go w stopy i złapałam za nie; bardziej obawiałam się porwania niż upadku. Wrzasnął znowu i przestał się wznosić, zatrzymany przez jeruwiańską lancę, która wystawała z jego piersi.

Niespodziewanie uwolniona i tymczasowo nieważka, zawisłam w powietrzu, szybko jednak ziemia, w którą uderzyłam, odebrała mi dech w piersi. Leżałam oszołomiona, próbując zaczerpnąć powietrza.

— Lark! — Wrzask Tirasa przedarł się przez moje otępienie.
— Uciekaj między drzewa!

Szczęk mieczy, krzyki mężczyzn i tętent kopyt — to wszystko zbliżało się do mnie, więc zakryłam głowę i przetoczyłam się, żeby uniknąć stratowania, ale nie miałam pojęcia, gdzie jest strumień, a gdzie las ani gdzie jest prawo, a gdzie lewo. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, toczyła się wściekła walka. Przyciągnęłam kolana do piersi i zamknęłam powieki, żeby poszukać słów.

*Skrzydła Volgarów, małe i duże,
Im wyżej latacie, tym szybciej spadacie.
Każdy dziób, który pragnie rozwalać,
Chce przelać krew jakiegoś Volgara.*

Rzuciłam te słowa w powietrze, ponad drzewa. Poszybowały w górę, a potem opadły na Volgary.

Walka trwała, więc skupiłam się bardziej, żeby wciągnąć je w swoją sieć.

Nagle na niebie rozległy się gwizdy ciał spadających niczym kule armatnie i uderzających w ziemię. Krew prysnęła mi na policzki, a za chwilę zostałam powalona na ziemię i przygwożdżona przez skrzydło Volgara.

Wygramoliłam się spod niego i uwolniłam się, ale natychmiast schowałam się z powrotem, żeby osłonić się przed kolejnym

spadającym Volgarem.

— Lark! — krzyknął Tiras. — Gdzie jesteś?

Zaczęłam wspinać się po ciałach w stronę jego głosu.

Tutaj. Jestem tutaj.

Poczułam mknący w moją stronę czerwony strach Shindoha. W końcu stanęłam na nogach i instynktownie wysunęłam rękę. Król już przy mnie był i wciągał mnie na konia, sadowiąc za sobą. Nie miał zbroi, hełmu, kolczugi ani rękawic. Miał tylko obnażony miecz w lewej dłoni oraz ćwiekowany cep, którym wymachiwał prawą dłonią. Zostaliśmy kompletnie zaskoczeni. Objęłam go w pasie i ścisnęłam kolanami boki Shindoha, bitwa trwała dalej.

Część Volgarów zdawała się odporna na moje zaklęcia. Nurkowały i porywały wojowników, nie bacząc na zachowanie wrażliwszych braci. Jednak te, które spadły z nieba pod wpływem moich słów, stanowiły większość. Jeśli przeżyły upadek, natychmiast rzucały się na siebie nawzajem, zgodnie z moim nakazem. Nasza słabość stała się naszą mocną stroną, mimo że wojownicy Jeru zostali zaatakowani zniecka.

Pojawiła się nowa fala Volgarów, więc wysłałam zaklęcie, żeby ściągnąć je na ziemię, i gdy przez drżące drzewa zaczęły przedzierać się pierwsze promyki słońca, wszystkie bestie, które pozostały, były albo martwe, albo umierające.

Położyłam zmęczoną głowę na plecach Tirasa, zadowolona z zakończenia drugiej potyczki. Nie chciałam się zastanawiać nad kolejnymi. Tiras się pochylił, jakby też miał już dość, a potem zadrżał. Objęłam go mocniej. Syknął i szybko przesunął mi rękę.

Jesteś ranny.

— Nic poważnego. Muszę się zmienić.

Pociągnęłam za tunikę, znów syknął, bo materiał wpił się w

ranę. Ciało pod moimi palcami było lepkie i gorące. Znowu zadrżał.

— Daj spokój, kobieto. Jesteś wyczerpana — nakazał, ale ja przycisnęłam dłonie do długiej rany na jego lewym boku. Moje dłonie pokryły się krwią, a Tiras zaklął.

Wszelki ból i brud, i piach

Niech zniknie z rany, niech przyspieszy czas,

Przecięta skóra i przecięte ciało,

Zetknijcie się i zespólcie w całość.

Tiras westchnął i rozluźnił się. Przykrył moją dłoń swoją, dziękując mi bez słów. Wyobraziłam sobie, jak jego ciało samo się naprawia, jak rozdarta skóra styka się i zasklepia ranę.

Ulecz się, rano, pod moją dłonią, niech ból tak bardzo już nie płonie.

Nie było to zbyt dobrze skonstruowane zaklęcie, ale tylko tyle potrafiłam z siebie wykrzesać. Wepchnęłam słowa w brzuch króla za pomocą palców, oddając mu ostatki swoich sił.

Powieki stały się ciężkie, a świadomość zawisała na najcieńszej nitce, ale wydaje mi się, że słyszałam jeszcze, jak Tiras mruczy:

— Chyba cię zatrzymam.



Gdy się przebudziłam, znowu było po zmroku. A może zmrok zapadł, odszedł i znowu zapadł. Do mojego namiotu dobiegały odgłosy zabawy i śmiechów oraz zapachy mięsa i mężczyzn. Zaczęło mi się przewracać w żołądku. Przed zaśnięciem otaczały mnie rozczłonkowane i poranione ciała, wciąż czułam ten zapach.

Było mi ciepło, nawet komfortowo, chociaż nadal miałam na

sobie tunikę i bryczesy, które król kazał mi nosić w trakcie bitwy. Kolczuga zniknęła wraz z niepasującymi butami, a włosy leżały rozpuszczone wokół głowy. Tiras także zniknął, lecz wszędzie dostrzegałam ślady jego obecności. Pokryte jedwabiami łoża z kilku skór, rozmiar namiotu oraz bogactwo prostego otoczenia — wszystko to niezbitie świadczyło, że zrobił tak, jak obiecał. Trzymał mnie blisko siebie. Usiadłam powoli i spróbowałam się rozciągnąć. Udało mi się przeżyć, ale bolało mnie serce i chciało mi się płakać.

Do moich nozdrzy dobiegł zapach dzika na rożnie i czegoś ziemistego, jak chleb drożdżowy. Mimo mdłości zaburczało mi w brzuchu. Byłam niesamowicie brudna i spragniona, a do tego desperacko potrzebowałam skorzystać z naczynia nocnego. Wyczołgałam się z pośłania na brzegu, na którym zostałam położona i przykryta zwykłą kapą, i wzdrygnęłam się, bo wejście namiotu się poruszyło i ktoś wszedł do środka.

Gdybym nie była tak oszołomiona, poczułabym, że to Boojohni, zanim go zobaczyłam. Nucił coś pod nosem i miał starannie splecioną brodę z niewielką kokardą na końcu, jakby spędzał tu czas na oddawaniu się w opiekę czyimś wprawnym palcom. W jego krokach czuć było triumf. Uśmiechnął się szeroko, gdy zobaczył, że się obudziłam.

— Spałaś tak długo! Król Tiras powiedział, że to ty wszystkich ocalałaś. — To drugie zdanie wyszeptał, rozglądając się ostrożnie na boki, jakby bał się, że ktoś nas może podsłuchać. I powinien się bać. Nikt prócz Tirasa, Kjella i, do pewnego stopnia, Boojohniego nie wiedział, jaką rolę tu odgrywam. Byłam królewską zabawką. Słyszałam, jak mężczyźni tak o mnie mówili.

Muszę się umyć. Włożyłam buty leżące przy moim pośłaniu, ignorując gratulacje Boojohniego.

Boojohni przechylił głowę i spojrzał na mnie ze ściągniętymi ustami.

— Nie cieszysz się, Ptaszku?

Nie potrafię się cieszyć w otoczeniu śmierci. Nie chcę wyrządzać ludziom krzywdy. Nie chcę wyrządzać krzywdy zwierzętom, bestiom ani nawet Volgarom.

— Czasem nie ma innego wyjścia — stwierdził łagodnym głosem.

Przytaknęłam, ale nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Pogrzebałam w torbie i wyciągnęłam suknię, jedwabistą i gładką. Strzepnęłam ją. Była zbyt wyszukana na okoliczności, w jakich się znajdowałam, ale będzie mi w niej dobrze, gdy się już umyję. Boojohni podjął ten pomysł — wziął mydło, koc i tkaninę do wycierania ciała, zwinął to wszystko w wór, który umieścił sobie na głowie. Wyprowadził mnie z królewskiego namiotu i poszliśmy między mniejszymi namiotami i grupkami mężczyzn w stronę strumienia na obrzeżach obozu.

Szaleństwo trwało w najlepsze. Trudno wyobrazić sobie większą i bardziej krzykliwą radość niż u mężczyzn, którzy stanęli oko w oko ze śmiercią i przeżyli. Mężczyzn, którzy zabijali, aby nie dopuścić śmierci do swoich prowincji, którzy wciąż mieli posokę na swojej broni i ubraniach. Pili i śmiali się, a niektórzy wykradali się do niewielkiej grupy kobiet, które zawsze podążały za królewską armią. Co było zrozumiałe. Zastanawiałam się jednak, jak one się czują, gdy obejmują mężczyzn mających śmierć na skórze. Może były im wdzięczne.

Nie miałam pojęcia. Ale nie byłam w stanie świętować. Nie byłam w stanie się śmiać i pić ze wspólnej tykwy, nie potrafiłam pozbyć się zahamowań, chociaż wielu mężczyzn uśmiechało się do mnie, a niektórzy nawet mi się kłaniali, gdy przechodziłam, jakby udało mi się tu zdobyć jakiegoś rodzaju sławę. Trzymałam głowę wysoko, a dłonie przy ciele. Boojohni truchtał za mną, rozglądając się na boki po imprezie. Zauważyłam, że przyjął od kogoś kubek czegoś czerwonego.

Stłumiłam mdłości i ruszyłam w dół, w stronę szumiącej wody. Musiałam się umyć. Jeśli się nie umyję, zachoruję, a jeśli zachoruję, to będę płakać. A gdy zacznę płakać, to już nie przestanę.

Woda podziałała na mnie odświeżająco. Umyłam włosy dwukrotnie, szorując głowę tak długo, aż prawie zdrętwiała mi z zimna. Odrętwienie było dobre, odrętwienie było przyjemne. Potem weszłam do strumienia, aż woda sięgała mi nad piersi. Zsunęłam splamioną tunikę z ramion i ściągnęłam bryczesy; woda i ciemności wystarczająco dobrze mnie ukrywały, a te ubrania cuchnęły poczuciem winy i krwią. Zebrałam je nad głową i cisnęłam na brzeg.

Zaczęłam się myć pod wodą. Szorstkość mydła i trudność tego przedsięwzięcia zmuszały mnie do pośpiechu i uważności. Boojohni stał w pobliżu ze wzrokiem wbitym w punkt tuż za moją głową, dając mi prywatność i jednocześnie poczucie bezpieczeństwa. Popijał ze swojego kubka i nie próbował ze mną konwersować, a kiedy ruszyłam w stronę brzegu z rękami skrzyżowanymi na piersiach, odwrócił się do mnie plecami i wyciągnął w moją stronę ręcznik i koc, który pachniał piwem i koniem. Drapiący materiał okrywał mnie jednak od głowy po stopy, więc wtuliłam się w niego z przyjemnością i zabrałam się do osuszania włosów ręcznikiem.

— Musisz coś zjeść, Ptaszku — powiedział cicho Boojohni. — Spałaś przez cały dzień. Zachorujesz, jeśli czegoś nie zjesz — dodał.

I tak już byłam chora, ale przytaknęłam i podciągnęłam koc wyżej, żeby zrobić sobie kaptur osłaniający twarz. Boojohni potruchtał za mną do królewskiego namiotu z pustym kubkiem, mokrymi pożyczonymi ubraniami i tym, co zostało z mydła.

Gdy się ubrałam i splotłam wilgotne włosy, znalazł mi kolację

i usiadł ze mną w milczeniu, a ja starałam się okazać mu swoją wdzięczność, jedząc tyle, ile byłam w stanie. Został ze mną tak długo, aż impreza przycichła i wrócił król. Wtedy pocałował mnie w dłoń i poklepał w policzek, po czym skłonił się królowi i skierował do wyjścia.

— Twoja matka byłaby z ciebie dumna, Lark — powiedział. Odchylił zasłonę u wejścia i wyszedł, pozwalając, by opadła za nim. Zastanawiałam się, czy był gdzieś ktoś, kto na niego czekał, jakaś kobieta, która znała jego wartość. Życzyłam mu dobrej nocy słowami, które zabrzmiały jak zaklęcie. Wypchnęłam je w jego stronę z nadzieją, że je usłyszy, mimo że już odszedł.

Niech ci się przyśni słodki sen

I nie zostawiaj nigdy mnie.

18



Nie próbowałam rozmawiać z królem, lecz położyłam się na swoim posłaniu i odwróciłam do ściany. Czułam się niezręcznie i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, skoro nie śpię. Słuchałam, jak się przewraca z boku na bok, udając brak zainteresowania i sen. W końcu znalazł dobrą pozycję na swoich futrach i przestał się wiercić, ale w powietrzu unosiła się niespokojna energia i wiedziałam, że coś go martwi. A może myliłam jego emocje z własnymi. To przecież ja byłam niespokojna i z pewnością nie czułam już zmęczenia. Nasłuchiwałam jego stopniowo gasnących ruchów i byłam przekonana, że zasypia, więc jego głos mnie przestraszył.

— Wiem, że nie śpisz. Twój umysł jest zbyt głośny.

Zastanawiałam się, czy to ja nie pozwalam mu zasnąć. To byłoby dziwne. Ale coraz lepiej i lepiej mnie słyszał, nawet wtedy, gdy nie miałam takich intencji.

Przepraszam.

Próbowałam uciszyć ten tumult i przez chwilę miałam wrażenie, że mi się udało.

Usłyszałam, jak się przesuwa, wykonując ostrożne ruchy, i przypomniało mi się, że był ranny.

Jak twoja rana?

— Zniknęła. Zatajowałam krwawienie i złagodziłam ból.

Zmiana wyleczyła mnie do końca.

Ponownie zapadła cisza, ale pełna niewypowiedzianych pytań.

Usiadłam zirytowana i niespokojna. Odrzuciłam koce, wstałam z posłania i ruszyłam w stronę wyjścia z namiotu. Potrzebowałam ucieczki, ale nie chciałam być sama. Usłyszałam, że on też wstaje, chociaż zachowywał dystans. Po chwili się odezwał.

— Pamiętam, jak po raz pierwszy zabiłem człowieka. Miałem piętnaście lat. Próbował mnie porwać dla okupu. Był jednym z doradców ojca, do tego zdesperowanym. Ale ja wiedziałem, że ojciec pozwoliłby mi umrzeć i nie poddałby się szantażom ani groźbom. Nie negocjował z nikim.

W mojej pamięci pojawił się król Zoltev z czarnymi oczami i lśniącym mieczem. Wzdrygnęłam się, a Tiras ciągnął dalej.

— Wiedziałem, że mogę liczyć tylko na siebie. Ten doradca kompletnie mnie zlekceważył, bo pozwolił, bym zabrał mu miecz. Pamiętam, jak zatopił się w jego brzuchu. Jego ciało niemal nie stawiało oporu... a może to strach zwielokrotnił moją siłę. — Zamilknął na chwilę. — Ale widziałem, jak z jego oczu uchodzi życie, i to było absolutnie przerażające. Żałowałem wtedy, że nie pozwoliłem się zabić.

Dlaczego?

— Bo w tamtej chwili, kiedy obserwowałem jego umieranie, poczułem, że też coś tracę. Jakby zabrał część mojej duszy. Najlepszą. Nigdy już jej nie odzyskałem. I tęsknię za nią.

Dokładnie wiedziałam, o czym mówi. Został kompletnie ogołocony z niewinności. Dziecięca cnota zniknęła i pozostawiła po sobie poczucie winy, nawet jeśli dotyczyło ono wyłącznie tego, co było kiedyś i już nigdy nie wróci.

— Jak myślisz, dokąd on poszedł? — spytał Tiras poważnie. Wzdrygnęłam się, bo uświadomiłam sobie, że pyta o zabitego

mężczyznę. Zaczęłam gorączkowo myśleć nad możliwymi odpowiedziami.

Gdzie istoty żywe udają się po śmierci? Wracają do Stworzyciela Słów? A może rozpływają się i stają się częścią żywiołów, z których byli uformowani? Nie wiem. Może po prostu przestają istnieć. Może niektórzy zdobywają prawo do istnienia w jakimś innym miejscu lub do ponownego odrodzenia się. Mam nadzieję, że zabite dzisiaj Volgary nie czekają na mnie gdzieś po drugiej stronie.

— To cię tak męczy? Obawiasz się zemsty Volgarów w innym czasie i innym miejscu?

Nie. Nie to mnie męczy.

Milczał, czekając na dalszy ciąg, ale ja pilnowałam się z całych sił. Staralam się w ogóle nie myśleć, żeby nie zdradzić więcej, niż chciałam.

— Zabiłyby nas. Wszystkich. Ocaliłaś bardzo wiele istnień ludzkich.

A jeszcze więcej zabiłam. Mój wewnętrzny głos odparował, naskakując na niego niczym wąż, a on wstał z posłania i podszedł do mnie. Odwróciłam się i przygotowałam na jego dotyk, ale zatrzymał się przede mną.

— Tak. Zabiłaś. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem — wyznał szczerze. Z podziwem. Miałam ochotę krzyczeć. Zacisnęłam pięści.

Nie jestem mieczem.

— Co? — spytał z zaskoczeniem.

Nie jestem mieczem!

Zacisnęłam powieki, żeby zahamować gorące łzy, które natychmiast się pojawiły. Nie chciałam się z nim tym dzielić. Ale moje myśli były niesforne, a on uważnie słuchał.

Nie jestem bronią. Nie chcę być bronią!

— Jesteś, kim jesteś. Ja jestem, kim jestem. To, czego pragniemy, nie ma większego znaczenia.

Nie jestem bronią. Słowa rozbrzmiewały w mojej głowie jak płacz, ponuro i uparcie. Poczułam, że Tiras podszedł bliżej, ale nadal mnie nie dotykał, za co byłam mu wdzięczna. Jego dotyk w tej chwili zupełnie by mnie rozbił.

— Ja nigdy nie chciałem być królem. Ale jestem, kim jestem. To, czego pragniemy, nie ma większego znaczenia — powtórzył. Podniosłam głowę i spojrzałam mu prosto w oczy, pełna cierpienia, które nie chciało ustąpić.

Mylisz się. To ma właśnie największe znaczenie.

— Dlaczego? — wyszeptał z intensywnym spojrzeniem.

Bo bez pragnień są tylko obowiązki. Usta mi drżały, więc przygryzłam je, żeby przestały.

Przycisnął kciuk do moich ust, uwalniając dolną wargę spomiędzy zębów.

— A pragniesz mnie?

Wzdrygnęłam się i skupiłam na stłumieniu spirali pożądania, która nieoczekiwanie wystrzeliła w moim brzuchu i wypełniła klatkę piersiową. Oczy mu rozbłysły i westchnął cicho. Zastanawiałam się, jakie słowo mu przekazałam. Mogłam się tylko domyślać. Wyminęłam go, ale złapał mnie i wziął na ręce. Podszedł do grubej sterty futer, na której spał, i położył mnie na nich.

To nie jest mój obowiązek. Ani moje pragnienie.

— Właśnie, że jest, i jedno, i drugie — odparł, a jego arogancja rozpałała mnie do czerwoności.

Nie!

— Tak.

Pożądanie to coś innego niż pragnienie. Są kobiety, które z

przyjemnością zaspokoją twoje pożądanie. Ja nie.

— Pragniesz mnie. Słyszałem to. I poczułem.

To, czego pragniemy, nie ma większego znaczenia, odparłam, wykorzystując jego słowa. Może i jestem twoją bronią, ale nie jestem twoją królową.

Usiadł na piętach z dłońmi na biodrach i spojrzał na mnie uważnie.

— Chcesz być moją królową?

Dlaczego miałabym tego chcieć?

— Większość kobiet by chciała.

Nie jestem jak większość kobiet.

— Nie pragniesz władzy? Bogactw?

Władza tylko przyspiesza śmierć.

Wzdrygnął się, lecz szybko się pozbierał.

— A co z adoracją?

Czyją? Czyją adoracją?

Przechylił głowę i spojrzał na mnie z zastanowieniem.

— Adoracją wdzięcznych ludzi, rzecz jasna.

Dlaczego mieliby być wdzięczni? Przecież nie powiesz im, że jestem Obdarzona, prawda?

— Nie. To mogłoby ich przerazić — przyznał.

Potrząsnęłam głową z rezygnacją.

— Czego ty chcesz, Lark? — spytał tak łagodnym głosem, że miałam ochotę się w niego wtulić. Ale zamiast tego przeturlałam się od niego i zamknęłam głowę i serce. Nie zdradzę mu tego. To, czego chciałam, moje największe marzenia i pragnienia, należało do mnie. I tylko do mnie.

— Nie powiesz mi? — W jego głosie pobrzmiwała wyraźna

frustracja. Zignorowałam pytanie, zmieniając w myślach temat.

Oddałabym ci tę moc. Moc słów. Zamieniłabym się na umiejętność zmiany i stałabym się prawdziwym skowronkiem. Małym ptaszkiem. I odleciałabym. Uwiłabym sobie gniazdko wysoko na drzewie. Śpiewałabym. Śpiewałabym i fruwała. Gdybym była prawdziwym ptakiem, ludzie przestaliby mnie rozczarowywać. Nie zwracałabym na nich uwagi. Miałabym w głowie tylko cztery słowa. Spać, jeść, latać, śpiewać. To by mi wystarczyło.

Był na tyle bezczelny, żeby się roześmiać.

— Kłamiesz. To by ci nie wystarczyło. — Przysunął się do mnie i położył za mną na grubym posłaniu z futer. Był tak blisko, że czułam jego ciepło i podmuch oddechu we włosach. Podparł głowę ręką i spojrzał na mnie z góry. — Twoje włosy mają srebrny poblask. To dziwne, bo są brązowe. Ale to nie brąz. Nie do końca. — Emanowała z niego dezorientacja. Dezorientacja i coś jeszcze. Słuchałam, ale nie mogłam uwierzyć w słowo, które przyszło mi na myśl.

Tęsknota.

Tęsknota? Za czym on tęsknił? Nie byłam aż tak głupia, żeby myśleć, że za mną.

Popiół. Moja mama mówiła, że mam włosy jak popiół.

— Popiół. — Przeciągnął po nich dłonią od cebulek po końcówki i jego tęsknota stała się moją.

— Czego pragniesz, Lark? — spytał ponownie, a jego wewnętrzna elegia była tak ogłuszająca, że przebijała się przez moje ściany. Coś przede mną ukrywał, coś, czego nie umiałam rozgryźć.

Chcę być upragniona.

Zesztywniał, a ja uświadomiłam sobie, że pozwoliłam mu to

usłyszeć. Dopuściłam go do środka. Odrobinę. Był tak blisko, a mojego pragnienia nie dało się uciszyć.

— Ja cię pragnę — powiedział chrapliwym głosem.

Nie pragniesz mnie. Ty mnie potrzebujesz. Jestem dla ciebie przydatna. To nie to samo.

— Chcę, żebyś była moją królową.

Byłabym okropną królową.

— Mogę cię nauczyć tego, co powinnaś umieć. Mogę cię nauczyć, jak mnie zadowolić. — Jego głos był tak cichy i łagodny, że włoski na karku stanęły mi dęba. Wzdrygnęłam się i wstałam z futer. Nie musiałam tam leżeć. Byłam zła na swoją reakcję na niego i na to, że czuł, że trzeba mnie nauczyć go zadowalać.

Podążył za mną. Odwróciłam się i zatrzymałam go wyciągniętą dłonią, żeby uzyskać chociaż odrobinę dystansu. Górna część jego twarzy tonęła w cieniu, a światło muskało tylko usta, jakby chciało skierować na nie moją uwagę. Znowu zadrżałam.

Dlaczego trzeba mnie tego uczyć?

— Dlatego, że przed chwilą powiedziałaś, że nie wiesz nic o byciu królową. Dlatego, że ja jestem królem. I dlatego, że zaspokajanie mnie to *twój* obowiązek.

Zaśmiałam się, ale żałowałam, że nie mogłam zawyć z frustracji do grubego, leniwego księżycy, który zerkał na nas przez poły wielkiego namiotu niczym pijany podglądacz, zbyt bezczelny, by ukrywać swoje zainteresowanie.

Dlaczego nie zadowalam cię taka, jaka jestem?

Tiras wyciągnął dłonie, po czym bez ostrzeżenia objął mnie w pasie i podniósł z ziemi, aż nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie.

Jego ciemne spojrzenie było nieprzeniknione, ale w

powietrzu między nami kipiało od frustracji.

Może to ja nauczę ciebie, jak zadowalać mnie, dodałam kpiąco. Nie chciałam dać się onieśmielić, mimo że trzymał mnie tak, jakbym nic nie ważyła.

— Czego skowronek miałby nauczyć orła? — rzucił prowokacyjnie, a ja poczułam, jak to wyzwanie emanuje z obejmujących mnie dłoni i spojrzenia jego czarnych oczu.

Orły nie umieją śpiewać. To było jedyne, co przyszło mi do głowy.

Wykrzywił usta.

— A mój skowronek nie potrafi mówić.

Nie jestem twoim skowronkiem.

— Jesteś. — Przycisnął moje ciało do swojego i poczułam błyskawicę, która przeszła mnie od stóp po czubek głowy, a potem zapłonęła w jego oczach. Obejmował mnie tak, że nie mogłam się ruszyć, i bawił się moimi włosami. — Jesteś — powtórzył i nachylił się z tak delikatnym pocałunkiem, że niemal tego nie zauważyłam. Muskał mnie czule i kusząco, co kompletnie nie pasowało do ostrych ukłuc na skórze głowy, gdzie ścisnął dłonią moje włosy.

Moja.

Nie wiem, czy to słowo wyrosło z jego pocałunku, z jego myśli, czy może było moje, ale wzięłam je i wchłonęłam w całości, zatapiając głęboko w brzuchu, gdzie rozwijały się i kwitły pragnienia, pożądania i tęsknoty.

Jego pocałunek był ciepły i przekonujący, zupełnie inny niż za pierwszym razem. Wciąż brał — był wręcz zachłanny — ale jego potęga była przepleciona z czymś miłszym. Z czymś, czego od niego pragnęłam. Za czym tęskniłam. *Tęsknota.* Znowu to słowo. Nagle tęsknota nabrała smaku. Smakowała jak król, piękny, przerażający i irytujący mężczyzna, który

wkroczył do mojego życia i uwalniał moje słowa.

Znowu pociągnął mnie za włosy, odrywając od swoich ust, jakby chciał mi przekazać sprawę najwyższej wagi.

— Będiesz moją królową.

Czy teraz cię zadowolam? Zakpiłam z niego, chociaż pragnęłam, by dalej mnie całował.

Parsknął z niedowierzaniem.

— Nie jesteś skowronkiem. Jesteś wielką, piszczącą harpią.

To znacznie lepiej pasuje do orła.

— Będiesz moją królową — upierał się i postawił mnie na nogach, jakby sprawa była już ustalona. Poczułam się pozbawiona prawa głosu, ale on uniósł palcem mój podbródek, żebym spojrzała w jego zawzięte oczy i żeby zmusić mnie do odpowiedzi. — Lark?

Nie mogłam mu odmówić.

Zbyt mocno tego pragnęłam. Miał rację. Kłamałam. Bycie zwykłym skowronkiem by mi nie wystarczyło. To on mi to zniszczył. Wzbudził we mnie pragnienie bycia orłem. Skłoniłam głowę na znak zgody, starannie ukrywając swoją radość. Pozwoliłam sobie na wyrażenie zgody, ale nie dałam mu zauważyć pieśni uniesienia, jaka rozbrzmiewała w mojej duszy.

Dobrze, Tirasie. Będę twoją królową.



Przez dwa tygodnie pozostawaliśmy w dolinie Kilmorda, zapuszczając się stopniowo coraz dalej w poszukiwaniu Volgarów. Wzywałam je, siedząc przed Tirasem na grzbiecie Shindoha, kusiłam i nakłaniałam, by zbliżyły się w małych grupach, a potem patrzyłam, jak łapią przynętę i zostają

zabite. Gdy ich żałowałam, Tiras pokazywał mi pola pokryte kośćmi lub wsie, w których mieszkaly tylko utuczone na ludzkich szczątkach szczury.

— Zabiją nas, jeśli ich nie zniszczymy — przypominał mi. Wierzyłam mu, ale i tak miałam poczucie winy, że wykorzystuję swój dar, by zwabiać je na pewną śmierć.

Dzień po dniu oczyszczaliśmy z Volgarów wzgórki i doliny najbardziej wysuniętej na północ prowincji Jeru. Zdarzały się jednak okresy — czasem kilka godzin, a raz nawet dwa dni z rzędu — że Tiras znikał na niebie.

Boojohni wspomniał o jego nieobecności w drugim tygodniu, gdy jechałam na Shindohu za Kjellem, który sprawdzał oczyszczone już przez nas obszary. Boojohni truchtał przy mnie jak najwierniejszy sługa i nigdy nie wydawał się zmęczony.

— Gdzie on poszedł, Ptaszku?

Kto?

— Król, gąsko! Dobrze wiesz, o kogo pytam. Mężczyzna, którego zawsze szukasz, mężczyzna, którego kochasz — odburknął, jakby stracił cierpliwość do wszelkich protestów.

Nie kocham go.

— Owszem, kochasz.

On chce mnie zrobić królową.

Boojohni potknął się o własną stopę, jakby z zaskoczenia stał się niezgrabny. Następnie zaczął pohukiwać i klaskać, co zwróciło uwagę otaczających nas gwardzistów. Shindoh zarżał z irytacją. Powściągnęłam go i zatrzymałam, by poczekać, aż Boojohni skończy celebrować moją wieść.

— Król jest z całą pewnością człowiekiem wielkiej mądrości — wykrztusił Boojohni i wykonał mały podskok, aż Shindoh potrząsnął grzywą.

Jestem dla niego przydatna.

— A, rozumiem. — Boojohni przerwał swój taniec i przechylił głowę. — A czy on jest dla ciebie przydatny, Ptaszku?

Zaskoczyło mnie to pytanie i nie wiedziałam, jak odpowiedzieć. Czy Tiras był dla mnie przydatny?

— Wyzwolił cię — podsunął mi ostrożnie Boojohni. — A to z całą pewnością coś dla ciebie znaczy.

Porwał mnie!

— To prawda. Ale także wyzwolił. Przyznaj to, dziewczyno.

Nauczył mnie czytać... i pisać.

— W istocie. I widzi twoje dary.

Wykorzystuje mnie.

— Przejmujesz się tym, Ptaszku, ale dlaczego? Nie musiałby robić z ciebie królowej, gdyby chciał cię wykorzystać. Jest królem. Może brać, co chce.

Może. I często tak robi.

— Zna twoje sekrety... ale czy ty znasz jego? — Tym razem Boojohni się nie uśmiechał, a ja przypomniałam sobie początek tej rozmowy. Pokiwałam powoli głową.

Tak. Znam jego sekrety.

— Wiesz, gdzie poszedł?

Tak. A ty?

— Jest bardzo ostrożny. A ja jestem bardzo cichy. I ciekawy.

I opiekuńczy.

Boojohni przytaknął.

— To prawda.

Dlaczego pytasz, skoro znasz odpowiedź?

— Bo ty go kochasz. Muszę wiedzieć, czy rozumiesz, kim... i czym on jest.

Nie polemizowałam z nim. Był równie uparty jak ja i wbił sobie do głowy, że kocham króla.

— Boisz się go, Ptaszku?

Nie.

Teraz to Boojohni przytaknął i ruszył dalej, jakby sprawa została rozwiązana. Popędziłam Shindoha.

Zgodziłam się zostać jego królową, Boojohni.

— No wiadomo! To kawał wyśmienitego męskiego ciała.

Prychnęłabym, gdybym potrafiła. Na szczęście Boojohni prychnął za nas oboje.

19



Wracaliśmy z doliny Kilmorda tą samą drogą. Poruszaliśmy się szybko. Tiras zniknął na jeden cały dzień i dwie z czterech nocy, ale nazajutrz jechał z nami, jakby nigdy nic. Nie powiedziałam o tym Boojohniemu, ale martwiło mnie to, że Tiras tak dużo czasu jest ptakiem. Przypominała mi się opowieść z dzieciństwa o pierwszym Zmieniaczu, który w końcu stał się tym, czym się otaczał; im częściej był zwierzęciem, tym trudniej było mu wrócić do ludzkiej postaci.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest być ptakiem, fruwać nad ziemią i czuć spokój, pęd powietrza i wolność. Uznałam, że dla Tirasa może to być szczególnie kuszące ze względu na liczbę podległych mu ludzi, którzy patrzą na każdy jego ruch. Ale w trzeci dzień naszej podróży powrotnej odszukałam Kjella, który przejmował obowiązki króla, gdy ten zniknął. Jechałam na Shindohu i z dnia na dzień byłam wytrwalsza, a ciało coraz bardziej przyzwyczajało się do trudów wielogodzinnej podróży. Kjell zauważył, że do niego jadę. Jego twarz się napięła, ale zwolnił i zaczekał, aż Shindoh zrówna się z jego wierzchołkiem.

Długo go już nie ma.

— Owszem — odparł Kjell ostro, emanując gniewem. Zignorowałam to, jak zawsze. Nigdy nie byłam specjalnie dobra w przekonywaniu ludzi do polubienia mnie.

Zawsze tak było?

— Jest znacznie gorzej. — Obrzucił mnie tak nienawistnym spojrzeniem, że jęknęłam.

Dlaczego mnie nienawidzisz?

— Nienawidzę tego, kim jesteś.

A kim jestem?

— Jesteś Obdarzona. — Powiedział to po cichu, ale ostatnie słowo nasycił jadem, jak zawsze, gdy je wypowiadał.

Ale Tirasa nie nienawidzisz.

— Tiras nie jest Obdarzony — odparł zwyczajnie.

Spojrzałam na niego osłupiała, a on potrząsnął głową z odrazą, jakbym była niemiłosiernie tępa.

— To nie dar. To cholerna klątwa.

Co za różnica?

— On się taki nie urodził.

Nie byłam pewna, co Kjell próbuje mi przekazać. Wydawało mi się, że większość Obdarzonych uświadamiała sobie swoje moce dopiero po osiągnięciu pewnego wieku, chociaż zdarzały się takie osoby, jak ja, u których bliscy rozpoznawali dar wcześniej. Dar czy klątwa, efekt był dokładnie ten sam. Kjell natomiast uparcie bronił tego rozróżnienia, jakby jedno było siłą wewnętrzną, a drugie pochodziło z zewnątrz.

— Ja też byłem przy śmierci twojej matki. Wiedziałaś o tym?
— spytał cicho, wrywając mnie z zamyślenia.

Potrząsnęłam ze zdumieniem głową.

— Słyszałem, jak twoja matka rzuca klątwę na króla Zolteva. Widziałem, jak ją zabił.

Miałam taką gulę w gardle, że nie byłam w stanie przełknąć śliny. Patrzyłam tylko w dal i nie umiałam zrozumieć, dlaczego

Kjell zadaje mi taki ból.

Moja matka nie zrobiła nic złego. Nie zasługiwała na śmierć.

— Przeklęła niewinnego chłopca! Tiras także nie zasługuje na śmierć, ale traci swoje życie, kawałek po kawałku.

Król Zoltev sam ściągnął klątwę na siebie i na całe swoje otoczenie. Jego spuścizną jest strach.

— Mój ojciec starał się chronić swoje królestwo.

Spojrzałam na niego ostro, a on prychnął.

Twój ojciec?

— Bez obaw, milady. Nie pretenduję do tronu. Jestem bękartem. Ty i twój ojciec możecie walczyć o władzę. Ja jej nie chcę. Nadal jednak jestem bratem Tirasa i zrobię co w mojej mocy, żeby go chronić. Także przed tobą.

Tiras nie wyjaśnił mi łączącej ich relacji, ale teraz, gdy poznałam prawdę, wszystko stało się jasne. Tiras i Kjell byli uderzająco przystojni, chociaż Tiras miał ciemniejszą cerę. I kiedyś miał czarne włosy jak Kjell. Ciekawe, czy dar miał wpływ na ich wybielenie.

Jechaliśmy przez kilka minut w milczeniu, a powietrze między nami iskrzyło od gniewu. O nic nie prosiłam, ale Kjell miał już o mnie wyrobioną opinię. Nie miałam szans jej zmienić.

— Powiedział mi, że będziesz jego królową. Lark, królowa Jeru. Nieźle to obmyślił, co? Zawsze trzymał blisko przyjaciół, a teraz widzę, że wrogów trzyma jeszcze bliżej.

Nie zareagowałam.

— Teraz twój ojciec już nigdy nie będzie królem. Jeśli coś się stanie Tirasowi, będziesz rządziła Jeru do końca życia. Będziesz królową do końca swych dni. Jeśli ojciec doprowadzi do twojej śmierci...

To zginie.

— Dokładnie. To też Tiras mi wyjaśnił. Nieźle przyspilił twojego ojca, czyż nie?

Znowu nie zareagowałam. Spięłam Shindoha, żeby ruszyć do przodu, a Kjell spojrzał mi w oczy z kpiącym uśmiechem. Był przekonany, że ze mną wygrał.

Nie martw się, Kjellu. Nie wyjawię twojego sekretu.

Opuścił brwi i ściągnął usta.

— Jakiego sekretu, milady? Większość ludzi zna moje pochodzenie.

Zauważyłam, że potrafię komunikować się z Obdarzonymi... i ze zwierzętami. Więc jesteś albo tym pierwszym, albo tym drugim. Znasz moje zdanie w tej kwestii.



Tiras nie marnował czasu. Swoją wolę ogłosił od razu wieczorem po powrocie do Jeru. Dzwony biły w całym mieście, a królewski herold przez bite dwie godziny na okrągło czytał z murów obwieszczenie. Ludzie spragnieni wieści, które można było przekazać dalej, przychodzili, rozchodzili się i znowu przychodzili.

— Lady Lark z Corvyn, córka czcigodnego lorda Craiga z Corvyn, poślubi króla Tirasa z Degn. Tak napisano i tak stanie się w pierwszy dzień Priapusa, miesiąca płodności. Niech Bóg Słów i Tworzenia pobłogosławi ich zjednoczenie dla dobra Jeru — krzyczał herold w noc, a słowa wdzierały mi się w umysł i serce oraz w świadomość wszystkich obywateli Jeru.

Stałam na balkonie swojej komnaty, słuchając odczytów, i wciąż nie mogłam w to uwierzyć. W odpowiedzi tłum co jakiś czas wznosił okrzyki: „Niech żyje królowa Jeru, lady Degn”. Słuchałam ich z przyjemnością, mimo że dryfowały w

powietrzu niczym dziecięce szyderstwa i prowokacyjne prawdy.

Zostanę królową Jeru, lady Degn. Nie będę już Lark z Corvyn. Nie będę córką lorda, lecz żoną króla. Ale tylko na zewnątrz. W środku nadal pozostanę małą Lark o kruchych kościach i silnych emocjach, bo z całą pewnością nigdy nie podołam czekającym mnie obowiązkom. Gdy ludzie dowiedzą się, że jestem niema, zaczną plotkować i mówić te wszystkie słowa, których ja nie potrafię wypowiedzieć. Ich słowa będą za mną chodzić, kpić ze mnie i przypominać mi każdego dnia, że nie nadaję się do tej roli.

Trzech gwardzistów pojechało z wieścią do twierdzy mojego ojca w Corvyn, jeszcze gdy byliśmy w dolinie Kilmorda. Prócz tego wszyscy członkowie Rady Lordów otrzymają w najbliższych dniach królewskie zaproszenie na ceremonię. Nie łudziłam się, że zostałam wybrana z miłości, ale zostałam wybrana i cieszyłam się tym mimo dręczącego mnie strachu na myśl o tym, co przyniesie przyszłość.

Kiedy Tiras próbował po powrocie zamknąć mnie z powrotem w mojej wieży, powiedziałam mu, że nie będę dłużej jego więźniem, na co zaczął mnie przekonywać, że to dla mojego bezpieczeństwa. Przypomniałam mu, że potrafię przesunąć siano i dziurawić mury, nie wspominając już o otwieraniu zasuw w drzwiach i kontrolowaniu umysłów bestii.

Rozpromienił się na te słowa, jakby moje możliwości go ekscytowały. Obiecał mi swobodę ruchu pod warunkiem, że zawsze będzie mi towarzyszył gwardzista. Jak się jednak przekonałam, przez większość czasu łatwiej było zostać w pokoju.

Tiras dopilnował, by dostarczono mi książki opisujące historię Jeru i tutejsze prawo oraz roczne statystyki dotyczące plonów i opadów deszczu. Każdy tom czytałam z zapalem prawdziwie przerażonego amatora. Gdy Tiras mógł, czytał ze

mną, pozwalając mi śledzić tekst. Kładł dłoń na mojej i pokazywaliśmy słowa, które czytał, a ja próbowałam to wszystko zrozumieć. Rozpaczliwie pragnęłam wiedzy, a Tiras wydawał się równie zdesperowany, bo całe godziny odpowiadał na moje pytania i przepytował mnie z tysięcy szczegółów, których poprzednie królowe na pewno nie znały.

Jedyne chwile wytchnienia miałam wtedy, gdy się zmieniał i znikał na dzień, dwa lub trzy. Wtedy za nim tęskniłam — mimo że jego obecność i poświęcana mi uwaga miały swoją cenę — i chwila wytchnienia stawała się bardziej karą niż nagrodą.

Gdy narzekałam na niekończące się litanie poleceń, stawał się surowy i milczący, wprawiając mnie w jeszcze większą nerwowość. Nie licząc sporadycznych uśmiechów i pocałunków w dłoń, rzadko okazywał mi uczucia, więc mimo zbliżającego się ślubu coraz bardziej się spinałam, a moje uczucia topniały. Zastanawiałam się, czy te pocałunki w tamtą noc w dolinie Kilmorda były ostatnimi, jakie kiedykolwiek otrzymam, i na okrągło próbowałam dociec przyczyn, dla których tak mu zależało na zrobieniu mnie królową.

W pewne popołudnie Tiras uczył mnie jeruwiańskiego prawa handlowego. Nudził coś o sztuce negocjacji w skwarze późnego lata i monotonia naszych lekcji doprowadzała mnie do szaleństwa.

Ta książka to strata pergaminu. Zamknęłam ją z hukiem, mijając o włos palce Tirasa, i rzuciłam obok swojego krzesła. W moim sercu zadowolenie odbiło się echem, gdy uderzyła ciężko o podłogę, ale zaraz potem pojawiły się wyrzuty sumienia, bo jedna ze stron wyrwała się na wolność.

Naprawię to, zaoferowałam potulnie, ale nie wykonałam żadnego ruchu w tę stronę. Tiras westchnął ciężko, ale wstał, sygnalizując koniec nauki.

— Chodź — powiedział, zaskakując mnie. Wziął mnie za dłoń i pomógł mi wstać.

Dokąd idziemy?

— Potrzebujesz oderwania się od słów.

Niemal biegłam korytarzem wychodzącym od biblioteki. Tiras sprawiał wrażenie równie spragnionego ucieczki.

— Widziałaś już wieżę obserwacyjną, wieżę obleźniczą, arsenał oraz mury górnego, średniego i niskiego zamku. Przeszliśmy wzdłuż murów, obejrzelśmy obwałowania i gzymsy. Lochy też już widziałaś — dodał z nieznacznym uśmiechem.

Nadal nie nauczyłeś mnie fechtunku i walki w turniejach.

— Jeśli nadejdzie taki dzień, że przetrwanie Jeru będzie zależało od umiejętności rycerskich królowej, to i tak wszystko już będzie stracone — odparł oschle. — Ale jeśli chcesz spędzić trochę czasu na dziedzińcu, mogę ci to ułatwić.

Myślę, że wolałabym odwiedzić Shindoha.

— Mądry wybór. Pójdziemy dziś do królewskich stajni i do sokolnika.

Najpierw odwiedziliśmy stajnie. Był to olbrzymi budynek, mieszczący setki koni. Wśród nich były wierzchowce gwardzistów i dostojników miejskich, chociaż miały osobne zagrody. Stajnia z osobistymi końmi króla była połączona z główną, co ułatwiało dostęp trenerom, hodowcom i stajennym. W powietrzu unosił się zapach słomy, ziemi i zadbanych zwierząt, który nieco rozluźnił dręczącą mnie nerwowość.

Spacerowałam wzdłuż zagród, witając się z końmi garściami owsa i słowami, które potrafiły wyczuć, a Tiras podążał za mną i podawał mi ich imiona i rodowody. W końcu zatrzymaliśmy się przed zagrodą Shindoha.

— Shindoh pochodzi z pradawnego rodu jeruwiańskich destrierów. Jego ojcem był Perseus, którego ojcem był Mikiya

— wyjaśnił Tiras, wchodząc do zagrody i witając się z wierzchowcem, który był wyraźnie zadowolony z naszych odwiedzin.

Coś zaświtało w mojej pamięci.

Mikiya. Znam to imię.

— Mikiya był moim koniem w dzieciństwie. Miał na koncie spore doświadczenie bitewne, gdy dorosłem na tyle, żeby go dosiąść, ale urodziliśmy się w odstępie kilku dni od siebie. Imię wybrała moja matka. Mikiya to...

Orzeł.

— Tak — potwierdził z zaskoczeniem. Spojrzeliśmy sobie w oczy nad grzbietem Shindoha i poczułam w gardle palące wspomnienie, którego nie potrafiłam przywołać. — Skąd wiedziałaś? To nie po jeruwiańsku, tylko w języku ludu, z którego pochodziła moja matka.

Nie mam pojęcia. To słowo... i jak każde słowo, ma znaczenie. Po prostu... wiedziałam.

Wręczył mi szczotkę i przez kilka długich minut pracowaliśmy razem w milczeniu. Shindoh emanował zadowoleniem, które było zaraźliwe.

Może tajemnicą szczęścia jest prostota.

— Daje swego rodzaju wolność — przyznał Tiras. Zadałam mu pytanie, nad którym często się zastanawiałam.

Gdy jesteś ptakiem, masz czasem ochotę... odlecieć i nigdy nie wrócić?

— Gdy jestem ptakiem, mam świadomość tego, że jestem człowiekiem. Wiem, kim jestem — wyszeptał. Jego przyciszony głos i prywatność stajni sprawiły, że zabrzmiało to bardziej jak bolesne wyznanie. Shindoh parsknął i trącił go życzliwie łbem.

Tiras wiedział, kim jest, ale wciąż zmieniał się w coś innego. Żałowałam, że zapytałam.

W takich okolicznościach na pewno trudno jest jeść myszy i króliki. Próbowałam go rozśmieszyć i udało mi się.

— Tak się dzieje, gdy zdaję się na instynkty. — Skrzywił się. — Poddaję się byciu ptakiem. Na początku sprawiało mi to ogromne problemy.

To było niewyobrażalne.

— Po pierwszych kilku zmianach byłem... przerażony — wyznał Tiras z boleścią w głosie. — Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić i gdzie się ukryć. Znalazłem schronienie u sokolnika i tam przebywałem, dopóki nie wymyśliłem, jak... się przystosować. Sokolnik myślał, że jestem ranny, bo kuliłem się na krokwiach i nie latałem. Zostawiał mi zdechłe myszy i kawałki surowego mięsa. Nie potrafiłem się zmusić do ich zjedzenia, chociaż... miałem na nie ochotę. Orzeł, którym się stałem, miał na nie ochotę.

Nienawidzisz jej? Nie dookreśliłam, o kogo mi chodzi, ale Tiras wiedział.

— Nie — odparł, a w jego głosie pobrzmiwała szczerość. — Chciałem. Byłoby znacznie prościej, gdybym mógł ją obwiniać. — Spojrzał na mnie. — Ale obwiniałem za to mojego ojca. — Poklepał żwawo Shindoha i dodał: — Chodź, sokoły czekają.

Ruszyłam za nim ochoczo. Mój ojciec miał sokoły, jak każdy lord, ale traktował je jako symbol statusu. Nie bawiły go polowania ani same ptaki. Według niego były groźne i nie pozwalał mi się nawet zbliżyć do sokolarni w Corvyn.

Stajnie były pełne światła i ciepłych zwierząt, natomiast sokolarnia była bardziej zacieniona i chłodniejsza, a ciszę przerywały tylko gruchanie, łopot skrzydeł i sporadyczny skrzek. Dół zamieszkiwały sokoły i jastrzębie. Było tam przestronnie i wysoko, a ptaki, poprzywiązywane rzemieniami do konstrukcji przypominających odwrócone piramidy na palach, mogły fruwać po wnętrzu.

Tiras wyjaśnił, że górne piętro, na które wiodły strome schody przy wejściu, zamieszkiwały gołębie, szkolone do rozsyłania listów po całym królestwie.

Naprzeciw nam wyszedł mężczyzna, po drodze ściągnął rękawicę sokolnika. Niski, schludny, ze szpiczastą, szarą brodą, pasującą kolorem do jego przenikliwych oczu, które nadawały mu wygląd szkolonych przez niego ptaków. Skłonił się przed nami tak nisko, że prawie dotknął czołem kolan.

— To jest Hashim. Jest mistrzem sokolników — przedstawił go Tiras. — Hashim, to jest lady Lark z Corvyn.

— Nasza przyszła królowa — odparł Hashim z podziwem, po czym wyprostował się cały rozpromieniony.

Zrobiło mi się gorąco na szyi od tego tytułu i bez patrzenia w dół wiedziałam, że rumieniec powoli wspina się po klatce piersiowej na policzki. Wzięłam głęboki oddech, nakazując sobie spokój, i wyciągnęłam do mężczyzny dłoń.

Pokłonił się znowu i z namaszczeniem pocałował mnie w rękę.

— Ptaki się pierzą, mój panie. Jak wiesz, to je irytuje. Wyhodowałam już wiele sokołów, ale dzisiaj lepiej trzymać się od nich z dala — ostrzegł, a Tiras przytaknął ze zrozumieniem. Hashim pokłonił się raz jeszcze i odszedł długim korytarzem w stronę wysokich drzwi, zostawiając nas, byśmy mogli zrobić to, co zechcemy.

Ruszyliśmy wzdłuż rzędów pochwyconych ptaków, lecz ja wciąż zbaczałam wzrokiem w stronę grubych belek wspierających górne piętro i kątów przy dachu, w których mógłby się skulić i ukryć orzeł, będący tak naprawdę przerażonym chłopcem.

— Wciąż tu czasem przylatuję, gdy się zmieniam — wyznał Tiras cicho. — Hashim jest dobrym człowiekiem. Delikatnym. Zawsze się cieszy, kiedy mnie widzi. Sądzi, że udało mu się

oswoić orła, nadał mi nawet imię. — Zatrzymaliśmy się przy schodach na piętro gołębi i odwróciliśmy się, żeby ruszyć z powrotem.

Mikiya? To imię było po prostu echem poprzedniej konwersacji, ale znowu poczułam w gardle palenie. Zastanawiałam się, czy nie jestem chora. Dotknęłam ostrożnie szyi, ale dyskomfort powoli łagodniał.

— Mikiya — powtórzył Tiras szeptem. A potem potrząsnął głową. — Nie. Hashim nazwał mnie Obcy. I coraz bardziej taki się właśnie staję.

20



Dzień ślubu wstał szybko i bezceremonialnie, a miasto rozgorzało od gorączkowych przygotowań. Sporo czasu byłam szorowana, upiększana, wygładzana i czesana, aż w końcu włożono mi suknię z najbardziej luksusowego jasnoniebieskiego jedwabiu, jaki w życiu widziałam. Po wszystkim kobiety oddaliły się o krok i przytakiwały z namaszczeniem, niczym aroganckie artystki. Ich praca została wykonana, więc oddaliły się z przykazaniem, żebym niczego nie dotykała i czekała na gwardzistów, którzy zaprowadzą mnie do bram zamku, gdzie rozpocznie się moja procesja.

Ale nikt po mnie nie przyszedł.

Rozdzwoniły się dzwony sygnalizujące rozpoczęcie ceremonialnego marszu. Rozważałam wyjście z pokoju i zejście po schodach na własną rękę, bo irytowało mnie to, że zawsze muszę czekać na mężczyzn. Wyobraziłam sobie, że bez zachowania odpowiedniego protokołu rozpoczynam powolny spacer w stronę katedry wśród zgromadzonego tłumu. Ale Jeruwiańczycy żyli takimi ceremoniami, więc oddaliłam natychmiast tę myśl. Coś tu nie grało.

Nagle dotarły do mnie szepty, unoszące się z uliczek pod moimi drzwiami balkonowymi. Przeklinałam zdolność wchłaniania konwersacji przez moją świadomość, bo przez to słyszałam słowa jak swoje własne. Tłoczyły się w moim pokoju

i kłuły mnie jak wściekłe insekty.

Nie będzie żadnego ślubu.

Król zmienił zdanie.

Jej ojciec się sprzeciwił.

Lady Ariel z Firi powinna być królową. Jest najpiękniejszą kobietą w Jeru.

Lady Corvyn nawet nie umie mówić.

Jest niema, biedaczka.

Król zniknął... znowu.

Szemranie, szemranie, szemranie. Słowa były natarczywe i bolesne. Zamknęłam drzwi balkonowe i otwierałam książkę, próbując zastąpić przekrzykujące się w moim umyśle plotki czymś innym, ale nie umiałam się skupić i nagle ogarnął mnie strach. Usłyszałam kroki na korytarzu. To Kjell, który zapukał do drzwi i wszedł do środka.

Wystrojony do ostateczności, z błyszczącymi butami i włosami zaczesanymi na mokro do tyłu, żeby nie opadały na przystojną twarz, spojrzał na mnie wyjątkowo ponurym wzrokiem.

— Nie mogę znaleźć Tirasa, lady Corvyn.

Odłożyłam książkę, wstałam z takim spokojem, na jaki potrafiłam się zdobyć, i obwieściłam oczywistość.

Nie umie się zmienić.

Skrzywił się. Nie podobało mu się, że znam prawdę, lecz na jego twarzy ulga zaczęła ścierać się ze strachem. Musiał dźwigać ciężar królewskiego sekretu przez bardzo długi czas.

— Prawdopodobnie tak właśnie jest — przyznał łagodnym tonem.

Widziałeś go?

Spojrzał w górę i wiedziałam, że zrozumiał. Pytałam, czy widział orła.

— Nie.

Zabicie takiego ptaka nie jest naruszeniem jeruwiańskiego prawa. A co, jeśli coś mu się stało?

Kjell zaklął i podszedł do balkonu. Otworzył szeroko drzwi, jakby błagał Tirasa, by ten przez nie przeleciał.

— Potrafisz go wezwać? Tak jak zrobiłaś z Volgarami?

Zaskoczyło mnie to, że wiedział. Ciekawe, ilu rycerzy w dolinie Kilmorda słyszało moje kuszenie wroga.

On nie jest zwykłym zwierzęciem. Volgary są proste. Tiras nie.

— Owszem. Ale jest ptakiem równie często jak człowiekiem. Może nawet częściej — wymruczał, a moje serce zrobiło się cięższe.

Podeszłam do otwartych drzwi i uniosłam twarz w stronę nieba. Potem zamknęłam oczy i pomyślałam o białogłowym orle z atramentowo czarnymi piórami. Zobaczyłam w wyobraźni jego szerokie skrzydła z krwiście czerwonymi końcówkami, które odróżniały go od wszystkich orłów, jakie kiedykolwiek widziałam, i poprosiłam te skrzydła, żeby go do mnie przyniosły.

Skupiłam się na słowie, które dał mi tamtej nocy, gdy przelatował z gałęzi na gałąź i z muru na mur, prowadząc mnie w stronę ukrytej między drzewami chaty. *Dom*, mówił. *Dom*.

Wróć do domu, Tirasie, poprosiłam go. *Wróć do domu*.

Ale nic nie poczułam. Żadnej nitki porozumienia, szeptu na wietrze ani uderzenia serca. Żadnego ciepła. Słońce zaczęło kryć się za zachodnimi wzgórzami, lecz gdziekolwiek Tiras teraz był, nie potrafiłam do niego dotrzeć.

Nie czuję go. Jeśli jest blisko, to nie w postaci ptaka.

Kjell zaklął i wyszedł z balkonu, ciągnąc mnie za sobą.

— Lordowie naciskają na rozpoczęcie procesji.

Wiedzą, że król zaginął?

— Tak. I chcą go publicznie upokorzyć.

I mnie.

— Nie obchodzisz ich, milady.

Oczywiście, że nie.

— Ich celem jest pogrążenie króla w jakikolwiek dostępny sposób, a tradycja nakazuje, że aby zostać królową, musisz przejść przez miasto.

Nie rozumiem.

— Odczytano oświadczenie. Ustalono datę. Zadzwoiły dzwony i nadszedł czas na procesję. Musisz przed zachodem słońca przejść przez tłum, uklęknąć przy ołtarzu w katedrze i czekać. Jeśli król się nie pojawi, nie zostaniesz królową. Nigdy. To publiczne oświadczenie, że król... zmienił zdanie.

A jeśli nie pójdę?

— To otwarcie zadeklarujesz, że nie przyjmujesz króla i jego królestwa. Efekt będzie taki sam. Nigdy nie zostaniesz królową.

Ale zachowam choć odrobinę godności.

— Owszem. — Ściągnął nerwowo usta. — A król zostanie publicznie odrzucony. Na to właśnie liczy rada.

Mój ojciec utrzyma swoją pozycję.

— Tiras zostanie zhańbiony. Ty zamkniesz sobie drogę do bycia królową, a tym samym twój ojciec będzie następny w kolejce do tronu. Po prostu genialne.

Jego skóra emanowała frustracją i bezsilnością. W komnacie

było ciepło, ale od napięcia Kjella zrobiło się jeszcze cieplej.

— Co zamierzasz zrobić, Lark?

Po raz pierwszy Kjell zwrócił się do mnie po imieniu, a cicha desperacja w jego głosie złagodziła mój własny niepokój. Prosił mnie o podjęcie decyzji.

Pójdę. I będę czekała przy ołtarzu.

— A jeśli Tiras się nie pojawi?

To wrócę.

Zadrgały mu usta po moich prostych odpowiedziach. Wziął głęboki oddech i nieco się rozluźnił.

— Niech więc tak będzie — zgodził się i nieznacznie skłonił. Potem wyciągnął ramię, a ja je przyjąłem i ruszyliśmy na dół.



Przy bramach zamku zostaliśmy przywitani przez członków Rady Lordów, którzy zebrali się tam, by dać mi swoje błogosławieństwa przed rozpoczęciem procesji. Już kilka dni temu przybyli do miasta Jeru z podarkami i ze stosownymi gratulacjami, ale pod lśniącą fasadą ogłady wyczuwałam spiskowanie i zmywy, szczególnie w słowach, które wymieniali między sobą i ukrywali przed królem.

Mój ojciec natychmiast do mnie podszedł i wyciągnął ustrojoną klejnotami rękę. Kjell skłonił się i odstąpił, po czym natychmiast zaczął taksować niebo.

— Córko — przywitał mnie ojciec, nie patrząc mi w oczy, tylko gdzieś za moje ramię. Nachylił się, jakby chciał mnie objąć, ale zatrzymał się tuż przy moim uchu i wypowiedział słowa, od których zjeżyły mi się włosy na karku. — Obiecałem matce, że zadbam o twoje bezpieczeństwo. Chcesz mnie zmusić do złamania tej obietnicy?

A ty chcesz ją złamać? Spytałam w myślach, ale on nadal mówił, nie usłyszawszy mnie.

— Król nie jest taki, jakim się wydaje, córko.

To czyni z nas idealnie dobraną parę.

— Zabiorę cię z powrotem do Corvyn. Przejdziesz przez miasto i zabawa się skończy. Król się nie pojawi. — Ścisnął mnie boleśnie za ramię, jego ochrypy głos był niemal piskliwy, a ciało znowu emanowało słowem *śmierć*.

Coś ty zrobił, ojczy?

— Lordzie Corvyn, już czas. Pozwól nam złożyć życzenia twej czcigodnej córce — warknął lord Bin Daru, który nagle pojawił się w pobliżu ojca z lordem Bilwick i lordem Gaul po bokach. Ojciec odsunął się posłusznie. Lord Bin Daru skłonił się tak nisko, że niemal dotknął nosem kolan, po czym powiedział ociekającym szyderstwem głosem: — Wkrótce zostaniesz królową. Sądzę, że twój ojciec nie spodziewał się, iż ten dzień kiedykolwiek nastąpi. — Skrzywił się i pstryknął palcami na kogoś za sobą. — Przyniosłem ci prezent, prezent dla przyszłej królowej. — Podszedł do nas sługa, z trudem niosący olbrzymi pakunek. Z dramatycznym wymachem lord Bin Daru odsłonił piękną złotą klatkę. Była pusta. — Chciałem ci ofiarować jakiegoś śpiewającego ptaka z Bin Daru, kolorowego i słodkiego. Ale pomyślałem, że może wolałabyś sama podjąć taką decyzję. Dlatego daję ci w prezencie tę klatkę, milady. Wybór ptaka należy do ciebie. — Przerazenie skłębiło się w moim brzuchu. — Będziemy na ciebie czekać w katedrze, lady Corvyn — mruknął i skłonił się ponownie.

Lord Bilwick spojrzał na moje piersi i biodra, gdy kłaniał się mojemu ojcu, i uśmiechnął się ironicznie, po czym wytarł strużkę potu zbierającą się na górnej wardze. Lord Gaul sprawiał wrażenie zadumanego, a jego myśli były zogniskowane na dzwonnicy. Znowu rozległy się dzwony, a on liczył uderzenia i skandował w myślach nawet wtedy, kiedy

składał pocałunek na mojej dłoni.

Pozostali lordowie i arystokratki w ogóle nie podeszli. Skłonili się tylko z szacunkiem, gdy nadeszła ich kolej. Lord Firi nie mógł przyjechać ze względu na chorobę, więc po raz kolejny wysłał córkę. W towarzystwie ośmiu lordów Jeru była jak róża pośród cierni. Ludzie będą się znowu zastanawiali, dlaczego to nie ona będzie koronowana. Jej obecność sprawiła, że się wyprostowałam i uniosłam podbródek. Nie mam zamiaru wywoływać litości. Na razie.

Rada Lordów ruszyła przodem. Miałam iść za nimi w pewnej odległości. Tiras miał przejść ostatni, pan młody podążający za swoją wybranką. Mury były obsadzone łucznikami, a gwardziści stali w pełnej gali, gotowi do uczestnictwa w procesji.

Mieszkańcy Jeru zebrali się wzdłuż długiej drogi między katedrą a zamkiem, a ja szłam ze sztywnymi plecami, nie spuszczać wzroku i ciągnąc za sobą długi na pełne trzydzieści stóp tren mojej jasnyniebieskiej sukni. Ludzie wiwatowali i rzucali mi na tren płatki kwiatów, symbolizujące dobrą wolę i życzenia, które chcieli, żebym zabrała ze sobą na tej nowej drodze życia. Lądowały na nim płatki w każdym możliwym kolorze — białe, różowe, żółte, czerwone — i w takiej ilości, że kompletnie go przykryły, przez co stał się kilka funtów cięższy. Kroczyłam więc powoli, unosząc dłonie w królewskim pozdrowieniu, tak jak mnie nauczono.

Ludzie rzucali też płatki przede mną, żeby ochronić moje boscie stopy, symbolizujące moją wrażliwość i skromność w trakcie pochodu wśród ludu, którym będę władać. Głowę miałam ciężką od drogocennych ozdób wplecionych w długie do pasa włosy, ale trzymałam ją prosto i nie spuszczałam wzroku.

Gdy dotarłam do katedry na wzgórzu, przywitała mnie zawołowana matrona, najstarsza kobieta w Jeru. Uklękła

przede mną i drżącymi dłońmi umyła moje zabrudzone stopy. Łamiącym się głosem życzyła mi długiego życia i zdrowych stóp, które mnie przez nie poniosą.

Następnie namaściła mi najpierw jedną, potem drugą stopę, a odrobina oliwy spłynęła na ziemię. Przez cały ten czas mruzczała coś o ciepłości, zapale i zdrowiu. Gdy skończyła swoje błogosławieństwa, podniosła wzrok na mnie i powiedziała zwyczajnie:

— Czekaj na niego.

Wyciągnęła dłonie jak dziecko, które chce, by je podnieść, a u jej boku natychmiast zjawili się dwaj gwardziści, żeby jej pomóc. Wzięła moje dłonie i powtórzyła swoją radę, jak stara kobieta mówiąca młodej, żeby troszczyła się o swojego męża.

— Czekaj na niego — powiedziała z naciskiem, a w jej prostej radzie wyraźnie pobrzmiwało naleganie.

Czekać na kogo? Nie mogłam się powstrzymać, mimo że ona nie była w stanie tego usłyszeć.

— Na króla, milady — odpowiedziała natychmiast, a jej twarz rozświetlił uśmiech poprzetykany tysiącem zmarszczek ukrywających jej sekrety. I moje. Ja też się uśmiechnęłam.

Jak długo?

— Tyle, ile będzie trzeba.

Pochyliła głowę w królewskim skinięciu i oddaliła się, pozwalając gwardzistom się prowadzić. Wolałabym, żeby wróciła i powiedziała mi coś więcej — jak mam czekać, skoro mam ochotę biec. Potrzebowałam matki, albo przynajmniej przewodniczki, a nie miałam ani jednej, ani drugiej. Wzięłam głęboki oddech, by napęlić płuca odwagą potrzebną do dalszej drogi, a potem z zachodzącym słońcem za plecami weszłam w chłodne i ciemne wnętrze katedry.

Poziome promienie przebijały się przez barwione szkło po

obu stronach olbrzymich, zwieńczonych łukiem wrót i tworzyły kalejdoskop kolorów wzdłuż pokrytej czarnym kamieniem nawy głównej, która prowadziła do podwyższonego ołtarza. Wokół promieniście rozchodziły się kamienne ławy, tworząc efekt przypominający falę po wrzuceniu kamienia do wody. Miałam uklęknąć w samym środku plecami do wejścia i czekać na przybycie króla. Mogliśmy zobaczyć swoje twarze dopiero wtedy, gdy uklęknie naprzeciw mnie.

Ławy były wypełnione bogaczami i dobrze sytuowanymi osobami z wszystkich prowincji. W pierwszych rzędach zasiadała Rada Lordów — lady Firi i czworo innych po lewej, a pozostała czwórka po mojej prawej. Przeor, królewski doradca desygnowany przez króla do odprawiania jeruviańskich rytuałów i obrządków, czekał na mnie przy ołtarzu. Miał czarną szatę ze szmaragdowym odcieniem jeruviańskiej zieleni. Miał na głowie złotą mitrę z wyrzeźbionymi starożytnymi symbolami Jeru. Usta, dłoń, serce i oko — Powiadaczka, Prządka, Uzdrowiciel i Zmieniacz.

Przeor przywitał mnie po imieniu, poprosił, bym uklękła, i wypowiadając błogosławieństwa, dotknął moich ust, dłoni, klatki piersiowej i kolejno obu zamkniętych powiek. Gdy zapalił świecę nad kadzidłem, krew zaczęła pulsować mi w skroniach i poczułam suchość w gardle.

Potem odstąpił ode mnie i skierował wyczekujące spojrzenie w stronę wejścia. Głowy wszystkich uczestników ceremonii odwróciły się w niecierpliwym oczekiwaniu na króla. Poza głowę mojego ojca. On się nie odwrócił. Ani lord Bin Daru i lord Gaul. Żaden członek rady nie odwrócił się w stronę drzwi. Siedzieli na swoich miejscach i patrzyli przed siebie. Czarna świadomość emanowała z ich rysów twarzy, a ja odczytywałam ją z rosnącym przerażeniem. Nie mogli mieć pewności, że król się nie pojawi, chyba że znali jego tajemnicę i wykorzystali ją, żeby go uwięzić.

Czekaliśmy w milczeniu jak w grobowcu narastających

spekulacji. Pytania tak nabrzmiały, że wyrywały się z ograniczeń poszczególnych umysłów i napierały na mnie, zabierając mi przestrzeń. Sekundy zmieniały się w minuty, a minuty ciągnęły się w nieskończoność. Poziom zaciekawienia zgromadzonych sięgnął zenitu i zaczął powoli opadać, bo odpowiedź stawała się coraz bardziej jednoznaczna. Król się nie pojawiał.

21



— Świątobliwy przeorze, miej litość dla dziewczyny — powiedział mój ojciec, wstając. — Każ ludziom się rozejść.

Przeor przytaknął, ale zrobił wielkie oczy.

— Oczywiście, milordzie. Jak sobie życzysz.

Uniósł dłonie, zgodnie z tradycją nakazując zgromadzonym, by byli użyteczni i dobrzy, a oni podnieśli się z ław niemal jak jeden mąż.

Ja nie wstałam.

— Milady, wszystko w porządku?

Podniosłam wzrok na niego i przytaknęłam, powoli i dokładnie.

— Rozumiesz, milady? Król się nie pojawia.

Przytaknęłam w taki sam sposób, ale nie wstałam.

— Nie możesz nawet szeptać? — spytał karcąco przeor.

Nie mogłam. Moje usta potrafiły formować słowa, język umiał ułożyć się w kształty odpowiednich dźwięków, ale nie byłam w stanie ich uwolnić, nawet w postaci szeptu.

— Czy ona poza niemotą jest też głucha? — szeptali ludzie, a lord Bilwick powtórzył to pytanie podniesionym głosem, który odbił się echem od kamiennych ścian. Kilku ludzi westchnęło,

kilku parsknęło, tłumiąc niezręczny śmiech w dłoniach.

— Lady Corvyn, król nie przyjdzie. Proszę wstać — zażądał lord Bin Daru.

Ja zaczekam.

Nie mógł mnie usłyszeć, ale słowa dodały mi odwagi i wypowiedziałam je ponownie, robiąc z nich swoją mantrę.

Ja zaczekam.

— Zostałaś odrzucona — upierał się lord Gaul.

Zaczekam na króla, tak jak mi powiedziano.

— Prawo mówi, że panna młoda musi dotrzeć do ołtarza przed zachodem słońca. Ale nie ma żadnych wskazań odnośnie do terminu przybycia króla. Pozwólmy jej czekać. — Głos lady Firi wzniósł się ponad zamieszanie i na chwilę w katedrze zapadła cisza.

Boojohni wypowiedział moje imię z ciemnego kąta. Niesione jego obawami, przemknęło przez zgromadzenie jak strzała i przebiło moje drżące serce. Nie odwróciłam się do niego, ale jego obecność dodała mi odwagi.

— Wstań, córko. — Ojciec chwycił mnie za rękę, bezceremonialnie, próbując wymusić moją rezygnację.

Usłyszałam ciche ocieranie metalu o skórzaną pochwę. A potem dobyto kolejnego miecza i jeszcze jednego.

— Lady zaczeka tak długo, jak zechce. Ja zaczekam z nią — wykrzyknął Kjell. Usłyszałam, że podchodzi od strony wejścia, w którym wypatrywał króla.

— Ja też — wykrzyknął inny rycerz.

— I ja — wrzasnął Boojohni, który przeciskał się w stronę ołtarza.

— Głupia gęś. — Desperackie syknięcie ojca było jak policzek, znacznie boleśniejsze od jego uścisku. Puścił mnie i

odstąpił na krok, ale nie wyszedł.

Nikt nie wyszedł.

Pochyliłam głowę i zamknęłam oczy, a otaczające mnie szepty zanikły za sprawą koncentracji. Umiałam wezwać Volgary, więc mogę poprosić jeruwiańskie ptaki o pomoc w ocaleniu króla.

Wszystkie ptaki w całym Jeru,

Włączcie się do tego śpiewu.

Wszystkie drzewa, wszystkie klatki,

Uwolnijcie nasze ptaki.

Jeśli król się poniewiera,

Jeśli król gdzieś tam umiera,

Przynieście go tu na skrzydłach,

By przysięgi mógł dotrzymać.

Nie wiem, jak długo intonowałam to przyzwanie i jak długo słowa wylewały się z mojej głowy, ale gdy poczułam zbliżającą się falę, podniosłam głowę, by wypatrywać Tirasa w chmarze ptaków. Najpierw rozległ się szum niczym burza piaskowa, a sekundę później przerodził się w rozdzierającą kakofonię ptasich wrzasków, którym akompaniował ogłuszający łopot niezliczonych skrzydeł w każdym możliwym rozmiarze. Zgromadzeni podnosili się z miejsc ze strachu lub zasłaniali głowy ramionami. Drzwi katedry wciąż były szeroko otwarte w oczekiwaniu na nieobecnego króla. Nagle ze świstem i wrzaskiem wpadły do środka niezliczone rzesze ptaków, a wysokie sufity zostały przykryte przez tornado poruszających się skrzydeł. Wbiłam wzrok w łopoczący wir na suficie i wypatrywałam piór o czerwonych końcach i białej głowie, modląc się w myślach o cud. Zgiełk wśród stworzeń był jednak tak wielki, że nie byłam w stanie niczego rozróżnić w tej kotłującej się masie. Niewielka część gapiów ruszyła z

wrzaskiem w stronę wyjścia, walcząc o dostęp do drzwi. Niektórzy lordowie schowali głowy pod płaszcami, a gwardziści unieśli łuki i posłali w hałastrę strzały. Rozglądnęłam się w poszukiwaniu Kjella, żeby kazał im natychmiast przestać, ale on zniknął. Wypowiedziałam więc zaklęcie, żeby nakłonić ptaki do odlotu.

Ptactwo Jeru,

Gdzie wasz król?

Jeśli tu, zniknijcie już.

Ptaki zaczęły nurkować i zawracać jak stado szpaków, po czym w idealnie zsynchronizowanym finale wyfrunęły przez drzwi katedry, a w świątyni ponownie zapadła grobowa cisza. Unoszące się w powietrzu pióra spadały na ołtarz, a potem dalej, na podłogę.

— Co to, u licha, miało być? — Usłyszałam czyjś głos. Przeor zapalił świecę i machając kadzidłem, mamrotał coś o uroku i potędze ciemności.

— To już trwa zdecydowanie za długo — wykrzyknął lord Bin Daru, wstając. Lord Gaul wstał razem z nim i powoli podnieśli się wszyscy pozostali.

— Zgadzam się — zagrzemiał z tyłu świątyni głos króla. — Nie zwlekajmy dłużej.

Katedrę przeszył zbiorowy jęk, a imię Tirasa zagościło na językach wszystkich zgromadzonych. Lordowie zbieleli i zamilkli. Rozglądali się nerwowo z rozdziawionymi ustami. Oparłam się pokusie odwrócenia się, żeby zweryfikować obecność króla. Klęczałam z usztywnionymi plecami i patrzyłam przed siebie, czekając, aż zgodnie z jeruwiańskim zwyczajem podejdziesz do ołtarza.

Liczyłam jego kroki, które odbijały się echem w uciszonej katedrze. Wolne i miarowe. Moje serce łomotało dwukrotnie szybciej. Nagle Tiras klęknął przede mną z płonącymi oczami,

położył dłonie na ołtarzu w postawie wyrażającej uległość, lecz z wyrazem twarzy zdobywcy.

Miałam ochotę o wszystko go wpytać, zwymyślać go, wysłać w jego stronę ostre słowa, ale byłam tak przytłoczona tym, że w końcu go widzę, że wpatrywałam się tylko bez ruchu w jego oczy.

— Wciąż tu jesteś, lady Lark — szepnął Tiras z blaskiem w oczach, ledwie poruszając wargami.

A ty wciąż jesteś bałwanem, odparłam, odzyskawszy głos. Ulga spowodowała nagłą słabość, ale zmuszałam się do bycia silną jeszcze przez chwilę.

— Przeorze, proszę rozpocząć — nakazał król.

— Gdzie byłeś, Wasza Wysokość? — wykrztusił przeor. Tirasowi stężała twarz po tej bezczelności.

— Są tacy, którzy nastają na moje życie, przeorze. Którzy nie chcą, żebym wziął sobie królową i nadal panował nad Jeru. Jesteś jednym z nich?

— Skądże, Wasza Wysokość. Oczywiście, że nie. Dzięki Bogu, że się pojawiłeś — wyszeptał i wykonał nad ołtarzem znak Stwórcy, jakby szukał boskiego wsparcia. Spoglądał to na wściekłych lordów, to na klęczącego króla, który cierpliwie czekał na rozpoczęcie ceremonii. Po kolejnym znaku Stwórcy wyprostował się i zaczął. Nie patrzył już na lordów, podobnie jak ja.

W głowie miałam ocean słów, a w sercu burzę doznań i niewiele słyszałam z tego, co przyniosły najbliższe chwile. Przeor błogosławił króla, dotykając jego powiek, skroni, linii życia na dłoniach i nadgarstków, a potem tak samo pobłogosławił mnie. Na jego polecenie położyłam dłonie na dłoniach Tirasa. Pod wpływem muśnięcia skóry bezwiednie podkuliłam palce nóg, a mój oddech przyspieszył.

Gdy przeor zapytał, czy oddaję swoje życie Tirasowi z Degn i

czy uhonoruję go przyjęciem jego miana jako swojego i przyjęciem jego ciała w swoim, mogłam tylko przytaknąć, chociaż w myślach odpowiedziałam Tirasowi:

Tak.

Potem przeor zapytał Tirasa, czy chce obdarzyć mnie swoim mianem i swoim nasieniem, a on także przytaknął, lecz jego głos zagrzmiął śmiało w całej katedrze i moje palce znowu się podkuliły.

— Tak.

Przeor położył na ołtarzu Księgę Jeru, otworzył na stronie z listą królów i wręczył mi pióro.

Znalazłam puste miejsce obok Tirasa, które miałam wypełnić, i pewną dłonią wpisałam swoje imię. Usłyszałam, jak ojciec wykrztusza z siebie w proteście:

— Ona nie potrafi czytać ani pisać. Nie jest w stanie nawet wyrazić swojej woli.

— Potrafi — skwitował go Tiras, odrywając wzrok od mojego pisma i spoglądając na niego. — I jest w stanie.

— Coś ty zrobiła? — jęknął ojciec, powtarzając pytanie, które sama mu zadałam, a przeor nakłuł nam palce i zetknął nasze krwawiące dłonie w symbolu zjednoczenia istnień i linii pokrewieństwa.

— Tak więc zapisano i tak dokonano w pierwszy dzień Priapusa, miesiąca płodności. Niech Bóg Słów i Tworzenia pobłogosławi ich zjednoczenie dla dobra Jeru — obwieścił przeor, powtarzając słowa wykrzykiwane przez herolda z murów. Następnie włożył mi na głowę koronę z jeruwiańskich rud, która była tak ciężka, że dumne unoszenie podbródka stało się niemal niewykonalne.

— Powstań, Lark z Degn — poprosił mnie przeor.

Podniosłam się, nie czując nóg. Liczyłam na to, że ciasny

ubiór i gęste powietrze utrzymają mnie jakoś w pionie.

— Królu Jeru, oto twoja królowa — oznajmił przeor z wyraźną ulgą w głosie, że ceremonia wreszcie się kończy. Zdawało mi się, że minęła mała wieczność, nim Tiras podniósł wzrok i wciąż klęcząc, spojrział na mnie. Potem nie odrywając ode mnie wzroku, wstał i wziął mnie za rękę. Odwrócił mnie i zaprezentował zgromadzonym i lordom, którzy patrzyli na mnie z zzieleniałymi oczami i żółtymi sercami, a gorzkie myśli unosiły się wokół nich jak zaraza.

— Ludu Jeru, Rado Lordów, oto wasza królowa — ogłosił król. Wszyscy posłusznie padli na kolana ze wzrokiem wbitym we mnie.

I było po wszystkim.



Głowa i kręgosłup bolały mnie od trzymania się prosto i pilnowania, by korona nie spadła. Gdy tylko uczta weselna się skończyła i kobiety się rozeszły, poszłam krętymi schodami z pokojówką, która niosła za mną tren sukni. Tym razem nie była to Pia, lecz nieznana mi dziewczyna. Miała delikatne palce i nieśmiało się uśmiechała, gdy ostrożnie ściągała mi koronę i biżuterię. W końcu z ulgą zwiesiłam głowę, a ona rozczesała mi włosy długimi pociągnięciami.

Umyła mnie, chociaż tęskniłam za łóżkiem. Zasnęłam z głową na obrzeżu stalowej wanny i obudziło mnie dopiero jej trącanie, żebym już wyszła. Podczas wycierania chwiałam się i zataczałam jak Boojohni, gdy za dużo wypije. Natarła mi skórę olejkim, który miał podobny zapach do olejku z wcześniejszego namaszczenia i przypomniał mi o staruszce przed katedrą.

Czekaj na niego.

Słowa wywołały palące uczucie głęboko w brzuchu, które

było przyjemne, lecz miało w sobie element bólu. *Chciałam* zaczekać na Tirasa. Chciałam się przekonać, czy znowu do mnie przyjdzie, czy zjawi się bez mojego wezwania, na dwóch nogach, a nie na skrzydłach z czerwonymi końcówkami. Przez całą uroczystość pilnował, żebym była blisko niego. Trzymał mnie pod ramię i staliśmy ciało przy ciele, ale chociaż kotłowało się we mnie tak wiele pytań i obaw, nie miałam żadnej okazji, by się nimi podzielić.

Gdy skomentowałam jego ubiór — ten sam, który miał na sobie Kjell, gdy odprowadzał mnie do bram zamku — wyznał:

— Kjell siedzi nago w zakrystii. Lepiej, że on niż ja. Wysłałem do niego dyskretnego gwardzistę z butami i płaszczem.

Zaśmiałam się cicho, ale w oczach Tirasa nie było radości, mimo że jego usta uniosły się wraz z moimi.

— Zastawiono na mnie pułapkę, Lark — wyszeptał. — Pułapkę, którą udało ci się otworzyć. Ale będą kolejne.

W tym momencie nasza dyskretna konwersacja została przerwana przez zabawę i zaproszenie do toastów. Martwiłam się więc i snułam domysły, aż w końcu zabrakło mi sił na jedno i drugie, więc zrezygnowałam z jego towarzystwa na rzecz względnie bezpiecznej komnaty królewskiej.

Pokojówka pomogła mi wsunąć cienką jak bibuła jedwabną koszulę, której noszenie było jak pieszczota. Wdrapałam się na łóżko tak zmęczona, że byłam w stanie tylko uśmiechnąć się do niej z wdzięcznością, zadowolona, że ten dzień wreszcie dobiegł końca. Rozpałała ogień, mimo że w pokoju było bardzo ciepło, więc nie przykrywałam się. Nie byłam w stanie czekać i niemal natychmiast zasnęłam z wyczerpania.

Spałam przez jakiś czas, ale obudziłam się natychmiast, gdy usłyszałam szept i poczułam delikatne muskanie na twarzy.

— Czego chcesz, mały skowronku?

Otwarłam oczy i zobaczyłam nad sobą wyłaniającą się z

ciemności twarz króla. Ogień wciąż się palił, ale pełny księżyc wypełniał pokój białą ciszą. Dopiero po chwili otrząsnęłam się ze snu i zrozumiałam jego pytanie oraz znaczenie jego obecności obok mnie.

Byłam królową. On był moim królem. I był tu ze mną w ciemnościach. Czułam się dziwnie spokojna i nie obawiałam się tego, co przyniesie ta chwila. Ostrożnie wyprostowałam kończyny, bo nie chciałam, żeby przestał mnie głaskać po policzku. Lubiłam, gdy mnie dotykał, ale on chyba nie miał pojęcia, jak bardzo. A przynajmniej tak się łudziłam.

Czego chcę? A czego ty chcesz, mężu?

Uśmiechnął się, jakby ten tytuł sprawił mu przyjemność, ale niemal od razu spoważniał i bez wahania odpowiedział złamanym i ponurym głosem:

— Chcę zapewnić bezpieczeństwo swojemu królestwu. Naszemu królestwu, Lark. Dlatego cię wybrałem. Ty je ochronisz.

Był tak przygnębiony, że położyłam dłoń na jego dłoni, żeby go pocieszyć, mimo że moje serce uciekło na drugi koniec pokoju. Zostałam wybrana dla ochrony. Jako broń.

Ale ty zapewniasz mu bezpieczeństwo, stwierdziłam z przekonaniem. Zwiesił ramiona, ale nie odrywał ode mnie wzroku.

— Ptak nie potrafi dzierżyć miecza.

Jego wypowiedź była tak przesycona bólem, że nie było słów, którymi mogłabym odpowiedzieć. Pod cienkim materiałem okrywającym piersi serce zaczęło łomotać ze współczucia, smutku i nieoczekiwanego przerażenia. On chyba wyczuł zmianę we mnie, bo zsunął dłoń z mojego policzka na szyję, tam, gdzie łomotał puls, a potem niżej, na szalejące serce.

— Ptak nie potrafi dzierżyć miecza, moja królowo. A ja wkrótce będę niczym więcej jak ptakiem.

Potrząsnęłam głową, odrzucając jego ponure przewidywania, a on zacisnął dłoń na materiale mojej koszuli, z rozpaczą, jakby potrzebował czegokolwiek, czego mógłby się trzymać.

— Ale nie dzisiejszej nocy... Dzisiejszej nocy nadal jestem mężczyzną. I królem. A ty jesteś moją żoną.

Jego spojrzenie się rozogniło. Rozluźnił dłoń na mojej piersi i położył ją płasko, jakby prehandlował rozpacz za pożądanie.

Nie śmiałam oderwać od niego wzroku, mimo że moje ciało mówiło *uciekaj*, a serce błagało o czułość. Nie byłam piękna. Nie byłam żywiołowa ani śmiała. Byłam mała, przerażona i chuda. Blady cień kobiety, jak skwitował mnie niegdyś Kjell. Ale Tiras patrzył na mnie w taki sposób, że wierzyłam, że jestem żywiołowa i odważna. Sprawiał, że czułam się silna.

Rozwiązał kokardę między moimi piersiami. Nie wzdrygnęłam się ani nie odsunęłam, ale nie pomagałam mu w pozbawianiu mnie ubioru. Otworzył moją koszulę nocną i gdy odsłonił moje ciało, poczułam na skórze liźnięcia wiatru. Światło księżyca wpadało zwiężającą się ścieżką przez okno na łóżko i biegło dalej, przez pościel i moją obnażoną skórę, na ścianę, na której rysowało kontur unoszącego się nade mną króla.

— Twoja skóra jest jak lód — zauważył.

Nie jest mi zimno, odparłam. Mój głos wewnętrzny był spokojny. Równy. Miałam ochotę wzniesć dłoń w górę w triumfalnym geście, taka byłam dumna ze swojej samokontroli. Nie pokażę mu, jak bardzo go pragnę i jak mocno za nim tęskniłam. Dam mu wszystko inne, ale nie to.

Potrząsnął głową i włosy zsunęły mu się z ramion.

— Nie, nie chodzi o zimno. Jest półprzezroczysta. Jesteś od stóp po głowę srebrna. — Przesunął dłoń po mojej skórze od ramion do bioder. Z całą pewnością nie byłam zimna. Raczej gorąca jak lava. Przerażona i ciekawa oraz ukryta pod osłoną

obojętności.

— Ty lśniesz, Lark. — Jego dłoń powędrowała z powrotem w górę, żeby pogłodzić moje rozpuszczone włosy. Przełknęłam ślinę, bo nieoczekiwanie zebrało mi się na płacz.

To dlaczego nikt mnie nie widzi?

— Ja cię widzę — odparł.

I faktycznie mnie widział. Byłam zdana na jego łaskę, naga i bezbronna. Starannie przyglądał się każdemu drżącemu całowi mojego ciała, chłonał mnie. Widział.

Zwalczyłam chęć przykrycia się, przewrócenia na bok czy chociaż odwrócenia wzroku. Rozpiął koszulę i odrzucił ją na bok. Bryczesy podzieliły los koszuli, po czym położył się na mnie, skóra na skórze, z moją głową w dłoniach i z ustami niemiłosiernie blisko moich. Podziękowałam w myślach matce i Bogu Słów, że moje wargi nie były w stanie skamleć ani błagać. Bo z całą pewnością teraz bym to zrobiła.

— Wpuść mnie, Lark — wyszeptał.

Wiedziałam, że nie chodzi mu tylko o moje ciało i usta, chociaż jego natarczywy ciężar skłaniał do porzucenia oporu, a wilgotne gorąco jego ust błagało o uległość. On chciał, żebym dała mu moje słowa.

Masz ciało. Nie duszę, odparłam, zbuntowana do samego końca.

— Chcę jedno i drugie. — Przypieczętował swoje żądanie pocałunkiem i przez chwilę zapomniałam o oporze, gdy nasze usta zaczęły wspólny taniec, a ciała porozumiewały się ze sobą, w milczeniu wymieniając się swoimi sekretami. Przyciągnęłam go bliżej. Wplótł palce w moje włosy i przewrócił się na plecy, pociągając mnie za sobą i przykrywając nas moimi długimi kosmykami.

— Wpuść mnie — powtórzył. Znowu poczułam jego tęsknotę,

tęsknotę, która miała korzenie poza nami. Poza mną. Poza nim.

Tiras. Tiras. Tiras.

To była jedyna myśl w mojej głowie, co najwyraźniej go satysfakcjonowało, chociaż poczułam smutek emanujący z jego skóry, który niczym chmura unosił się na tle księżyca.

22



Następnego ranka nie było go przy mnie, a moje ciało wydawało mi się obce i rozpasane. Bolały mnie miejsca, które nigdy wcześniej mnie nie bolały, i byłam zadowolona w sposób, jakiego wcześniej nie znałam. Akt skonsumowania związku, zarazem nieznanym i cudownym, dosłownie mnie *skonsumował* i sprawił, że przestałam już być sobą.

Ból tylko intensyfikował przyjemność, bo nadawał realność tej chwili i naznaczał Tirasem moje serce i ciało. Czułam jego pragnienie, by mnie posiąść, mimo że całował mnie delikatnie, rozpuszczając moje cierpienia i kojąc je łagodnymi ruchami dłoni i czułymi słowami. Słowami, które emanowały z jego skóry nawet wtedy, gdy nic nie mówił. Wzywałam je do siebie, zbierałam jak spadające liście i wciskałam między ciężkie strony moich wspomnień, żeby je zachować.

Pokojówki przyniosły mi wodę na kąpiel, ale odprawiłam je, gdy napełniły wannę, bo nie chciałam poddawać swojego ciała żadnym ciekawskim spojrzeniom. Czułam się inaczej, jakbym zrzuciła starą skórę i narodziła się na nowo, i potrzebowałam samotności ze swoim nowym ja.

Zaplotłam warkocz, przypięłam zwinięty na głowie, żeby się nie zmoczył, i wśliznęłam się do przyjemnego ciepła. Zamknęłam oczy i odpłynęłam w samotność, która czekała na mnie pod powiekami.

Nie słyszałam ani otwierania drzwi, ani odgłosu kroków, stłumionych przez grube dywany. Wyczułam go dopiero, gdy się zbliżył. Otwarłam oczy i zobaczyłam, że mnie obserwuje z brwiami ściągniętymi w zawile „V”. Kuczał przy wannie, przez co nasze oczy były mniej więcej na tym samym poziomie. Wyciągnął dłoń i przycisnął kciukiem łuk mojej górnej wargi.

— Wydymasz usta nawet wtedy, gdy się uśmiechasz — skomentował czule. — To przez tę pełną górną wargę.

Czy to cię nie zadowala?

Też się uśmiechnął, a jego dłoń zsunęła się z moich ust przez podbródek i długą szyję do wody okrążającej moje piersi.

— Zadowala mnie — wyszeptał. — Ty mnie zadowalasza. I zaskakujesz.

Jesteś dobrym nauczycielem. Chciałam z niego zakpić, żeby ochronić swoje bezbronne serce przytykami i drwinami, ale to było prawdą i tak też zabrzmiało. Przełknęłam ślinę i odwróciłam wzrok, ale jego głos przyciągnął moje spojrzenie z powrotem.

— Gdy wczoraj rano zmieniłem się z ptaka w człowieka, ktoś na mnie czekał.

Patrzyłam na niego z wyczekiwaniem. Sprawiał wrażenie, jakby się zamyślił, więc go ponagliłam.

Kto?

— Nie wiem. — Potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć tę myśl. — Podczas przemiany tracę świadomość. Nic nie widzę i nie słyszę. Jakbym przestawał istnieć, zawieszony między swoimi dwoma obliczami. Przyleciałem na balkon i przez drzwi dostałem się do środka. Tyle pamiętam. Obudziłem się nagi w lochach, z dłońmi i stopami w okowach.

Patrzyłam na niego z przerażeniem, gorączkowo zastanawiając się nad tym, kto mógł to zrobić oraz, co

istotniejsze, dlaczego?

— Ktoś wiedział o moim darze. Ktoś wiedział, kiedy jestem bezbronny. I ktoś wiedział, gdzie na mnie czekać — dodał posępnie.

Obaj zamilkliśmy na myśl o konsekwencjach takiej wiedzy. Patrzyliśmy na siebie pustym wzrokiem i z ciężkimi refleksjami. W końcu potrząsnęłam głową, bo nic z tego nie rozumiałam.

Gdyby mój ojciec wiedział, że potrafisz się zmieniać, natychmiast by cię zdemaskował. Nie bawiłby się w takie gry.

— Wiem. Lordowie mogą coś podejrzewać, ale gdyby wiedzieli, że jestem Obdarzony, nie marnowaliby czasu na zakłócanie ślubu.

Do mojej świadomości wdarła się zdradziecka myśl, którą podzieliłam się bez zastanawiania się nad tym, jak może zostać odebrana.

Może Kjell próbował cię ochronić... przede mną. A czy istnieje lepszy sposób na to niż zagwarantowanie, że nigdy nie będę królową?

Tiras spojrział na mnie z oniemiałym przerażeniem, po czym zamknął oczy, jakby sama myśl o tym sprawiała mu ból.

— Myślisz, że to był Kjell? — spytał i nagle zaczął dorównywać mi w bezbronności. Pomyślałam o jego bracie, jego jedynym przyjaciołu. Kjell mnie nie lubił. Ale kochał Tirasa. Co do tego nie miałam wątpliwości.

Jeśli to był Kjell... to jego intencje były czyste.

Przez twarz króla przemknęła fala ulgi, natychmiast jednak zacisnął zęby i spojrział na mnie groźnie.

— Jeśli to był Kjell, odpowie za to.

Mam nadzieję, że to on.

— Dlaczego? — wyszeptał Tiras.

Bo on nigdy by cię nie skrzywdził. Natomiast jeśli to był ktoś inny...

— Nasze kłopoty dopiero się zaczynają — dokończył za mnie. Przytaknęłam.

— Wysoko na ścianie prowadzącej do dziedzińca jest cela z kratami, przez które słyszałem fanfary na rozpoczęcie procesji, ale z której nikt nie mógł usłyszeć mojego wołania. Nikt nie przyszedł przez te wszystkie godziny, gdy byłem zamknięty.

Jak się wydostałeś?

— Wszystkie drzewa, wszystkie klatki, uwolnijcie nasze ptaki — zacytował cicho.

Słyszałeś mnie?

— O zmierzchu kraty nagle się otwały, a ja słyszałem wrzask tych wszystkich ptaków na zewnątrz. Niezliczonych ptaków. Zmieniłem się w orła i kajdany spadły ze skrzydeł i z nóg, bo były o wiele za szerokie jak na ptaka. Wyleciałem na zewnątrz i jako jeden z tysięcy ptaków wfrunąłem do katedry na twoje wezwanie. Myślałem, że będzie już za późno.

Uznałam, że nie możesz się zmienić. Postanowiłam czekać... aż będziesz mógł.

— Uparta kobieta — mruknął, ale jego twarz nieco się rozluźniła i patrzył na mnie ciepło.

Nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić. Lordowie byli wściekli. Ludzie... drwili ze mnie. Pragnęłam być niewidoczna, tak jak zazwyczaj.

Tiras wyciągnął dłoń z wody i końcami palców dotknął mojego policzka.

— Łatwo cię przeoczyć. Szczupła, blada i tak cicha. Ale

teraz, gdy przyjrzałem się dokładnie twoim łagodnym, szarym oczom, prześledziłem palcami finezyjne rysy twojej twarzy i zasmakowałem twoich jasnoróżowych ust, nie chcę patrzeć na cokolwiek innego. Mój wzrok cały czas bezwiednie wraca do ciebie.

Bez wahania wyznałam mu kolejną prawdę.

Ciebie... nie da się... przeoczyć.

Wyrwało mu się westchnienie i po raz pierwszy to ja się zbliżyłam, to ja przycisnęłam usta do jego ust i to ja ujęłam jego twarz w dłonie. Na kilka długich sekund zdał się na moje prowadzenie, pozwolił, bym go smakowała i sprawdzała jego reakcje. Potem się podniósł i wyciągnął mnie z wody jak nimfę z morza.

I zostałam skonsumowana jeszcze raz.



Mój ojciec wyjechał z miasta bez pożegnania. Może załamał się tym, że nigdy nie zostanie królem, a może po prostu wrócił do domu, by dalej spiskować i knuć intrygi z dala od króla.

Lordowie z Enoch, Jandy i Quondoona wyjechali dwa dni po ślubie, lecz lady Firi, lord Gaul i lord Bin Daru zostali przez cały tydzień, przez co wszyscy czuli się niezręcznie, a Tiras musiał podejmować specjalne środki ostrożności w trosce o moje i własne bezpieczeństwo, środki, które normalnie nie byłyby konieczne.

Dlaczego w ogóle musimy ich tolerować? Spytałam Tirasa, gdy siedziałam przy jego boku i razem przyglądaliśmy się jeruwiańskim tańcom oraz słuchaliśmy umilających wieczór bardów. Żałowałam, że nie mogę uwolnić się od korony i ukradkowych spojrzeń, i słów, które prześlizgiwały się między lordami jak węże.

— Są członkami rady. I lordami Jeru. Lordami na ziemiach, które były przekazywane w ich rodzinie z pokolenia na pokolenie od czasu stworzenia dzieci Twórcy. Chcesz, żebym zamordował ich we śnie, moja złakniona krwi dziewczynko? — wyszeptał mi do ucha z uśmiechem.

Pomyślałam o Tirasie, zakutym i nagim w lochach własnego zamku, i nagle poczułam taką pokusę. Tiras spytał Kjella, czy to on go zamknął w dzień ślubu. Nie było mnie przy tym, ale wyczułam przenikającą przez mury zamku falę jego poczucia zdrady i wściekłości, gdy zarzekał się, że jest lojalny wobec brata. Tiras mu uwierzył. Ja też. Chociaż wolałabym, żeby tak nie było.

Oni po prostu chcą cię usunąć.

— Jestem królem, ale potrzebuję wsparcia prowincji. Jeśli zbuntują się przeciw Degn, moje królestwo przestanie istnieć. Osadzą marionetkę na tronie. Kogoś, na kogo łatwo wpłynąć i kim łatwo sterować.

Jak mój ojciec.

— Mam potężną armię. I lojalnych rycerzy. Ale oni pochodzą z wszystkich prowincji i przysięgali chronić całe Jeru, a nie tylko króla.

Przerwał nam Kjell w towarzystwie ambasadorki z Firi. Skłoniła się królowi, a potem mnie, prezentując każdemu z nas na moment widok na swoje wspaniałe piersi. Kjell stanął przy królu, a ambasadorka wyciągnęła do mnie dłoń.

— Dołączysz do mnie, moja królowo?

Spojrzałam za Ariel z Firi, na długą linię pań zebranych, by wykonać tradycyjny taniec, i natychmiast zaczęłam potrząsać głową.

— To zwyczaj — dodała, uśmiechając się uroczo, i wzięła mnie za rękę. — Musisz.

Nie umiem, powiedziałam błagalnie do Tirasa, licząc na jego interwencję.

— Jesteś królową Jeru, oczywiście, że musisz wziąć udział w tańcu — stwierdził z szelmowskim uśmiechem. — Lady Firi dobrze się tobą zaopiekuje.

Ze świadomością, że mój opór przyciągnie większą uwagę niż zwyczajne przystanie na prośbę oraz wtopienie się w morze jasnych sukni i wirujących kobiet, wstałam i podążyłam za lady Firi na parkiet.

— Tańczyłaś już kiedyś ten taniec, Wasza Wysokość? — spytała niewinnie.

Potrząsnęłam głową.

— Rób to, co ja. To całkiem proste.

Zaczął się utwór, który już kiedyś, dawno temu słyszałam. Mama śpiewała mi tę piosenkę, a jej śpiewała ją jej mama, a jej mamie jej mama. Była to pieśń dziewcząt z Jeru, pieśń odświętna i rytualna. Pieśń kobiet. Ale moje dwadzieścia wiosen nie dało mi zbyt wielu okazji do świętowania i śpiewu, bo byłam ukrywana przed światem, żeby nie szkodzić i żeby mnie nie zaszkożono, więc piosenka była dla mnie jak utracona dawno temu siostra — bliska, a jednocześnie obca.

Staralam się jak najlepiej naśladować wdzięczne kołysania bioder i ramion, kroki i obroty, ale mój umysł został porwany przez wspomnienia. Rozpoznawałam już zaśpiewane słowa, mimo że nie potrafiłam powiedzieć, co ma być dalej, dopóki nie zostało zaśpiewane.

Córko Jeru, córko Jeru,

On nadchodzi w twoją stronę.

Córko Jeru, córko Jeru,

Niech król pojmie cię za żonę.

Słyszałam te słowa śpiewane głosem matki, melodyjnym i

słodkim, jakby wyśpiewała mi w przeszłości przyszłość. Przestałam zwracać uwagę na kroki i zastanawiać się nad tym, co ma być dalej. Odnalazłam wzrokiem Tirasa, wyróżniającego się dzięki srebru i klejnotom, i tańczyłam dalej z córkami Jeru, a głos w mojej głowie zmienił ton na ostrzegawczy.

Córko Jeru, córko Jeru,

Ma czyste serce, więc na niego czekaj.

Córko Jeru, córko Jeru,

Nim nadejdzie ta godzina, że przybędzie z daleka.

Ta starodawna, dziecinna piosenka opowiadała o uratowanej przez potężnego mężczyznę pannie, która została księżniczką. Zupełnie jakby zostanie księżniczką było jedyną rzeczą, o jakiej mogłaby marzyć dziewczyna z Jeru. Poruszyły mnie jednak te słowa. Miałam wrażenie, że moja matka, potężna Powiadaczka, doprowadziła do tego, że to wszystko się ziściło. Śpiewała mi tę piosenkę do snu — *Córko Jeru, córko Jeru, Nim nadejdzie ta godzina, że przybędzie z daleka.*

Nim nadejdzie ta godzina.

Nim nadejdzie ta godzina, niech nie leczą i nie ranią.

Nim nadejdzie ta godzina, że przybędzie z daleka.

Dziewczęca pieśń i słowa wyszeptane przez matkę w dzień jej śmierci zlały się w mojej głowie w jedno.

— Wszystko w porządku, Wasza Wysokość? — Lady Firi delikatnie dotknęła mojego ramienia. Uświadomiłam sobie, że przestałam tańczyć, przez co rząd kobiet zatrzymał się, żeby na mnie nie wpaść.

Zawachlowałam dłonią, sygnalizując, że potrzebuję powietrza i wody, a ona przytaknęła.

— Chodźmy do ogrodu, dobrze?

Poszłam za nią z wdzięcznością, utrzymując podbródek wysoko, żeby opierająca się na uszach korona nie zsunęła mi się na oczy. Wiedziałam, że wyglądam przez to wyniośle, ale wolałam to niż niezdarność.

Ogród pachniał aromatycznie ostatnimi kwiatami lata. Liście spadały i powietrze robiło się rześkie i chłodne. W mieście Jeru nie było takich opadów śniegu jak w Corvyn lub w dolinie Kilmorda czy nawet w Bilwick na wschodzie, ale dni stawały się coraz ciemniejsze i krótsze, a światło szybciej zanikało, zabierając ze sobą Tirasa.

— Okłamałaś mnie — stwierdziła pogodnie. — Znałaś ten taniec i świetnie sobie z nim poradziłaś. Król był zadowolony.

Jej dobór słów sprawił, że się zarumieniłam. Zadowolanie króla skojarzyło mi się z czymś innym. Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się słabo, milcząco udając niewiniątko.

— Jesteś całkiem urocza. Początkowo tak nie uważałam, ale teraz to widzę. Zostaniemy przyjaciółkami, lady Lark? Tak masz na imię, prawda?

Zastanawiałam się, czy mogę zaufać Ariel z Firi. Opowiedziała się za mną, gdy czekałam przed ołtarzem. Opowiedziała się za Tirasem, wbrew lordom z północy. Kjell był nią chyba zauroczony, a mnie przydałaby się przyjaciółka. Ale często zatrzymywała wzrok na Tirasie, a słowa, którymi emanowała, były dobrze ukryte, jakby ona też podchodziła do mnie z rezerwą.

Przytaknęłam, pozwalając jej na użycie mojego imienia, a ona nachyliła się i szepnęła mi do ucha:

— Ja cię słyszę, wiesz?

Odchyliłam się, jakbym została spoliczkowana. Zaśmiała się uroczo i dźwięcznie, aż kwiaty przechyliły w jej stronę swoje główki.

— Słyszę cię, gdy coś przekazujesz. Jakieś słowo... od czasu

do czasu. Na biesiadzie spytałaś, czy chcę jeszcze wina. I myślałaś, że nie wiem, że to ty.

Patrzyłam na nią bez słowa, starając się nic nie ujawniać, a ona dotknęła swoim delikatnym palcem łomoczącego pulsu na mojej szyi.

— Bez obaw. Mieszkańcy Firi także pochodzą od Obdarzonych. Ja też mam swoje wstydlive sekrety. Twoja matka była arystokratką z Enoch, prawda?

Niczego nie potwierdziłam.

— Lud Enoch wywodzi się od pierwszej Powiadaczki. Enoch i Jandy. W dolinie Kilmorda też byli Obdarzeni, ale wielu z nich zostało zabitych przez Volgary. Niektórzy mówią, że Volgary pochodzą od pierwszego Zmieniacza. Tyle że on był wilkiem, a Volgary są... ptakami. — Wszystko to mówiła lekkim, informacyjnym tonem, ale nie zabrała dłoni z mojej szyi. Trzymała ją tam delikatnie, jakby mnie pieściła.

— Są też tacy, którzy uważają, że Volgary zostały uprzedzione z sępów. Widziałem je w walce i mogę w to uwierzyć. Bin Dar to Prządki, tak jak i Quondoos. To wszystko część naszej historii — odezwał się za nami Tiras. Z łomoczącym w uszach pulsem i podejrzanymi palcami lady Firi na moim gardle nie słyszałam, jak nadchodzi.

Lady Firi opuściła dłoń i odwróciła się ze skromnym uśmiechem i z przyjaznym spojrzeniem. Za Tirasem pojawił się Kjell, który od porwania w dzień ślubu nie odstępował brata ani na krok.

— Król mówi prawdę. — Pochyliła głowę w zgodzie. — Ale prowincje Corvyn i Degn wywodzą się od rycerza, który zabił Smoka Zmieniacza. Nie mają w rodowodzie Obdarzonych i dlatego tron przez ponad wiek pozostaje w rękach władcy Degn, a lord Corvyn czeka w pogotowiu. Czysta krew. Bez skazy. — Spojrzała na mnie i puściła mi oczko. — Ale my zaczęliśmy brać śluby i łączyć się w pary. I zrobił się straszny

bałagan. Prawda, Kjellu? — Uśmiech, jakim go obdarzyła, był flirciarski. Albo prowokacyjny. Nie miałam pewności. Była przyjacielska i rozluźniona, ale słowa, które wypowiadała, różniły się od tych ukrywanych. Coś ją trapiło. Miałam wrażenie, że chodzi o mnie.

— W rzeczy samej. Ale król pochodzi z Degn. Ja też. Obaj powinniśmy być bez... skazy — odparł Kjell nieco kąśliwie.

Lady Firi podeszła do niego i ustawiła się plecami do mnie i króla, jakbyśmy wszyscy byli starymi, dobrymi przyjaciółmi. Stała na palcach i przytknęła usta do ucha Kjella. Może nie chciała, żebym to usłyszała, ale słowa mnie znalazły, jak zawsze.

— Ale wszyscy wiemy, że jest inaczej, czyż nie?

23



Lordowie i damy wyjechali i w końcu zapanował względny spokój, ale pierwsze dni i tygodnie po ślubie król był niezmordowany, jakby wiedział, że kończy mu się czas. Niewiele spał i niemal przez cały czas gdzieś się przemieszczał. Nawet gdy w końcu osiadał, wysłuchiwał poddanych, wydawał rozkazy i instrukcje. Zawsze te instrukcje. Trzymał mnie przy boku, wymagając ode mnie uwagi i skupienia, a kiedy dopadało mnie znużenie lub okazywałam opór, spoglądał mi prosto w oczy i przypominał, że teraz jestem królową i muszę „wiele się jeszcze nauczyć”. Kipiałam ze złości, mimo że dążyłam do uzyskania jego aprobaty.

Zdarzały się noce, w które nie mógł zostać ze mną, i długie dni, gdy słabe zimowe słońce nie zmieniało go z powrotem w człowieka. Robiłam co w mojej mocy, żeby wypełnić sobie czas czytaniem i pisaniem, ale tęskniłam za nim tak mocno, że jego nieobecność była dla mnie bolesna, a powrót odbierałam jak święto. W ciemnościach lub w świetle, w sali tronowej lub w sypialni, był mrukliwy, lecz delikatny, arogancki, lecz uważny i kochał się ze mną z takim zapałem i skupieniem, że niemożliwością było nie dostosować się do jego woli, chociaż znajdowałam sposoby na to, by mu się sprzeciwić i podważać jego zdanie.

Raz w tygodniu, gdy zmiana go nie zabrała, siedziałam z nim

w sali przesłuchań, a on przyjmował kolejnych Jeruwiańczyków i wydawał szybkie werdykty w przedstawianych przez nich sprawach. Jeruwiańczycy respektowali jego wolę, ale zdarzali się tacy, którzy polemizowali. Był nawet taki, który złorzeczył królowi, zanim nie został odciągnięty.

Dwie pełnie po naszym ślubie przyprowadzono przed jego oblicze młodą kobietę zakutą w łańcuchy. Miała brudne ubrania i umorusaną twarz, jakby ciągnięto ją po ulicy. Mężczyzna, który ją przyprowadził, oskarżył ją o to, że jest Uzdrowicielką.

Spojrzałam na łańcuchy na nadgarstkach kobiety i jej zrezygnowaną twarz, po czym przerwałam przesłuchanie, kierując w stronę Tirasa tak zawzięte żądanie, że aż się skrzywił.

Każ mężczyźnie ją uwolnić.

— Możesz tego dowieść? — spytał król, ignorując mnie.

Ona leczy? Na tym polega jej przestępstwo? Wściekle wyrzucałam z siebie pytania. Tiras nawet się nie odwrócił. Słuchał cierpliwie, jak mężczyzna opowiada o dwóch przypadkach, w których kobieta położyła dłonie na umierających dzieciach, a one w cudowny sposób ozdrowiały.

— Czy to prawda? — spytał Tiras kobietę, która niemal w ogóle nie podniosła głowy.

— Tak — odparła słabym głosem.

Mężczyzna, który dzierżył łańcuch, rzucił go na stopień podium.

— Ona ma w sobie czary, Wasza Wysokość — wyszeptał ze strachem. — Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Gdzie są teraz uleczone przez nią dzieci? — zapytał Tiras.

Mężczyzna wskazał za siebie na kobietę, która stała z

dwójką dzieci w kolejce do przesłuchania.

— To *twoje* dzieci? W jakim celu je tu przyprowadziłeś? — W głosie Tirasa wyczuwałam niedowierzanie, mimo że byłam tak wściekła, że mój gniew zabarwiał otaczające mnie powietrze. Dziwne, że nikt tego nie dostrzegął.

— Zostały uleczone niezgodnie z naturą. Chcę, żebyś kazał tej kobiecie usunąć jej klątwę — zażądał mężczyzna.

Chce, żeby jego dzieci umarły? Tiras spojrział na mnie znacząco, żebym zamilkła.

— Nie potrafię tego zrobić. Ja leczę. Nie wyrządzam krzywdy. Nie potrafię sprawić, by z powrotem zachorowały — wyjaśniła kobieta takim głosem, jakby tłumaczyła to już tysiące razy.

— Dlaczego je uleczyłaś, skoro wiesz, że prawo tego zabrania? — kazał jej wyjaśnić Tiras.

— Bo... potrafię. Skoro mam moc przynoszenia ulgi w cierpieniu, zaniechanie tego byłoby złem, prawda? — zapytała błagalnie.

— Proszę przyprowadzić dzieci — zażądał Tiras.

Kobieta, najwyraźniej ich matka, podeszła przerażona bliżej. Dzieci z szeroko otwartymi oczami kurczowo trzymały się jej spódnicy.

— Czy one są całkowicie uzdrowione? — spytał Tiras matkę, która zerknęła na męża, po czym wróciła wzrokiem do Tirasa.

— Tak — wyszeptała.

— Chcesz, żeby z powrotem zachorowały? — kontynuował Tiras.

— Nie, Wasza Wysokość. Ale się boję — odparła.

— Czego się boisz? — dopytywał Tiras.

— Że coś im zabrała — wyjaśniła.

— W zamian za wyleczenie?

Kobieta przytaknęła.

— Co twoim zdaniem im zabrała?

— Ich dusze — szepnęła matka i zaczęła szlochać.

— Czy twoje leczenie ma taką cenę? — spytał Tiras uzdrowicielkę, która z przerażeniem potrząsnęła głową.

— Nie, panie. Mam wyłącznie moc leczenia. Nie jestem Powiadaczką. Nie potrafię rzucać klątw — odparła.

Tirasie, wypuść tę kobietę.

Uzdrowicielka poderwała głowę i rozglądnęła się wokół siebie z szeroko otwartymi oczami. Najwyraźniej mnie usłyszała.

— Czego domaga się prawo? — spytał król matkę i położył dłoń na mojej ręce, by ostrzec mnie po raz drugi.

— Powinna zostać ukamienowana! — wykrzyknął ojciec, a matka się skrzywiła.

— Czy prosiłaś tę kobietę o uzdrowienie dzieci? — dopytał drżącą matkę król.

— Tak — wyszeptała.

Ojciec jęknął i wszczął adresowaną do króla błagalną tyradę:

— Ona przeklęła moją żonę! Boimy się. Sądzymy, że nasze dzieci umrą.

— Bycie Uzdrowicielem jest niezgodne z prawem... tak samo jak szukanie pomocy takich ludzi — przypomniał mu król. — Kara jest taka sama.

W sali tronowej zapadła cisza, a stojący przed podestem mężczyzna zaczął się trząść.

— Czego domaga się prawo? — powtórzył swoje pytanie Tiras, tym razem zwracając się do ojca. — Pozwolę ci

zdecydować, ale karę, jaką poniesie uzdrowicielka, otrzyma także twoja żona.

Mężczyzna wyglądał na osłupiałego obrotem wypadków. Zerknął na dzieci, na swoją skruszoną małżonkę, a potem na uzdrowicielkę, która była zdana na jego łaskę.

— Nie... będę... dążył... do jej dalszego ukarania — wykrztusił. — Uzdrowicielka może odejść wolno.

— Jak sobie życzysz — przytaknął Tiras. — Zdjąć jej kajdany.

Mężczyzna wypełnił polecenie ze spuszczonego wzrokiem. Potem wykonał kilka służalczych ukłonów i wyprowadził swoją rodzinę z sali.

— Możesz odejść, Uzdrowicielko. Idź i nie czyń złego — ostrzegł ją Tiras zwyczajową formułką, znalazł jednak wzrokiem Kjella, który stał w gotowości w pobliżu i wymienił z nim porozumiewawcze spojrzenia. Gdy Uzdrowicielka wyszła, Kjell podążył za nią.



Tej nocy Tiras nie przyszedł do łóżka, a ja leżałam w ciemnościach, skupiając się na swoim wnętrzu. Wiedziałam, gdzie zniknął Kjell. Poszedł za Uzdrowicielką i zaoferował jej azyl i wsparcie w zamku. W tej chwili jest pewnie zamknięta w wieży, w pokoju, w którym uczyłam się czytać, a Tiras rysował mi obrazki na ścianach.

Pod obszarpanymi ubraniami i warstwami brudu kryła się całkiem urodziwa kobieta. Może nawet śliczna. Miała długie, ciemne włosy i ciemnooliwkową skórę. Kjell kiedyś prowokował króla wzmianką o obu tych cechach, sugerując, że Tiras preferuje kobiety zupełnie inne niż ja.

Ona byłaby dla niego przydatna. Może udałoby się jej go wyleczyć, czego ja nie umiałam dokonać. Może tym razem

zażądałaby ceny. I zamiast jego duszy wolałaby jego serce. Wyskoczyłam z łóżka i ubrałam się, nie przejmując się niezwiązanymi włosami i chaosem w emocjach. Otwierałam drzwi i zapalałam świece, rzucając zaklęciami i przeszukując pomieszczenia, ale w duchu modliłam się, żeby Tiras był teraz w postaci orła, żebym nie wpadła na niego w takim stanie, w jakim właśnie byłam.

Znalazłam go w towarzystwie Kjella w bibliotece, w pomieszczeniu pełnym książek z każdej prowincji, w którym często przebywałam, od kiedy zostałam królową. Pachniało tu mądrością, słowami i Tirasem, który przywitał mnie wyciągniętą dłonią. Gdy jej nie przyjął, cofnął ją, a Kjell spojrział na mnie w sposób, od którego poczułam się niezręcznie.

— Opuść swój wzrok i nie patrz tak na moją żonę, Kjellu — powiedział niespodziewanie Tiras, jakby też poczuł się niezręcznie i jakby moja obecność tu była prowokacyjna. Miałam rozczochrane włosy i bose stopy, ale byłam ubrana. Nie dam się zawstydzić i nie będę przepraszać za najście, chociaż z grzeczności skierowałam słowa do nich obu.

Jeśli szukacie Uzdrowicielki, chcę przy tym być.

— O czym ty mówisz? — spytał powoli Tiras.

Uzdrowicielki... tej z dzisiejszego przesłuchania.

Tiras uniósł brwi, jakbym go zaskoczyła, a moje serce ścisnęło się w piersi, interpretując to jako potwierdzenie.

Kjell poszedł za nią, gdy wychodziła.

Kjell zaklął, a Tiras usiadł z powrotem na swoim krześle i patrzył na mnie spod byka.

Jest tutaj? W zamku?

— Nie — przyznał. — Ale wiemy, gdzie przebywa.

Kjell znowu zaklął, ale Tiras zbył go, nie odrywając ode mnie

oczu. Kiedy za wychodzącym Kjellem zamknęły się ciężkie drzwi, powiedziałam:

Nie pozwolę się wyrzucić.

— Co?

Ona być może cię uleczy. Ja nie potrafię. Ale nie dam się odstawić na bok.

— Czy o to w tym wszystkim chodzi, lady Degn?

Jest dla ciebie przydatna. A ja przestałam już dla ciebie być przydatna?

— Jesteś dla mnie bardzo przydatna. Umieszczę w twoim brzuchu dziecko. Syna, który zostanie królem.

Syknełam, widząc jego uśmiezek, bo tak się wściekłam, że straciłam zdolność formułowania spójnych myśli.

Bezczelność... świnia... niewyobrażalne!

Nie potrafiłam odpowiednio szybko znaleźć słów, więc zaciskałam kurczowo pięści i zgrzytałam zębami, żeby utrzymać się w ryzach i nie rzucić na niego.

Tiras zaśmiał się i wstał. Wiedziałam, że rozmyślnie mnie prowokuje.

— Spójrz na siebie! Stoisz tu jak cholerna rzeźba z lodu, ale pod tym lodem buzuje ogień. Czułem go — upierał się. — Starasz się z całych sił grać obojętność, ale wcale taka nie jesteś.

Nie jestem bronią i nie jestem klaczą rozplodową! Chcesz mnie wykorzystać? Nie pozwolę ci.

Zbliżył się do mnie, arogancki i wszechwiedzący.

— Nie POZWOLISZ MI?

Nie pozwolę!

Podszedł tak blisko, że musiałam odchylić głowę, żeby

widzieć jego twarz. Nasze ciała nie były do siebie dopasowane — mierzyłam znacznie mniej od niego — ale jego biodra napierały na mój brzuch, a piersi miałam rozplaszczone o jego ciało. Trzymał ręce przy sobie, ale próbował onieśmielić mnie swoją wielkością, co jeszcze bardziej rozogniło moją wściekłość.

Myślisz, że skoro jesteś większy ode mnie, to możesz próbować coś na mnie wymuszać?

— Ja *nie* potrzebuję niczego wymuszać. Wiesz o tym i ja też o tym wiem.

Jestem twoją żoną, ale zrobię to, co będę chciała, perorowałam gniewnie, a w mojej głowie bez wysiłku pojawiło się zaklęcie.

Pasie, który trzymasz męża spodnie,

Każ mu tańczyć tu swobodnie.

Pasek uwolnił się z jego bryczesów i wijąc się jak wąż morski, wzbił się krętymi ruchami w powietrze i uderzył Tirasa jednym z końców. Tiras odskoczył z zaskoczonym spojrzeniem i złapał wijący się długi kawał skóry jedną dłonią. Drugą podtrzymywał swoje spodnie. Ale ja jeszcze nie skończyłam.

Buty na mego męża stopach,

Wymierzcie mu niejednego kopa.

Buty zaczęły wierzgać i wyrywać się z jego stóp, przez co stracił równowagę i przewrócił się na pośladki. Następnie zaczęły go kopać po plecach i udach, aż zawył z oszołomienia i gniewu:

— Lark!

Koszulo na piersi mojego męża,

Owiń mu głowę, naśladując węża.

W tej samej chwili jego tunika uniosła się, jakby próbował ją ściągnąć, ale zatrzymała się w połowie i owinęła się wokół niego, zasłaniając jego wściekłą twarz. Zaczęłam się śmiać. Nie mogłam się powstrzymać. Wyglądał tak niedorzecznie, gdy siedział na podłodze biblioteki ze zwisającymi ze stóp skarpetami, z opadającymi z bioder bryczesami, z koszulą na głowie i atakującymi go butami i paskiem.

Tiras zamachnął się, złapał mnie za koszulę nocną i przyciągnął do siebie.

— Odwołaj tę nagonkę, Lark! — wrzasnął, lecz ja śmiałam się jeszcze bardziej. Wręcz trzęsłam się z radości, mimo że przetoczył się na mnie, nie przerywając heroicznego pojedynku z tuniką, która wciąż owijała mu się wokół twarzy. Tunika była nieco niebezpieczna, buty nie zawsze trafiały, a pasek zrobił mi pręgę na policzku, więc uznałam, że już wystarczy.

Wypowiedziałam naprędce sklecony rym. Koszula zrezygnowała ze swoich morderczych zapędów, pas i buty opadły na podłogę i stały się na powrót nieożywionymi przedmiotami, a Tiras wypluł z siebie stek przekleństw.

Oddychał szybko i płytko, a rozwichrzone włosy opadały mu na oczy. Podparł się ramionami po obu stronach mojej głowy, przyciskając mnie swoim potężnym ciałem do podłogi, przez co trudno mi było złapać oddech. Zostałam kompletnie unieruchomiona, ale i tak czułam się jak zwycięzca.

Odniosłeś jakieś rany, mój mężu?

Zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem, które trwało całe trzy sekundy. Potem zmarszczki w kącikach oczu się pogłębiły i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Śmiał się ze mną, ale nie uwolnił mnie z potrzasku, a jego twarz znajdowała się zaledwie kilka cali od mojej.

— Bawiło cię to, prawda?

Niezmiernie.

— Powiedz mi coś, żono. Jest jakieś zaklęcie na szybkie zerwanie z ciebie koszuli nocnej? — szepnął. Wciąż się uśmiechał i czułam na ustach jego oddech.

Poczułam na twarzy falę gorąca i zamknęłam oczy, żeby się wycofać, chociaż bezwiednie zaczęłam się zastanawiać nad zaklęciem, po którym oboje stalibyśmy się nadzy.

— Ja *naprawdę* umieszczę dziecko w twoim brzuchu — obiecał, a radość w jego głosie była przesycona determinacją.

Otwarłam oczy, bo poczułam jego usta na swoich. Muskał mnie tam i z powrotem, jakby malował mnie swoimi wargami. Było to takie doznanie, od którego czułam mrowienie w górnej wardze, swędzenie w dłoniach i przewracanie w żołądku. Nie zmieniając ani tempa, ani siły nacisku, odezwał się ponownie.

— Masz całą tę moc leczenia, przekonywania, perswazji i niszczenia, lecz chcesz mnie przekonać, że nic nie czujesz — mruknął. — Ale ja wiem swoje.

Mam całą tę moc, ale ty mnie zniszczysz.

— Tylko twoje mury, Lark. — Pogłębił pocałunek. Lizał moje usta, jakby był przekonany, że tam właśnie się przed nim ukrywam. Palce leżących na dywanie stóp bezwiednie mi się podkuliły, a ciało zmiękło i złagodniało, żeby go przyjąć, ale odwróciłam głowę, bo nie chciałam przyznać, że potrafi mnie rozmiękczyć. Przeniósł się na szyję.

— Powiedziałem kiedyś, że jesteś jak lód — szeptał, całując mnie w gardło. — I jesteś. Srebrna, perfekcyjna... lśniąca. I twarda. Jesteś taka twarda, Lark. Chciałbym, żebyś czasem była delikatniejsza. Musisz dopuścić mnie do środka. — Był słodki i przekonujący, ale wiedziałam, że chodzi mu nie tyle o uprawianie miłości, ile o mury, za którymi nieustannie znikalam.

Potrząsnęłam głową.

Jeśli wpuszczę cię do środka, nic mi nie zostanie. Jeśli jestem jak lód, to dlatego, że on jest nieprzenikniony. Ma w sobie siłę.

Przytknął rozchylone usta do mojej piersi i przeniósł ciężar ciała na bok, uwalniając jedną dłoń, którą mógł teraz wodzić po moim ciele. Zacisnęłam pięści, żeby jakoś opanować coraz mocniej buzujący pod skórą ogień.

— Dotknij mnie, Lark — nakazał. Podniósł jedną z moich pięści i delikatnie przygryzł palce.

Kiedy cię dotykam, przestaję istnieć.

Jęknął, jak gdyby moje wyznanie tylko podsyciło jego zapał. Nieoczekiwanie jednak odwrócił się ode mnie, jakby zmęczyły go próby przebicia się przez moją obronę. Sięgnął po tunikę i pas, po czym usiadł, żeby włożyć buty.

— Na litość boską, kobieto. Nie przestajesz istnieć. Po prostu się zmieniasz.

Ja też usiadłam. Już za nim tęskniłam, ale nie potrafiłam wymyślić, jak dać mu to, o co prosi, nie poddając się. Niepewnie dotknęłam jego policzka, a on zamarł, jakby mój skruszony dotyk był ostatnią rzeczą, której się spodziewał.

Dlaczego muszę się zmieniać, Tirasie? Dlaczego tak bardzo chcesz mnie złamać? Głos w mojej głowie był cichy i wystraszony.

— Bo pod tym lodem kryje się ogień, Lark — odparował. — A ja lubię twój ogień. — Intensywność emanowała z niego pod postacią ciepła. Przez cały czas był gorący i czułam, że mnie przekształca, kropla po kropli.

Potrząsnęłam głową, nagle bliska łez. Ale nie miałam zamiaru pozwolić, żeby popłynęły.

Nie. Pod lodem kryją się wszystkie słowa.

Spojrzał na mnie zdumiony, z jednym butem na nodze.

Nie przyszło ci nigdy do głowy, że być może tak jest lepiej? Że nie potrafię mówić? Skoro potrafię dzierżyć słowa, nie wydając dźwięku, do czego byłabym zdolna, gdyby zostały uwolnione? Sama siebie przerażam, Tirasie.

To było poważne wyznanie, monumentalne pęknięcie w moich murach. Opuściłam wzrok i próbowałam ukryć twarz w dłoniach, żeby się pozbierać, ale Tiras chwycił mnie za nadgarstki i odciągnął mi dłonie od oczu, żebym musiała na niego spojrzeć.

— Mnie nie przerażasz — wyszeptał. — Frustrujesz mnie. Doprowadzasz do szewskiej pasji. Ale mnie nie przerażasz.

Jeszcze.

— Nigdy nie będziesz. Jesteś dobra do szpiku kości, lady Degn. Irytująca. Ale dobra. — Puścił moje nadgarstki i wstał z paskiem w dłoni. Poły tuniki wciąż zwisały luźno. Miałam ochotę wrzasnąć z frustracji i przyciągnąć go z powrotem do siebie. Byłam beznadziejną żoną i beznadziejną królową. Chciał mi dać dziecko, a ja toczyłam z nim o to wielką wojnę, chociaż w rzeczywistości niczego bardziej nie pragnęłam, jak mieć z nim dziecko.

Tirasie?

— Tak? — westchnął odwrócony plecami do mnie, gdy wpychał tunikę do bryczesów.

Pocałujesz mnie jeszcze raz?

Odwrócił się do mnie, w kącikach jego ust pojawił się niemalże czuły uśmiech, a w oczach znowu miał ciepło.

— Powiedziałaś kiedyś, że nigdy nie poprosiłabyś o pocałunek.

Skrzywiłam się.

— Lubisz, gdy cię całuję?

Tak.

Jego uśmiech się pogłębił, ale czekał, każąc mi się pocić, każąc mi *prosić*. Patrzyłam na niego przez chwilę, po czym spuściłam z rezygnacją głowę.

Gdy całujesz mnie powoli, przez dłuższy czas, łatwiej mi...

— Mnie wpuścić? — dokończył za mnie.

Tak.

To słowo było westchnieniem, a moje policzki stały w ogniu, lecz on wyciągnął do mnie dłoń, podniósł mnie z podłogi i przytulił, by ochronić w swoich ramionach. Sprawił, że poczułam pełnię, od której się uzależniłam. Odchyliłam głowę, zamknęłam oczy i odnalazłam jego usta. A on całował mnie przez długi, długi czas.

24



Po zachodzie słońca Tiras nie stawał się ptakiem nagle. Wyglądało to raczej, jakby noc powoli coraz bardziej go wciągała, aż w końcu opór stawał się bezcelowy. Łatwiej było mu się oprzeć zmianie, gdy księżyc był jasny i duży, ale nawet wtedy pozostawanie w ludzkiej postaci sprawiało mu ból, a czasem światła słonecznego było zbyt mało, żeby się odrodził. Mogłam złagodzić jego cierpienia i dać mu więcej siły do samodzielnego opierania się zmianie, ale moje słowa i jego wola coraz częściej okazywały się niewystarczające, by zmienić bieg wydarzeń.

Co rusz zdarzało mi się obudzić samej tuż przed świtem. W panujących w komnacie ciemnościach jego nieobecność była cięższa, trudniejsza, beznadziejna. Żyłam na huśtawce między skrajną radością i olbrzymim napięciem. Czekałam na niego, witałam go i znowu zostawałam sama. Najgorzej, że huśtawka zdawała się nabierać rozpędu, zamiast go wytracać, i wychylała się coraz wyżej i wyżej. Tiras znikał na coraz dłużej i wracał na coraz krótsze odcinki czasu.

Rano po przesłuchaniach obudziły mnie promienie słońca i orzeł na balustradzie balkonowej. Podeszłam do niego z tęsknotą i wyciągniętą dłonią, licząc, że świadomość człowieka zwycięży nad ostrożnością ptaka. Przez zapierającą dech w piersi chwilę pozwolił mi pogłodzić swoją jedwabiącą białą głowę. Potem spojrział w stronę pasma drzew na zachodzie,

rozwinął ze świstem skrzydła i opuścił mnie, a ja mogłam tylko patrzeć, jak odlatuje.

Przez trzy dni czekałam na jego powrót, a gdy zaczął wstawać czwarty dzień bez żadnej wieści od Tirasa, ruszyłam na poszukiwania Kjella z zamiarem odnalezienia Uzdrowicielki, za którą wyszedł po przesłuchaniu.

Nie czekając na pokojówkę, ubrałam się i szybko splotłam włosy, bo chciałam jak najszybciej przemierzyć zamek, zanim wszyscy wstaną. Słowa wypływały ze snów i ocieplały powietrze, a ja słuchałam ich wszystkich, gdy schodziłam po schodach, podążając za cienką nitką napięcia, która zdawała się towarzyszyć Kjellowi wszędzie, gdzie się pojawiał. Znalazłam go w stajniach. Niemalże ucieszył się, że daję mu jakieś zadanie.

Dowiedział się, że Uzdrowicielka mieszka w niewielkiej osadzie o nazwie Nivea, która rozciągała się wzdłuż dawnego dna morza, na zachód od miasta Jeru. Po przesłuchaniach ruszył za kobietą i szedł za nią, utrzymując dystans. Gdy dotarła do zachodnich bram, wtopiła się w tłum pracowników i rzemieślników, którzy wychodzili z miasta i wracali do swoich domów. Śledził ją aż do skromnej chaty otoczonej przez podobne domostwa należące do rzemieślników, jubilerów i kamieniarzy, którzy żyli i pracowali poza ochronnymi murami.

Szukaliśmy jej o zmierzchu, przebrani w chłopskie szaty. Zakryłam twarz i włosy zwykłym woalem, a Boojohni szedł przed nami z koszem na głowie, jako idealne odciążenie uwagi. Wszyscy patrzyli na niego, bo był nowością w mieście obawiającym się wszelkich odmienności, dzięki czemu ja i Kjell bez trudu wtapialiśmy się w tłum. Łatwiej było opuścić miasto Jeru, niż do niego wrócić. Gdy bramy zostaną zamknięte, Kjell musiałby zdradzić strażnikowi swoją tożsamość, żeby wejść z powrotem. Bardziej jednak obawialiśmy się, że Uzdrowicielka zostanie uprzedzona o naszej obecności i się ukryje.

— Witano ją i pozdrawiano na każdym rogu. Była uznana za zaginioną, więc rodzina nie posiadała się z radości — mruknął Kjell. Nie skomentowałam śladu poczucia winy w jego głosie. — Jeśli rozniesie się wieść, że królowa jest w Nivei, osadnicy będą zakładali najgorsze.

Obawy Kjella były w pełni uzasadnione, bo gdy zbliżaliśmy się do chaty Uzdrowicielki, umiejscowionej wśród dziesiątków innych wzdłuż klifów przepaścistego dawnego wybrzeża, w powietrzu unosił się alarmujący jęk, równie głośny w moich uszach jak wrzask Volgarów. Zostaliśmy zauważeni i zidentyfikowani.

Ona wie, że tu jesteście.

Boojohni został ze mną, a Kjell ruszył biegiem do chaty. Przy wejściu wpadł na chudą postać, która wybiegała ze środka. Natychmiast zaczęła z nim walczyć, kopała go i tłukła, żeby się wyrwać.

Kjell zaklął, gdy przeciągnęła mu długimi paznokciami po policzku, a ona tylko zdwoiła swoje wysiłki.

— Cichaj, dziewczyno — szepnął Boojohni, unosząc ręce w geście poddania.

Słyszysz mnie, Uzdrowicielko? Głos w mojej głowie był donośny.

Natychmiast zamarła i spojrzała mi w oczy z przerażeniem, jakby dotychczas wmawiała sobie, że moje wtrącenia w trakcie przesłuchania były tylko jej majakami.

— T... tak — wykrztusiła. — Jesteś królową. Powiedziałaś królowi, żeby mnie wypuścił.

Nie zrobiłaś nic złego.

— Jesteś królową — powtórzyła, a fala niepokoju, która zabarwiała jej słowa, dotarła do mojej piersi. *Byłam* królową i nie miałam pojęcia, co robię.

Nie chcemy wyrządzić ci krzywdy. Potrzebujemy twojej pomocy. Porozmawiasz ze mną... w środku?

Zwróciliśmy na siebie uwagę kilku gapiów i trzeba było przenieść się z tą rozmową gdzie indziej. Kjell nie rozluźnił uścisku, więc Uzdrowicielka nadal wisiała w jego ramionach.

Przytaknęła powoli. Kazałam Kjellowi ją puścić. Postawił ją na nogi i stanął między nami, ale trzymał się blisko niej. Ruszyła do środka, muskając Kjella po drodze. Zanuciła przy tym coś pod nosem i wydrapana przez nią krwawiąca rana na jego twarzy zasklepiła się. Kjell zaklął, jakby go stratowała. Spojrzał za nią wściekle z dłonią na mieczu, ale Uzdrowicielka nie uraczyła go już spojrzeniem. Zademonstrowała swoją moc nawet wtedy, gdy okazywała łaskę.

Kamienna chata była niewielka i schludna. Były w niej pokój sypialny, jadalnia i w zasadzie tyle. Nikt z nas nie usiadł, a Kjell pozostał w pobliżu drzwi, jakby chciał się ustrzec pułapki. Uzdrowicielka skierowała swoje blade oczy na mnie. Były równie niebieskie jak oczy Kjella i mocno kontrastowały z jej czarnymi włosami i oliwkową skórą. Byłam przy niej taka bezbarwna i poczułam ukłucie niepewności, więc czym prędzej wzniosłam na nowo lodowe ściany i skupiłam się na aktualnym zadaniu.

— Jesteś... taka jak ja? — spytała.

Obdarzona?

Jęknęła, gdy wypowiedziałam to słowo, jakby przez całe życie starała się go unikać. Ale po chwili przytaknęła.

— Tak. Obdarzona.

Jestem.

— Wasza Wysokość — warknął Kjell, potrząsając głową, a Boojohni zeszywniał.

To nie jest coś, co jestem w stanie przed nią ukryć, Kjellu.

Nieufność Kjella narastała i wylewała, zlewając się z jego obawą przed czymś, czego nauczono go nienawidzić. Uzdrowicielka zerknęła na niego ulotnie i po raz kolejny wyciągnęła do niego dłoń, jakby chciała zmniejszyć jego dyskomfort. Zmierzył ją groźnym wzrokiem, więc się wycofała.

— Jestem Uzdrowicielką. Ale... kim ty jesteś? — spytała, wróciwszy spojrzeniem do mnie.

Powiadaczką, chociaż wydaje się, że do pewnego stopnia mogę nakazywać wyleczenie.

— Powiadaczką, która nie umie mówić?

Nie miałam ochoty dzielić się swoją historią, lecz gdy przytaknęłam, nie oferując żadnego wyjaśnienia, zmarszczyła brwi.

— Po co tu jesteś, Wasza Wysokość? Zostanę ponownie aresztowana?

Nie wiedziałam, co zrobić ani czym się z nią podzielić, lecz ona mnie ponagliła.

— Dlaczego przybyliście do mojego domu?

Król się źle czuje.

— I nie potrafisz go wyleczyć?

Nie. Nie potrafię. Prawda opadła na mnie swoim ciężarem. Uzdrowicielka przechyliła głowę, jakby usłyszała moją bezradność.

— Chcesz, żebym go uzdrowiła. — To nie było pytanie.

Znowu przytaknęłam. Ściągnęła usta, zerknęła na Kjella i Boojohniego, po czym wróciła spojrzeniem do mnie.

— Jeśli go wyleczę, co dostanę w zamian?

Kjell prychnął, uznając ją za chciwą pieniędzy. Ale ja rozumiałam jej troskę o siebie.

A czego potrzebujesz?

— Azylu. Łaski. Nie tylko dla mnie. Dla takich jak ja. Jak my.

Chciała, żebym ocaliła całą społeczność, podczas gdy ja nie potrafiłam nawet ocalić Tirasa. Nie wahałam się jednak ze złożeniem obietnicy.

Zrobię co w mej mocy, żeby tak się stało.

Tylko tyle mogłam zrobić i ona chyba to rozumiała, bo skinęła głową i przestała wstrzymywać oddech.

— Co dolega królowi?

Znowu się zawahałam. Nie chciałam ujawniać czegoś, czego nie dało się cofnąć. Nie chciałam wystawiać na niebezpieczeństwo ani Tirasa, ani młodej Uzdrawicielki, przekazując jej wiedzę, której nie powinna mieć.

Król jest... jak my.

Potrząsnęła głową z dezorientacją.

— Nie rozumiem.

Jest Obdarzony.

Z niedowierzaniem otwarła szerzej oczy i potrząsnęła głową.

— Syn króla Zolteva jest Obdarzony? — Nie mogła się nadziwić. W końcu zaśmiała się głośno, lecz w jej śmiechu było więcej żalu niż radości. — Bogowie są sprawiedliwi — wyszeptała, a jej oczy zapłonęły. — Niech zmarły król smaży się w piekle.

— Zmarły król był moim ojcem. Lepiej o tym pamiętaj — powiedział Kjell, obnażając zęby.

Uzdrawicielka skierowała na niego swoje stalowe oczy.

— Jakoś mnie to nie dziwi.

Król Tiras nie jest taki jak jego ojciec, rzuciłam rozpaczliwie.

— Nie? Nie byłabym tego taka pewna. — Uzdrowicielka nie odrywała wzroku od Kjella, sugerując, że to jego zachowanie wzbudziło w niej wątpliwości co do szlachetności jego przyrodniego brata.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc wyznałam prawdę.

Tracimy go na rzecz zmiany.

— Bycie Obdarzonym nie jest chorobą — stwierdziła, przechylając głowę w moją stronę. To samo powiedziałam Tirasowi. *Nie mogę wyleczyć tego, co nie jest zepsute.*

Proszę cię tylko o to, byś spróbowała, odparłam błagalnie, a ona spojrzała na mnie ze zwątpieniem.

— Zrobię co w mej mocy, Wasza Wysokość.



Uzdrowicielka miała na imię Shenna i tak jak obiecała, wróciła do miasta Jeru z Kjellem cztery dni później. Tiras także wrócił, ale miał inne oczy. Zawsze były tak ciemne, że wręcz czarne, a teraz miały ciepłe, bursztynowe obwódki wokół źrenic. Jak u orła.

— Tak samo było z włosami. Zmieniłem się, ale włosy się nie zmieniły. Poprzedniego dnia miałem czarne, a tu dzień później stały się białe jak śnieg. Jak orle pióra. Wkrótce będę miał szpony zamiast palców nóg i skrzydła zamiast rąk — stwierdził kąśliwym tonem, ale w jego złotych oczach pobłyskiwała obawa.

Gdy uzdrowicielka spytała, czy może go dotknąć, pozwolił jej. Wzrok miał wbity we mnie. Nie chciałam, żeby go dotykała, wiedział o tym.

— Uparta kobieta — westchnął, a klatka otaczająca moje serce zacisnęła się tak mocno, że nie mogłam złapać tchu. Uzdrowicielka przeciągnęła dłońmi w dół po jego ramionach i

po jego oczach. Miała spokojną twarz i zamknięte oczy. Nuciała niski łagodny dźwięk, cały czas ten sam, jak lutnia z jedną struną, nieprzestającą wibrować.

— Dlaczego ona to robi? — szepnął Kjell. Shenna gwałtownie otworzyła oczy, ale jeszcze przez kilka sekund nuciła i przesuwała dłonie.

— To dźwięk jego ciała, nuta, którą śpiewa — odparła w końcu i chociaż przestała nucić, nadal słyszałam ten dźwięk, zakorzeniony w jej głowie jak dominujące słowo. — To częstotliwość, w której jego ciało samo się uzdrawia. Ja po prostu śpiewam razem z nim, wzmacniając tę zdolność.

Wyciągnęłam dłoń. Tiras ją wziął, a ja zamknęłam oczy i nasycalam nutę uzdrowicielki swoimi słowami, mówiącymi o tym, żeby wyzdrowiał.

— Nie jestem w stanie go wyleczyć — stwierdziła ostatecznie Shenna. Tiras zastygł bez ruchu, Kjell przemierzał nerwowo pokój, a ja pogrążyłam się w rozpacz.

Dlaczego? Mój głos był jak jęk, aż Tiras się skrzywił.

— Bo on nie jest chory — wyjaśniła. — Jego ciało wibruje zdrowiem, witalnością... i siłą.

— Ale zmienia się w coś innego. I to dzieje się coraz częściej — argumentował Kjell, maskując strach pod fasadą gniewu.

Shenna znowu potrząsnęła głową.

— Znam wielu Zmieniaczy. To nigdy tak nie wygląda. Zawsze mają wybór.

— Znasz wielu? — spytał Tiras, podniósłszy dziwnie złote oczy na uzdrowicielkę.

— Znam wielu — potwierdziła cicho, ufając mu. Ufając nam.

— Przyrowadź ich do mnie — nakazał Tiras, a Shenna spojrzała na mnie, błagając o wsparcie.

Mogłam jedynie oddać jej bezradne spojrzenie. Nie miałam pojęcia, co zamierzał.

— Nie — odparła, potrząsając głową. — Oni nigdy tu nie przyjdą.

— To zabierz mnie do nich — stwierdził. — A ja pokażę im, że jestem jednym z nich.

— Dlaczego? — wtrącił się Kjell. — Dlaczego miałbyś to robić, Tirasie? Dlaczego miałbyś się w taki sposób ujawniać?

— Będziecie potrzebowali sojuszników, gdy już mnie nie będzie — odpowiedział, tym razem nie patrząc mi w oczy.

W moim ciele narastał opór, zaprzeczając, zaprzeczając, zaprzeczając.

25



Następnego dnia o świcie opuściliśmy miasto w podobnych przebraniach jak ostatnio. Wyglądaliśmy jak wieśniacy lub rzemieślnicy, zawołowani i milczący, noszący kosze i unikający kontaktu wzrokowego. Szliśmy do Nivei, do chaty uzdrowicielki Shenny, która do mężczyzn podchodziła z rezerwą, lecz do mnie wyciągnęła dłonie i okazała mi trochę ciepła, jakby mój dar i moja niepełnosprawność dodawały jej otuchy. Najwyraźniej bezbronność sprzyjała zaufaniu.

— Przekazałam to starszyźnie, a oni rozpowszechnili wieść wśród Obdarzonych. Każdy na własną rękę zdecyduje, czy się ujawni, czy pozostanie w ukryciu. Jeśli się dzisiaj nie zjawią, musimy uszanować ich wybór. Ja ich wam nie ujawnię — wyjaśniła stanowczo. Jej rodzice byli w chacie wraz z jej pradziadkiem, Sorkinem, który był tak stary, że gdyby stanął obok klifów w Corvyn, zlałby się z pooranymi szarymi skałami. Ale w Nivei skały były czarne i błyszczące, jak oczy Tirasa, nim zabrała je zmiana.

Sorkin także był uzdrowicielem. Żył za rządów pradziadka Tirasa, jeszcze bardziej znienawidzonego i budzącego jeszcze większy strach króla niż Zoltev. Obserwował nas bacznie, emanując zarówno ostrożnością, jak i nadzieją. Gdy Tiras mu się pokłonił, jego twarz nieco się rozluźniła. Nie pytając o pozwolenie, wyciągnął dłonie, ujął w nie twarz króla i zaczął nucić, dokładnie tak, jak dzień wcześniej Shenna. Po jakimś

czasie przestał i opuścił dłonie, ale dźwięk nadal wibrował w chacie.

— Nie ma w tobie choroby, panie — wyszeptał, marszcząc brwi nieufnie.

— Nie mam też zbyt dużo... czasu — odparł Tiras. Sorkin przyglądał mu się bacznie, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając tym słowom.

W końcu odstąpił od króla i ujął w dłonie także moją twarz.

— Nosisz w sobie życie, moja królowo. — Zerknął na Tirasa.
— Słyszę bicie dwóch serc.

Westchnęłam cicho. Spodziewałam się tego, ale nie dzieliłam się z nikim swoimi podejrzeniami. Chciałam poczekać jeszcze trochę, żeby mieć pewność. Teraz ją miałam.

— Jest bardzo wcześnie i życie jest bardzo młode. Ale będziesz miała dziecko — oznajmił z przekonaniem.

Odwróciłam się do Tirasa, który wziął mnie za rękę i pocałował w dłoń w miejscu złączonym krwią przez przeora kilka miesięcy temu. Drgająca na jego ustach radość zakorzeniła się w moich piersiach. Jego zadowolenie nie umknęło uwadze Shenny i starego uzdrowiciela. Ich spojrzenia złągodniały i niemal zupełnie się rozluźnili.

— Dzięki Bogom — wyszeptał Tiras, jakby udało się pokonać kolejny most, wygrać kolejną bitwę, a w korzeniach radości w moim sercu pojawiły się małe ciernie.

— Dzięki Bogom — powtórzył Uzdrowiciel. — A teraz zacznijmy.

Z pomieszczenia z tyłu zawołano kobietę o imieniu Gwyn, która była tak wiekowa i znajoma, że nie mogłam oderwać od niej wzroku. Była to kobieta sprzed katedry, która namaściła mi stopy i kazała czekać. Ukłoniła mi się ostrożnie, a jej uśmiech podniósł mnie na duchu.

— Ostatnim razem, gdy się widziałyśmy, nie byłaś jeszcze królową.

Dygnęłam głęboko, ciesząc się z ponownego spotkania.

— Znowu się widzimy, a ty nie jesteś jeszcze matką, ale to też wkrótce osiągniesz. — Przeniosła wzrok na Tirasa i skinęła z szacunkiem srebrną głowę. — Wasza Wysokość, w czym możemy wam pomóc? — skierowała się do niego, chociaż podejrzewałam, że wie.

— Jaki jest twój dar, matko Gwyn? — spytał Tiras, wypowiadając jej imię z wyraźnym szacunkiem.

— Widzę rzeczy, których inni nie widzą. Wiem rzeczy, których inni nie wiedzą. I potrafię rozpoznać Obdarzonych, Wasza Wysokość — odparła wprost.

Jesteś widzącą? Byłam naprawdę zaskoczona.

Uśmiechnęła się do mnie, jakby mój głos brzmiał przyjemnie w jej głowie.

— Moje uszy nie są już tak wyczułone jak kiedyś, ale doskonale cię słyszę.

Skłoniłam się ponownie.

Dobrze być słyszany.

— Jestem Powiadaczką tak jak ty, moja królowo — dodała Gwyn, odpowiadając na moje wcześniejsze pytanie. — Ale nie potrafię zmienić tego, co widzę. Nie potrafię rozkazywać wiatrom i wodom. Ale wiem, kiedy nadciąga burza.

— Jaki jest dar króla, matko Gwyn? — Sorkin delikatnie nakierował ją na najważniejszą kwestię. Chciał wiedzieć, czy Tiras ma szczerą intencję.

Przyjrzała się badawczo Tirasowi z przechyloną głową, zwracając uwagę na jego złotawe oczy i jasne włosy.

— Jego dar jest dziwny — wyznała w zadumie.

— Czyż wszystkie takie nie są? — rzucił kąśliwie Kjell.

Staruszka uśmiechnęła się tylko i skinęła głową w stronę kapitana gwardzistów królewskich.

— Owszem, dobry człowieku. — Skierowała głowę z powrotem w stronę Tirasa. — Ale ty, panie, nie masz zwykłego daru zmiany. — Tiras uniósł brwi i spojrzał na mnie. — Twoim darem jest wola — wyjaśniła. Z tym mogłam się zgodzić. — Ludzie cię słuchają — dodała. — Spełniają twoje żądania. Nawet twój brat, który nie chyli czoła przed nikim, padłby przed tobą na twarz, gdybyś mu kazał.

Kjell prychnął szyderczo, ale wyciągnął rękę dłonią do przodu, jakby chciał utrzymać staruszkę na dystans. Zamknęła na moment oczy i niemal powąchała powietrze, przypominając w tym Boojohniego. Potem otwarła oczy i obdarzyła Kjella cierpliwym spojrzeniem.

— Dar uzdrawiania jest najłatwiejszy do odrzucenia, szczególnie wśród osób, które dobrze się czują na wojnie i są podejrzliwe wobec miłości. W tobie jest moc, młody człowieku — wyjaśniła łagodnie i zostawiła Kjella, pozwalając nam domyślać się znaczenia swoich słów.

Przez całe popołudnie Obdarzeni schodzili się w małych grupkach, jakby ów pochód był starannie kontrolowany. Nie wiedzieliśmy, skąd przychodzą. Nie pytaliśmy. Żaden z darów nie był dokładną repliką innego. Każdy był inny i wyjątkowy.

Był to istotnie zdumiewający pokaz.

Zmieniacze i Prządki najchętniej dzielili się swoim darem. Uzdrawianie trudniej zademonstrować, a Powiadaczy nie sposób zweryfikować. Przyszłość jeszcze się nie wydarzyła, a żaden z nich nie umiał używać słów w sposób, w jaki ja potrafiłam.

Mężczyzna, który był tak wielki, że musiał się pochylić, by wejść do środka, uprzędlł chleb z kamieni i nakarmił nas

wszystkich. Dziecko kilkoma strzepnięciami nadgarstków uprzedło węgiel z bawełny. Z kolei pewna kobieta uprzedła sznur z miecza Kjella, a potem węża ze sznura. Odskoczyłam przestraszona.

— On nie jest prawdziwy — zaśmiała się Prządka.

Patrzyłam, jak zwija się w kłębek, i uniosłam pytająco brwi. Dla mnie wyglądał jak żywy.

— Potrafię przekształcać jeden przedmiot w inny. Ale nie potrafię stworzyć życia tam, gdzie go nie ma. Ten wąż tylko sprawia wrażenie żywego.

— Co przez to rozumiesz?

— Niektórzy twierdzą, że Volgary zostały stworzone przez samotnego Prządka, który próbował zmienić sępy w ludzi. Ale to niemożliwe. Volgary mogą mieć ludzkie członki, ale nie mają ludzkich serc. Nie mają dusz ani świadomości. Nie umieją wnioskować i kochać. Dla nich nie istnieje cnota. Tylko instynkt. Stały się po prostu innego rodzaju zwierzętami.

— Ale sępy są żywymi stworzeniami... w przeciwieństwie do sznura — wtrącił się Kjell.

Sorkin podniósł węża i bezceremonialnie oderwał mu głowę. W miejscu, w którym przed chwilą była, z pokrytego łuskami ciała węża wystawały postrzępione nitki sznura.

— On nie potrafi zaatakować. Nie je. Nie śpi. Nie ma instynktów ani narządów wewnętrznych węża. To sznur, który ożywiono dotykem. Człowiek może stać się zwierzęciem. Ale zwierzę nie może stać się człowiekiem.

W pokoju zapadła cisza, a Tiras zwrócił swoje orle oczy na mnie.

— Co czyni z człowieka zwierzę? — spytał cicho Sorkina, nie odrywając wzroku ode mnie.

— Jego decyzje.

— A nie jego dar? — spytał gorzkim tonem Kjell.

— Nie jego dar — odparł Sorkin. — Prawdziwą miarą jest to, co człowiek robi ze swoim darem.

Kjell nie miał na to odpowiedzi i pokaz został wznowiony. Lu, dziewczynka o zielonych oczach i atramentowo czarnych włosach, zmieniła się w kotka, który czmychnął między moje stopy. Troll z długą, czerwoną brodą zmienił się w kozła, który bez przerwy beczał i gryzł wszystko w zasięgu łba. Chłopczyk imieniem Hazael zmienił się w konia o źrebięcych nogach i bujnej grzywie, a matka trójki dzieci potrafiła zmieniać się w dowolne zwierzę i przekształcała się kolejno w każde, jakiego zażądał król.

Wszyscy mnie słyszeli — Prządki, Zmieniacze, Uzdrowiciele i Gwyn, jedyna Powiadaczka w pomieszczeniu.

Po każdej osobie, która podzieliła się swoim darem, ja dzieliłam się swoim. Konstruowałam rymowane zaklęcia, po których naczynia same się myły, skarpeta rozdzierała się na palcu, rozpalał się ogień, a żółw latał. Zgromadzeni klaskali w dłonie w zdumieniu i błagali o więcej. Przystawałam na to z nadzieją, że to wystarczy, by uśmierzyć lęk i zbudować zaufanie. Ale Sorkin nie dał się odwieść od swojego celu. Pod koniec dnia wyraził swoje żądanie wobec króla.

— Pokazaliśmy wam nasze umiejętności. Teraz chcemy zobaczyć twoją — powiedział łagodnym, lecz stanowczym głosem.

Nie chcę, żeby się zmieniła, zaprotestowałam podniesionym głosem, żeby wszyscy zgromadzeni mnie usłyszeli, a Obdarzeni spojrzeli na mnie z zaskoczeniem.

Za każdym razem, gdy się zmienia, trudniej mi wrócić, wyjaśniłam, a w powietrzu niczym kurz wzbiły się zaskoczone szepty i niewypowiedziane pytania. Machnęłam na nie, odrzucając je i pragnąc, by zniknęły.

— Lark — szepnął Tiras i nawet nie patrząc na niego, wiedziałam, że moje protesty są daremne. — Dałem słowo — dodał.

— Może gdy się zmieni, ja i Sorkin lepiej zrozumiemy przyczynę bólu — stwierdziła Shenna, wyciągając dłoń do króla. Sorkin także się przysunął, a Tiras pochylił głowę, jakby przygotowywał się do błogosławieństwa, a nie do przekształcenia. Sorkin i Shenna zaczęli razem nucić, ale ciało Tirasa nie emitowało już łagodnej, niskiej wibracji, lecz wysoki dźwięk. Uzdrowiciele próbowali go odtworzyć, dociągając do odpowiedniej wysokości. Shenna potrząsnęła bezradnie głową, mimo że starała się dopasować do nuty i ją wzmocnić.

Wtem Tiras wrzasnął, odrzucił głowę i zawył, jakby wrywano mu serce z piersi, a on próbował z tym walczyć, lecz przegrywał. Rozpadł się i stał czymś innym, co wyglądało, jakby miliony cząsteczek kurzu wybuchły, a potem ponownie złączyły w inny sposób. Białe włosy przylgnęły do głowy i szyi. Przekształciły się w jedwabiste pióra, które przykryły znikającą twarz. Pojawiły się skrzydła, a ciało stopniowo rozpułnęło się w powietrzu.

Było to jednocześnie wspaniałe i okropne, triumfalne i tragiczne. Stłumiłam łzy i chęć rzucenia się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał, żeby spróbować stać się tym samym, co on.

Shenna i stary Uzdrowiciel odsunęli się, jakby też nigdy wcześniej czegoś takiego nie widzieli, a Kjell otworzył drzwi chaty.

W przeciwieństwie do pozostałych Zmieniaczy — kotka, konia, kozła i matki, która przekształcała się we wszystko, co chciała — mój królewski orzeł wzniósł się na modre niebo i już nie wrócił.



Zgubiony.

Słowo orła sprawiło mi ból.

Nie. Nie jesteś zgubiony. Ja wiem, kim jesteś, upierałam się, gładząc pióra na jego piersi.

Lark.

Moje imię wypłynęło od niego, a ja poczułam, że przekazuje mi to samo. Nadal wiedział, kim jestem. Pod pokrywą piór wciąż był Tirasem, co było chyba jeszcze gorsze.



— Król cię wzywa, milady — obwieściła Pia, wpadłszy do mojej komnaty tydzień później wczesnym popołudniem. Zamarłam w połowie ruchu, a książka, którą trzymałam, wysliznęła mi się z rąk. — Prosił, żebyś była obecna na spotkaniu z jego doradcami.

Wrócił? Pia oczywiście mnie nie usłyszała. Krzątała się po komnacie, jakby zniknięcia i powroty króla nie stanowiły żadnego problemu. Wątpiłam, że w ogóle zauważyła jego nieobecność.

Pospiesznie doprowadziłam się do ładu, wypadłam na korytarz i głównymi schodami pobiegłam do mojego ulubionego pomieszczenia w całym zamku. Ale byli tam też inni, więc gdy się zbliżałam, zwolniłam nieco, żeby się opanować. Słyszałam rozmowy i ze zniecierpliwienia poczułam motylki w brzuchu.

Tiras siedział w bibliotece ze zmarszczonymi brwiami, studiując protokoły i księgi, a przed nim siedzieli Kjell i dwóch innych gwardzistów. Przywitał mnie, gdy weszłam do środka, ale nie podniósł wzroku. Kjell i gwardziści wstali i skłonili głowy, po czym także przestali zwracać na mnie uwagę. Usiadłam tam, gdzie zwykle, i z piórem w garści robiłam

prymitywne notatki — kompletnie niewystarczające i dziecinne — jakbym cokolwiek z tego rozumiała. Tiras miał na sobie rękawice jeździeckie i buty nad kolana, jakby przyszedł prosto ze stajni i bez zwłoki zabrał się do pracy. Nikt tego nie komentował. Jego obecność zdominowała przestrzeń i wymagała uwagi, a jego wzrost i szerokość sprawiały, że pomieszczenie zdawało się mniejsze, a dzień znacznie dłuższy.

Przez kilka godzin zajmowaliśmy się sprawami królestwa, a strumień osób wchodzących i wychodzących z biblioteki uniemożliwiał prywatne konwersacje. Od czasu do czasu udawało mi się przesłać Tirasowi żartobliwe słowo lub myśl, które jak jaskrawe motyle miały przykuć jego uwagę. Nie zauważał ich, ale niekiedy jego usta się unosiły i przewracał oczami, dzięki czemu wiedziałam, że osiągnęłam swój cel.

Okazywałam cierpliwość, gdy zasięgał rady, wysłuchiwał najnowszych wieści i pracował z zapalem człowieka, któremu kończy się czas. Gdy jedno ze spotkań zbliżało się do końca, nawiązał do inspekcji z poprzedniego dnia, polegającej na odwiedzeniu skarbcza i jeruviańskich kopalni. Wyprostowałam się i słuchałam, ale w głowie miałam coraz większy mętlik.

Kiedy wrócisz? Rzuciłam pytanie, nie bacząc na to, że właśnie mówił.

Nie odpowiedział od razu, a ja okiełznałam słowa, żeby mógł dokończyć instruowanie zarządcy kopalni. On jednak rozpoczął zupełnie nowy temat, więc przerwałam mu znowu.

Tiras?

Złote oczy spojrzały na mnie na ułamek sekundy, po czym wróciły, jakby wykonywana przez niego praca wymagała całej jego uwagi.

Kiedy wrócisz?

— Wróciłem trzy dni temu — wyjaśnił, mimo że obecni nie słyszeli mojego pytania. — Odwiedzałem strażnice i

dokonywałem inspekcji. To trzeba było zrobić.

Trzy dni?

Twarz i klatka piersiowa paliły mnie, jakbym właśnie kilkakrotnie została spoliczkowana.

Od trzech dni był Tirasem. Nie ptakiem Tirasem, lecz człowiekiem. Normalnym. Obecny. A ja o tym nie wiedziałam.

— Jest tak wiele do zrobienia — powiedział beznamiętnie, ale zmarszczył ostrzegawczo brwi, jakby bał się, że zaczęte zaklęciami wyciągać księgi z półek i rzucać nimi w jego głowę. Doradcy królewscy chrząknęli. Prawdopodobnie nagle dotarło do nich, że szykuje się swego rodzaju cicha rozprawa.

Przełknęłam ślinę, tłumiąc słowa w piersi, żeby nie zalały mi głowy i nie przekształciły się we wściekłe zaklęcia, ale one wyslizgiwały się i wyskakiwały. Wstałam więc, bo nie wierzyłam, że uda mi się je powstrzymać.

Królewscy doradcy także gwałtownie wstali, zrzucając na ziemię pergaminy i zwoje. Pożegnałam ich sztywnym kiwnięciem głowy i pospiesznie ruszyłam w stronę drzwi.

— Lark — zawołał za mną Tiras. Zignorowałam go.

26



Okryłam się płaszczem i ruszyłam równym krokiem drogą na wzgórze, która prowadziła do katedry, a potem dalej, do chroniących miasto Jeru klifów. Nie chciałam czekać na eskortę. Nie byłam już zakładniczką. Częściowo ukrywał mnie spory kaptur, a gdy ktoś mnie zauważał, trzymał się z dala. Wbijałam wzrok w ziemię przez całą drogę do górującej nad kościołem dzwonnicy. Tam zatrzymałam się, żeby złapać oddech, spojrzeć na nią i poczekać na dzwony obwieszczające pełną godzinę i sygnalizujące, że wszystko jest w porządku.

Słońce powoli kryło się za horyzontem, gdy ruszyłam dalej. Rześkie i chłodne powietrze kłuło w policzki i drapało w gardło. Zauważyłam, że w trakcie energicznego marszu brzuch napiął się, jakby wciągał dziecko do mojego wnętrza i chronił przed fizycznym wysiłkiem, jaki wykonywałam. Nie było to nieprzyjemne ani bolesne. Ale zwróciło moją uwagę. Przypomniało mi o rozwijającym się we mnie życiu, wciąż jeszcze w bardzo wczesnym stadium. Tiras tak samo działał na moje serce. Napinało się za każdym razem, gdy zniknął, żebym pamiętała, myślała o nim i czekała na niego.

Czekaj na niego, powiedziała stara Powiadaczka. Jej słowa okazały się prorocze. Przez cały czas czekałam.

Poczułam Shindoha, usłyszałam jego ekscytację i chciwą radość z tego, że ma swojego pana na grzbiecie i świeże

powietrze w płucach. Poznałam nawet moment, w którym mnie wyczuł i przyspieszył kroku, ale nie odwróciłam się, żeby go przywitać.

— Lark — zawołał Tiras, a słowa, którymi emanował, znacznie różniły się od słów jego wiernego wierzchowca. Dominowała wśród nich fraza *uparta kobieta*. Zatrzymałam się, odwróciłam do niego i nie czekając, aż się ze mną zrówna, odpowiedziałam na jego niespecjalnie ukrywaną opinię.

Może i jestem upartą kobietą, ale za to ty jesteś nieczułym dupkiem.

— A ty jesteś królową. I musisz myśleć jak królowa. I tak się zachowywać. Musisz wykonywać swoje obowiązki nawet wtedy, gdy jesteś na mnie zła.

Wybrałeś mnie, pamiętasz? Mnie. Lark z Corvyn. Nie jestem Zmieniaczem. Nie potrafię przekształcić się w królową.

Zazgrzytał zębami.

— A gdzie masz ochronę? Musisz mieć ochronę, gdy wychodzisz z zamku!

Nie potrzebuję ochrony. Jesteś jak mój ojciec. Nie będę więźniem.

— Musisz też przestać się włóczyć po nocach, Lark. To nie jest bezpieczne. Szczególnie jeśli mnie tu nie ma.

Odwróciłam się i ruszyłam dalej, sfrustrowana jego władczością. Warknął, spiął konia i podjechał do mnie, żeby poderwać mnie z ziemi jedną ręką i posadzić przed sobą, dokładnie tak samo jak wieki temu.

Przyłożył rozpostartą dłoń do mojego podbrzusza, żeby poczuć zaokrąglenie. Odrzuciłam głowę i spadł mi kaptur, a Tiras odnalazł ustami moje ucho, jakby nie mógł się zdecydować, czy popieścić moją szyję, czy mnie złajać. Zrobił i jedno, i drugie. Przeciągnął szorstkim policzkiem wzdłuż mojej

szczęki i po gardle, po czym oznajmił:

— Nie jesteś niewidzialna. Wiem, że uważasz, że jesteś. Ale ktoś może zrobić ci krzywdę. — Jego głos był cichy, lecz ostry.
— Dlaczego to robisz?

Co? Wściekam się, gdy wracasz i mnie unikasz?

Zamarł bez ruchu w zamyśleniu, a ja czekałam na odpowiedź.

— Nie — wyszeptał w końcu z wyraźnym poczuciem winy. Patrzyłam ślepo przed siebie i starałam się nie mrugnąć, żeby nie sprowokować wściekłych łez. — Nie, nie to. Dlaczego chodzisz w nocy po lesie, i to sama? Widzę cię, gdy jestem orłem. Obserwuję cię. I boję się o ciebie. — Jego głos nagle stał się tak łagodny, że mój opór skruszył się jak suche liście pod kopytami Shindoha.

Wiem, że mnie obserwujesz. Dlatego to robię. Szukam ciebie.

Przycisnął mnie do siebie mocniej, a jego usta ponownie znalazły moje ucho. Tym razem się nie odezwał, a jego tęsknota pokryła nas oboje, przesłaniając nam wszystko inne.

Poprosiłeś, żebym dopuściła cię do swojego wnętrza, Tirasie. Błagałeś mnie. I tak zrobiłam. Otwarłam szeroko swoje wrota. Ale ty... ty zostałeś na zewnątrz.

Zaklął, dłonią w rękawiczce chwycił mnie za szczękę i odwrócił do siebie, żebym spojrzała mu w oczy.

— Nie rozumiesz? Zrobiłbym wszystko, żeby z tobą zostać. Ale przestaję być sobą!

Potrząsałam głową, wyrywając się z jego dłoni.

Nie.

Niezdecydowanie przez chwilę ścierało się z tęsknotą. Nagle odepchnął i jedno, i drugie, po czym szybkim ruchem ściągnął zębami grubą rękawiczkę z lewej dłoni, ujawniając to, co się w

niej kryło. Wciąż miał ludzką rękę, ale palce zwęzły się na końcach i były zwieńczone szponami. Serce podeszło mi do gardła niczym uwięzione zwierzę i nie mogłam nic wykrztusić, tylko patrzyłam jak urzeczona.

— Nawet nie mogę cię już dotknąć bez rękawiczki, Lark — jęknął. — Bo zrobiłbym ci krzywdę.

Bez słowa dotknęłam szponów, które wystawały z palców. Były tubalne, ostre i dwukrotnie dłuższe niż jego naturalne paznokcie. Zacisnął dłoń, jakby chciał je oderwać, ale tego nie zrobił.

Podniosłam jego dłoń do ust i delikatnie pocałowałam. Potem przesunęłam ją na bok i przytknęłam do policzka, rozkoszując się jego dotykiem.

— Przystaję być sobą. Kawałek po kawałku — szepnął. — A ty musisz pozwolić mi odejść. Jeru potrzebuje królowej. Silnej, mądrej i potężnej.

Ja taka nie jestem.

— Oczywiście, że jesteś. Wiedziałem to w chwili, gdy cię zobaczyłem.

Nie! Wcale nie. Mam potężną moc, ale nie potrafię cię ocalić.

Lód, za którym się kryłam i który dawał mi siłę, zaczął kropla po kropli spływać po mojej twarzy. Tiras przytknął policzek do mojego policzka, przycisnął moją głowę do swojego ramienia i mocno przytulił.

Wybrałeś mnie, bo jestem przydatna. Ale ja wybrałam ciebie, bo cię pragnęłam. Jedyne, czego pragnęłam, to żebyś też mnie pokochał.

Zamarł, a gdy oderwał się ode mnie i na mnie spojrzał, miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Z błyszczącymi w zmierzchu oczami potrząsnął głową, odrzucając moje słowa.

Poduszką kciuka musnął nieznacznie mój policzek, natychmiast jednak zabrał dłoń i zamknął w niej szpony. Bez słowa włożył rękawiczkę i popędził Shindoha, jakby słowa go zawiodły. Oboje nas zawiodły.

— Muszę pokazać ci coś na szczycie. — Wskazał na zwężającą się drogę przed nami, która prowadziła do sterczących klifów i płytkich jaskiń rozciągających się na wschodniej granicy Degn. Od tej strony nie trzeba było budować żadnych murów. Miasto Jeru było ulokowane u podstaw wzgórz, na rozległej dolinie, która za zachodnim murem opadała do poziomu morza, z osadą Nivea mieszczącą się na peryferiach.

Spojrzałam na klify i stromość ścieżki.

Wkrótce zapadnie zmrok.

— Nie opuszczę cię... jeszcze. A Shindoh zna drogę.

Faktycznie znał. Wspinał się w równomiernym tempie, jakby nie zauważał naszego ciężaru na grzbiecie. Po kwadransie Tiras odbił od ścieżki w stronę punktu widokowego. Miasto rozciągało się pod nami w przytłumionych ciemnościach barwach, a resztki zimowego słońca zmiękczały krawędzie i brzegi. Zamek górował nad całością ze swoimi lśniącymi wieżami i zielonymi flagami, które odzwierciedlały barwę wiecznie zielonych drzew, wyrastających wzdłuż murów jak wierni strażnicy.

Tiras zsunął się z Shindoha, ściągając mnie ze sobą. Przywiązał konia do pobliskiego drzewa i znalazł miejsce do siedzenia wśród skał wychodzących w stronę widoku.

— To było ulubione miejsce mojego ojca — wyznał cicho, gdy wpatrywaliśmy się w pobłyskujące miasto pod nami.

Zesztywniałam. Nie miałam ochoty rozmawiać o królu Zoltevie. Tiras musnął mnie wierzchem dłoni po klatce piersiowej, jakby chciał uspokoić moje serce i przeprosić za

przywołanie wspomnienia swojego ojca. Ale ciągnął dalej.

— Siadał tu, patrzył na swoje miasto i zarzekał się, że nikt mu go nigdy nie odbierze. Tego najbardziej się bał. Każdy był dla niego zagrożeniem.

Więc usunął wszystkich z jakąkolwiek mocą, która mogła przewyższyć jego moc.

— Tak — szepnął Tiras. — Tak zrobił.

Ty też boisz się stracić Jeru. Moje słowa były ostrzejsze, niż zamierzałam.

— Ale nie z powodów, o których myślisz — odparł cicho, nie obrażając się. — Nie boję się, że ktoś odbierze mi Jeru. Boję się, że nie uda mi się go ochronić.

Przez chwilę oboje milczeliśmy, obserwując jak wydłużające się cienie powoli zlewają się w ciemność i dzień dobiega końca. W zamku zapalono świeczniki, a migoczące w oknach i na wieżach światła sprawiały, że całe miasto emanowało blaskiem.

— Wiesz, jak on zginął, Lark? — spytał Tiras.

Uświadomiłam sobie, że nie wiem. Król Zoltev zabił moją matkę, a trzy lata później sam przestał istnieć. Miałam wtedy tylko osiem lat, ale Boojohni wziął moją dłoń w swoje i powiedział, że król umarł i że więcej już mnie nie skrzywdzi. Dręczyły mnie koszmary z nim, jego mieczem i krwią mojej matki, a wieść o jego śmierci przyniosła ulgę całemu Corvyn.

Miałam zwyczaj chodzić do wieży matki, żeby poprzebywać z jej rzeczami. I wtedy po raz pierwszy od jej śmierci zrobiłam laleczki i próbowałam skłonić je do tańca, wspinania się i latania. Łudziłam się, że po śmierci króla moje słowa wrócą i nie będę musiała dłużej milczeć. Ale laleczki były równie nieruchome i pozbawione życia jak ciało mojej matki na bruku, a ja nadal nie umiałam mówić.

Nie. Nie wiem, jak zginął.

— Zabił się. Właśnie tutaj. Był tu z Kjellem i kilkoma gwardzistami. Powiedzieli, że po prostu... skoczył. Nigdy nie znaleźliśmy jego ciała.

Stracisz duszę i oddasz syna niebu.

Przez głowę przemknęły mi słowa matki i wiem, że Tiras je odebrał.

— Co oznacza, że stracił duszę? — szepnął. — Nie mogę pojąć, dlaczego się zabił, skoro nigdy nie miał wyrzutów sumienia ani poczucia winy. Wszystko, co zrobił, włącznie ze swoim samobójstwem, wzbudzało we mnie poczucie winy.

Dlaczego miałbyś być odpowiedzialny za jego śmierć?

— Sądziłem, że mój dar mógł go do tego skłonić. — Zerknął na mnie i dodał, nie odrywając ode mnie wzroku: — Przez ostatnie piętnaście lat starałem się być kimś, kim on nigdy nie był. Dobrym królem. Sprawiedliwym władcą. Honorowym człowiekiem.

Taki właśnie jesteś.

Tiras potrząsnął głową przecząco. Nadal patrzył mi prosto w oczy.

— Jestem bardziej podobny do ojca, niż sądziłem. Skrzywdziłem cię i ja też cię skrzywdziłem. Zabrałem cię z domu. Wykorzystałem twoje dary. Odebrałem ci wolną wolę i wziąłem twoje ciało. W zamian obarczyłem cię obawami, strachem i odpowiedzialnością. Brałem. Bez końca. A ty dawałaś, też bez końca. Chciałem tylko ocalić swój kraj. Mówiłem sobie, że robię to dla Jeru. To samo powtarzał mój ojciec za każdym razem, gdy zrobił coś okropnego.

Gardło miałam coraz bardziej zapchane smakiem odrzucenia. Stałam na równe nogi i odsunęłam się od Tirasa i od krawędzi skalnej. Musiałam się jakoś przygotować na to,

do czego najwyraźniej zmierzał. Ale on podążył za mną.

— Nie miałaś obdarzać mnie miłością, Lark. Nie robiłem nic, żebyś mnie pokochała. Ja też nie miałem obdarzać cię miłością. Ale tak się stało. I to jest okropne.

Zachwiałam się i z zaskoczenia byłabym się przewróciła, gdyby Tiras nie stał tuż przy mnie. Złapał mnie i postawił z powrotem na nogach. Trzymał mnie za ramiona z pełną emocji twarzą i kłębiącą się wokół niego desperacją, która rozchodziła się czarnymi falami jak woda.

Zaczęłam się śmiać.

Był to bezgłośny i suchy śmiech, od którego bolały mnie płuca. Ale się śmiałam. Dokładnie wiedziałam, co Tiras ma na myśli. To *było* okropne. Śmiałam się, aż poczułam, że twarz mi się zmienia i przechodzi od radości do smutku, ale Tiras był nieugięty.

— W każdą sekundę jako ptak tęsknię za byciem człowiekiem. Dla ciebie. Dla siebie. Dla dziecka, które tak rozpaczliwie pragnąłem spłodzić. Nie dla Jeru. Dla nas. Mówisz, że wybrałem cię, bo jesteś dla mnie przydatna. I tak było. Ale wiem jedno, Lark. — Głos mu się załamał, gdy wypowiedział moje imię, ale nie przerwał. — Kochałem cię w każdej chwili każdego dnia i będę cię kochał, dopóki nie przestanę istnieć. Jako ptak, mężczyzna czy król — Kocham cię i *zawsze* będę cię kochał.



W ciszy naszej komnaty Tiras całował mnie zapalczywie, ale jego pieszczoty były ostrożne. Dotykał mnie wierzchami dłoni i podkulał palce, by mnie nie podrapać. Przyjmowałam go z zadowoleniem, czując toczącą się w nas walkę, potrzebę ponownego zespolenia i jednocześnie rozdzielenia się. Przyciągał mnie do siebie, mimo że próbował się ze mnie

oczyścić, a ja uczyłam się każdego kształtu, kończyny i ścięgna z lęku przed tym, że każda chwila może się okazać tą ostatnią. Spieszyliśmy się. Niespiesznie. Pędziliśmy w stronę finiszu, lecz cały czas zaczynaliśmy od nowa.

Tiras nie miał ochoty mnie wypuścić, ale gdy napiętność została zaspokojona, a nasze ciała wystygły, odwrócił się na drugi bok. Natychmiast zrobiłam to samo i przyciągnęłam go do siebie, chociaż powieki wagą dorównywały troskom ciężącym mi na sercu.

— Uparta kobieta. Śpij. — W jego zwyczajowym określeniu pobrzmiewała czułość. Uśmiechnęłam się, a jego usta na nowo odnalazły moje.

Nie mogłam spać. Nie byłam w stanie. Pragnęłam wycisnąć do ostatniej kropli każdą sekundę czasu, jaki mu pozostał. Całowałam jego usta i przytulałam go tak długo, aż zaczął drżeć. Spojrzał na mnie boleśnie, a jego ciało wygięło się w łuk. Powstrzymywał się dla mnie. Pragnęłam, by został, więc położyłam dłonie na jego torsie i przekazywałam mu przez skórę słowa i zaklęcia. Był jednak teraz częścią mnie, a nie potrafiłam wyleczyć samej siebie.

I nagle już go nie było. Wypadł z łóżka, zmienił się w ptaka jeszcze przed drzwiami balkonowymi, po czym wzniósł się w niebo i odleciał, jakby nigdy go przy mnie nie było.

27



Tiras nie wrócił przez najbliższy miesiąc. Nie zmienił się. Był orłem w dzień i w nocy. W niektóre noce odwiedzał mnie jako ptak i zostawiał mi drobne rzeczy. Różę, wspaniałe pióro, czarny, błyszczący kamień wielkości mojej pięści. Każdego ranka znajdowałam inny podarek, ale ani śladu Tirasa.

Potem w ogóle przestał przylatywać, chociaż wypatrywałam go wszędzie, dokąd się udawałam. Codziennie odwiedzałam sokolnika i przeczesywałam wzrokiem krokwie, udając zainteresowanie irytującymi się sokołami, które jeżyły się za każdym razem, gdy się zbliżałam. Hashim, sokolnik królewski, nie pytał o moje nagłe zainteresowanie jego ptakami i o częste odwiedziny, ale po kilku dniach przywitał mnie ostrożną sugestią.

— Król musiał ci powiedzieć o moim orlim przyjacielu — mruknął, nie odrywając wzroku od dzwonka, który przyczepiał do głowy sokoła.

Serce przestało mi bić, ale nawet nie mrugnęłam. Obserwowałam go ostrożnie, czekając na dalszy ciąg. Zerknął na mnie przelotnie, a jego spojrzenie było przyjazne.

— Już dawno go nie widziałem, moja królowo. Też go wypatruję. Jeśli się pojawi, nie omieszkam natychmiast cię poinformować. Bez obaw.

Mogłam tylko przytaknąć. Bałam się ujawnić zbyt wiele o sobie i królu. Przyszło mi do głowy, że być może Hashim od dawna zna sekret Tirasa.

Kjell był równie powściągliwy i milczący jak ja i chociaż nie można było powiedzieć, żebyśmy pałali do siebie sympatią, zawiązaliśmy swego rodzaju sojusz w desperackiej próbie ochrony króla i królestwa, co z każdym dniem było coraz trudniejszym zadaniem. Wymyśliliśmy plotkę o jego podróżach w celu uzyskania poparcia w prowincjach, ale gwardziści na pewno zastanawiali się, kto mu towarzyszył w tych oficjalnych wizytach.

Dwadzieścia osiem dni po zniknięciu króla przyleciał gołąb pocztowy z Firi. W okolicy pokazywało się coraz więcej Volgarów, a gniazda na wybrzeżu Morza Jyraeńskiego budziły powszechny niepokój. Lord Firi nie pytał o posiłki, ale wiadomość pogłębiła panującą na zamku morową atmosferę.

Czego oczekiwałby ode mnie Tiras w tej sytuacji? Mówiłam do Kjella, chodząc w tę i z powrotem po bibliotece. Chcę, żeby już wrócił.

— Może nadejść taki dzień, że on już nie wróci, Lark — powiedział cicho Kjell. — Musimy być na to gotowi.

On wróci. Zawsze wracał.

— Musisz zacząć podejmować decyzje bez niego — nalegał Kjell. — Do tego cię przecież przygotowywał.

Nie potrafię sama rządzić.

— Był przekonany, że potrafisz. — To była najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niego usłyszałam, a gdy podniósł na mnie swoje niebieskie oczy, zauważyłam w nich coś nowego. Niechętny szacunek, przebłysk przebaczenia... ale po raz pierwszy nie czułam ani pogardy, ani odrzucenia. — Musisz od czegoś zacząć. Już od miesiąca nie było przesłuchań. Ludzie się boją, rośnie przestępczość i kłótność. Lochy są

przepelnione, a gwardziści nie wiedzą, co robić z tymi, których uwięzili. Musisz zająć jego miejsce. Jesteś królową.

Pomożesz mi? Będziesz mówić za mnie?

Tym razem Kjell się wzdrygnął.

Jak mam ferować wyroki, skoro nie potrafię mówić?

Kjell jęknął i zacisnął pięści we włosach.

Czasem udawaliśmy z Tirasem, że szepczę mu do ucha. W ten sposób nie wygląda to tak dziwnie, gdy komunikujemy się na oczach innych.

Kjell wyglądał, jakby żałował naciskania na zorganizowanie przesłuchań, ale zgodził się. Wieść się rozeszła i następnego ranka wkroczyłam do sali tronowej w atmosferze zdumionych szeptów i zdezorientowanych domysłów. Usiadłam na tronie, a poinstruowani przez Kjella gwardziści zaczęli ustawiać kolejkę niezdecydowanych petentów, którzy sprawiali wrażenie równie zwątpiałych jak ja.

I tak rozpoczął się dzień przesłuchań.

Ludzie podchodzili jeden po drugim, szybko przedstawiali swoją sprawę, a ja wydawałam osąd. Tak jak wcześniej z Tirasem, bardziej skupiałam się na tym, czego nie mówili, bo panicznie się bałam, że podejmę niewłaściwą decyzję. Kjell się nachylał, a ja zasłaniałam dłonią usta, żeby udawać szept i nie poruszając ustami, przekazywałam mu swój werdykt. Powtarzał go na głos i przechodziliśmy do następnej sprawy. Nie kwestionował mnie ani nie unosił z pogardą brwi.

Wraz z postępem dnia nabierałam coraz większej pewności, polegając niemal wyłącznie na umiejętności słyszenia tego, czego inni nie słyszeli. Gdy nie miałam pewności, pytałam Kjella, a on dzielił się swoją opinią. Takie przypadki zdarzały się jednak coraz rzadziej i rzadziej.

Pod koniec dnia przyszedł mężczyzna, który rzucił na podium

spora torbę.

— Wyjaw królowej swój problem — nakazał zniecierpliwiony Kjell.

— Złapałem Zmieniacza — wyjaśnił mężczyzna z ekscytacją.
— Poluję na nich... dla dobra Jeru, rzecz jasna.

— Pokaż — odparł Kjell w identyczny sposób jak Tiras, a w jego głosie pobrzmiwała ta sama obawa, która ścisnęła mi serce.

Mężczyzna otworzył torbę i wyciągnął olbrzymiego czarnego ptaka z błyszczącą białą głową. Położył go ostrożnie na podłodze, po czym odstąpił na krok, wypiął pierś i wziął się pod boki, jakby prezentował mi skrzynię z klejnotami.

Ptak leżał kompletnie bez życia.

Wstałam z tronu przepelniona trwogą, a Kjell syknął za moimi plecami i kazał myśliwemu się odsunąć. Uklękłam przy ptaku i podniosłam jego skrzydło z czerwoną obwódką. Zaczęłam się trząść. Widok przed oczami zupełnie mi się rozmazał, gdy Kjell odciągał mnie od ptaka, którego pióra wciąż były ciepłe. Czułam w gardle niebezpieczną kulę. Opadłam na tron, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

— Skąd wiedziałeś, że to Zmieniacz? — spytał Kjell tak zimnym głosem, że mężczyzna zadrżał, wyczuwając, że jego prezent nie został zbyt przychylnie odebrany.

— Widziałem, jak się zmieniała — wyjąkał. Serce stanęło mi w miejscu, a poczucie winy ścierało się z iskierką nadziei, która kazała mi spytać: *Ją?*

— *Ją?* — powtórzył Kjell.

— Była kobietą... a potem się zmieniła. I odleciała. Zastawiłem sidła... i złapałem ją, gdy wróciła.

— I zabiłeś ją? — spytał Kjell.

— Była Zmieniaczem — odparł mężczyzna, jakby to wszystko

wyjaśniało. Podniosłam się znowu napędzana gniewem. Mężczyzna musiał dostrzec w mojej twarzy coś alarmującego, bo zaczął się tłumaczyć. — Nie chciałem jej zabić. Złapała się żywcem. Zakryłem ją materiałem i wsadziłem do torby. Prawdopodobnie było w niej za mało powietrza.

Prawo mówi, że tylko król może potępić Obdarzonego.

Kjell powtórzył moje słowa i mężczyzna zaczął się trząść.

— Ale... król Zoltev... — wykrztusił.

— Nie jest już królem — dokończył za niego Kjell, po czym odwrócił się i podszedł do tronu, żeby udąć, że wysłuchuje mojego werdyktu.

Odbieram mu prawo do polowania. Jeśli zostanie przyłapany na polowaniu, spotka go śmierć. Zabijanie orłów — Zmieniaczy lub nie — jest od dzisiaj zakazane. Tak zostanie zapisane i tak należy zrobić.

Kjell powtórzył mój wyrok.

— Ale... z czego ja będę żył? — wyjęczał mężczyzna.

Powiedz mu, że może polować na gryzonie i węże. Niech co tydzień przedstawia swoje zdobycze pani Lorenie na dziedzińcu zamkowym, a ona zapłaci mu za jego służbę na rzecz Jeru.

Mężczyzna przyjął wyrok z szeroko otwartymi oczami i zaczął zbierać orła.

Każ mu zostawić ptaka.

Kjell przekazał moje polecenie.

Chcę wiedzieć, gdzie ją zabił.

— Niedaleko zewnętrznych murów w lesie na zachód od miasta jest chatka. Tam ją znalazłem — odparł bez wahania mężczyzna, pragnąc jakoś odkupić swoją winę.

Serce znowu przestało mi bić.

Nie byłam w stanie kontynuować przesłuchań, więc Kjell powiedział czekającym w długiej kolejce, że wznowimy sesję tuż po świcie. Siedziałam bez ruchu na tronie, aż sala się opróżni, a gwardziści zajmą swoje stanowiska na zewnątrz. Kjell został ze mną. Stał nad ptakiem, zaciskając pięści i miał wilgotne oczy.

— Nie wiem, co zrobić — wyznał. — Nie wiem już, co jest dobre, a co złe. I boję się, że już nigdy nie zobaczę brata.



Wyruszyłam na poszukiwania Tirasa. Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu dni. Za każdym razem lekceważyłam żądania króla i chodziłam po lesie z Boojohnim truchtającym za mną, gdy nie udało mi się mu uciec. Trzymał się blisko, wrażliwy na moje emocje i przedłużającą się nieobecność króla. Ale ja miałam magię po swojej stronie i tej nocy udało mi się wymknąć niezauważenie.

Poszłam do chaty w zachodnim lesie. Tej tak dokładnie opisanej przez myśliwego, w której Tiras podzielił się ze mną swoim sekretem. Żaden orzeł nie sfrunął, żeby mnie przywitać, obdarzyć słowami i skierować w stronę domu, ale w chacie widać było ślady czyjejs obecności. Naczynia, grzebień, drewno opałowe w palenisku.

Wcześniej nie było tu takich rzeczy. Zdezorientowana dotknęłam grzebienia i odwróciłam się w stronę łóżka, w którym spędziłam samotną noc po ucieczce z zamku, gdy zastanawiałam się, gdzie pójść i co zrobić. Od tego czasu ktoś tu już spał. Łóżko nie było zaścielone. Czyżby to Tiras się zmienił i postanowił zostać na uboczu? Może Dar zabrał kolejną część jego człowieczeństwa, która wzbudziła w nim przekonanie, że nie powinien już wracać do zamku?

Osunęłam się na łóżko, zbyt wyczerpana, by stać.

Tirasie, zawołałam. Tirasie, proszę, nie ukrywaj się przede mną.

Poruszone wiatrem okiennice zastukały o ściany. Nasłuchiwałam głosu, bicia serca, łopotu skrzydeł, ale nie słyszałam nic prócz własnego przerażenia. Przygnębiona zwiesiłam głowę i wbiłam wzrok w podłogę z ubitej gliny.

Spod łóżka wystawał koniec białej tasiemki.

Schyliłam się i podniosłam ją, ale była przyczepiona do czegoś ciężkiego. Uklęklam i zajrzałam pod starą ramę. Leżała tam przechylona na bok waliza, z której wystawały elementy garderoby. Szarpnęłam ją, żeby przyjrzeć się jej bliżej, i skonsternowana wyciągnęłam ze środka resztę tasiemki, która kończyła się na obszernej sukni w jakimś niemożliwym do zidentyfikowania w ciemnościach jasnym kolorze. Pod suknią były jeszcze para drobnych butów, ale większych od moich, jedwabna bielizna, kolejna suknia i porządny szkarłatny płaszcz.

Ktoś zadomowił się w chacie króla, ale nie był to Tiras.

Westchnęłam z bolesną ulgą, wciąż potrząsając głową z niedowierzaniem. Nie wiedziałam, co o tym sądzić, ale jedno było pewne. Mieszkała tu kobieta. Zmieniacz. A teraz była martwa.



Gdy następnego ranka weszłam do sali tronowej, przyniesiony przez myśliwego orzeł został już usunięty. Podłoga błyszczała, a pomieszczenie przewietrzono, lecz ja na nowo poczułam smutek z powodu ptaka, który nie był tak naprawdę ptakiem. Kjell znowu użyczał mi ust. Postanowiłam zapytać go o dalszy los ptaka, gdy skończą się przesłuchania. Raczej nie powiem mu o tym, co odkryłam w chacie, bo gdyby usłyszał o moich nocnych wypadach, mógłby przydzielić mi całodobową

ochronę.

Przywitałam formującą się kolejkę skinieniem głowy, po czym gestem zachęciłam pierwsze osoby do podejścia. Gwardziści dbali o porządek i zapewniali mi pewną dozę bezpieczeństwa w sytuacjach, gdy ktoś odchodził niezadowolony lub zakuty w kajdany. Po pewnym czasie wpadłam w rytm poprzedniego dnia, lecz nagle przez tłum przedarła się fala szeptów, którym towarzyszył zbiorowy jęk.

Gwardziści natychmiast przysunęli się bliżej mnie, przekonani, że gdzieś w kolejce musiała wybuchnąć sprzeczka lub ktoś dopuścić się przemocy. Ja jednak poczułam, jak z tłumem emanuje jego imię, jakby nagle wszyscy zgromadzeni zaczęli o nim myśleć. *Król Tiras. Król Tiras.* Wstałam, żeby wyrzeć ponad szereg gwardzistów przed moim tronem. Kjell także wstał, rozsunał szpaler i z dłonią na rękojeści miecza zszedł z podium.

— Odsunąć się. Odsunąć! — nakazał. Wyciągałam głowę nad ścianę mojej ochrony. Nagle znowu usłyszałam jego imię, tym razem wypowiedane z entuzjazmem i radością przez stojących przed nami ludzi.

— Król wrócił! Król Tiras wrócił!

Nie pamiętam, żebym wstała i zeszła z podium, nagle jednak przeciskałam się przez tłum, a Kjell i gwardziści, których mijałam, próbowali zrobić coś w rodzaju szpaleru, stając po bokach z rozstawionymi rękami. Ale tłum sam się rozstępował, a ja kroczyłam, wzbudzając falę pełnych szacunku ukłonów.

Zauważyłam go na końcu sali. Był o głowę wyższy niż większość otaczających go osób, trzeba jednak przyznać, że ci najbliżej niego padli na jedno kolano, odsłaniając go dla moich oczu. Był ubrany jak na dzień przesłuchań, nie licząc długich czarnych rękawic, które zakrywały mu dłonie i przedramiona. Przypominał przez to wojowniczych królów, którzy byli jego

przodkami. Na białej głowie lśniła korona, a na ramionach miał płaszcz w królewskiej zieleni. Z poważnym wyrazem twarzy wbijał swoje ciepłe, bursztynowe oczy we mnie, równie mi znajome, jak bicie własnego serca. Rzuciłam się do biegu, rozpaczliwego, i wylądowałam w jego ramionach.

— Nie zachowujesz się jak królowa — zbeształ mnie, gdy poderwał mnie z ziemi i schował twarz w moich włosach. — Ludzie pomyślą, że jestem łagodny. — Nie potrafiłam odpowiedzieć. Nie byłam w stanie sformułować żadnych słów. Przywarłam tylko do niego, a on mocno mnie przytulił.

Nie rozluźniając uścisku, odchylił głowę i kazał ludziom się rozejść słowami:

— Idźcie już i nie czyńcie złego.

Nikt nie zaprotestował — ani szeptem, ani nawet w myślach.

28



Nie dane nam były zbyt długie świętowanie i radość.

Późną nocą w korytarzu rozległ się odgłos kroków i do drzwi naszej komnaty zapukał Kjell.

— Tiras, mamy gościa. Chodź szybko.

Bez pytania wstaliśmy, ubraliśmy się i ruszyliśmy na oświetlony pochodniami dziedziniec główny. Tańczące cienie wspinały się po murach aż do gzymsów, górujących nad nami szerokim uzębieniem. Kapitan straży właśnie przedstawiał Kjellowi szczegóły sytuacji.

— Stała pod bramami miasta i domagała się wpuszczenia. Twierdziła, że nazywa się lady Ariel z Firi. Przyszła na piechotę i bez żadnej obstawy — wyjaśnił kapitan.

Kjell zaklął i ruszył w stronę bramy oddzielającej wewnętrzne mury od zewnętrznych.

— Gdzie jest teraz? — spytał Tiras.

— Strażnik powiedział jej, że będzie musiała poczekać do świtu, Wasza Wysokość. Takie miał rozkazy.

— Ona wciąż czeka przed bramą? — wrzasnął Kjell, odwracając się do kapitana.

— Nie, panie — pospiesznie zaprzeczył kapitan. — Strażnik mnie obudził, bo wystraszył się, że to naprawdę może być

arystokratka. Wysłałem za mury gwardzistów, żeby sprawdzić, czy to nie zasadzka. Była sama, panie. Opuściliśmy bramę i wprowadziliśmy ją do zamku.

Jak na komendę rozbrzmiała trąbka, więc pospiesznie wyszliśmy przez bramę na dolny dziedziniec i zobaczyliśmy, jak opuszczana krata powoli się unosi. Do środka weszło dwóch gwardzistów, a za nimi lady Ariel z Firi, która wykonała tylko kilka chwiejnych kroków, po czym padła na kolana. Miała polepione i brudne włosy, a jej długi, purpurowy płaszcz był podarty i pochłapany posoką. Rozpoznałam ten zapach i te pasma zieleni i czerni, kalające widoczną pod płaszczem jasną suknię. To nie była krew ludzi, tylko Volgarów. Lady Ariel ścisnęła w dłoni sztylet, jakby sama stoczyła całą bitwę i cudem udało się jej przeżyć.

Kjell natychmiast do niej podbiegł i złapał ją w ramiona. Sztylet wypadł jej z dłoni. Wzdrygnęła się, gdy uderzył o bruk. Kjell nie zatrzymał się, żeby go podnieść, więc sama desperacko po niego sięgnęła, jakby spodziewała się rychłego ataku i wołała być przygotowana.

— Ariel. Jesteś bezpieczna. Nie ruszaj się — wyjaśnił jej łagodnie. Oparła ociężałą głowę na jego obojczyku i z ulgą zwiesiła ramiona.

— Było ich tak wiele — wyjęczała. — Volgarów... było tak wiele.

— Jesteś sama? — spytał Tiras zaniepokojony. — Gdzie twoja ochrona?

— W rozsypce. Zabita. — Znowu opadła jej głowa. Zatrzepotała powiekami.

— Firi leży trzy dni drogi stąd. Konno. Przyszłaś tu sama? — Chciał wiedzieć Tiras.

Ona jest wycieńczona, Tirasie.

Tiras przytaknął, zgadzając się ze mną, ale nadal marszczył

brwi, a usta miał ściągnięte w cienką nitkę.

— Zabierz ją do środka, Kjellu. Pytania mogą poczekać, aż coś zje i odpocznie.

Lady Firi nie chciała spać. Pozwoliła pokojówkom, żeby ją umyły, ubrały w pożyczoną suknię i posadziły przy królewskim stole do tej nadrannej kolacji. Po kilku łykach dla rozgrzania i odwagi wyjaśniła nam, co sprowadziło ją do miasta Jeru w takim stanie.

— Mój ojciec jest chory. Nie wiem, ile jeszcze zniesie jego serce. Gdy dotarliśmy do nas wieści o Volgarach na wybrzeżu, zażądał, żebym tu przyjechała. Chciał odsunąć mnie od linii frontu, a ja nie byłam w stanie go od tego odwieść.

— Kilka dni temu dotarła do nas wieść o Volgarach od twojego ojca — powiedział Kjell. Ariel przytaknęła zdecydowanie i patrząc to na Kjella, to na króla, ciągnęła dalej.

— Wyruszyłam z członkami gwardii ojca, ale pod koniec drugiego dnia zostaliśmy zaatakowani. Wyglądało to tak, jakby one podążyły naszym śladem. — Przerwała opowieść i przycisnęła drżącą dłoń do ust. Przypomniałam sobie podróż z Corvyn do Jeru, gdy po raz pierwszy zobaczyłam tych ptakoludzi z twardą skórą i olbrzymimi skrzydłami, którzy wyrwali rycerzy z siodeł. — Nie mieliśmy z nimi szans. Wciąż nadlatywały nowe. Koń mi się spłoszył i pobiegł w las. Nie zatrzymałam go, lecz jechałam przed siebie ze strachu przed tym, co bym zastała, gdybym zawróciła.

— Co się stało z twoim koniem? — spytał łagodnie Tiras.

— Biegł i biegł. Był przerażony — wyszeptała. — Gdy w końcu stanął, nie był w stanie już się podnieść. Toczył pianę z pyska i miał krew na torsie. Został zraniony w trakcie ataku, ale ja tego nie zauważyłam...

— I resztę drogi musiałas pokonać na piechotę — dokończył

za nią Kjell.

— Tak. — Spojrzała na Kjella wzrokiem skrzywdzonego kotka. Jej ciemne oczy były tak piękne, że sama wstrzymałam oddech. Kjell westchnął i odwrócił się do Tirasa.

— Co teraz zrobimy?

Ty i ja pojedziemy, powiedziałam do Tirasa. Kjell powinien zostać tu z lady Firi. Ktoś musi tu zostać.

— Jestem kapitanem cholernej gwardii, Lark! — wtrącił Kjell z irytacją. Tiras spojrział na niego ostrzegawczo, a Kjell wyrzucił ramiona w górę i bez słowa wyszedł.

Lady Firi patrzyła za nim w zadumie, po czym wstała, jakby chciała ruszyć za nim.

— Musisz odpocząć, lady Firi. Nazajutrz zdecydujemy, co należy zrobić — mruknął Tiras, po czym wstał i wyciągnął do mnie dłoń. — Pani Lorena odprowadzi cię do twoich kwater.

— Królu Tirasiu, czy ty kiedykolwiek ogłosiłeś Kjella swoim bratem? — spytała Ariel ostro, a ja zrobiłam wielkie oczy, słysząc tę bezczelność. Skłoniła się nisko i opuściła głowę. — Wybacz mi, Wasza Wysokość — poprawiła się z poczuciem winy. — Po wydarzeniach ostatnich dni nie jestem w pełni sobą, a poza tym bardzo się troszczę o Kjella. Powiedziałam to bez zastanowienia.

Tiras obserwował ją uważnie ze ściągniętymi ustami, ale ja nie dałam się zwieść. Martwiła go jej zuchwałość, a tym bardziej jej pytanie.

— Rozumiem — odparł cicho, wybacząc jej. — Śpij dobrze.

Ale lady Firi jeszcze nie skończyła. Spojrzała na mnie i wyciągnęła dłonie w moją stronę.

— Nie jedź do Firi, Wasza Wysokość — powiedziała błagalnym tonem. — Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś stało się tobie lub twojemu dziecku.

Odnalazłam dłonią niewielkie wybrzuszenie pod suknią, zaskoczona tym, że się domyśliła. Nie było jeszcze nic widać. Może moje sporadyczne poranne mdłości doprowadziły do powstania plotki wśród służby. Może coś im się wymknęło, gdy obsługiwały lady Firi.

Uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie.

— Widać to po tobie, moja królowo.

Skłoniłam głowę, nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając. Tiras też nieznacznie się skłonił.

— Wszystko zostanie wzięte pod uwagę. Dobranoc, milady — obwieścił chłodnym tonem, nie ukrywając swojego niezadowolenia.

Pani Lorena podeszła bliżej i poprosiła lady Firi, aby poszła za nią. W milczeniu obserwowaliśmy ich wyjście. Gdy ich kroki ucichły, odwróciłam się do Tirasa.

Jeśli coś mi się stanie, co wyeliminuje także mojego ojca, kto jest następny w kolejce do tronu?

— Z braku potomków z rodu Degn i Corvyn... — zaczął Tiras.

Ale przecież są potomkowie Degn. Kjell jest z Degn.

— Owszem, jest. Ale nie został uznany przez mojego ojca. Jest Kjellem z Jeru. Nie Kjellem z Degn — wyjaśnił Tiras.

A co by było, gdybyś ty go uznał? Gdybyś obwieścił, że jest twoim bratem?

— Kjell nie chce być królem. Wbrew insynuacjom lady Firi.

To, czego pragniemy, nie ma większego znaczenia, odparowałam, przypominając mu jego słowa po bitwie z Volgarami.

Tiras spojrzał na mnie posępnie.

Jeśli uznasz Kjella, to gdyby coś stało się mnie... i naszemu dziecku... on odziedziczy tron. Uzyskamy kolejną warstwę

ochrony dla Jeru.

— Owszem, ale Kjell nigdy mi tego nie wybaczy.

Ja ci wybaczyłam.

— Bez pragnień są tylko obowiązki — szepnął Tiras, cytując z kolei mnie. — Ale czasem naszym największym pragnieniem jest wykonywać swoje obowiązki. — Potem zamknął oczy, jakby wznosił w niebo modlitwę o siłę. Docierała jednak do mnie tylko jego tęsknota, od której drżało mi serce.



Następny dzień Tiras spędził z mapami i doradcami. Ich przytłumione słowa przenikały przez zamknięte drzwi. Mogłabym bez trudu je usłyszeć, gdybym tylko chciała. Ale nie chciałam. Obudziłam się z mdłościami i pulsującą głową, więc zostałam w swojej komnacie z suchymi tostami, miętową herbatą i Boojohnim, żeby mnie pocieszał. Leżałam na łóżku z włosami spływającymi z jednej strony, a on delikatnie je czesał, jakby w innym wcieleniu był pokojówką, i to wyjątkowo dobrą.

Znał mnóstwo kuchennych plotek, a ja chciwie ich słuchałam, pławiąc się w jego sympatii i pozwalając sobie na bycie rozpieszczaną. Gdy skończyły mu się soczyste tematy, zaczął nucić, a ja dołączyłam do niego śpiewnym głosem w swojej głowie.

Córko Jeru, córko Jeru,

On nadchodzi w twoją stronę.

Córko Jeru, córko Jeru,

Niech król pojmie cię za żonę.

Córko Jeru, córko Jeru,

Ma czyste serce, więc na niego czekaj.

Córko Jeru, córko Jeru,

Nim nadejdzie ta godzina, że przybędzie z daleka.

Boojohni przerwał nagle, a szczotka zatrzymała się we włosach, jakby trafił na kołtun. Gdy przez dłuższy czas nie wznowił ani śpiewu, ani czesania, otwierałam oczy i uniosłam głowę. Wpatrywał się rozmytym spojrzeniem w srebrne fale moich włosów, widząc w nich coś, czego tam nie było.

Boojohni? Co się stało?

— Przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że może to nie była klątwa, Ptaszku, lecz przepowiednia? — stwierdził nagle, ogniskując wzrok na mnie.

O czym ty mówisz?

— O dniu śmierci twojej matki. O słowach, które ci powiedziała. O słowach, które powiedziała twojemu ojcu.

Przełknęłam ślinę, bo pod wpływem tego wspomnienia emocje jak zawsze utknęły mi w gardle.

— Może twoja matka nie zabroniła ci mówić — perorował. — Może ona po prostu powiedziała twojemu ojcu, że nie możesz, i kazała mu cię chronić. Dbać o twoje bezpieczeństwo.

Patrzyłam na niego z osłupieniem.

— Meshara nie potrafiła tego, co ty, Lark. Jej dar był inny. Ona miała dar wiedzy, przewidywania, *ostrzegania*. A ty potrafisz nakazywać.

Potrząsnęłam głową, nie rozumiejąc, ale Boojohni dopiero się rozpędzał.

— Ta piosenka... dziewczęca pieśń. Ona zwykła ci ją śpiewać. Te słowa przypomniały mi o twojej matce i o tym, co wiedziała. O tym, co *wiedziała*, Lark! — powtórzył z emfazą.

Moja matka nie była pierwszą, która śpiewała tę dziewczęcą pieśń, Boojohni. Znowu zaczęło mi się kręcić w głowie. Nie miałam ochoty rozmawiać o matce i o dniu jej śmierci.

— Nie. Nie o to mi chodzi. Ta piosenka jedynie otwarła mi oczy.

Czekałam, bo wiedziałam, że mi to wyjaśni.

— Słyszałem słowa, które powiedziała do ciebie w ten straszliwy dzień. Bałem się, że król tnie ją ponownie, więc rzuciłem się, by ją osłonić. — Jego głos stał się bardziej piskliwy z racji tłumionego żalu, a ja poczułam w piersi wzbierające emocje.

— Pamiętasz, co powiedziała, Ptaszku?

Zabroniła mi się odzywać. Mówić.

— Tak — szepnęła i przytaknęła. — Tak powiedziała. Wiedziała, że twój dar jest niebezpieczny. Kazała ci czekać na właściwą porę.

Kiedy nadejdzie ta godzina?

— Zaczęłaś korzystać ze swojego daru, Ptaszku.

To dlaczego nie potrafisz mówić?

— Może... potrafisz. — Boojohni powiedział to niemal błagalnym tonem, a ja mogłam tylko patrzeć na niego z niedowierzaniem. — Byłaś malutkim dzieckiem, które zobaczyło coś straszliwego.

Potrząsałam głową, ale on nie przerwał.

— Obwiniasz się. Zaczęłaś bać się swoich słów.

Nie! Ja nie potrafisz mówić, Boojohni. Myślisz, że nie próbowałam? Nie potrafisz mówić!

— Ciii, Ptaszku! — powiedział, krzywiąc się, i poklepał mnie po policzku. — No już. Już. Bo mi głowa eksploduje.

Ja też miałam wrażenie, że eksploduje mi głowa. Położyłam ją ostrożnie i skupiłam się na powolnym, głębokim oddychaniu. Po jakimś czasie Boojohni wznowił delikatne pociągnięcia szczotką, jakby uznał rozmowę za zakończoną. Było mi zbyt

niedobrze, żeby ją pociągnąć, za bardzo się nią martwiłam i niezależnie od insynuacji Boojohniego nadal nie potrafiłam mówić.

Boojohni znowu zaczął nucić, ale tym razem do niego nie dołączyłam. Zatopiłam się w melodii. Po chwili żołądek się uspokoił i pojawiło się znużenie.

— Jakie słowo dałaś księciu tamtego dnia, Lark? Zawsze mnie to intrygowało — mruknął.

Byłam przekonana, że się przesłyszałam i że to początek snu, ale w głowie, pod zamkniętymi powiekami pojawiło się wspomnienie — wspomnienie olbrzymiego konia i czarnowłosego księcia o ciemnych oczach.

29



Obudziły mnie inne dłonie. Głaskały mnie delikatnie, a wpatrujące się we mnie oczy przypomniały mi o tym, że mamy mało czasu.

— Powinienem pozwolić ci spać, ale tęskniłem za tobą — wyszeptał Tiras z poczuciem winy wypisanym na całej twarzy. Było to tak słodkie, że miałam ochotę się do niego uśmiechnąć, ale wyglądał tak ponuro, że zamiast tego przyciągnęłam go do siebie i zaczęłam rozluźniać jego napiętą twarz czułymi pocałunkami. Oddał mi je chciwie i na jakiś czas zatraciliśmy się w rozpaczliwym przypominaniu sobie swoich ust.

— Jest tak wiele do zrobienia — szepnął w końcu. Westchnęłam w jego usta, nienawidząc tych słów, a jeszcze bardziej tego, że wyczuwałam jego cierpienie i pragnienie pozostania tu, gdzie teraz był, ze mną, w naszej nieoświetlonej komnacie, w ukryciu przed wszystkimi poza sobą nawzajem. Było tak wiele do zrobienia, a mój król nie miał ochoty tego robić. Ale to robił i był to jeden z powodów, dla których tak desperacko go kochałam.

Jeśli jest tak wiele do zrobienia, to musimy to zrobić.

Przyłożył czoło do mojego czoła i poczułam, jak spowija mnie jego wdzięczność i poczucie ulgi, przez co zebrało mi się na płacz.

— Dziękuję — wyszeptał.

Kiedy wyruszamy do Firi?

Zesztywniał i powoli podniósł głowę, a jego ulga na powrót przekształciła się w trwogę.

— Nie mogę zabrać cię do Firi, Lark. Nie zabiorę cię już na pole bitwy.

Tirasie, wiesz, że musisz.

— Nie zrobię tego — odparł niewzruszony. — Naprawdę sądziłaś, że zabiorę cię do Firi na konfrontację z Volgarami? Że pozwolę lady Firi rządzić się w moim zamku, a własną żonę wyślę do walki?

Tak.

— Nie, Lark.

W milczeniu ubraliśmy się na kolację. Gdy schodziliśmy po schodach do sali tronowej, na ułamek sekundy przyciągnął mnie do siebie i przytulił.

Kjell czekał na nas, krocząc niespokojnie. Weszliśmy do środka, a Tiras zamknął za nami ciężkie drzwi. Wtedy Kjell splótł ręce na torsie i spojrzał na niego groźnie.

— Jaki masz plan, Tirasie? Firi jest atakowane, a my stroimy się do kolacji? I prześpiemy kolejną noc we własnych łóżkach?

— Spokojnie, bracie — odpowiedział z opanowaniem Tiras, a Kjell ciężko westchnął.

— Udam się tam — stwierdził. — Wezmę ze sobą dwustu najlepszych ludzi. Niemożliwe, żeby Volgary w tak krótkim czasie odbudowały swoją potęgę. Zabezpieczymy fortecę lorda Firi i zbierzemy jak najwięcej informacji o liczebności wroga. Spalimy gniazda i zniszczymy jaja. A ty zostaniesz w Jeru z królową. To najbardziej sensowny plan — wyjaśnił pokrótce.

— Jadę z tobą — powiedział Tiras. Kjell uniósł z zaskoczenia brwi. Spojrzał na mnie z zadumą, po czym wrócił do twarzy brata.

— A co, jeśli nie wrócisz? — spytał cicho. Tiras zamknął oczy, jakby zbierał się na odwagę, by udzielić odpowiedzi. Moje dłonie pokryły się potem trwogi. W końcu otworzył oczy, a ich spojrzenie było równie twarde i pozbawione wyrazu jak złote monety.

— Dziś wieczorem ogłoszę cię moim bratem — wyjaśnił Kjellowi. — Uznam cię. Staniesz się Kjellem z Degn i jako mój brat będziesz pierwszy w linii dziedziczenia tronu.

Na moment zapadła ogłuszająca cisza. Kjell zrobił krok w tył, potrząsając głową.

— Nie chcę być królem, Tirasie. Nie zgadzam się.

— Tu nie chodzi o to, czego chcemy, Kjellu — wybuchnął Tiras, a jego spokój wyparował w płomieniu rozpaczy. — Do licha! Niech bogowie oczyszczą nas z naszych pragnień! Nikt z tu obecnych nie może mieć tego, czego chce. Nikt z nas! Tu chodzi o przyszłość Jeru. Chcesz, żeby lordowie z Corvyn, Bin Daru lub Gaul położyli swoje zakrwawione łapy na tronie?

— Nie obchodzi mnie to — warknął Kjell. — *Nigdy* mnie to nie obchodziło. Jestem lojalny tylko wobec ciebie, bracie.

— A ja jestem lojalny wobec Jeru. Przysiągłem je chronić. Nie będę w stanie ochronić ciebie i Lark, jeśli zawiodę Jeru. Nie będę w stanie ochronić swojego dziecka, jeśli zawiodę Jeru. Nie rozumiesz tego?

— Nie musisz pokutować za grzechy ojca — stwierdził Kjell, mierzając w brata drżącym palcem.

— Owszem, muszę! — odparł Tiras. — Od trzynastego roku życia nie robię niczego innego.

— I dlatego ożeniłeś się z Powiadaczką. Zrobiłeś jej dziecko.

Wykiwałeś lorda Corvyn. A teraz chcesz umieścić mnie na skrzydle? — wybuchnął Kjell. Zerknął na mnie. Zauważyłam w jego wzroku skruchę, ale i tak wzdrygnęłam się, sparzona jego furią.

— Nie chcę umieścić cię na skrzydle. Chcę cię postawić u steru. Razem wyruszymy do Firi walczyć z Volgarami. Tam spotkam swój koniec — wyjaśnił spokojnym tonem. — Już czas.

Kjell i ja spojrzeliśmy na niego z przerażeniem.

— Co ty planujesz, bracie? — wykrztusił Kjell.

— Nie mogę tak wciąż pojawiać się i znikać. Sam to powiedziałaś. Ludzie przestaną mi wierzyć, a ja zmienię się na stałe i już nie wrócę. Sądząc po moich dłoniach, raczej prędzej niż później. Co wtedy?

— Królowa obejmie rządy, zgodnie z twoim planem. A gdy twój syn lub córka dorosną, przejmą rządy — argumentował Kjell.

— Zostawiłem Lark bez ochrony. Zostawiłem ją bezbronną — odparł Tiras.

Zaczęłam potrząsać głową. Nie. Nie. Nie. Zupełnie nie o to mi chodziło.

— Ona potrafi się obronić, Tirasie. Ściągnęła Volgary na ziemię samymi słowami — polemizował Kjell.

— Ona nie ma głosu. Ty jej go użyczysz. Będziesz ją chronił. I staniesz się ojcem mojego dziecka.

— Nie rozumiem cię.

— Będziesz królem. A ona będzie królową. — Tiras nawet na mnie nie spojrział. Moje kolana zrobiły się jak z waty, a brzuch zaczął odpływać. Otuliłam go rękami, osłaniając rozwijające się we mnie życie, wbrew temu, że Tiras jest mi odbierany.

— Nie. Nie będę — wyszeptał Kjell z niedowierzaniem. — Nie możesz tego zrobić, Tirasie. Nie możesz tak mną

manipulować i manewrować, żeby *zmusić* mnie do uległości.

Miałam ciężki i mroczny głos, który pulsował mi między uszami.

Wielokroć uginałam się przed twoją wolą, Tirasie. Ale nie dam przekazać się twojemu bratu jak jakiś spadek. Jadę do Firi.

— Nie, Lark. Nie wyruszasz. Pojadę tam z Kjellem.

Wszyscy pojedziemy! Stawiłam już czoła Volgarom i zrobię to znowu.

— To było przedtem.

Przed czym? Przed tym, nim zrealizowałeś wszystkie swoje plany? Słowa iskrzyły wściekle w mojej głowie. *Potrzebujesz mnie.*

— Jeru potrzebuje cię bardziej. Nasze dziecko potrzebuje cię bardziej! Poza tym to niebezpieczne. Nie jesteś mieczem. Nie jesteś bronią. Pamiętasz? Co, jeśli coś stanie się Kjellowi, a ja będę cholernym ptakiem? Poprowadzisz rycerzy do walki? Zostaniesz tutaj i zrobisz, co ci mówię! — Był taki niewzruszony. Taki pewny. Zimny i surowy. Mówił mi, co mam robić. Ale ja byłam Powiadaczką. Nie pozwolę, by mówiono mi, co mam robić.

Wyrzuciłam przed siebie wściekle ramiona, rozczapierzając palce synchronicznie ze słowami, które rozbrzmiały wrzaskliwie w mojej głowie.

Wietrze spoza zamku, przyleć,

Tron królewski z podium wymieć.

Okna nagle rozbiły się z hukiem i w sali rozpętało się istne tornado, chłoszczące moją suknią i płaczące mi włosy. Tron Tirasa przewrócił się i uderzył o błyszczącą, czarną podłogę, po czym poleciał na drugi koniec sali i wbił się dwiema tylnymi nogami w kolorowy fresk z historii Jeru.

— Lark! Dosyć! — wrzasnął Tiras, ale ja dopiero zaczynałam. Udreka huczała w mojej piersi jak przyzwany przeze mnie wiatr, a łyzy, którym rzadko pozwalałam płynąć, wypełniały mi gardło i głowę. Wezwałam wodę z nieba, żeby je zmyć.

Deszczu, co się zbierasz w chmurach,

Ukryj mnie w swych miękkich murach.

Zostałam wchłonięta przez falę i podniesiona niczym bogini morza, a łyzy z moich oczu mieszały się z deszczem przesiąkającym przez ubrania i nawilżającym skórę. Unosiłam się, nie pograżając się i nie tonąc. W ogóle się nie zanurzałam. Ściany były mokre, a farba spływała po nich długimi, smętnymi pasmami, niszcząc to, co kiedyś na nich było.

— Lark! — Usłyszałam wołanie Tirasa, ale tym razem poczułam też jego ramiona wokół siebie, jak kotwice w czasie sztormu, i jego usta, ciepłe i natarczywe, wysysające wojnę z moich słów. — Uspokój się — poprosił, co zmieniło jego usta w przekonującą broń.

Nie możesz mnie oddać!

— Wybacz mi — dodał błagalnie.

— Na wszystkich Bogów, Lark! — wykrzyknął Kjell głosem przebijającym się przez burzę. — Przestań!

Zapomniałam, gdzie byłam. Zapomniałam, *kim* byłam.

Wietrze i wodo, weźcie szkło i łyzy,

Niech zostaniemy tu tylko my.

Nagle w sali wszystko zamarło. Zapadła cisza. Niemal skruszona cisza.

Ale ja wcale się tak nie czułam.

W głowie słyszałam tylko swoje wściekłe oddechy. Powietrze paliło mnie w piersi, jakbym przebiegła olbrzymi dystans,

goniąc za czymś, czego miałam już nigdy nie dogonić. Nie podniosłam głowy. Nie chciałam oglądać dokonanych przez siebie zniszczeń. Tiras był równie cichy i nieruchomy jak otaczające nas powietrze. Wciąż ujmował w dłonie moją głowę i przyciskał usta do mojego ucha. Koszula przywarła mu do torsu. Była przejrzysta od wody i dostrzegałam przez nią ciepło jego skóry.

— Tym razem zgadzam się z królową — mruknął Kjell i bez dalszych komentarzy wyszedł z sali, chlupocząc butami przy każdym kroku. Olbrzymie dębowe drzwi jęknęły przy otwieraniu i zamykaniu. A potem usłyszałam, że uspokaja służbę w korytarzu za drzwiami.

Nie możesz mnie oddać, Tirasie.

— Nie mogę cię zatrzymać — wyszeptał głosem równie udręczonym jak mój oddech. — I nie mogę nadal ci tego robić.

Chwyciłam go za koszulę i zacisnęłam dłonie. Chciałam zrobić mu krzywdę i jednocześnie go uzdrowić. Przeciągnęłam paznokciami po jego skórze, ale on przytulił mnie mocno, na kilka sekund niemal pozbawiając mnie tchu. Przycisnął usta do moich włosów, a ja, wściekła i załamana, łomotałam pięściami w jego plecy, mimo że chowałam twarz w zagłębieniu jego szyi.

Jeśli nie możesz mnie zatrzymać, pozwól mi odejść.

Poczułam na policzku łomotanie jego serca, ale opuścił dłonie i odstąpił ode mnie, jakbym naprawdę chciała podporządkować się moim słowom.

— Dokąd? Dokąd chcesz odejść? — spytał głosem tak ciężkim, że zatęskniłam za wiatrem, który oderwałby nas od ziemi i poniósł daleko stąd.

Gdziekolwiek będziesz ty.

— Na to też nie mogę się zgodzić — wyszeptał. — Tam, gdzie idę, ty nie możesz pójść.

Miałam ochotę krzyczeć, przekonywać, wezwać na pomoc piekło i niebo. Ale mimo że słowa drgały na moich wargach, nie byłam w stanie ich uwolnić. Nie byłam w stanie wymyślić zaklęcia, które dałoby nam przyszłość lub zmieniło przeszłość.

Obiecuj, że zapamiętasz i będziesz grzeczna, szepnęła mi matka tak dawno temu. *Obiecuj, że zapamiętasz*.

Zapamiętałam.

Zapamiętałam, jak miecz króla przeciął powietrze ze świstem. Zapamiętałam ciepło krwi matki, przesiąkającej przez moją suknię. Zapamiętałam słowa, które wyszeptała mi do ucha. Nigdy ich nie zapomniałam.

Wchłoń ma, córko, wchłoń jedyna, słowa, które chcą wypływać. Zamilcz, córko, a przeżyjesz.

Odsunęłam się od Tirasa o krok. Potem o następny. Musiałam pozwolić mu odejść. Miał rację. Nie mógł mnie zatrzymać. Ja też nie mogłam go zatrzymać. Przemoczona suknia przyklejała mi się do nóg, spowalniając moje ruchy, ale pozbierałam ją drżącymi dłońmi i odwróciłam się od niego. Zostawiłam go tam, w środku sali tronowej, w której historia jego królestwa spływała ze ścian, tworząc kałuże pod jego stopami. Historia, którą wolałabym zapomnieć, gdyby tylko było to możliwe.



O zachodzie słońca rozbrzmiały trąbki, a ludzie wyszli z domów i wychylili się z górnych okien, żeby usłyszeć herolda, stojącego na wieży przy bramach zamku.

— Jego Wysokość król Tiras z Jeru i lord Degn ogłasza szanownego Kjella z Jeru, kapitana gwardii królewskiej i syna zmarłego króla Zolteva z Degn i Miriam z Jeru, swoim rodzonym bratem, od tego dnia aż po wsze czasy. Co król przysiągł, nie podlega dyskusji. Co krew złączyła, człowiek niech nie rozdziela.



Obserwowałam, jak Kjell zbiera gwardzistów królewskich w liczbie tysiąca rycerzy, zostawiając dwustu dla obrony zamku i murów miejskich pod jego nieobecność. Tirasa z nimi nie było, ale Kjell miał osiodłanego Shindoha przywiązanego do swojego konia. Nie widziałam Tirasa od chwili, gdy opuściłam salę tronową. Nie pożegnałam się z nim, nie odnalazł mnie w ciemnościach, by złożyć przesiąknięte żalem pocałunki na mojej skórze, i nie zasypaliśmy przepaści między tym, czego pragnęliśmy, a tym, co mieliśmy.

Patrzyłam na ich wyjazd z lady Firi przy boku. W końcu podniesiono bramę i na dziedzińcu zostałyśmy tylko my dwie.

— Nie było wśród nich króla — zauważyła z zaciekawieniem. Ostrożnie. Odparłam jej bez wahania.

Wyruszył o świcie z tuzinem rycerzy. Jako grupa zwiadowcza. Będą się zmieniać na czele.

Przytaknęła, przyjmując moje wyjaśnienie, a ja nie po raz pierwszy w życiu zastanawiałam się, czy kłamstwo brzmi w jej głowie inaczej.

— Niech Bóg ma ich w opiece — wyszeptała, wpatrując się w ogon kurzu za murami, który ciągnął się za kawalkadą jeźdźców. Zamek wznosił się na wzgórzu, więc z murów Jeru miałyśmy dobry widok na Degn. Armia kierowała się na północ w stronę doliny Kilmorda, a za wzgórzami, na granicy, miała skręcić do Firi.

Nagle powietrze przeszył krzyk i nad naszymi głowami przeleciał orzeł, który przysiadł na murze. Rozpostarł skrzydła, prezentując się w całej okazałości. Krwistoczerwone zakończenia piór lśniły żywo w promieniach słońca. Żar oślepiającego i gorącego światła lał się na nasze głowy niczym strumień nadziei i odkupienia, mimo że król nadal był ptakiem.

Nie wypowiedziałam jego imienia i nawet o nim nie myślałam ze strachu, że usłyszy mnie lady Firi. Patrzyłam tylko na niego bez mrugnięcia powieką. Oczy mnie paliły, a dłonie nagle zrobiły się zimne.

Lark.

Poczułam, jak moje imię dryfuje w powietrzu i ląduje na mojej piersi jak pióro z jego torsu, ciepłe i miękkie. *Moja*, powiedział. Kolejne pióro.

Zawsze, odpowiedziałam. *Zawsze*.

Lady Firi wyciągnęła dłoń, jakby moje *zawsze* było zwykłym *amen* podsumowującym jej modlitwę do Boga, ale nie pozwoliłam wziąć się za rękę. Potrzebowałam obu dłoni, żeby nie rozsypać się na kawałki.

Tiras odfrunął, był jak czarna plama na niebie, dziura, która kusiła mnie, by w nią wpaść. I tak się stało. Zaczęłam spadać, spadać i spadać.

— Wasza Wysokość? — spytała lady Firi. Jej głos był jak odległy dźwięk dzwonów bijących na alarm. Stworzona przez Tirasa dziura pogłębiła się i szerniała, wchłaniając cały błękit, a potem mnie połknęła, wciągnęła w siebie, w dół, w dół, tam gdzie mieszkały moje słowa.

30



Żyłam w tej dziurze przez trzy dni. Nie było w niej zbyt wielu odgłosów i światła oraz ani krztyny ciepła. Wykonywałam z automatu wszystkie obowiązki, nie rejestrując tego, co robiłam. Spałam bez snów. Po posiłku nie pamiętałam, co jadłam. Boojohni spał na podłodze przy moim łóżku, mimo że nalegałam, by poszedł. Odpowiedział mi współczującym spojrzeniem i bez słowa umościł sobie swego rodzaju legowisko. Nie rozmawialiśmy. Nie dlatego, że nie próbował, lecz dlatego, że nie umiałam odnaleźć swoich słów w tej czerni. Z całych sił starałam się nie zamknąć oczu, żeby ciemność mnie nie wchłonęła. Nie miałam nadziei. Nie czułam radości. Nie widziałam przed sobą żadnej przyszłości, która nie wiązałaby się z cierpieniem, więc w ogóle nie myślałam. Nie formułowałam słów ani zaklęć. Po prostu byłam. Tylko na tyle mogłam się zdobyć.

Czwartego dnia rano mistrz sokolników poprosił o audiencję w sali tronowej. Skłonił się nisko, przyklękając na jedno kolano i przez dłuższą chwilę nie podnosił głowy.

Dotknęłam ramienia gwardzisty, który mi towarzyszył, a ten trącił Hashima.

— Panie? — spytał. — Wszystko w porządku?

— Otrzymaliśmy wieści z Firi, królowo. — Hashim miał bladą twarz i drżały mu ręce, wprawiając w wibracje mały

pergamin, który w nich trzymał. Wstał i wyciągnął go w moją stronę. Nie wzięłam go. Nie byłam w stanie. Opuścił dłoń z rezygnacją i zwiesił ramiona. — Pergamin został przyniesiony przez gołębia — wyszeptał. — Król... nie... żyje.

Gwardziści przy moim boku jęknęli. Ja w ogóle nie zareagowałam. Usiadłam z dłońmi na kolanach i martwym wyrazem twarzy. Mój umysł był równie czarny jak dziura, z której nie potrafiłam uciec.

— Z pewnością został także wysłany oficjalny posłaniec, a ciało króla zostanie przetransportowane do Jeru. Będę informował na bieżąco o wszystkich wiadomościach, jakie otrzymam — dodał nieśmiało. Wyciągnęłam do niego dłoń, otępiałe, automatycznie. Przyjął ją. Skłoniłam się ze złowieszczym opanowaniem, dziękując mu gestem za jego straszliwą wiadomość.

— Wasza Wysokość? — spytał niezdecydowanie gwardzista.
— Co... mamy zrobić?

— Czy jest ktoś, kto może przemówić w twoim imieniu, Wasza Wysokość? — spytał grzecznie Hashim. Miałam ochotę się ujawnić i spytać *jego*, czy mógłby być moim głosem, ale zawahałam się. Pozbawiona nadziei, nie ośmieliłam się obdarzyć go zaufaniem. Sięgnęłam po arkusze pustego pergaminu, atrament i pióro, które trzymałam na małym stoliku przy tronie. Dłońmi, które nagle wydały mi się obce, poprosiłam o jedyną osobę, która mogłaby mi pomóc. Jedyną osobę, która już znała mój sekret.

Napisałam jej imię koślawymi literami, a dłoń tak mi drżała, że zrobiłam kilka plam.

Sprowadźcie lady Firi.



— Wyślijmy wiadomość do Rady Lordów — doradziła lady Firi.

Była równie zamknięta jak ja i nie potrafiłam jej odczytać. Jeśli czuła zaskoczenie lub żal, nie dała tego po sobie poznać. Nie oceniałam jej — za moimi ścianami rozpościerała się spalona ziemia. Przeszliśmy do biblioteki, gdzie usiadłam przy biurku króla w otoczeniu jego przedmiotów. Brakowało mi jednak chociaż krztyny jego pewności siebie.

— Herold ogłosi tę wieść o zachodzie słońca i w mieście zacznie się Penthos, okres żałoby — dodała.

Przytaknęłam oślepiając i spojrzałam w oczy mojemu osobistemu gwardziście, który nieoczekiwanie przejął rolę oficjalnego królewskiego posłańca i rzecznika.

— Dopilnuję, by tak zrobiono. Poinformować także królewskich doradców? — spytał. Przytaknęłam ponownie, opierając się bezradności, która wypływała z mojej piersi jak dym. Tiras tak desperacko przygotowywał mnie do roli królowej, ale na coś takiego w ogóle nie byłam gotowa.

Gdy gwardzista wyszedł z biblioteki, lady Firi szybkim ruchem przestawiła fotel i usiadła przy biurku naprzeciw mnie, a jej głos był bardzo ostrożny.

— Lordowie przybędą do Jeru, Wasza Wysokość — ostrzegła.
— Będą starali się odsunąć cię na bok. Ogłoszą cię niesprawną. Musisz się zastanowić, jak zareagować.

Nie miałam na to gotowej odpowiedzi. Czekala, patrząc na mnie ostrożnie. Świadomie. Moje serce było jak wielka bryła jeruwiańskiej rudy, czarne, twarde i tak ciężkie, że ramiona rozpaczliwie chciały się zwiesić, a ciało domagało się zaprzestania oporu i pozwolenia, by ciężar w piersi ściągnął mnie twarzą na podłogę.

Kjell.

Tylko tyle byłam w stanie z siebie wykrzesać, ale lady Firi przytaknęła.

— Lordowie mogą zaczekać na pogrzeb króla. Ale jeśli bitwa

w Firi się nie skończy i Kjell nie będzie w stanie wrócić do Jeru razem z ciałem króla, pogrzeb z konieczności odbędzie się bez niego. Trzeba dopilnować przestrzegania obyczajów i rytuałów.

Nie będzie ciała. Tiras zniknął, ale nie umarł. Musiałam w to wierzyć.

A jeśli on... nie wróci?

Lady Firi spojrzała na mnie ostro.

— Kjell?

Nie chodziło mi o Kjella, ale i tak przytaknęłam, bo jej sugestia zmieniła moje skamieniałe serce w roztopiony strach. Co będzie, gdy żaden z nich nie wróci?

— Wtedy będziesz musiała podjąć pewne decyzje. Chcesz być królową? — spytała łagodnie. — Nosisz dziedzica, ale... być może najmądrzej byłoby pozwolić lordom zrobić to, co zamierzają.

Co to oznacza? Czego lordowie chcą?

— Kontroli. Władzy. — Wzruszyła ramionami. — A Tiras nie był szczególnie elastyczny.

Jeśli zostanę uznana za niesprawną... to kto mnie zastąpi?

— Rada może ogłosić twojego ojca regentem. Pozostaniesz królową, ale to on będzie sprawował rządy. Twoje dziecko odziedziczy tron, gdy dorośnie. Jeśli dożyje. Oczywiście możesz ponownie wyjść za mąż... za kogoś, kto zapewni ci ochronę... i głos. — Mówiła łagodnie, ale usłyszałam szept kpiny lub zwątpienia, który wyrwał się z jej myśli. Nie potrafiłam określić, czy ostrze pogardy jest skierowane we mnie, czy w ograniczenia nałożone na wszystkie kobiety w Jeru.

A co ty byś zrobiła, lady Firi?

Z zaskoczenia uniosła brwi.

— Ja? — Zaśmiała się i potrząsnęła głową, ale oczy jej rozbłysły i na moment ściągnęła usta. Gdy wróciła do mnie wzrokiem, jej spojrzenie znowu było płaskie i twarde.

— Przeciwstawiłabym się im. Zaczekała. Zagrała na zwłokę. I w odpowiedniej chwili... wykonała ruch.



Gdy o zachodzie słońca rozbrzmiały trąbki, wróciłam do komnaty i skuliłam się w garderobie króla. Ściągnęłam na siebie jego ubrania, a potem wchłaniałam jego zapach w płuca i zatrzymywałam go tam. Ale słowa i tak mnie odnalazły i przez dwie godziny słuchałam, jak królewski herold wykrzykuje w niebo swoje obwieszczenie, oznajmiając obywatelom Jeru śmierć króla.

— Jego Wysokość król Tiras z Jeru i lord Degn nie żyje. Król Tiras był potężny w bitwie i silny zarówno ciałem, jak i duchem. Był sprawiedliwy i prawy. Jeru płacze, a Degn jest pogrążone w żałobie. Królowa zarządziła w mieście Penthos na siedem dni. W tym okresie żałoby na ulicach ma panować cisza. Każdego dnia o zachodzie słońca mieszkańcy mają wracać do domów i pozostać w nich aż do wschodu słońca — grzmiał herold. — W siódmy dzień król zostanie wystawiony i wszyscy będą mogli publicznie opłakiwać jego odejście. Niech Bóg Słów i Tworzenia przyjmie jego duszę i ma w opiece nasze ziemie.



Jako że posiadłość mojego ojca w Corvyn leżała najbliżej Jeru, zjawił się w zamku jako pierwszy. Przyjęłam go w bibliotece, zrównoważona, z twarzą bez wyrazu, lecz przepełniona trwogą. Powiewając peleryną, wkroczył do środka ze zwieszonymi rękami i z konspiracyjnym spojrzeniem. Nie

usiadł na krześle naprzeciw biurka, lecz zaczekał, aż gwardzista wyjdzie i zamknie za sobą ciężkie drzwi. Nie bałam się o siebie. Mama zadbała przynajmniej o to.

— Oni będą chcieli cię zabić, córko — obwieścił bez przywitania. Nie powiedział kim są „oni”, ale wiedziałam, o kogo mu chodzi. Otwartą dłonią wskazałam fotel i czekałam. Rzucił się na niego ze zniecierpliwioną elegancją, odrzucając pelerynę na bok, żeby jej nie zmiąć.

Wiedziałam, że nie słyszy mojego głosu, więc nie próbowałam mu niczego przekazywać. Zamiast tego napisałam prymitywną wiadomość i położyłam pergamin przed nim. Dziwnie było się z nim komunikować. Zawsze traktował mnie jak brzydką, lecz bezcenną pamiątkę rodzinną, którą trzeba pilnować, ochraniać i ukrywać w kącie.

Jeśli umrę, to ty też.

Przeczytał i odepchnął pergamin na bok.

— Rada tego nie wie. Oni gardzą Obdarzonymi. Nie uwierzą w przepowiednię Meshary, a nawet gdyby uwierzyli, to i tak by ich nie powstrzymało.

Żałowałam, że nie nauczyłam się lepiej pisać, i było mi wstyd za swoje dziecinne litery i proste słowa, ale nie miałam wyjścia. Sięgnęłam po arkusz.

Jestem w ciąży.

Obrzucił mnie przerażonym spojrzeniem.

— To dla nich jeszcze jeden powód, żeby cię zabić — wysapał. Jego myśli krzyczały: „Ty głupia dziewczyno. Ty bezdennie głupia dziewczyno”.

Kjell z Jeru, brat króla, jest następny w dziedziczeniu tronu. Drżała mi dłoń, a w oczach paliły łzy, przez co pisałam to tak długo, że ojciec się zniecierpliwiał i wyrwał mi pergamin spod pióra, gdy tylko skończyłam.

Przeczytał i parsknął szyderczo.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

Wzięłam nowy arkusz i napisałam odpowiedź.

Król go uznał.

Ojcu opadła szczęka. Przez chwilę milczał, a słowa trzaskały wokół niego jak iskry. W końcu przetarł chudą dłonią twarz i opadł bezwładnie na fotel.

— Rada się wścieknie.

Wzięłam pergamin i skrupulatnie podsumowałam sytuację.

Jeśli umrę, to moje dziecko też umrze. Jeśli umrę, to ty też. Jeśli umrę, Kjell będzie królem.

Ojciec błyskawicznie wyciągnął wniosek.

— Musisz ogłosić mnie regentem, córko. Lordowie się na to zgodzą. Będziesz bezpieczna. I twoje dziecko też będzie bezpieczne.

Obserwowałam go w ciszy, patrząc mu prosto w oczy. Miałam w głowie mnóstwo pytań i słów, których napisanie zajęłoby mi całą wieczność. Pomyślałam o Corvyn i lasach, w których dorastałam. Mogłabym tam wrócić. Mogłabym tam wychować dziecko. Mogłabym zupełnie zrezygnować z prawa do tronu. Nie czułam pragnienia władzy, a bez pragnienia były tylko... obowiązki. Zamknęłam oczy i opuściłam głowę. A potem zanurzyłam pióro i napisałam proste wyznanie.

Nigdy nie chciałam być królową.

Ojciec przeczytał to i uśmiechnął się do mnie. Uśmiech promieniał z jego twarzy, całkowicie go zmieniając.

To był pierwszy raz, gdy się do mnie uśmiechnął.

— W takim razie postanowione. Gdy lordowie przybędą, powiemy im, co zostało ustalone — powiedział.

Powoli potrząsnęłam głową. Nie.

Uśmiech powoli opuszczał jego twarz, a rozczarowanie wyrzeźbiło nowe zmarszczki wokół jego ust.

— Nie ma innego wyjścia, córko.

Król wybrał mnie.

Ojciec wyrwał mi pergamin spod pióra i rozerwał go na dwie połowy.

— Wcale cię nie wybrał! Potrzebował twojego daru. Twojej mocy. On cię *wykorzystał!* — wyrzucił z siebie ze złością, nachylając się nad biurkiem tak blisko, że widziałam ciemnoszare plamki w jego szarych oczach.

Wstrzymałam oddech i serce przestało mi bić. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Nie wycofał się, lecz nadal wisiał nad biurkiem, niemal dotykając mnie twarzą.

— Myślałaś, że nie wiem, co potrafisz? — szepnął chrapliwie głosem, który brzmiał jak pocieranie piasku o kamień. — Jesteś taka sama jak matka... tyle że tysiąc razy gorsza! Zabiłaś ją i skazałaś mnie na życie w strachu.

Stałam na drżących nogach.

Korona, która przy moim łóżku leży, niech na mą głowę zaraz przybieży.

Po kilku sekundach korona, którą rzadko wkładałam, wyleciała przez drzwi balkonowe mojej komnaty, przeleciała nad dziedzińcem i wpadła do biblioteki przez okno. Zatrzymała się nad moją głową i opadła z ostrożną precyzją na moje poskręcane warkocze. To była jedyna odpowiedź, jaka przysła mi do głowy i która nie wymagała pisania.

Ojciec zaklął i odsunął się.

— Ty... jesteś... dzieckiem. Niemym! Nie możesz władać Jeru. Lordowie cię zniszczą! — Porzucił szept, a w jego głosie było słychać desperację. Przez chwilę uwierzyłam, że to

dlatego, że martwi się o mnie. — Gdybym mógł, sam bym cię zabił — syknął i chwila nadziei się skończyła.

Wystarczyła krótka rymowanka, a ciężki fotel uniósł się w powietrze, zabierając ze sobą stojącego ojca. Ten wrzasnął i próbował zeskoczyć, ale fotel odchylił się do tyłu jak dziki rumak i ruszył w stronę drzwi wejściowych, które otwarły się na mój rozkaz.

Nie potrafię mówić, nie potrafię nucić,

Ale potrafię cię stąd wyrzucić.

Kazałam fotelowi odwrócić się do góry nogami. Usłyszałam huk i łomot, po czym fotel wrócił pusty. Kłaśnięciem w dłoń i krótkim zaklęciem zamknęłam drzwi i zasunęłam zasuwę.

31



Usłyszałam za drzwiami węszenie Boojohniego, więc zmęczonym słowem odsunęłam zasuwę, żeby mógł wejść.

— Ptaszku? — szepnął w drzwiach w stronę pustego pomieszczenia.

Tu jestem, Boojohni.

— Gdzie?

Pod biurkiem.

Nie pytał, dlaczego się ukrywam. Zamknął po cichu drzwi, przytruchtał do biurka i zajrzał zza fotela, który przysunęłam, żeby się zasłonić. Był na tyle niski, że wystarczyło mu przechylić głowę. Odsunął fotel, wgramolił się obok mnie i poklepał mnie po przyciągniętych do piersi kolanach.

— Płakałaś... to dobrze. Żałoba jest dobra. Nie wydobrejesz, jeśli nie przeżyjesz żałoby.

Mój ojciec tu jest.

— Wiem — westchnął.

Nienawidzę go.

— Nie wydobrejesz, jeśli będziesz nienawidzić. Więc odpuść go sobie, mój skowronku — powiedział, ocierając mi łyzy serdelkowatymi palcami. Nie oponowałam, bo chciałam

poczuć się bezpiecznie. W rzeczywistości czułam się tak bezbronna, jak jeszcze nigdy w życiu.

Lordowie są już w drodze.

— Owszem.

Ojciec wie, co potrafię. Tylko strach o siebie powstrzymał go przed wygadaniem się, ale jest zdesperowany. Jeśli znajdzie sposób, by mnie zdemaskować i doprowadzić do odsunięcia mnie od władzy, ale tak, żebyśmy oboje nie zostali zabici, zrobi to. Jeśli powie lordom Bin Daru i Gaul, przejmą kontrolę nad tronem, a Obdarzeni w Jeru zostaną wyłapani i wyeliminowani.

— Najgorliwsi prześladowcy zazwyczaj mają najwięcej do ukrycia — powiedział Boojohni i oboje zapadliśmy w burzliwą zadumę, walcząc z koniecznością przyjęcia narzuconych nam obowiązków. Ale nie można było bez końca się ukrywać, co tylko podsyciło moje obawy.

Mogłabym udać się do Nivei przed przybyciem lordów i ostrzec Obdarzonych. Jestem przekonana, że słyszeli już o tym, że król... zginął.

Boojohni potrząsnął głową, zanim jeszcze skończyłam mówić.

— Nie, Ptaszku. Opuszczenie w tej chwili miasta jest niemal niemożliwe. Zamek jest pełen wścibskich oczu, a każdy ma jakiś ukryty cel. Znajdę sposób, by ostrzec Uzdrowicielkę, a ona ostrzeże resztę.

Boję się, Boojohni. Nie mogę samotnie walczyć z całym światem.

Przekazanie mu tych słów podsyciło moje obawy. Boojohni wziął mnie za rękę i przykrył ją drugą. Po dłuższym milczeniu odezwał się zatroskanym głosem.

— Musisz skontaktować się z Kjellem. Coś tu nie gra,

Ptaszku. To wszystko dzieje się zbyt szybko.

Tiras powiedział, że nie wróci. Powiedział, że trzeba to skończyć.

— Owszem — przyznał Boojohni. — Ale nie w ten sposób. Nie wtedy, gdy jesteś sama w Jeru, a Kjell z armią stacjonuje w Firi. To nie ma sensu.

Uczucie bycia porzuconą zostało przyćmione przez żal i nie byłam w stanie odróżnić jednego od drugiego. Ale podejrzliwość Boojohniego zmusiła mnie do refleksji i nagle mój strach przerodził się w panikę.

To miało sens tylko wtedy, jeśli królowi naprawdę coś się stało.



Rozwiązanie przyszło mi do głowy, gdy leżałam w ciemnościach ze wzrokiem utkwionym w niski mur za drzwiami balkonowymi, na którym Tiras przysiadł i zostawiał mi różne rzeczy. Małe podarki, którymi dawał mi znać, że jest w pobliżu, wiadomości od króla.

Zerwałam się gwałtownie z łóżka.

Ptaki przenoszą wiadomości.

Zrzuciłam kołdry, włożyłam płaszcz i pantofle, po czym ruszyłam korytarzami, rzucając rozprasające i odwodzące uwagę zaklęcia, żeby przejść przez zamek oraz średni i wysoki dziedziniec. Nie bałam się, że ktoś mnie zobaczy. Bałam się, że ktoś może mnie śledzić.

Budynek z ptakami był cichy i ciemny. Ptaki siedziały na swoich małych grzędach jak rozpieszczane księżniczki. Zrobiłam ostrożnie jeden krok, a potem drugi, z nadzieją, że Hashim nie poszedł na noc do swoich kwater. Usłyszałam, jak schodzi po schodach z piętra dla gołębi, i zamarłam, nagle

zakłopotana i niepewna swojego pomysłu.

Podskoczył w miejscu, gdy mnie zobaczył.

— Królowo! — Otaksował spojrzeniem krokwie w poszukiwaniu skrzydlatych nieznajomych. — Co... ty... — zaczął, ale zreflektował się. — W czym mogę ci pomóc?

Wzięłam głęboki oddech.

Słyszysz mnie, Hashimie?

Jego twarz pozostała zupełnie bez wyrazu, ale oczy niezauważalnie zapłonęły. Poczułam przyływ triumfu w piersi.

Potrzebuję twojej pomocy. Nie mam do kogo się zwrócić.

— Wasza Wysokość? — wykrztusił piskliwie tak niepewnym głosem, że wzdrygnęłam się na myśl o tym, w co go mieszam.

Przytaknęłam posepnie.

To ja, Hashimie.

Zbliżył się kilka kroków z drżącymi wargami i ze wzrokiem pełnym zdumionego podziwu.

— Tak, słyszę... słyszę cię. Jak mogę ci pomóc, królowo? — wyszeptał. Wyciągnęłam dłoń, a on bez wahania ją wziął. Nerwowość w moim brzuchu nieco złagodniała. Nie przeraziłam go. Po prostu go zaskoczyłam.

Muszę przekazać pilną wiadomość kapitanowi gwardii. Czy możesz wysłać gołębia do Firi?

— Tak, pani. Ale ptaki potrafią lecieć tylko do ustalonego miejsca — wyjaśnił z wahaniem. — Jeśli królewska armia stacjonuje poza Firi, a miasto jest obleżone, ptaki dolecą do gołębnika w Firi, ale wiadomość może nie od razu dotrzeć do kapitana, jeśli w ogóle do niego dotrze.

Moje serce pogrążyło się w mroku. Opuściłam wzrok i puściłam dłoń Hashima.

— Jaka to wiadomość, królowo? — spytał łagodnie.

Chcę usłyszeć bezpośrednio od kapitana straży, że król nie żyje.

Twarz Hashima się rozjaśniła.

— Jest jakiś powód, by wierzyć, że to nieprawda? — spytał.

Jest powód, by wierzyć, i jest powód, by się bać. Ale kapitan musi wiedzieć, co się dzieje w Jeru. Lordowie przejmą tron.

— Wybiorę się tam osobiście, Wasza Wysokość. Znajdę kapitana.

Szczęka mi opadła.

Ale... podróż konno tam i z powrotem zajmie kilka dni i jest niebezpieczna, a ty jesteś potrzebny tutaj.

Patrzył na mnie z opanowaniem. I zaufaniem.

— Nie zajmie mi to tak dużo czasu, królowo. A budynki ptaków pozostaną w dobrych rękach. Mam uczniów, bardzo zdolnych. Wrócę za trzy dni.

Nie rozumiem.

— Król i ja... jesteśmy tacy sami — szepnął. — Ja... polecę... do Firi.



Jeden po drugim zjawiali się lordowie z kolejnych prowincji. Każdy w towarzystwie małej armii, jakby śmierć króla była równoznaczna z wojną. Zajęli skrzydła zamku i wyznaczyli zebranie rady w sali tronowej. Polecono mi się tam zjawić, po czym zbiorowo mnie zignorowano, gdyż lordowie Bin Daru, Gaul i Bilwick wciągnęli się w zaognioną sprzeczkę z lordami Quondoona, Enoch i Jandy. Lady Firi obserwowała ich z przymrużonymi powiekami i założonymi rękami. Pomyślałam, że może wzięła sobie do serca własną radę i czeka na

odpowiednią chwilę, by wykonać swój ruch.

Uznanie Kjella jako brata przez Tirasa rozsierdziło wszystkich, także ambiwalentnych lordów z południa kraju, ale doradcy królewscy chętnie poparli to precedensami i jeruwiańskimi prawami. Wtedy mój ojciec stwierdził, że rada powinna mianować regenta i zaproponował siebie, jako ojca królowej. Doradcy królewscy spojrzeli po sobie nerwowo, świadomi, że Tiras pod żadnym pozorem nie życzyłby sobie lorda Corvyn na tronie.

— Czy królowa poprosiła o ustanowienie regenta, lordzie Corvyn? — spytała lady Firi łagodnie, przyciągając uwagę wszystkich siedmiu sprzeczących się lordów.

— Życzeń królowej nie można brać pod uwagę. Nie jest w stanie się komunikować, a tym samym nie może sprawować rządów — odparował ojciec.

— Nic takiego nie ustalono, lordzie Corvyn — zagrzemiał lord Jandy. Poparł go w tym lord Enoch, kuzyn mojej matki. Kłótnia rozgorzała na nowo. Wszyscy z coraz większą wściekłością przerzucali się argumentami, ale nikt nie wpadł na to, by skonsultować je ze mną.

Wzięłam księgę rachunkową i otworzyłam na pustej stronie. Następnie starannie ułożyłam oświadczenie dla rady, ojca i tych, którzy mieli jakiegokolwiek wątpliwości w kwestii mojej woli lub zdolności sprawowania władzy. W atmosferze męskich wrzasków posypałam tekst piaskiem i czekałam, aż wyschnie, a lordowie nadal wylewali na siebie swoje żale. W końcu wstałam. Lordowie także wstali, lecz nadal toczyli zażarte dyskusje i praktycznie nawet na mnie nie spojrzeli.

Podeszłam do lady Firi i podałam jej stworzony w pocie czoła dokument.

Mogłabyś to odczytać? Ariel z zaskoczenia uniosła brwi, ale natychmiast wstała, wzięła ode mnie tekst i czekała, aż wrócę na swoje miejsce przy stole.

— Królowa przygotowała oświadczenie i poprosiła mnie o jego odczytanie — obwieściła, przekrzykując swary.

Poczekalam, aż zwrócą na mnie pełną podejrzeń uwagę, po czym skinęłam głową, dając lady Firi sygnał do rozpoczęcia.

— Jestem Lark z Corvyn, a teraz z Degn. Zostałam koronowana na królową Jeru w obecności tego zgromadzenia. Jestem córką Jeru i mam arystokratyczne korzenie. Jestem zdrowa na ciele i umyśle i noszę w sobie dziedzica jeruwiańskiego tronu. Nie potrafię mówić, ale potrafię czytać i pisać oraz komunikować swoje życzenia i polecenia. Jestem lojalna wobec Jeru i zmarłego króla. On chciał, żebym objęła rządy. Jeśli konieczne będzie mianowanie regenta, żeby pomagał mi w kwestiach wojennych i państwowych, poproszę, aby Kjell z Degn, brat króla, został uznany za takowego, dopóki dziedzic króla nie osiągnie pełnoletności.

Moje oświadczenie spotkało się z milczeniem i podejrzliwymi spojrzeniami. Lady Firi nadal wpatrywała się w pergamin. Widząc jej bezruch, poczułam ukłucie strachu. Potrzebowałam przynajmniej jednego sojusznika, osoby, z którą mogłabym się konsultować. Nagle ciszę przerwał złowieszczy głos lorda Bin Daru.

— Zastanawiam się... czy królowa zna prawa dotyczące Obdarzonych? — spytał. Wciąż stojąc, spojrzałam mu w oczy, żeby pokazać mu, że słucham, a on dodał szybko: — Mam w Jeru swoich ludzi. Informatorów. Zaniepokojonych obywateli. Krążą plotki, że nasza królowa zadawała się z Uzdrowicielką. Zmarły król opierał się przed ściganiem Obdarzonych. Nie wypełniał należycie swoich obowiązków i niestety, stracił życie w walce z Volgarami, bestiami stworzonymi wskutek jego opieszałości. W Jeru toczy się wojna. Musimy zniszczyć Obdarzonych albo oni zniszczą nas.

Przypomniały mi się słowa Boojohniego o tym, że najgorliwsi prześladowcy zazwyczaj mają najwięcej do ukrycia.

Zastanawiałam się, co ukrywa lord Bin Daru i co mogą zyskać lordowie Gaul i Bilwick na popieraniu go.

— Moje pytanie jest takie, królowo Lark. — Lord Bin Daru wypowiedział moje imię z lekkim zaśpiewem, jakby według niego było zabawne. — Jakie jest twoje zdanie w kwestii Obdarzonych? Twoja matka była Powiadaczką. Pozwolisz im żyć, rozmnażać się i zatruwać Jeru? Czy może będziesz miała odwagę, by ich wykorzenić?

Wiedział, że nie potrafię odpowiedzieć na głos. Wszyscy o tym wiedzieli. Powiodłam po nich spojrzeniem. Korpulentnych i chudych, spoconych i bladych, spiskujących i zmęczonych. Lord Bilwick i lordowie z południa przypatrywali mi się, ale myśleli o swoich żołądkach. Siedzieliśmy tu całe popołudnie. Lord Gaul i lady Firi obserwowali mnie z pustymi twarzami. Ojciec spoglądał na mnie gniewnie, modląc się, bym nie zaczęła rzucać krzesłami, a lord Bin Daru czekał, obracając pióro w kościstej dłoni.

Gdy skupiałam się na tym jasnym piórku, które trzymałam kciukiem i palcem wskazującym, zauważyłam, że się zmienia. Na ułamek sekundy piórko stało się kielichem na długiej stopce, jakby lord dał się zdominować przez pragnienie wina. Mrugnęłam i kielich znowu był piórkiem, obracany w jego palcach.

Podniosłam wzrok i trafiłam na jego podejrzliwe spojrzenie. Wiedziałam już, jak zareagować. Sięgnęłam po własne pióro, zanurzyłam je w atramencie i na czystym pergaminie napisałam dużymi, grubymi literami, żeby on i reszta rady mogli bez trudu odczytać moją odpowiedź.

Czy mam zacząć od ciebie, milordzie?



Siódmego dnia Penthosu, o zachodzie słońca ubrałam się w

czern i ruszyłam w górę do katedry, tak samo jak w dzień ślubu. Dzwony biły po siedem razy, zawodząc żałobnie nad miastem. Nie wiem, jakim cudem ich brzmienie mogło tak bardzo się zmienić od tamtego dnia. Nie było już jasne i optymistyczne, lecz złowieszcze i ponure. A może to nie dzwony. Może chodziło o mnie — o moje uszy, serce, nadzieję. Może jednak byłam Zmieniaczem i to ja się zmieniłam.

Tym razem mieszkańcy nie rzucali kwiatów. Stali w milczeniu i obserwowali moje przejście. Niektórzy łkali, inni zachowywali spokój, ubrani w różne odcienie szarości, brązów i czerni.

W niespokojnych czasach nie było niczym niezwykłym, że powalony monarcha zostanie upamiętniony na polu bitwy, na której spotkał swój koniec. Czasem, jak w przypadku króla Zolteva, nie było szczątków do uhonorowania. Gdyby Tiras został sprowadzony do miasta, jego ciało zostałoby wystawione na stosie pogrzebowym nad miastem na następne siedem dni. Po tym czasie stos zostałby podpalony i ciało króla zmieniłoby się w pył i proch, z którego powstało.

Ale ciało króla nie dotarło do Jeru. Jego szczątki nie zostaną spopielone. Nie poznaliśmy żadnych szczegółów dotyczących jego „śmierci”. Żadnych podniosłych opisów jego męstwa lub nowych wieści o postępach wojny z bezwzględными Volgarami. Hashim nie wrócił. Pomnik Tirasa zostanie wzniesiony obok pomnika jego ojca, który stał obok pomnika ojca jego ojca. Wzgórze za katedrą było pełne posągów przedstawiających wojowniczych królów Jeru.

Lordowie szli za mną do katedry. Mieli stosownie ponure i opanowane twarze. Staralam się nie zwracać na nich uwagi, mimo że ich myśli i obawy ocierały się o moje proste ramiona i usztywnione plecy. Po tym, jak rzuciłam mu wyzwanie, lord Bin Daru zrezygnował z drażenia tematu i już do niego nie wracano.

Byłam niemal pewna, że zostanę odsunięta na bok. Obrady się skończyły, ale w prywatnych kwaterach w całym zamku nadal trwały rozmowy i knucie spisków oraz targi i przekonywania. Raz po raz słyszałam swoje imię, a moje życie niejednokrotnie było stawką w rokowaniach. Lordowie Enoch, Jandy i Quondoan optowali za moimi dalszymi rządami, ale nie czuli żadnej lojalności wobec mnie i nie mieli sentymentu do Tirasa. Chcieli po prostu, żeby nad Jeru panowała kompetentna osoba i żeby ich prowincje nie zostały dotknięte skutkami ubocznymi kiepskiego rządzenia.

Panowie z Bilwick, Gaul i Bin Daru chcieli mnie usunąć.

Mój ojciec i lady Firi trzymali się na uboczu, każdy z innych powodów, i bacznie obserwowali sytuację. Ojciec kłócił się o moje życie — i swoje — co zazwyczaj wiązało się z przyznaniem mu władzy, żeby mógł o to zadbać. Lady Firi nie zadawała się z nikim, a mnie nigdy nie udało się wyłapać żadnych jej słów i myśli, co w przypadku większości pozostałych lordów nie nastęczało żadnych trudności. Podejrzewałam, że ma mieszane uczucia w związku z Kjellem i jego powrotem, bo sztywniała za każdym razem, gdy jego imię było w jakikolwiek sposób związane z moim.

Sytuacja była patowa i wszystkie strony zdawały się zgadzać, że z ostatecznymi decyzjami trzeba poczekać do zakończenia Penthosu i powrotu brata króla. Weszłam więc na to wysokie wzgórze spowita w czerń — już nie jako panna młoda, lecz wdowa — i po raz kolejny zaczęłam błagać Tirasa, by wrócił.

32



Jeszcze tej samej nocy, niczym odpowiedź na moją penthosową modlitwę, na szczycie ściany ogrodu za salą tronową pojawił się mój orzeł. Był skąpany w księżycowym świetle, które nagle wydało mi się ciepłe, złociste i niemożliwie jasne. Roztopiało kamień otaczający moje serce, sprawiając, że stał się płynny i miękki.

Rozpostarł szerokie skrzydła i wzbił się w powietrze, a ja ruszyłam za nim, tak jak kiedyś.

Nie czekałam na Boojohniego i nie wezwałam gwardzisty. Nie było na to czasu, a poza tym nie chciałam zabierać potencjalnych świadków, gdyby udało mu się zmienić.

Tiras?

Chodź, ponaglił mnie ptak. Przelatywał z gałęzi na gałąź, ze ściany na ścianę, pilnując, żebym za nim podążała. Posłuchałam go i praktycznie biegłam przez las. Oszołomiona radością i przepełniona nadzieją, obserwowałam jego skrzydła, które rozwijały się i składały, gdy przemieszczaliśmy się coraz dalej. Wkrótce dostrzegłam chatę, cichą ostoję ukrytą pod koronami drzew. Serce waliło mi jak oszalałe ze zniecierpliwienia. Wmawiałam sobie, że Tirasowi na pewno uda się zmienić i że za chwilę znowu go zobaczę.

Chata była ciemna, a okiennice były otwarte na oścież i

przyciśnięte do kamiennych ścian, zamiast chronić okna przed leśnymi stworzeniami. Orzeł gdzieś zniknął. Zatrzymałam się, bo nagle zaczęłam się bać. Może zaślepiona pragnieniem po prostu wyobraziłam sobie, że ten ptak był orłem. Wezwałam go po imieniu, wysyłając słowo w mrok, ale nie uzyskałam żadnej odpowiedzi. Milczały nawet stworzenia, które zazwyczaj coś nuciły i gdzieś pędziły.

Wtem w środku rozbłysło światło. Ktoś zapalił lampę w tym niewielkim pomieszczeniu, co uspokoiło mnie jak głos matki. Rzuciłam się do biegu z suknią w rękach i uwięzionym w piersi szlochom. Wpadłam przez drzwi z imieniem Tirasa na ustach i stanęłam jak wryta.

Miała na sobie suknię z wstążkami, tę, którą znalazłam pod łóżkiem. Uznałam wtedy, że należy do Zmieniaczki, która została złapana, zabita i rzucona przed mój tron w dzień przesłuchań.

Lady Firi?

Zaśmiała się, napinając sznurowanie w dekolcie.

— Mówiłam ci, że w moich żyłach płynie krew Obdarzonych. Myślałaś, że to jakaś rozcieńczona krew?

Jesteś orłem?

— Jestem takim zwierzęciem, jakim zechcę. Małą myszką w kacie, słuchającą, jak król planuje swoje działania. Maleńkim ptaszkiem na parapecie, zbierającym informacje jak okruchy. Ukrytym w cieniu kotem. Gołębiem pocztowym przynoszącym wiadomości z Firi.

Poczułam w brzuchu alarmujące skręcanie.

Jesteś tą Zmieniaczką zdemaskowaną przez myśliwego?

Uśmiechała się z zadowoleniem i pochyliła głowę, jakby otrzymywała aplauz.

Ale... ty byłaś... martwa!

Machnęła dłonią.

— Udawałam. Nikt nie spodziewa się, że ptak będzie udawał martwego. — Jej usta wykrzywiły się w uprzejmym, lecz pełnym żalu uśmiechu, od którego włosy zjeżyły mi się na karku. — Poczekałam, aż wszyscy wyjdą, łącznie z tobą, i odfrunęłam. Kjell patrzył, jak odlatuję. Nie powiedział ci o tym?

Potrząsnęłam głową. Nic mi nie powiedział. Ale jedno było pewne. Lady Firi znała wszystkie sekrety.

Udawałaś przede mną króla.

— Owszem.

Dlaczego?

— Bo wiedziałam, że przyjdiesz tu za mną. Tamtej nocy się nie udało. Źle to zaplanowałam. A potem wrócił król. Musiałam zmienić strategię.

Patrzyłam na nią, nie w pełni rozumiejąc.

Ale... po co?

— Chcę Jeru. Aby je zdobyć, muszę poślubić króla. Tiras o to zadbał, prawda? Mianował Kjella swoim następcą. Tego nie przewidziałam, chociaż miałam na to nadzieję. Sądziłam, że będę musiała zdobyć Jeru sprytem. Okazuje się jednak, że mogę to zrobić za pomocą małżeństwa. Tak jak ty.

Nigdy nie chciałam być królową.

— Każda dziewczyna chce być królową — warknęła. Wyraz jej twarzy zmienił się tak szybko, że dostrzegłam w niej przebłysk bestii. — Mogę być lwem, wężem, ptakiem, nawet smokiem. To dlaczego nie królową? — Wzruszyła ramionami, ale jej nonszalancja była podszyta gniewem. — Bardzo wielu rzeczy nie byłam w stanie przewidzieć. Ty na ten przykład. Nie miałam pojęcia o twoim istnieniu, a tu nagle stajesz się królową Jeru i podbierasz mi koronę.

To ty porwałaś króla w dzień naszego ślubu.

— Jestem Zmieniaczka. Wiedziałam, kiedy król jest najbardziej bezbronny. Znałam schemat jego zachowań. Nie było to trudne, a przenoszeniem ciężarów zajęli się gwardziści.

A lordowie? Mój ojciec?

— Powiedziałam im, że król nie przybędzie. Obiecałam im to.

Ale przybył.

— Owszem. Kolejna rzecz, której nie byłam w stanie przewidzieć. — Przechyliła głowę, przyglądając mi się badawczo. — Miałaś z tym coś wspólnego?

Nie odpowiedziałam, pilnując, by moja twarz była bez wyrazu. Czyżby mnie nie słyszała? Czyżby tylko ptaki były wtajemniczone w moje wezwanie?

— Tym razem król nie przybędzie, prawda? On nie wróci. Za to wróci Kjell, dziedzic tronu. Dlatego musisz zginąć.

A ataki w Firi? Co, jeśli Kjell zginie?

— W Firi nie ma Volgarów. Kłamałam. One są tutaj.

Ruszyłam pospiesznie w stronę drzwi. Lady Firi nawet nie próbowała mnie zatrzymać, lecz jej słowa były jak noże wbijane w moje oddalające się plecy.

— Liege chciał ciebie. Ja chcę Jeru. Dogadaliśmy się.

Rzuciłam się do biegu, wypychając słowa w górę, żeby ostrzec wszystkich, którzy byli w stanie mnie usłyszeć, przed nadciągającą z nieba śmiercią.

Wszyscy w Jeru, usłyszcie mój krzyk,

W niebo skierujcie twarze w mig.

Usłyszałam nad sobą łopot nurkującego stworzenia, ale nie były to orle skrzydła. Znałam ten odgłos. Przez warstwy moich

ubrań, raniąc skórę na plecach, przebiły się szpony, które otoczyły moje żebra niczym dłonie niemowlęcia przywierającego do matki. Wydałam z siebie bezgłośny krzyk, gdy moje stopy oderwały się od ziemi. Krzyk dla Tirasa, Jeru, mojego dziecka. Wiatr chłostał mnie po twarzy i plątał mi włosy, a ziemia oddalała się coraz bardziej i bardziej. W każdej chwili spodziewałam się, że zostanę puszczone i rozbiję się o ziemię, a Volgar sfrunie za mną, żeby pożywić się moim ciałem. Ale on leciał dalej, uderzając skrzydłami powietrze w jednostajnym rytmie. Flap, flap, flap, szybowanie. Flap, flap, flap, szybowanie.



Nie umiałam na niego wpłynąć. Próbowałam go zobaczyć, zwisając z jego szponów. Wypychałam słowa i błagania, zasypywałam go zaklęciami, ale było to równie skuteczne jak pobożne życzenia. Wciąż leciał, nie zważając na żadne ciskane przeze mnie słowa.

Był inny niż pozostali ptakoludzie. Pokryta kolcami długa głowa była osadzona na pokrytych srebrzystymi łuskami ludzkich ramionach i torsie, a resztę ciała miał ptasią. Jego czarne skrzydła były od spodu upstrzone zielenią i błękitem, jak skrzydła pawia. Przeróżający i dziwnie piękny stanowił połączenie mężczyzny, ptaka i gada — smoka? Nigdy nie widziałam takiego stworzenia.

Wznosiliśmy się coraz wyżej w stronę gór na wschód od miasta Jeru, które wyglądały jak postrzępione fortece. Klify i turnie sterczały szyderczo w ciemnościach jak ostre zęby. Stwór zaczął krążyć i zwalniać. Pozwalał, by prąd powietrza ściągał go w dół, ale hamował opadanie ruchami skrzydeł. W końcu posadził swój wielki opierzony zad na podłożu. Łopocząc skrzydłami, wszedł do jamy na boku góry i bezceremonialnie mnie rzucił.

Straciłam poczucie kierunku, kręciło mi się w głowie i przewracało w trzewiach, a intensywne poczucie ulgi walczyło z paralizującym strachem przed tym, co będzie dalej. Dysząc, okryłam się płaszczem. Skrzywiłam się; rany na plecach dały o sobie znać. Spróbowałam wstać, zatoczyłam się i wpadłam na ścianę jaskini. Przywarłam do skał i czekałam, aż świat przestanie wirować.

Potwór obserwował moje próby uspokojenia się z osobliwą fascynacją. Przechylił smoczą głowę na bok, jakby czekał na lawinę moich pytań. W jaskini było ciemno — księżyc w pełni nie wystarczał, by oświetlić najdalsze zakamarki. Zaczęłam się przesuwac wzdłuż ściany. Nie łudziłam się, że on mnie wypuści, ale liczyłam na dotarcie bliżej wejścia, bliżej światła.

Nie chciałam umierać w mroku.

Pozwolił mi wykonać kilka kroków, żebyśmy oboje stanęli w świetle księżyca, a potem przemówił.

Wiesz, kim jestem, moja mała królowo? Słowa wyszły z jego umysłu, a nie z jego paszczy. Wzdrygnęłam się, bo nie podobało mi się to uczucie, jakie wywoływały w głowie. Były nachalne i ciężkie, zabierając miejsce moim własnym myślom. Sama się tak komunikowałam i nieoczekiwanie zrozumiałam, dlaczego Kjell miał o to takie pretensje.

Nie. Staralam się, by mój głos był jak włócznia, i cisnęłam nim przed siebie. Potwór syknął, puścił wąskimi nozdrzami obłok pary i zbliżył się do mnie, zmuszając mnie do odejścia w stronę krawędzi klifu.

Odwróciłam się od niego, żeby ukryć twarz, bo nie chciałam pokazać mu swojego strachu. Podszedł jeszcze bliżej; tak blisko, że palcami stóp stałam na krawędzi i czułam za sobą jego gorącą obecność.

— Ale ja wiem, kim ty jesteś — szepnął na głos, żeby pokazać mi, że potrafi. Jego rozdwojony język wyskoczył na moment z paszczy, a parzący oddech trafił mnie w odsłoniętą skórę pod

uchem, przypiekając ją. Zacisnęłam zęby, żeby nie krzyknąć, nawet w myślach, i zaczęłam rozważać rzucenie się w dół. — Jesteś córką Meshary. — Zesztywniałam, bo nie podobało mi się, że imię mojej matki wypowiedział z zaśpiewem, jak mężczyzna smakujący wino. Dotknął mojej sparzonej skóry na szyi pokrytą łuskami kostką. Poczułam wilgotne pęknięcie i iskrę bólu. — Przysmażyłem cię. Wybacz. Zapomniałem, że skóra kobiety jest bardzo delikatna. Jesteś całkiem ładna, naprawdę. Zaskakująco ładna. Jak światło księżyca. Błada. Smukła. Można by patrzeć na ciebie i cię nie widzieć, a potem zreflektować się po czasie i już nie móc oderwać wzroku.

Tiras opisał mnie tak samo.

Potwór oddalił się nieco, jakby naprawdę było mu przykro, że sparzył mi skórę. Odsunęłam się od krawędzi, ale nie odrywałam wzroku od rozpościerającej się pode mną czarnej czeluści.

— Jesteś córką Meshary, królową Jeru, Lark z Corvyn.

Wstrzymałam oddech, w słabym świetle odnalazłam jego oczy i czekałam.

— Mój syn uczynił cię królową. Co za spryciarz.

Przełknęłam ślinę i poczułam łzy w oczach. Niepewnym ruchem dotknęłam małżowiny usznej, przekonana, że się przesłyszałam.

Twój syn?

— Król. Tiras — wyszeptał z syczącym „s”. — Jestem Liege. Ale jestem także... Zoltev. Pamiętasz mnie, Lark z Corvyn?

Potrząsnęłam głową. Zdecydowanie. Ze sprzeciwem. Z przerażeniem.

Jesteś Volgarem.

— Nie. Volgary to zwierzęta. Ja jestem człowiekiem. Ze skrzydłami. I szponami. — Usłyszałam uśmiech w jego

słowach, ale go nie zobaczyłam.

Zoltev był... człowiekiem, a ty jesteś potworem.

— Ale jeśli zechcę, mogę być człowiekiem.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku, gdy zgodnie ze swoimi słowami nagle stanął przede mną bez skrzydeł, szponów, piór i łusek.

Wyglądał jak Tiras.

Zarozumiale uniesiony podbródek i dumna postawa sprawiły, że zadrżałam od zalewających mnie wspomnień. Włosy mu posiwiały, a ciało się postarzało i patrzył na mnie oczami Kjella. Ale i tak go poznałam.

Zaśmiał się, gdy nogi się pode mną ugięły. W ostatniej chwili się złapałam, rozcinając sobie dłoń o ostrą skałę. Ciepła, karmazynowa krew gromadziła się w dłoni i skapywała na skały pod moimi palcami. Krew mojej matki została przelana na bruku. Utworzyła kałużę pod naszymi ciałami i zakrzepła w moich włosach.

Król-bestia nachylił się nade mną i zanurzył palec w małej kałuży w mojej dłoni.

— Dlaczego jednak miałbym być człowiekiem, jeśli mogę być Liege'em? — spytał zwyczajnie i wziął palec do ust, by posmakować mojej krwi.

Wykrzywił się i zadrżał, a dolna część jego ciała na powrót pokryła się piórami, stopy zmieniły się w nogi ptaka. Wstał, odrzucił głowę, a na plecach niczym rozwijana flaga pojawiły się skrzydła.

— Wolę być czymś pomiędzy. — Od pasa w górę pozostał człowiekiem, ale na palcach dłoni wyrosły mu szpony, przebijając się gładko przez skórę na czubkach jak u przeciągającego się kota. — Mogę być czymkolwiek. Mam dar Zmiany i Przędzenia.

Nie jesteś Uzdrawicielem?

— To jedyny dar, który nie jest mi potrzebny. Nie ma w Jeru nikogo, kogo chciałbym uzdrowić.

Oczywiście, że nie. Uzdrawianie wymaga miłości.

— Uprządłem wojowników z sępów, całą armię. Zacząłem od kilku i wysłałem je do ataku. Zostawiliśmy ciała, żeby zgniły na słońcu, co przyciągnęło kolejne sępy. Uprządłem z nich Volgary i tak, stopniowo, uzyskałem potężne wojsko. Mówię im, co mają robić. Łatwo je kontrolować... nieprawdaż? Zniszczyłaś tak wiele moich dzieł, mała królowo. Powinienem także cię zniszczyć.

Z trudem się podniosłam, bo nie chciałam kulić się u jego stóp. Obserwował mnie, jakby go to bawiło.

— Powinienem cię zniszczyć, ale możesz mi się przydać.

Wzdrygnęłam się, a jego czarne brwi się uniosły.

— Bestie mnie słuchają, bo jestem ich stwórcą. Ale nie jestem Powiadaczem. Nie potrafię im rozkazywać zwykłymi słowami. A ty potrafisz.

Nawet teraz wyczuwałam słowa, które ożywiały ich olbrzymie latające cielska i proste umysły. Słyszałam ich głód i pragnienie krwi. Zaczęłam je odstraszać, rzucając zaklęciami. Nie widziałam ich, ale były blisko.

— Słyszę cię. Boją się ciebie. Ale nie ty jesteś ich celem.

Dlaczego to robisz? Odszedłeś. Twoi synowie oraz poddani i mieszkańcy Jeru uwierzyli, że nie żyjesz.

— Skoczyłem z klifu i zmieniłem się w ptaka.

Po co?

— Meshara powiedziała, że stanę się tym, co mnie najbardziej przerażało — potworem — i to się spełniło. Meshara wiedziała, czym się stanę. Mogłem ją oszczędzić, ale

ona wiedziała. Musiałem ją zabić.

Zabił ją, bo ona *wiedziała*. Boojohni miał rację. Matka przewidziała to, co się stanie. To nie była klątwa, lecz przepowiednia. Nagle dotarło to do mnie w pełni.

— Już wcześniej zacząłem tracić kontrolę, ale po śmierci Meshary było coraz gorzej. Zmieniałem się bez ostrzeżenia. Wchodziłem do stajni i nagle byłem koniem. Brałem kąpiel i stawałem się wielką, pluszczącą rybą. Z wszystkiego, czego dotykałem, prząłem coś, czego nie chciałem uprząść. Złoto zmieniałem w kamienie, kamienie w wodę, chleb w piasek, a swój miecz w słomkę. Któregoś ranka obudziłem się, a kołdra na moim łóżku była zmieniona w boa dusiciela. — Patrzył na mnie ze ściągniętymi ustami. — Bałem się tego, co by było, gdyby mój sekret został odkryty.

Opuściłeś Jeru ze strachu. Już się nie boisz?

— Stałem się tym, czego najbardziej się bałem. Teraz *jestem* strachem. I nikt mnie nie powstrzyma.

Spojrzał na miasto pod nami i rozpostarł olbrzymie skrzydła.

— Mój syn... też jest Zmieniaczem. Orłem. Ale nie potrafi kontrolować zmian. A teraz zniknął. Jeru potrzebuje króla, a ty jesteś sama. Pozwolę ci żyć, jeśli zrobisz, co ci każę.

A co z lady Firi? Ona myśli, że zostanie królową.

Zarechotał.

— Nadaje się na przytulankę.

Przez chwilę w mieście było cicho. Dzielący nas od niego dystans tworzył iluzję spokoju. Nagle rozgorzały płomienie, które zaczęły lizać niebo, i całe miasto się ożywiło. Swąd bitumenu i dymu unosił się na wietrze, a do mnie mimo znacznej odległości zaczęły docierać narastające krzyki i wrzaski. *Kryć się*, wołali ludzie. *Uciekać*, piszczały kobiety. *Volgary*, ostrzegali mężczyźni. Wśród tych nawoływań

przebiło się przez powietrze słowo *mamo*. Zakryłam z przerażenia uszy. Nie chciałam tego słyszeć, bo nie byłam w stanie temu zapobiec. *Ptakoludzie atakują. Volgary tu są. Uciekać. Kryć się. Ratunku*. Słowa drżały i pękały, a potem pęczniały na nowo jak pęcherze, które powstały na mojej skórze od dotyku Liege'a.

Tirasie, zawołałam. *Tirasie, twoje miasto. Twoje miasto płonie*.

— Wzywaj go sobie, Lark z Corvyn. Wzywaj swojego orlego króla. Wzywaj mojego syna, żeby wiedział, że jego ojciec wrócił. Volgary dokonają rzezi, pożywią się, a gdy ludzie zaczną błagać o litość, okażę im ją. Odwołam je. I odbiorę to, co moje.

Ogniu, co na ulicach płoniesz,

Znajdź ptakoludzi i zacznij ich gonić.

Strzały, które z kołczanów sterczycie,

Znajdźcie Volgary, odbierzcie im życie.

Zoltev wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem.

— Miasto płonie, a ty tworzysz rymowanki?

Wy, ptakoludzie, to do was mówię,

Jeru płonie na waszą zgubę.

Złóżcie skrzydła, zamknijcie oczy,

Jeśli żyjecie, niech śmierć was zaskoczy.

— Naprawdę sądzisz, że cię usłyszą? Że twoje słowa są tak potężne, że zadziałają z takiej odległości? — drwił Zoltev.

Skąło pod Zolteva stopami,

Otwórz się pod nim, żeby się zranił.

Wchłoń go w swą czeluść jak najskuteczniej,

Niech miasto znowu będzie bezpieczne.

Zoltev obnażył zęby i zamachnął się, trafiając mnie w twarz. Przez ułamek sekundy zawisłam w powietrzu między upadkiem a lotem z szeroko rozpostartymi rękami, szukając czegoś, czego mogłabym się złapać. Stałam się jednak częścią nieba, furkoczącą laleczką na wietrze z gonitwą słów w głowie.

Zaczęłam spadać.

33



Brzmiało to jak krzyk orła, przeszywający i długi. Wibrował w mojej głowie, mimo że wiatr targał mnie za włosy i ubrania, przeciwstawiając się dłoniom ściągającym mnie zachłannie w dół. Poczułam, jak z mojego gardła wydobywa się dźwięk i ciągnie się za moim nurkującym ciałem. Nagle zachłanne dłonie grawitacji zmieniły się w potężne ramiona, a huk wiatru przekształcił się w łopot skrzydeł i zostałam złapana w powietrzu przez króla Volgarów.

Poczułam szarpnięcie i spadł mi płaszcz, który kontynuował moją wcześniejszą drogę w dół, łopocząc jak karmazynowy ptak w sidłach wichury. Przez chwilę kotłowaliśmy się dziko, wpadając na siebie ciałami, rękami i skrzydłami. Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć końca, bo wciąż opadaliśmy. Nagle skrzydła złapały wiatr i okiełznały go, zmusiły do uległości. Zaczęliśmy się wznosić w stronę nieba, w stronę księżyca i gwiazd, zostawiając śmierć za sobą.

Krzyknęłam znowu. Dźwięk wezbrał w moim gardle i uwolnił się w noc, a król zbliżył twarz do mojego ucha i powiedział:

— Ciii, moja królowo. To ja.

Dotarło do mnie, że obejmujące mnie ręce nie mają łusek. Niosące mnie skrzydła nie są zabarwione zielenią, a męzczyzna, który złapał mnie w powietrzu nie jest bestią.

Tiras.

Tiras?

Zaczęłam szlochać, uwięziona w jego niespodziewanym uścisku. Płakałam z przerażenia i nadziei, niedowierzania i rozradowania, obserwując rozpościerający się pod nami świat, magiczny i cichy, jak marzenie. Mogłabym tak lecieć bez końca i nigdy nie wrócić, dosięgły mnie jednak odgłosy z Jeru.

Gdzie okiem sięgnąć, dym, popiół i kłębiące się płomienie punktowały krajobraz, a my nagle znaleźliśmy się pośród stada Volgarów, skrzeczących i nurkujących w chaotycznym szaleństwie. Nie zwracały na nas uwagi; uważały Tirasa za jednego z nich, ptakoczłowieka dzierżącego swoją ofiarę. Zaczęłam więc formułować i rzucać zaklęcia.

Z sępów rodem, śmierć niosące,

Wy, Volgary niemyślące.

Już do piekła wracać trzeba,

Więc znikajcie z tego nieba.

— Trzeba to zakończyć — powiedział mi Tiras do ucha. — Jeru płonie, mój ojciec żyje. Trzeba to skończyć.

Volgary musiały umrzeć. Nie mogłam ich odesłać, nie mogłam zmusić ich do odlotu. Żeby to skończyć, musiałam je zniszczyć.

Volgary, nie zasługujecie, by żyć,

Niech wasze serca przestaną bić.

Na niebie i ziemi usłyszcie me słowa,

Niech żaden z was się nie uchowa.

Volgary zaczęły spadać jak muchy. Wierzgały ciałami z bólu, a skrzydła odmawiały im posłuszeństwa. Zanurkowaliśmy razem z nimi. Wlecieliśmy w obręb murów miasta, przyciągając strzały zdesperowanych łuczników, którzy nie

byli w stanie odróżnić skrzydlatego króla od kotłujących się ptakoludzi. Zrezygnowałam z zaklęć przeciwko Volgarom i skupiłam się na słowach, które chroniły nas przed strzałami, a król okrążył zamek i wylądował z gracją na dachu pałacu. Złożył skrzydła, wypuścił mnie i natychmiast zaczął komenderować zdumionymi łucznikami.

— Wasza Wysokość? — krzyknął jeden z nich, a inny opuścił łuk i przetarł dłonią oczy. Tiras miał na sobie bryczesy i buty, lecz od pasa w górę był nagi, bo na plecach wyrastały mu skrzydła, czarne jak sadza i z czerwonymi końcówkami. Identyczne jak orle, lecz znacznie większe. Ich zaokrąglone szczyty otaczały z tyłu jego szerokie ramiona, a końcami sięgały aż do pięt. Włosy, oczy, szpony, a teraz... skrzydła.

— Dajcie mi miecz! — wrzasnął Tiras. Przeskoczył krawędź muru i pół skokiem, pół lotem opadł na gzyms poniżej nas. Biegł z rozpostartymi skrzydłami, krzycząc do swoich ludzi, żeby na powrót skupić ich na aktualnym zadaniu.

Na zewnętrznych murach leżało dwóch gwardzistów z brzuchami rozerwanymi przez szpony Volgarów. Obaj nadal ściskali w dłoniach miecze. Bez wahania nakazałam broni unieść się w powietrze i znaleźć króla.

Lećcie do niego, do jego dłoni,

Niech król poddanych swoich chroni.

Usłyszałam zdumienie i strach rycerzy, którzy obserwowali lewitujące w stronę króla miecze. Wezwałam go ostrzegawczo, a on odwrócił się i je złapał. Błysnął uśmiechem i skrzyżował swoją świeżo zdobytą broń, po czym wzniósł się w powietrze jak anioł zemsty.

Podleciał do wieży herolda wychodzącej na plac miejski i zawołał do ludzi na dole.

— Wpuścić kobiety i dzieci do twierdzy! Opuścić most! — wrzasnął. Gwardziści na gzymsach nad bramą rzucili się, by

wykonać polecenie. Otwarli bramę i podnieśli kraty, pozwalając schronić się w obrębie murów Jeruwiańczykom spoza zamku. Setki mieszkańców ruszyło biegiem do środka, z dziećmi za rękę i oczami wbitymi w niebo w oczekiwaniu na atak, który nie nadchodził.

Przez chwilę niebo było czyste, gdy ostatnia fala ptakoludzi spadła z powodu zamarłych serc oraz strzałów z proc i łuków. W środku burzy nagle wszystko się uspokoiło i nad zamkiem uniosła się aureola nadziei. Ludzie spoglądali po sobie ze zdumieniem i z wyczekiwaniem, mimo że nadal w pośpiechu szukali schronienia.

— Wyniosły się? — szeptali rycerze na obwałowaniach i gzymsach. — Czy to już koniec? — Odważył się zasugerować jeden z gwardzistów.

Powietrze było nieprzejrzyste, dym przesłaniał niebo i panowały nieubłagane ciemności. Nadzieja przerodziła się w nasłuchiwanie i wstrzymywanie oddechu. Nagle na szczycie murów rozległ się ponownie głos Tirasa. Ludzie oderwali wzrok od nieba, a skierowali go na stojącego nad nimi skrzydlatego króla i zauważyli to, co tak desperacko starał się ukryć. Był wspaniały i jednocześnie przerażający — łopoczące czarne skrzydła i białe włosy — a przez zszokowany tłum przeszła fala podziwu i dziwnego uwielbienia.

— Mieszkańcy Jeru! Zbyt długo prześladowaliśmy Obdarzonych i zbyt długo ci z was, którzy umieli uzdrawiać, zmieniać się, prząść lub powiadać, byli zmuszeni do ukrywania się z obawy przed konsekwencjami ujawnienia swoich zdolności. Stojąc przed wami jako król Jeru i jeden z tych, którzy żyli z takim piętnem i z tymi samymi obawami, proszę was, byście wyszli z cienia i pokazali swoją siłę. Zarówno obdarzeni, jak i nieobdarzeni. Musimy bronić naszych rodzin. Musimy bronić naszego miasta. I siebie nawzajem. Walka dopiero się rozpoczęła. Król Volgarów zniszczy Jeru. Naśle na was swoje bestie i nie będzie miało znaczenia, którzy z was są

Obdarzeni, a którzy nie. Wszyscy zginiemy lub zostaniemy zniewoleni.

Przez chwilę na dziedzińcu panowała cisza, szybko jednak wybuchły podekscytowane rozmowy, pełne przestraszonych pytań. Ale nie było czasu na gadanie.

— Kobiety i dzieci, starcy i niedołęźni, ukryjcie się w twierdzy — wykrzyknął król. — Wszyscy Obdarzeni i utalentowani, użyjcie dziś w nocy swych umiejętności miastu, a od tego dnia będziecie mile widziani i chronieni królewskim rozkazem.

— Nadlatują, panie! Niebo jest pełne Volgarów! — wrzasnął wartownik.

Tiras opuścił wieżę herolda i podleciał do mnie. Odrzucił jeden z mieczy na bok, złapał mnie wolną ręką i po raz kolejny porwał w powietrze.

Zanieś mnie na wieżę strażniczą.

Zignorował moje polecenie, patrząc na zdenerwowanych gwardzistów i spanikowanych mieszkańców, którzy tłumnie zbiegali w stronę twierdzy. Postawił mnie przy wejściu do twierdzy.

— Zostań z nimi. Ochroń ich... i siebie wewnątrz zamku — nakazał. Przytknął usta do moich, szybko i mocno, i już go nie było. Przebiegł trzy kroki wzdłuż obwarowań i wzbił się w powietrze. Zamknęłam oczy i zwróciłam się do Obdarzonych, prosząc ich o zaufanie i posłuszeństwo. Widziałam Liege'a. Walka dopiero się zaczęła, a Jeru nie przetrwa bez pomocy.

Obdarzeni z każdej strony,

Dziś was trzeba do obrony.

Kobiety z dziećmi stłoczyły się w sali tronowej. Zamknięto okna i zabarykadowano drzwi, żeby nie wpuścić do środka wygłodniałych ptakoludzi. Dostrzegłam ojca wraz z

pozostałymi lordami. Rozglądał się szaleńczo i wzywał swoich ludzi, których nigdzie nie mógł znaleźć. Miałam nadzieję, że byli teraz na murach razem z resztą jeruwiańskich mężczyzn.

Nagle rozbiło się długie, prostokątne okno, obsypując stojących pod nim ludzi szkłem, a do środka wpadła olbrzymia kula ognia. Próbowałam na szybko uklecić jakieś zaklęcie, by zmienić trajektorię jej lotu, ale byłam zbyt wolna. Lord Bin Daru spowity w płaszcz i we własny strach uniósł błyskawicznie dłonie i gdy ogień dotarł do jego palców, przerobił go na wodę, która przemoczyła wszystkich wokół niego.

W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza, a lord Bin Daru cofnął się przerażony. Ujawniony.

— On potrafi Prząść — krzyknął ktoś.

— Chwalmy Stwórcę — dodała jakaś kobieta. — Jesteśmy mokrzy, a nie martwi.

Obdarzeni zaczęli się ujawniać jeden po drugim. Pani Lorena wzięła się do przerabiania łyżeczek na miecze, a włosia miotły na setki strzał. Jedno z dzieci nakazało szkłu się naprawić i odłamki podniosły się z ziemi, po czym dopasowały do siebie i na powrót wypełniły okno. Pewien starzec zmienił się w słońca i zaciągnął ciężki tron pod drzwi do ogrodu, żeby je dodatkowo zabezpieczyć przed atakiem z zewnątrz, a przysadzista kobieta zmieniła się w drobną ptaszynę i wylatywała na zewnątrz, żeby informować nas na bieżąco o postępach toczącej się bitwy.

Do holu głównego zaczęto wciągać rannych z dziedzińca. Kobiety kursowały między nimi, by tamować krwawienia i oddzielać żywych od martwych. Jednym z sanitariuszy był lord Quondoan, który podchodził do kolejnych cierpiących rycerzy, przykładał dłonie do uszkodzonych ciał i kończyn i nucił.

Stałam przy wejściu do twierdzy. Miałam wąski widok na obwarowania i dokładałam wszelkich starań, by rzucać

zaklęcia, ale się nie odsłonić. Na dziedzińcu nie było bezpiecznie. Zamek miał mocne i wysokie mury, ale Volgary przelatywały górą, po czym tłumnie spadały na obrońców, żeby na nich żerować. Łopotały skrzydłami i ociekały im szpony, a po każdym zaklęciu sformułowanym przez mój zmęczony umysł nadlatywała nowa fala napastników.

Na część Volgarów słowa działały, a na część nie, jakby kakofonia szczęku mieczy, wrzasków bestii i jęków umierających tworzyła ścianę, przez którą moje słowa musiały się przebijać. Walczyliśmy z Volgarami na otwartym polu, ludzie kontra bestie, ale mury zamku działały na naszą niekorzyść. Niebo było wypełnione dymem, przez co atakujący do ostatniej chwili pozostawali niewidoczni.

— Kjell jest u bram miasta z dwoma setkami ludzi — podniósł się krzyk, zabarwiając powietrze poczuciem ulgi, zupełnie jakby nadeszła odsiecz. Sądząc jednak po liczbie rannych i martwych w holu głównym, nie mogłam pozostać tu, gdzie byłam, i rzucać słów przez szczeliny w drzwiach i murach. Musiałam wyjść na otwartą przestrzeń.

Schylona wybiegłam z holu na dziedziniec i pognałam w stronę górnych obwarowań, trzymając się murów. Dotarłam do schodów wiodących na wieżę nad bramą miasta. Była ona najwyższym punktem na południowych murach, więc powinnam mieć dobry widok na toczącą się bitwę i niebo.

Tiras był wszędzie, zaciekły i zwinny wojownik wymachujący zabójczą bronią. Skrzydła umożliwiały mu szybkie przemieszczanie się, więc przemierzał mury i przenosił się od potyczki do potyczki, zadając ciosy i szlachtując kolejnych ptakoludzi, aż cały tors miał pokryty ich posoką.

— Lark! — Moje imię przecięło powietrze jak bat. Odwróciłam się, dokończając zaklęcie, i zobaczyłam ojca. Wszedł za mną po schodach na wieżę, w dłoni dzierżył miecz, którego z całą pewnością nie potrafił używać.

Śledził mnie, a jego śledziła lady Firi.

Zawołał mnie ponownie, ale ja skupiłam się na idącej w moim kierunku kobiecie w zakrwawionej sukni, o beznamiętnym spojrzeniu i zaciśniętych zębach. Nie pozdrowiła mnie ani się nie odezwała, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do swoich zamiarów. Nagle zmieniła się w czarną panterę, gładką i muskularną, i ruszyła do mnie na bezszelestnych łapach.

Ojciec jęknął zszokowany, a dzierzony przez niego miecz ze szczękiem uderzył o ziemię.

— Mesharo. Och, Mesharo... pomóż nam — wyszeptał.

Potrafiłam rozkazywać zwierzętom, lecz nie Obdarzonym. W wojnie słów z jej potęgą na pewno poniosłabym klęskę. Kazałam gzymsowi się zapaść, lecz ona zręcznie uniknęła upadku, przeskakując z kamienia na kamień. Wiedziała, że nie rozwałę całego muru. Nagle nie miałam się już gdzie wycofać. Zostałam przyparta do muru, poza dostępem do schodów. Zamachnęła się na mnie i przeciągnęła pazurami po moim ciele, zostawiając na nim palący ślad. Kątem oka dostrzegłam, jak ojciec chytya się za brzuch i pada na kolana.

Nagle w powietrzu, niczym szept śmierci, świsnęła strzała i zatopiła się w boku kota. Na gzymsie stał młody łucznik z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Pantera zawyła, powietrze zawibrowało i czarny kot zmienił się w coś innego.

Strzała spadła na kamienie, a ja rzuciłam się do biegu, przyciskając dłoń do boku, bo to była prawdopodobnie jedyna szansa, jaką miałam. Udało mi się zrobić trzy kroki i znowu zostałam porwana z ziemi w stronę nieba. Uratowana ze szponów jednej bestii, trafiłam w łapy innej.

To Liege wrócił do rozgrywki.

34



Nie pozostało w nim nic ludzkiego. Cały był bestią — łuski i pióra, szpony i skrzydła — dyszącą ogniem i wymachującą kolczastym ogonem, raniącą każdego, kto znalazł się w zasięgu ciosu.

— Tiras! — Imię zagrzmiało w powietrzu i rozniosło się echem jak ryk lwa uwolniony z przepaścistej klatki piersiowej potwora. Zafalowało w powietrzu i na moment wszystkie potyczki zostały zawieszona. Ptakoludzie się wznieśli, a wszystkie głowy skierowały się w naszą stronę.

Tiras wzbił się w powietrze, pieszcząc skrzydłami niebo, z mieczem w każdej dłoni, a Zoltev zacisnął łuskowane ramię obejmujące mnie w żebrach. Nie wycofał się ani nie odsunął, lecz pozwolił Tirasowi podlecieć do siebie. Stanęli w powietrzu naprzeciw siebie, ptakoludzie, królowie i zdobywcy.

— Synu, mam twoją królową — huknął Zoltev. — Krwawi, a ja nie jestem Uzdrowicielem. Dołącz do mnie, a pozwolę ci ją zatrzymać.

Tiras rzucił mi spojrzenie, w którym poczucie winy dorównywało determinacji.

— Nie masz takiej mocy, ojciec — mruknął.

— Ależ mam! Możemy mieć wszystko, czego zapagniemy. Jesteśmy Obdarzeni. Jesteśmy królami. W niczym się ode mnie

nie różnisz — nalegał Zoltev.

— Jesteś potworem. A ja przez całe życie staram się być człowiekiem — odparł Tiras.

— No to ci się nie udało. Jesteś ptakiem. Twoje królestwo spiskuje przeciw tobie, twoje miasto płonie, a twoja królowa... krwawi — syknął Zoltev i odrzucił mnie na bok. Wystrzelił w górę z rozpostartymi skrzydłami, a Tiras zanurkował i złapał mnie w powietrzu. — Sam tworzę swoje armie. Nie potrzebuję lordów ani rady. Nie potrzebuję rycerzy ani gwardii — wrzasnął, przykuwając uwagę wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci. Z nieskończoną troską Tiras wylądował i położył mnie na bruku, zawołał Boojohniego i odszukał swoje miecze, żeby być gotowym do walki.

Tymczasem Zoltev-Liege rozpostarł ramiona, a jego stworzenia zgromadziły się wokół niego, wyłoniwszy się z mroku i ciemności, jakby był Bogiem Słów. Nie poprzestał na sępach. Jego nowe stworzenia także latały, ale miały różne kształty, rozmiary, barwy i cechy wyglądu. Niektóre zionęły ogniem, inne pluły trucizną. Były wśród nich stworzenia wielkości małego dziecka i takie o wzroście trzech mężczyzn. Wyglądały, jakby Zoltev próbował przerobić latające jaszczurki i jadowite węże w giganty.

Zamknęłam oczy i kazałam im się wynieść.

Zoltev ryknął z wściekłością. Zakryłam uszy, bo ból z natężenia hałasu był nie do zniesienia. Tymczasem stworzenia Zolteva zaczęły się skręcać z bólu i spadać martwe na dziedziniec jak przejrzałe owoce, rozpryskujące swoje soki na bruk.

Tiras wystrzelił w górę i gwałtownym pchnięciem wbił oba miecze w brzuch Zolteva. Skrzydła zdumionego Zolteva zadrgały w agonii i zastygły bez ruchu, a były władca Jeru runął w dół i uderzył w bruk z odrażającym hukiem. Natychmiast się zmienił w Zolteva-człowieka, po czym z

powrotem stał się volgarowym Liege'em, uzdrowionym.

Królewscy gwardziści podbiegli do niego z kopiami, ale on część zmiotł kolczastym ogonem, a pozostałych pograżył w płomieniach. Tiras wzniósł się nad potwora, a ten podążył za nim. Kazałam strzałom łuczników zatopić się w jego łuskowatym ciele, ale nie dość, że miał grubą skórę, to jeszcze przebiegle wzniósł się ponad dym, gdzie ukrył się przed wzrokiem gwardzistów. Pozostało nam więc tylko wpatrywanie się w mgłę z przerażeniem, patrzyliśmy więc w nią, nie mrużąc oczu, wyginając szyje i nasłuchując odgłosów powietrznej walki.

Nagle w dymie pojawił się spadający Liege z przygwożdżonymi skrzydłami, a tuż za nim Tiras, trzymający kurczowo rękojeść miecza, który sterczał z jaszczurczego torsu Zolteva. Smok ryknął i zionął ogniem, przypalając Tirasowi skrzydło. Ten zawył nie ludzko i zadał cios drugim mieczem. Przebił nim smoczy pysk Zolteva, zamykając mu go i odcinając płomieniom drogę ujścia. Uderzyli w bruk. Smoczy król najdotkliwiej odczuł skutki upadku i przygniótł sobie skrzydła, unieruchamiając je. Tiras nawet na moment nie wypuścił z dłoni rękojeści mieczy.

Z wszystkich stron zbiegli się rycerze i przeszywali mieczami ciało Zolteva, żeby nie mógł się zmienić i stanąć z powrotem do walki.

Ale król także nie wstał.

Leżeli bez ruchu, bezładna sterta kończyn i skrzydeł, człowiek i potwór. Usłyszałam krzyk, niosący się echem po dziedzińcu, przenikający i ostry, wibrujący w moim gardle i brzuchu, uwięziony w moim sercu.

Krzyk. To ja krzyczałam, tak jak wcześniej. Dźwięk przedzierał się przez ściany umysłu i zakurzone gardło. Rzuciłam się do biegu. Biegłam, upadałam, biegłam, upadałam, aż dotarłam do ciała Tirasa, który został ściągnięty z bestii i

leżał na plecach, zwycięski, lecz pokonany.

— Tiras. — Jego imię na moim języku brzmiało jak najważniejszy dźwięk świata i przetoczyło się przez moje usta jak nadciągająca burza. Uświadomiłam sobie, że czuję je nie tylko w myślach, lecz także w gardle i na wargach. Wyrwało się na zewnątrz i zadźwięczało w moich uszach.

— Tiras — powtórzyłam. Wzywając go całą swoją wolą i swoim głosem, domagałam się, by zareagował. Ale on nie otwarł oczu, a oddech mizernie i niewyraźnie gwizdał w jego ustach. Z lewej strony miał przypalone ciało, a z lewego skrzydła zostały stopione i zasuszone pióra i odsłonięte chrząstki.

Położyłam dłonie na jego sercu, tak żeby nie dotykać ran i oparzeń.

Pod moimi dłońmi niech się tak stanie,

Że rany zasklepią się na me żądanie.

Skrzydła zaschnięte i osmalone,

Uleczcie się i stańcie się zdrowe.

Przyczerniała skóra zaczęła różowieć, a pióra na powrót się rozwinęły, lecz ja zaczęłam się trząść i powoli przestawałam widzieć. Moja suknia była przesiąknięta krwią, a głęboko w brzuchu czułam promieniujący ból.

Położyłam się przy nim z głową przy jego sercu, słuchając przerażająco ciężkiego i wolnego bicia. Gdyby potrafił się zmienić, mógłby się wyleczyć.

— Jego dar jest dziwny — stwierdziła stara Powiadaczka.

— On się takim nie urodził — spierał się Kjell.

Ale moja matka przewidziała jego zmianę. Wypowiedziała zwiastujące przyszłość słowa. I w noc jej śmierci król Zoltev zaczął tracić duszę i oddawać syna niebu.

Nagle wszystko złożyło się w całość.

Nie byłam w stanie uleczyć tego, co nie było chore. Nie byłam w stanie zmienić daru Tirasa. Ale jeśli zmiana nie była jego darem, jeśli nie była czymś wplecionym w jego komórki i ścięgna, to mogłam ją cofnąć. Mogłam zabrać słowa mojej matki. To była pierwsza rzecz, jakiej mnie nauczyła. *Zabierz słowo, Lark.*

Zamknęłam oczy i skupiłam się na dniu, gdy wchłonęłam słowa z powrotem w siebie, tak jak mi kazała. Przypomniałam sobie to uczucie na wargach, kształt słów, ich wagę, brzmienie liter, gdy powoływałam je do życia. Zrobiłam tak, jak mi kazała. Zapamiętałam i byłam grzeczna. Wchłonęłam każde słowo i każdą sylabę.

Nim nadejdzie ta godzina, niech nie leczą i nie ranią.

To była ta godzina. Najważniejsza godzina mojego życia. Zbliżał się świt, którego Tiras mógł nie dożyć. Ani jako ptak, ani jako człowiek. To była ta godzina i nie mogłam już dłużej pozwolić sobie na milczenie.

Przycisnęłam wargi do torsu Tirasa i poruszałam ustami zgodnie z kształtem słowa, którym się stał, zabierając mu je.

— Łezro.

Miał ciepły tors i tliło się w nim życie, ale jego duch pragnął latać, latać, latać. Tylko to słowo mu zostało. Opierało mi się, mimo że także je wypowiedziałam i zabrałam, tak jak zrobiłam z laleczką, którą mama ścisnęła za plecami w dłoniach w dzień, gdy to wszystko się zaczęło.

— Cel.

Gdy poruszałam ustami na jego torsie, wchłaniając w siebie słowo, poczułam najniklejsze pęknięcie, szczelinę, i wiatr zagwizdał w moich ustach. Podobnie jak laleczka, Tiras się nie ruszał. Jak szkielet czegoś, w czym nie ma już siły napędowej.

Zabrałam mu słowo, jego ostatnie słowo, i wciągnęłam je w siebie.

A on nadal leżał bez ruchu, z drgającymi w ciemnościach zbliżającego się świtu skrzydłami i zamkniętymi oczami, ani orzeł, ani człowiek.

— Tiras — powiedziałam w jego usta z desperackim pragnieniem nadania mu nowego słowa i nowego życia. — Tiras — powtórzyłam, napinając zmurszałe gardło. Chciałam, by wrócił do istnienia, ale nie nastąpiła w nim żadna zmiana.

Odchyliłam głowę w rozpacz i smutku. Szczelina w gardle się poszerzała, mimo że próbowałam odebrać Tirasa niebu, cofnąć słowa wypowiedziane przez matkę.

Abein z córów! — zawodziłam. *Abein z córów!*

Nie było żadnej odpowiedzi z nieba. Straciłam go. Tak zostało przepowiedziane i tak musiało się stać.

Poczułam dłoń na ramieniu i usłyszałam swoje imię, ale nie oderwałam oczu od króla.

— Jesteś ranna, Lark. Krwawisz — Boojohni próbował mnie odciągnąć.

Nie potrafię go uleczyć, Boojohni. Próbowałam wywołać zmianę, żeby sam się uleczył. Ale on nie jest ani człowiekiem, ani ptakiem... Jest i jednym, i drugim.

— Jakie słowo mu dałaś, Lark? — spytał z naciskiem Boojohni.

Jęknęłam i spróbowałam przemówić na głos, ale nie udało mi się. Słowa były jak kamienie między zębami, za duże i ostre.

— W dzień śmierci twojej matki pocałowałaś jego dłoń. Widziałem cię! I coś szepnęłaś. Jakie słowo mu dałaś?

Patrzyłam na niego desperacko, potrząsając głową.

Nie dałam mu żadnego słowa.

— Dałaś — upierał się Boojohni.

Nie umiałam sobie przypomnieć. Pamiętałam mamę i miecz Zolteva. Pamiętałam, jak kazała mi milczeć.

— Pamiętasz w ogóle Tirasa? Był wtedy chłopcem. Chłopcem na wielkim, czarnym koniu.

Zamknęłam oczy i wróciłam w myślach do tego dnia.

— Musisz sobie przypomnieć — dodał błagalnie Boojohni chrapliwym głosem. — Rozmawiał wtedy z tobą.

Rozmawiał ze mną.

I był... miły.

Uśmiechał się.

I powiedział mi imię swojego konia.

Przypomniałam sobie.

To był największy i najczarniejszy koń, jakiego w życiu widziałam — ale nie bałam się. Nigdy nie bałam się zwierząt. Miały tak proste i łatwe do zrozumienia słowa. Ten koń chciał biec. Nie podobało mu się stanie bez ruchu na dziedzińcu, ale stał. Znał swoje obowiązki. Księżę też chciał biec. Nudził się i pragnął uwolnić się od otaczających go gwardzistów i strachu ludzi, którzy kłaniali się i przyklękali, gdziekolwiek go przedstawiono. Jego ojciec z przyjemnością odbierał ukłony. On nie. On chciał biec. Latać.

Wychwycił coś wzrokiem nad głową i natychmiast pojawiła się w nim wyraźna tęsknota.

Pragnął zamienić się miejscami z ptakiem.

Potem spojrzał w dół, na mnie, i uśmiechnął się, uwalniając tęsknotę, która sprawiła, że zrobiło mi się go szkoda. Zsiadł z wierzchowca i wyciągnął do mnie dłoń. Przyjęłam ją bez wahania, a on drugą dłonią pogłaskał konia po długich nozdrzach.

— Nazywa się Mikiya. — Jego głos był krzepki i niski jak głos mężczyzny, chociaż nim jeszcze nie był.

Powtórzyłam szeptem to imię. Mikiya. Wydało mi się zabawne i przyjemnie się je wymawiało.

— Czyli orzeł — dodał. — Bo on chce latać.

Wciąż trzymałam jego dłoń, gdy mama zbliżyła się do nas, żeby odciągnąć mnie od księcia i jego konia.

Pocałowałam jego dłoń i dałam mu słowo, żeby mógł odlecieć, gdy tylko zapragnie...

Mikiya.

— Mikiya — powiedziała i poczułam się z tym dziwnie i niezręcznie. Mój język nie był przyzwyczajony do mówienia. Spojrzałam na Boojohniego w rozpaczliwym pragnieniu poprawnego wymówienia tego słowa. — Mikiya — powtórzyłam. — Orzeł.

— Zabierz je, Ptaszku — ponaglił mnie Boojohni. Po raz kolejny przycisnęłam wargi do torsu Tirasa i odebrałam mu słowo, którym nieświadomie go przeklełam.

— Ayikim — powiedziała na wdechu. — Ayikim.

— Lark... patrz! — jęknął zaskoczony Boojohni. — Patrz!

Włosy Tirasa zaczęły ciemnieć, począwszy od skóry głowy. Fala atramentowej, głębokiej czerni rozlała się od cebulek po opadające na ramiona końcówki. Zniszczone skrzydła, które wystawały z jego pleców, zaczęły drżeć i kurczyć się jak pergamin w płomieniach, po czym rozpadły się w pył. Patrzeliśmy ze zdumieniem na popiół, który na moment zachował kształt skrzydeł, lecz natychmiast został rozwiany, wymazany z istnienia.

Z prawej dłoni, która spoczywała na jego torsie, sterczały wyszczerbione i zakrwawione szpony. Nagle jednak zniknęły, wchłonięte w palce, które na powrót stały się zaokrąglone i

zasklepione.

— Tiras — wychrypiałam błagalnie, by otworzył oczy, bo chciałam wiedzieć, czy odnowienie było kompletne. Ale on się nie poruszył. Nie drgnął nawet.

Zabrałam słowo, ale to go nie wyleczyło.

Drżącymi dłońmi pogładziłam go po klatce piersiowej, zostawiając na niej ślady krwi, która sączyła się z mojego boku. Następnie wymówiłam zaklęcie uzdrawiające — dziecinnymi słowami i niewprawionym językiem — kierując je do mamy, która mnie kochała, do Boga Słów, który dał mi mój dar, i do Tirasa, który wymknął mi się z rąk.

— Zamknijcie się bramy piekła i nieba,

Zwróćcie go nam, tego mu trzeba.

Nie odlatuj, królu, usłysz me słowa,

Jeru za tobą płacze, a z nim twa królowa.

— Ptaszku... — powiedział Boojohni z twarzą wykrzywioną przez bezradność. — Może jest już za późno.

— Nie odlatuj, mój królu. Nie odlatuj ode mnie — intonowałam, nie słuchając go. Próbowałam przekazać Tirasowi życie przez dłonie prosto do serca, które przestało już bić. Miałam zamknięte oczy i odrętwiałe dłonie, ale nie przerwałam błagań.

Chwilę później zostałam podniesiona i przytulona jak utracone dziecko. Na moment uwolniło mnie to od rozpacz, lecz gdy podniosłam wzrok na trzymającego mnie mężczyznę, zobaczyłam Kjella. Jego zmęczona twarz była poorana żalem, a jego niebieskie oczy w żaden sposób nie przypominały nigdy czarnego spojrzenia mężczyzny, za którym tęskniłam. Odwróciłam głowę i zobaczyłam, że Tiras nadal leży na bruku. Nie został wypuszczony z nieba.

— Puść mnie — powiedziałam niemal niezrozumiale. —

Zabrałam słowo, ale nie potrafię wezwać Tirasa z powrotem.

— Ona straciła mnóstwo krwi, kapitanie. Ale nie zostawi go. Boję się, że ją też możemy stracić — zawodził Boojohni.

Kjell puścił mnie, kucnął przy królu i dotknął jego twarzy.

— On odszedł, Lark. — Głos Kjella był przesycony żalnością i emanował prawdą.

— Nie — szepnęłam. — Wcale nie. Nadal go czuję.

Kjell potrząsnął głową z ponurym wyrazem twarzy i przełknął ślinę.

— Pomóż mi, Kjellu. Nie jestem Uzdrowicielem. Ale ty jesteś. Ty jesteś.

— Nie — szepnął Kjell. — Ja nie... nie potrafię.

— Pomóż mu, a ja pomogę tobie — powiedziałam, powtarzając słowa, które powiedział mi wieki temu, gdy był przekonany, że jestem w stanie ocalić jego brata. Zaczęło mi się mienić przed oczami i nie miałam już siły poruszać ustami, ale on ukląkł obok mnie i położył dłonie tam, gdzie wcześniej trzymałam swoje.

Słuchaj go.

— Nie potrafię... — zaprotestował Kjell, ale chociaż zrobił krzywą minę, zaczął słuchać. Jego skóra emanowała modlitwą i błaganiem.

Położyłam dłonie na jego dłoniach i także zaczęłam nasłuchiwać pieśni duszy Tirasa, częstotliwości, która wezwie go z powrotem i uzdrowi jego uszkodzone ciało.

Słuchaj, powtórzyłam błagalnie.

Poznałam chwilę, gdy Kjell usłyszał ten ton — tak nikły, że był niemal wyłącznie gasnącą wibracją — bo ten nagle zaczął pulsować jak bicie serca, nisko i niestabilnie. Intensywniał i gasnął, gdy Kjell dostroił się do niego i zaczął nucić. Miał

chrapliwy, niewycwiczony i niepewny głos, ale idealnie trafiał w dźwięk.

Resztkami sił skupiałam się na tembrze głosu Kjella. Głowa, gardło, pierś i kończyny dostroiły się do tego dźwięku i zatopiły w nim. Przyciskając dłonie do rąk Kjella, błagałam o zdrowie, nadzieję i kolejną szansę.

Gdy Tiras otworzył oczy, tak głębokie i czarne jak niebo nad naszymi głowami, zamknęłam swoje.

35



Obudziło mnie jasne i ciepłe światło, które wpadało do mojej komnaty przez otwarte drzwi balkonowe. Byłam sama. W pomieszczeniu panowały ład i cisza, a zza ścian pałacu słychać było dźwięki jak w zwykły, pogodny dzień. Próbowałam wyłapać odgłosy chaosu i codziennej kakofonii zamkowego życia, ale krzątanka, która do mnie docierała, była przytłumiona, a w słońcu unosiły się refleksyjne i łagodne myśli i słowa.

Nie miałam na sobie sukni. Rozciągnęłam nagie ciało i dotknęłam boku. Poczułam gładką skórę i nic więcej. Przesunęłam dłonie na brzuch — na małą wypukłość między kośćmi biodrowymi — i tam je zatrzymałam. Poczułam wibrujące doznanie, życie i ruch, od którego wstrzymałam oddech, próbując usłyszeć równie desperacko, jak pragnęłam to czuć. Doznanie pojawiło się ponownie, jak muśnięcie, pieczyta, szept dotykającej wybrzeża wody.

Bezpieczna.

Słowo zatrzepotało w mojej piersi. Byłam bezpieczna. Moje dziecko było bezpieczne, a ja zostałam wyleczona.

Bezpieczna.

Ale nie spełniona.

Usiadłam ostrożnie, po czym wstałam z łóżka. Włożyłam

szlafrok. Włosy opadały mi rozczochranymi falami na plecy i oczy, więc skupiłam się na ich uporządkowaniu. Starannie je odgarnełam, wetknełam za uszy. Moje ruchy były wolne i precyzyjne, spojrzenie skupione na własnym wnętrzu, umysł pozbawiony myśli, a serce... serce łomotało jak oszalałe.

Jeśli nie będę się niczemu przyglądać, nie zauważę, że Tirasa tu nie ma. Jeśli nie będę zbyt głęboko oddychać, nie poczuję tego pustego echa w mojej piersi. Jeśli nie będę się zbyt szybko poruszać, nie dojdę do żadnych bolesnych wniosków. A jeśli nie będę nasłuchiwać, przestanę słyszeć tę ciszę, którą po sobie zostawił.

Kątem oka dostrzegłam jakiś błysk, który kazał mi zwrócić niechętnie spojrzenie w stronę balkonu, i moje łomoczące serce stanęło w miejscu. Był tam, za powiewającymi zasłonami. Siedział na niskiej ścianie i rozpościerał skrzydła, jakby właśnie sfrunął, żeby odpocząć, a czerwone końcówki i migotliwe półtony błyszcząły w promieniach słońca.

Zaczęło mnie palić w gardle i zaszklily mi się oczy.

— Tiras? — szepnęłam. Jego imię odnalazło moje usta, jakbym nigdy go nie straciła. Powtórzyłam je. Drżało między wargami, po czym zsunęło się cicho po podbródku razem ze łzami, które wypływały z oczu i pędziły w dół po policzkach.

Orzeł się wyprostował, rozpostarł skrzydła, jakby zamierzał odlecieć, i uniósł się nad murem. Chwilę później się zmienił — prześlizgnął się między warstwami nieba w barwionych okruchach światła i pojawił się na nowo, przetransformowany. Cały. Cały i zdrowy.

Zauważył mnie i zamarł. Czarne włosy, ciepły odcień skóry, błyszczące oczy i nieznacznym uśmiech. Upajałam się nim, mimo że się smuciłam. Podszedł do mnie i dotknął mojej twarzy — palcami.

— Ty płaczesz — szepnął.

— Wciąż... wciąż jesteś... ptakiem — wykrztusiłam.

Uśmiech się poszerzył, marszcząc mu policzki. Zdumiała mnie jego radość.

— Ty mówisz — zdziwił się.

— Wciąż jesteś ptakiem — powtórzyłam niewzruszenie.

Spojrzał na moje usta i przeciągnął kciukiem wzdłuż dolnej wargi.

— Jestem — szepnął, przytakując.

Zdezorientowana opuściłam brwi i ściągnęłam pytająco usta, zachęcając go do pocałunku. Tiras podążył za tym — odchylił moją twarz, zbliżył się i pocałował mnie z całą niecierpliwością po długim rozstaniu i oddaniem po długim cierpieniu.

— Tirasie — powiedziałam cicho, a on pogłębił pocałunek, jakby lubił szept swojego imienia w moich ustach. Przez chwilę oddaliśmy się w pełni poczuciu ulgi i radości z ponownego zjednoczenia, mimo że szlochałam, witając go w domu.

— Zabrałam słowo — wyjęczałam w jego usta. — Ale ty nadal jesteś ptakiem.

— Tak — szepnął. Ujął moją twarz w dłonie i całował łyzy.

— To ja zrobiłam z ciebie orła. Nieświadomie. Ale to ja. To przeze mnie. — Z trudem wykrztusiłam z siebie to wyznanie. Miałam ochotę klęknąć u jego stóp i błagać o przebaczenie albo nawet paść przed nim twarzą na podłogę.

— Mikiya — odparł łagodnym głosem. — Wiem. Boojohni mi powiedział.

— Pragnęłaś latać... Nie chciałam cię skrzywdzić. Nie wiedziałam, że stanie się coś takiego.

— Nadal pragnę latać — odparł ze smutnym uśmiechem. —

Nie wyobrażam sobie, że już więcej miałbym nie być ptakiem. Ale to nie ty zrobiłaś ze mnie orła, Lark. Ty po prostu uniemożliwiłaś mi bycie czymkolwiek innym. — Spojrzał mi prosto w oczy. — Zabrałaś słowo i teraz... mogę się zmieniać.

Odsunął się i gestem dłoni kazał mi zostać na miejscu.

— Patrz.

Powietrze zawibrowało i zamigotało, i Tiras zmienił się w wielkiego czarnego wilka ze zwieszonym językiem, jakby właśnie przebiegł dziesięć mil.

Przykryłam dłonią usta, dusząc wzbierający w gardle krzyk.

Wilk podszedł bliżej, podniósł olbrzymią łapę i delikatnie położył ją na moim brzuchu w przyjacielskim geście. Wyrwało mi się westchnienie i zachichotałam, a wilk natychmiast zmienił się w pełzającego węża ze złotymi paskami na hebanowych łuskach.

Zwalczyłam instynktowną chęć odskoczenia na łóżko, żeby ochronić stopy. Lecz wąż zmienił się w małpę o wielkich, smutnych oczach, małpa zmieniła się w łabędzia o pełnej wdzięku szyi, a łabędź zmienił się w leniwca o długich, kosmatych łapach i nieśmiałej aparycji. Gdy zmienił się w ryczącego osła, zaczęłam się śmiać.

Tiras przekształcał się w kolejne zwierzęta z taką samą łatwością, jak mnie przychodziło sformułowanie zaklęcia lub rzucanie słów. Gdy w końcu stanął przede mną we własnej osobie, jako czarnowłosy król o ludzkich oczach i dłoniach, bez żadnych śladów zwierząt, którymi był, w końcu zrozumiałam.

— W jednej kwestii mój ojciec miał rację — powiedział.

Przechyliłam głowę, czekając na dalszy ciąg.

— Powiedział, że jesteśmy tacy sami.

Chciałam zaprotestować, ale on zgasił moje słowa

dotknięciem palców.

— Mam jego Dar. Mogę się zmieniać w co chcę. Ale nie chcę być taki jak on.

— To czym zamierzasz być? Teraz wszystko zależy od ciebie — stwierdziłam cicho i pocałowałam palce, które wciąż trzymał przy moich ustach.

— Chcę być dobrym człowiekiem. Sprawiedliwym królem. Chcę być twoim mężem, bratem Kjella i ojcem twojego dziecka. A poza tym będę, czymkolwiek zechcesz — obiecał, a jego głos emanował szczerością.

— W takim razie myślę, że cię zatrzymam — szepnęłam.



Boojohni powiedział, że nie sposób wrócić do zdrowia, gdy się nienawidzi, a Jeru bardzo potrzebowało uzdrowienia. Potrafiło nienawidzić, bo tego zostało nauczone i to w nim pielęgnowano. Taka była tradycja i historia, więc wprowadzenie zmian wymagało nieco czasu.

Prządki, Uzdrowiciele, Zmieniacze i Powiadacze ujawniali się z każdej strony, ośmieleni wprowadzoną tolerancją, co u wielu osób budziło niepokój. Zoltev, jako wyjątkowo obdarzony człowiek, dał mieszkańcom wszelkie powody do strachu i szkalowania Obdarzonych. Wykorzystał swoją moc, by siać przemoc i zniszczenie, a Dary Stwórcy były faktycznie przerażające, gdy trafiały w niewłaściwe ręce.

Ale wszystkie dzieci Stwórcy, niezależnie od swoich zdolności, otrzymały prawo wyboru. I jak stwierdził Sorkin, prawdziwą miarą człowieczeństwa jest to, co dana osoba zrobi ze swoimi darami. Dlatego razem z Tirasem wprowadzaliśmy prawa, zgodnie z którymi Jeruwiańczycy odpowiadali za swoje czyny, a nie uzdolnienia.

Kjell rozpaczał. Rozpaczał, mimo że próbował wyrzucić z siebie nienawiść. Ani pierwsze, ani drugie nie przychodziło mu z łatwością. Ocalił Tirasa i uzdrowił mnie, ale tak długo zaprzeczał swojemu darowi, że zaakceptowanie go było trudniejsze niż ukrywanie się z nim. Do tego stracił zaufanie do swoich instynktów. Zbyt wiele razy został zdradzony lub ocalony przez mylnie ocenionych ludzi.

Lady Firi zniknęła, zmieniawszy się w jakąś jeszcze inną wersję siebie. Jej ojciec zmarł niedługo po atakach na miasto Jeru. Nie we wszystkim kłamała, bo Volgary zaatakowały oddział królewskich gwardzistów, ale nikt nie wiedział, czy naprawdę maczała w tym palce. Nikt nie wiedział, jak dobiła targu z Liege'em. Wiedzieliśmy tylko, że jej się to udało, ale że nic nie wyszło tak, jak oczekiwała. Nie zapominaliśmy o niej, uspokajani tylko przez świadomość, że nie mogła zmienić swojej twarzy tak, jak zmieniała swoją postać.

Jej dni jako lady Firi dobiegły końca.

Władza w prowincji przeszła na jedyne go krewnego zmarłego lorda, czyli jego siostrę. Rada Lordów załamywała ręce na myśl o kobiecych rządach w prowincji. Ich protesty były jednak puste, a słowa pozbawione mocy. Uciekli do swoich fortec i twierdz, wmawiając sobie władzę, której już nie posiadali. Mój ojciec wrócił do Corvyn. Mój ból nie wyrządził mu żadnej większej krzywdy.

Odpuściłam go sobie.

Boojohni powiedział, że muszę.

Odpuściłam sobie nienawiść, odpuściłam sobie jego i zaczęłam się uzdrawiać.



Miałam obolałe kończyny, sztywne plecy i ślimaczy chód. Rozwiązanie było blisko. Niemal cały czas czułam napięcie w

brzuchu, a z takim obwodem w pasie wyglądałam komicznie i praktycznie nie byłam w stanie spać. Stałam na balkonie nad uśpionym miastem i czekałam, obserwując dziedziniec główny. Noc była pełna delikatnych słów, opowieści przed snem i życzeń słodkich snów.

Wiatr muskał mi włosy, gdy dotarła do mnie znajoma pieśń. Jakaś kobieta śpiewała córce do snu słowa dziewczęcej piosenki w taki sposób, jakby robiła to już tysięczny raz.

Córko Jeru, córko Jeru,

On nadchodzi w twoją stronę.

Córko Jeru, córko Jeru,

Niech król pojmie cię za żonę.

Uważałam na słowa. Pilnowałam ich, używałam ich roztropnie i mądrze je pohamowywałam. Gdy całowałam Tirasa i przyciskałam usta do jego słów, nigdy go nie naznaczałam i nie zostawiałam żadnego życzenia. Przekonałam się, że słowa mogą być zabójcze. Tej nocy jednak śpiewałam dziewczęcą pieśń. Podobał mi się sposób, w jaki słowa wypadały z moich ust, jak maleńkie, białe kamyczki prosto do studni świata pode mną. Wkrótce będę miała córkę. Gwyn, stara Powiadaczka, przewidziała dziewczynkę. Tiras westchnął i mruknął coś o upartych kobietach, ale radość malowała się na jego twarzy, a myśli tryskały energią.

Córko Jeru, córko Jeru,

Ma czyste serce, więc na niego czekaj.

Córko Jeru, córko Jeru,

Nim nadejdzie ta godzina, że przybędzie z daleka.

Godzina była nocna, ale ja uparcie czekałam na króla, który wciąż uwielbiał latać. Cienie poruszyły się i zadrgały. Dostrzegłam go nad domami i drzewami na wschodzie. Zobaczyłam, jak nadlatuje, szybuje w moją stronę. Jasna

głowa i czarne jak smoła skrzydła były ledwo widoczne w świetle gwiazd. Zaczął krążyć i opadać, aż w końcu wylądował na murze z zadowolonym trzepotem. Nie zmienił się od razu, lecz złożył skrzydła i zbliżył się do mnie, chowając dziób, jakby czuł się zawstydzony.

Delikatnie pogłaskałam go po gładkim torsie i puchatej głowie, na znak, że mu przebaczam. Z jego serca dotarło do mnie słowo, które wywołało mój uśmiech.

Dom.

Epilog



Była taka maleńka. Duże miała jedynie oczy, które wypełniały jej twarz, ciemne i uroczyste niczym niebo w środku nocy. Ale była delikatna, niemal krucha, jak maleńki ptaszek. Drobne kości i rysy twarzy, szpiczasty podbródek i elfie uszy. Czarne włosy, w tym samym odcieniu co włosy ojca, były jedwabiste i delikatne w dotyku. Gdy ją przytulałam, zdawały się przypominać w dotyku pióra i pogłębiały to ptasie porównanie.

Była moim małym strzyżkiem. Wren^[1] — takie właśnie imię pojawiło mi się w głowie w chwili, gdy ją ujrzałam. Zaakceptowałam je i przyjąłam od Ojca wszystkich Słów, ufając, że tak właśnie ma się nazywać.

— Co robisz, Wren?

— Laleczki — odparła. Malutki język wychylał się spomiędzy zębów, jak zawsze, gdy próbowała zrobić coś trudnego. Obok niej na podłodze leżał stos niekształtnych laleczek, a ona owijała długim sznurkiem kolejną, tworząc głowę, tors i cztery nierówne kończyny. Kucnęłam przy niej i podniosłam jedną z laleczek.

— Opowiedz mi o swoich laleczkach.

— Ta uwielbia śpiewać. — Wskazała niezgrabną postać w mojej dłoni. — Ta uwielbia tańczyć...

— Jak pewien znany mi strzyżyk — przerwałam jej czule.

— Tak. Jak ja. A ta uwielbia biegać. — Uniosła najmniejszą.
— A ta? — Wskazałam na tę, którą przed chwilą skończyła.
— To jest książkę.
— Książkę?
— Tak. Książkę Laleczek. Potrafi latać... jak tatuś.
— Bez skrzydeł?
— Tak. Nie trzeba mieć skrzydeł, żeby latać — wyszczebiotała.
— Czego potrzebujesz, córko? — spytałam łagodnie.
Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się, a jej wielkie, szare oczy rozświeciły się ze świadomością.
— Słów.

[\[1\]](#) Wren (z jeruwiańskiego) — strzyżyk.

Podziękowania



Nie znoszę pisania tej części książki. Nie dlatego, że nie lubię dziękować lub nie mam komu dziękować, lecz dlatego, że z całą pewnością nie uda mi się odpowiednio wyrazić swojej wdzięczności wobec tych wszystkich ludzi, którzy mnie kochają i wspierają.

Po pierwsze, muszę podziękować mojej asystentce, Tamarze Debbaut. Jestem szczerze przekonana, że bez niej nie podołałabym tej książce. Jest niezamordowana, pełna entuzjazmu, niewiarygodnie zdolna i niezastąpiona. Dziękuję ci, przyjaciółko. Nigdy nie uda mi się odwdziaczyć Ci za to wszystko, co robisz.

Po drugie, na pochwałę i podziękowania zasługuje także moja redaktorka, Karey White. Opanowała mroźący krew w żyłach, dziwaczny i nieregularny harmonogram pracy, przy czym zaznaczam, że wszelkie nieregularności wypływały ze mnie. Zmieniam się w prawdziwego artystę, kompletnie niezorganizowanego.

Po trzecie — podziękowania oraz wyrazy miłości i współczucia należą się mojej rodzinie. Cierpię dla swojej sztuki, a moja rodzina cierpi razem ze mną, mimo że wszyscy uśmiechają się miło i mówią, że wcale nie cierpią. Mam czwórkę wspaniałych dzieci i dość niesamowitego męża, a do tego rodziców, rodzeństwo i teściów — wszyscy oni mnie

kochają i tolerują. Nie zasługuję na tak wspaniałych ludzi, a oni także z pewnością nie zasłużyli sobie na konieczność tolerowania mnie.

Po czwarte — ale zaznaczam, że kolejność nie ma tu większego znaczenia — dziękuję Jane Dystel i całemu zespołowi w Dystel and Goderich, który dbał o moje poczucie bezpieczeństwa i zdrowie psychiczne. Dziękuję Hang Le za wspaniałą okładkę, a JT Formatting za wnętrze — Julie zawsze świetnie się mną zajmuje. Dziękuję utalentowanemu Maxime'owi Plasse'owi za jego prześliczną mapę Jeru oraz Mandy Lawler z Lawler Literary — robisz wspaniałą pracę, kobieto.

Po piąte, z całego serca dziękuję blogerom, koleżankom po fachu i lojalnym Czytelniczkom. Zdumiewa mnie ich wsparcie. Świat to dobre miejsce. Tarryn Fisher, Penny Reid, Colleen Hoover, Jessica Park, Rebecca Donovan Elizabeth Hunter, K.A. Tucker, Alison Bailey, Jamie McGuire, Willow Aster, Leylah Attar, Debbie Macomber, Katy Regnery, Mia Sheridan, Karina Halle, A.L. Jackson, Eden Butler, Claire Contreras, Renee Carlino, Rachel Hollis, Stacey Grice, Beth Ehemenn — dziękuję Wam, HARMONIE, i wielu, wielu innym, za okazywaną mi sympatię.

Na koniec chcę wyrazić swoją wdzięczność za pepsi bez cukru i Jezusa. Wiem, że nie brzmi to dobrze, ale taka jest prawda. Idę teraz otworzyć zimną puszkę i zmówić swoje modlitwy.

Dziękuję za przeczytanie! A teraz idź i nie czyń złego.

O autorce



AMY HARMON jest autorką bestsellerów „Wall Street Journal”, „USA Today” i „New York Timesa”. Od najmłodszych lat wiedziała, że chce być pisarką, i w okresie dorastania dzieliła czas między pisanie piosenek i historii. Wychowywała się bez telewizji wśród bezkresnych pól pszenicy, gdzie jedyną rozrywkę zapewniały jej rodzeństwo i literatura, dzięki czemu wykształciła w sobie silne wyczucie tego, co tworzy dobrą opowieść. Jej książki zostały opublikowane w dwunastu krajach, co jest prawdziwym spełnieniem marzeń dla małej dziewczynki z wiejskich okolic Levan w stanie Utah.

Amy Harmon napisała dziesięć powieści. Jej książki to: *Making Faces* i *Running Barefoot* (bestsellery „USA Today”), *Słowo i miecz*, *Prawo Mojżesza*, *Pieśń Dawida*, *Infinity + One*, *Slow Dance in Purgatory*, *Prom Night in Purgatory*, *From*

Sand and Ash oraz bestseller „New York Timesa”, *A Different Blue*.

Strona internetowa:

<https://www.authoramyharmon.com/>

Facebook:

<https://www.facebook.com/authoramyharmon>

Twitter:

https://twitter.com/aharmon_author

Instagram:

<https://www.instagram.com/amyharmon2/>

Newsletter:

<http://eepurl.com/46ciz>

Pinterest:

<https://www.pinterest.com/authoramyharmon>

BookBub:

<https://www.bookbub.com/authors/amy-harmon>

Inne książki tej autorki:



Romanse młodzieżowe i paranormalne:

Slow Dance in Purgatory

Prom Night in Purgatory

Romanse inspiracyjne:

A Different Blue

Running Barefoot

Making Faces

Infinity + One

Prawo Mojżesza

Pieśń Dawida

Powieści historyczne:

From Sand and Ash

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
- The image shows four hands, two from the top and two from the bottom, holding four puzzle pieces. Three pieces are olive green and one is red. The hands are positioned as if they are about to assemble the pieces.
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**